



Pierre

Lemaitre

# Koronkowa robota

Nie ma dziś w europejskiej literaturze lepszych kryminałów niż te, które pisze Pierre Lemaitre.

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

 Pierre  
**Lemaitre**

**Koronkowa  
robota**

przełożyła  
Joanna Polachowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA

*Dla Pascaline*  
*Dla mojego ojca*

*Pisarz to taka osoba, która adaptuje cytaty,  
usuwając cudzołowy.*  
Roland Barthes

# CZĘŚĆ PIERWSZA

– Alice... – powiedział, patrząc na tę, którą każdy oprócz niego nazwałby po prostu dziewczyną.

Zwrócił się do niej po imieniu, chcąc pokazać, że jest po jej stronie, ale nie wywołał tym najmniejszej reakcji. Spojrzał na notatki sporządzone naprędce przez Armanda w trakcie pierwszego przesłuchania: Alice Vandebosch, dwadzieścia cztery lata. Spróbował sobie wyobrazić, jak w normalnych okolicznościach mogła wyglądać taka dwudziestoczteroletnia Alice Vandebosch. Musiała być młodą dziewczyną, jasną szatynką o pociągłej twarzy i otwartym spojrzeniu. A potem znów na nią popatrzył i wydało mu się to absolutnie niemożliwe. Siedząca przed nim dziewczyna ani trochę nie przypominała siebie samej: niegdyś jasne, z długimi ciemnymi odrostami włosy płasko oblepiające czaszkę, chorobliwa bladość, wielki fioletowy siniak na wysokości lewej kości policzkowej, cienka smużka zaschniętej krwi w kącie ust... a w błędnych i spłoszonych oczach nie było już nic ludzkiego oprócz strachu, potwornego strachu, który wciąż jeszcze przyprawiał ją o dreszcze, jakby wyszła z domu w śnieżycę bez palta. Filizankę z kawą trzymała oburącz niczym rozbitek cudem ocalały z katastrofy.

Zwykle już samo pojawienie się Camille'a Verhoevena wywoływało reakcję u nawet najbardziej niewzruszonych. Ale nie u Alice. Ona, zamknięta w sobie, tylko dygotała.

Była ósma trzydzieści rano.

Po przyjsciu do biura kilka minut wcześniej Camille od razu poczuł się zmęczony. Wczorajsza kolacja zakończyła się o pierwszej w nocy. Ludzie, których nie znał, znajomi Irène. Gawędzili o telewizji, opowiadali anegdoty, które Camille uznałby zresztą za dość zabawne, gdyby nie siedząca naprzeciw niego kobieta tak bardzo przypominająca mu matkę. Przez całą kolację próbował uwolnić się od tego skojarzenia, ale naprawdę to było to samo spojrzenie, te same usta, włącznie z papierosami odpalanymi jeden od drugiego. Camille cofnął się myślą o dwadzieścia lat, do tych błogich czasów, kiedy jego matka w fartuchu umazanym farbami, z potarganymi włosami, z papierosem w ustach opuszczała jeszcze pracownię. Do tych czasów, kiedy Camille przychodził, by obserwować ją przy pracy. Kobieta z charakterem. Silna i skupiona, malująca krótkimi gniewnymi pociągnięciami pędzla. Do tego stopnia żyjąca we własnym świecie, że niekiedy zdawała się nawet nie dostrzegać jego obecności. Do tych czasów, kiedy Camille kochał jeszcze malarstwo, tych długich chwil, kiedy w milczeniu chłonał wzrokiem każdy jej gest, jakby to był klucz do tajemnicy dotyczącej jego samego. Tak było wcześniej. Wcześniej, zanim tysiące papierosów wypalanych przez matkę wypowiedziały mu otwartą wojnę, ale długo po spowodowaniu przez nie atrofii płodu, co nazaczyło los Camille'a. W tamtych czasach, patrząc z wysokości swoich stu czterdziestu pięciu centymetrów wzrostu, sam nie wiedział, kogo nienawidzi bardziej, swojej matki trucicielki, która stworzyła go jako mizerną kopię Toulouse-Lautreca, tyle że mniej zdeformowaną, czy swojego spokojnego i bezsilnego ojca, wpatzonego w żonę z uwielbieniem słabeusza, czy też własnego odbicia w lustrze: w wieku lat szesnastu był mężczyzną, ale już na zawsze jakby niedorobionym. Kiedy matka malowała w swojej pracowni kolejne obrazy, kiedy wiecznie milczący ojciec prowadził swoją aptekę, Camille dorostając, oswajał się ze swoim niskim wzrostem, oduczał się ciągłego stawiania na palcach, przyzwyczajał do patrzenia na innych z dołu, nie próbował już sięgnąć na półkę, nie przystawiwszy uprzednio stołka, urządzał swoją osobistą przestrzeń na poziomie domu dla lalek. I ten miniaturowy mężczyzna patrzył, w gruncie rzeczy ich nie rozumiejąc, na ogromne płótna matki, tak ogromne, że aby je dostarczyć do galerii, musiała je zwijać. Czasami, siedząc na stołku i odgarniając włosy, mówiła tylko: „Chodź do mnie, Camille...”, a on wiedział, że ją kocha, myślał

nawet, że już nigdy nie pokocha nikogo innego.

Ale to były jeszcze dobre czasy, rozmyślał przy kolacji Camille, patrząc na siedzącą naprzeciwko kobietę, która głośno się śmiała, niewiele piła i paliła jak smok. Czasy, kiedy jego matka nie spędzała jeszcze całych dni na klęczkach w nogach łóżka, z policzkiem wtulonym w pościel, w jedynej pozycji, w jakiej rak pozwalał jej na chwilę wytchnienia. Choroba powaliła ją na kolana. Dopiero wtedy, po raz pierwszy, ich nieprzenikające się wzajem spojrzenia mogły się spotkać na tym samym poziomie. W tamtych czasach Camille sporo rysował. Spędzał długie godziny w pracowni, opuszczonej już przez matkę. A kiedy w końcu zmuszał się, by wejść do jej sypialni, zastawał tam ojca – który również spędził połowę życia na klęczkach – przytulonego do żony, w milczeniu ją obejmującego, oddychającego w tym samym rytmie co ona. Camille był sam. Rysował. Zabijał czas i czekał.

Kiedy rozpoczął studia na wydziale prawa, matka ważyła już niewiele więcej niż jej pędzle. Gdy wracał do domu, ojciec wydawał się spowity w ciężkie milczenie rozpacz. A wszystko to trwało i trwało. Camille, młody mężczyzna o posturze niewyrośniętego dziecka, studiował prawnicze teksty, czekając, aż nastąpi koniec.

Stało się to nagle, któregoś majowego dnia. I było jak telefon od anonimowego rozmówcy. Ojciec powiedział tylko: „Powinieneś przyjechać”, a Camille nagle poczuł pewność, że odtąd będzie musiał żyć sam z sobą, że już na zawsze pozostanie samotny.

W wieku czterdziestu lat ten niski mężczyzna o pociągłej znużonej twarzy i łysy jak kolano wiedział, że stało się inaczej, odkąd w jego życie wkroczyła Irène. Ale wszystkie te obrazy z przeszłości... wczorajszy wieczór naprawdę go wyczerpał.

A poza tym źle trawił dziczyznę.

Mniej więcej o tej porze, kiedy niósł dla Irène tacę ze śniadaniem, na bulwarze Bonne-Nouvelle patrol dzielnicowy zgarnął Alice.

Camille zsunął się z krzesła i przeszedł do pokoju Armanda, chudego osobnika o wielkich uszach, słynącego ze skąpstwa.

– Za dziesięć minut przyjdiesz mnie zawiadomić, że znaleziono Marca. W nieciekawym stanie – polecił Camille.

– Znaleziono...? Gdzie? – zapytał Armand.

– Nie wiem, wymyśl coś.

Szybkim kroczkiem Camille wrócił do swojego gabinetu.

– No dobrze – powiedział, podchodząc do Alice. – A teraz zacznijmy na spokojnie jeszcze raz, od początku.

Stał naprzeciwko niej, ich oczy znajdowały się niemal na tym samym poziomie. Wydawało się, że Alice ocknęła się z letargu. Popatrzyła na Camille'a, jakby go dopiero teraz zobaczyła, i z większą niż zazwyczaj dobitnością musiała odczuć bezsens świata, kiedy do niej dotarło, że ona, Alice, dwie godziny wcześniej ciężko pobita i w kompletnej rozsypce, wylądowała nagle w Brygadzie Kryminalnej naprzeciwko mężczyzny wzrostu metr czterdzieści pięć, który proponuje jej zacząć wszystko od zera, jakby ona sama nie była już sprowadzona do poziomu zerowego.

Camille usiadł za biurkiem i machinalnie sięgnął po jeden z tuzina ołówków stojących w szklanym kubku, który dostał od Irène. Uniósł wzrok na Alice. Była naprawdę niebrzydka. Wręcz ładna. Delikatne, niezbyt wyraziste rysy, wskutek braku dbałości i nieprzespanych nocy trochę już zatarte. Istna Pieta. Przypominała podróbkę antycznej rzeźby.

– Od kiedy pracujesz dla Santeny'ego? – zapytał, jednym pociągnięciem ołówka szkicując w bloku rysunkowym owal jej twarzy.

– Nie pracuję dla niego!

– No dobrze, powiedzmy od dwóch lat. Pracujesz dla niego, a on cię zaopatruje w towar, czy tak?

– Nie.

– A ty uważasz, że jest w tym trochę miłości? Tak myślisz, prawda?

Utkwiła w nim wzrok. Uśmiechnął się do niej i z powrotem skupił na rysowaniu. Zapadła długa chwila ciszy. Camille’owi przypomniały się słowa matki: „W ciele modela bije zawsze serce artysty”.

Wystarczyło kilka pociągnięć ołówkiem i w jego bloku rysunkowym pojawiła się inna Alice, młodsza od tej tutaj, równie zboląta, choć bez krwawych wybroczyn. Camille uniósł na nią wzrok, jakby nagle podjął decyzję. Alice patrzyła, jak przysuwa bliżej krzesło i siada na nim niczym dziecko stopami niosące podłogi.

– Mogę zapalić? – spytała.

– Santeny wylądował po uszy w niezłym gównie – oznajmił Camille, jakby nie usłyszał jej pytania. –

Wszyscy go szukają. Sama najlepiej wiesz – dodał, wskazując na jej siniaki. – Nie cackali się, co? Czy nie lepiej, żeby najpierw jego znaleźli, nie uważasz?

Alice jak zahipnotyzowana wpatrywała się w stopy Camille’a kołyszące się jak wahadło zegara trzydzieści centymetrów nad ziemią.

– Ma za mało kontaktów, żeby się z tego wygrzebać. W najlepszym razie daję mu dwa dni. Ale ty też masz za mało kontaktów, tylko patrzeć, jak cię dopadną... Gdzie jest Santeny?

Uparta mina, jak u dzieci, które wiedzą, że robią głupstwo, a mimo to je robią.

– No cóż, wypuszczę cię – powiedział Camille tonem, jakby mówił sam do siebie. – Mam nadzieję, że kiedy następnym razem cię zobaczę, to nie w kontenerze na śmieci.

W tym właśnie momencie wszedł Armand.

– Znaleźli Marca. Miał pan rację, w nieciekawym stanie.

– Gdzie? – zapytał Camille, udając zaskoczenie.

– U niego w mieszkaniu.

Camille popatrzył na kolegę zasmuconym wzrokiem: Armand był skąpy, oszczędzał nawet na wyobraźni.

– W porządku. Więc możemy małą wypuścić – stwierdził, zsuwając się z krzesła.

Krótki powiew paniki.

– Jest w Rambouillet – rzuciła jednym tchem Alice.

– Aha – skwitował to beznamiętnie Camille.

– Bulwar Delagrang. Osiemnaście.

– Osiemnaście – powtórzył Camille, jakby samo to, że wymienił numer domu, zwalniało go od podziękowania.

Nie czekając na pozwolenie, Alice wyjęła z kieszeni wymiętą paczkę papierosów i zapaliła.

– Palenie jest niezdrowe – ostrzegł ją Camille.

## 2

Dawał właśnie znak Armandowi, żeby szybko wysłał pod ten adres ekipę, kiedy zadzwonił telefon.

– Jesteśmy w Courbevoie... – Głos Louisa w słuchawce sprawiał wrażenie zdyszanego.

– Mów... – zażądał krótko Camille, sięgając po pióro.

– Dzisiaj rano dostaliśmy anonimowy telefon. Jestem teraz na miejscu. To... nie wiem, jak to ująć...

– Mimo to spróbuj – przerwał mu lekko zirytowany Camille.

– Horror – wyrzucił z siebie Louis zmienionym głosem. – Jatka. Innego rodzaju niż zwykle, jeśli pan wie, co mam na myśli...

– Nie całkiem, Louis, nie całkiem...



– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem...

### 3

Telefon u komisarza Le Guena był zajęty, więc Camille osobiście pofatygował się do jego gabinetu. Krótko zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł. Jak zwykle.

Le Guen był potężnym mężczyzną, który po dwudziestu latach nieustannego i daremnego odchudzania się popadł w zabarwiony lekką rezygnacją fatalizm, który można było wyczytać z jego twarzy i całej postaci. Camille obserwował, jak z biegiem lat z wolna przybierał maniery obalonego monarchy, robiąc znużone miny i patrząc na świat posepnym wzrokiem. Na wstępie i dla zasady Le Guen przerwał Camille'owi, oświadczając, że obojętnie co, i tak „nie ma czasu”. Ale poznawszy pierwsze szczegóły sprawy, które ten mu przedstawił, postanowił jednak ruszyć się z miejsca.

### 4

Przez telefon Louis powiedział: „Czegoś takiego jeszcze nie widziałem...”, i to się Camille'owi nie spodobało, bo jego zastępca nie należał do czarnowidzów. Niekiedy przejawiał wręcz irytujący optymizm, więc Camille nie spodziewał się niczego dobrego po tym nagłym wyjeździe. Mijając peryferyjne bulwary, nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o Louisie.

Louis był blondynem, miał przedziałek z boku i niesforny kosmyk włosów odrzucany z czoła potrząśnięciem głowy lub niedbałym, acz wprawnym gestem ręki, który genetycznie przypisany jest dzieciakom z wyższych sfer. Z czasem Camille nauczył się odgadywać różne przesłania, które niósł z sobą ów gest odgarniania kosmyka, będący prawdziwym barometrem emocji Louisa. Odgarnięcie go prawą ręką wyrażało całą ich grę, od „zachowujmy się” do „tak nie wypada”. Odgarnięcie lewą oznaczało zakłopotanie, skrępowanie, nieśmiałość, zmieszanie. Patrząc na Louisa, nietrudno go było sobie wyobrazić jako chłopca przystępującego do pierwszej komunii. Miał w sobie wciąż jeszcze jego młodość, jego wdzięk, jego kruchość. Jednym słowem, Louis był eleganckim, szczupłym, delikatnym i straszliwie irytującym młodym mężczyzną.

Ale przede wszystkim był bogaty. Ze wszystkimi atrybutami prawdziwych bogaczy: z tym szczególnym sposobem bycia, tym szczególnym sposobem mówienia, akcentowania, doboru słów, krótko mówiąc, z tym wszystkim, co przypisane jest modelowi z górnej półki, opatrzonemu etykietą: „Bogaty dzieciak”. Początkowo, idąc za głosem własnych zainteresowań, traktując naukę na uniwersytecie jak jedną ze sztuk pięknych, odbył błyskotliwe studia – po trochu prawa, ekonomii, historii sztuki, estetyki, psychologii. A potem coś się wydarzyło. Z tego, co zrozumiał Camille, miało to związek z kartezjańską nocą olśnienia oraz epokową pijatyką, było połączeniem poznania rozumowego ze słodową whisky. Louis wyobraził sobie dalsze życie w wytwornym sześciopokojowym apartamencie w IX arrondissement, wśród półek z kilometrami rozpraw o sztuce i sygnowanych serwisów w intarsjowanych komodach, z czynszami za mieszkania napływającymi z regularnością jeszcze bardziej niezawodną niż pensja wysokiego urzędnika, z wizytami u mamusi w Vichy, z nieustającym stołowaniem się we wszystkich restauracjach w dzielnicy, a przede wszystkim z tą wewnętrzną, równie dziwną, co nieoczekiwaną, sprzecznością, tym autentycznym egzystencjalnym zwątpieniem, które każdy, tylko nie Louis, zamknąłby w jednym zdaniu: „Co ja w tym wszystkim robię?”.

Zdaniem Camille'a trzydzieści lat temu Louis zostałby rewolucjonistą spod znaku skrajnej lewicy. Ale w obecnych czasach ideologia nie stanowiła już alternatywy. Louis nie znosił religijności, więc również dobroczynności i wolontariatu. Zastanawiał się, co mógłby robić, szukał jakiegoś miejsca, w którym mógłby się zetknąć z nędzą życia. I nagle doznał olśnienia: wstąpi do policji. Do policji kryminalnej. Nigdy niczego się nie bał – ta akurat cecha nie wchodziła w skład jego rodowego dziedzictwa – oraz posiadał dość talentu, by rzeczywistość nie stawiała zbyt często pod znakiem

zapytania słuszności jego wyboru. Pozdawał egzaminy, wstąpił do policji. Jego decyzja podyktowana była chęcią służenia (nie służby przez duże S, nie, po prostu bycia do czegoś przydatnym), lękiem przed życiem, które bardzo szybko przeszłoby w monomanię, a być może również próbą spłacenia wymagowanego długu, który w swoim pojęciu zaciągnął u klas niższych, nie rodząc się jako jeden z nich. Zaraz po zdaniu egzaminów Louis wylądował w świecie bardzo odległym od jego wyobrażeń; nie było w nim za grosz brytyjskiej schludności Agathy Christie ani metodycznego namysłu Conan Doyle'a, były tylko ponure meliny, pobite dziwki, wykrwawieni dilerzy w kontenerach na śmieci na bulwarze Barbès, zadżgane ćpuny, cuchnące kible, gdzie znajdowano tych, którzy próbowali uciec przed wyrokiem śmierci, pedały sprzedające swoich chłopaków za kreskę i chłopaki, które po drugiej nad ranem robiły laskę za pięć euro. Z początku Camille miał niezły ubaw, obserwując Louisa, który ze swoją blond grzywką i spłoszonym spojrzeniem, lecz z otwartą głową, wyszukany do przesady językiem, pisał raport za raportem. Który cierpliwie zbierał wstępne zeznania na zaszczanych i hałaśliwych klątkach schodowych, nad zwłokami trzynastoletniego sutenera zaszlachtowanego maczetą na oczach własnej matki, który wracał o drugiej nad ranem do swojego stu pięćdziesięciometrowego mieszkania na ulicy Notre-Dame-de-Lorette i w ubraniu zwał się na pluszową kanapę pod akwafortą Paveła, między sygnowaną szafą biblioteczną a kolekcją ametystów swojego świętej pamięci ojca.

Po przyjsciu do Brygady Kryminalnej inspektor Verhoeven bynajmniej nie zapałał instynktowną sympatią do tego schludnego gładkiego młodzieńca ze zmanierowanym akcentem, który nigdy niczemu się nie dziwił. Pozostali członkowie zespołu, średnio sobie ceniący obcowanie na co dzień z golden boyem, niczego mu nie oszczędzili. W niespełna dwa miesiące Louis poznał niemal wszystkie ciosy poniżej pasa, należące do zestawu złośliwych kawałów wycinanych nowicjuszom przez wszystkie zbiorowości społeczne z zemsty, że nie mogły same dokooptować nowych członków. Louis znosił to z zakłopotanym uśmiechem, bez słowa skargi.

Camille Verhoeven wcześniej od innych zdołał dostrzec w tym nietypowym, inteligentnym chłopaku materiał na dobrego glinę, lecz – zapewne wierząc w zalety selekcji naturalnej – postanowił nie interweniować. Louis z istic brytyjską wyniosłością był mu za to wdzięczny. Któregoś wieczoru wychodząc z pracy, Camille ujrzał go wpadającego do bistra naprzeciwko i wychylającego jeden za drugim dwa czy trzy kieliszki mocnego alkoholu i przypomniała mu się scena, w której Lucky Luke, kompletnie zamroczony, niezdolny dalej walczyć, ogłuszony ciosami, wciąż jednak się podnosi, i to tak długo, aż publiczność straci zainteresowanie, a energia przeciwnika się wyczerpie. I rzeczywiście, widząc, z jaką pilnością Louis przykłada się do pracy oraz tę jego dziwną cechę, którą należałoby nazwać dobrocią czy czymś podobnym, koledzy się uspokoili. Z czasem Camille i Louis w pewien sposób zaakceptowali wzajemnie swoją inność, a że inspektor cieszył się niekwestionowanym autorytetem moralnym w zespole, nikogo już nie dziwiło, że młody krezus powoli staje się jego najbliższym współpracownikiem. Camille zwracał się do Louisa po imieniu, podobnie jak do wszystkich członków swojej ekipy. Ale z biegiem lat oraz zawodowych rosząd zauważył, że tylko najstarsi stażem koledzy zwracają się do niego per ty. A że obecnie najwięcej było młodych, czuł się jak jakiś samozwańczy patriarcha – rola, do której nigdy nie aspirował. Zwracano się do niego jak do komisarza, per pan, chociaż dobrze wiedział, że nie ma to związku z jego miejscem w hierarchii służbowej. Raczej z odruchowym zakłopotaniem, w jakie wprawiał ludzi jego niski wzrost, tak jakby miał to być pewien rodzaj rekompensaty. Louis także używał formy pan, ale Camille wiedział, że z innego powodu; u niego był to nawyk klasowy. Nie zostali przyjaciółmi, lecz się szanowali, co dla nich obu było najlepszą gwarancją owocnej współpracy.

Tuż po dziesiątej Camille z Armandem, a za nimi Le Guen przyjechali na ulicę Félix-Faure 17 w Courbevoie. Nieużytki przemysłowe.

Pośrodku terenu stała, przypominająca martwego insekta, mała nieczynna fabryka, pobliskie budynki, prawdopodobnie dawne warsztaty, przerabiano obecnie na mieszkania. Cztery z nich, już wykończone, wyglądały w tym otoczeniu równie niestosownie jak egzotyczne bungalowy w zimowym krajobrazie. Wszystkie otynkowane na biało, miały aluminiowe okna i szklane rozsuwane dachy, pod którymi można się było domyślać ogromnych powierzchni. Całość sprawiała wrażenie opuszczonego miejsca. Żadnych samochodów poza wozami Firmy.

Do mieszkania prowadziły dwa schodki. Camille ujrzał plecy Louisa, który opierając się ręką o ścianę, wymiotował do trzymanej przy ustach plastikowej torebki. Idąc przodem przed Le Guenem i dwójką funkcjonariuszy, wyminął go i wkroczył do pomieszczenia tonącego w świetle reflektorów. Przybywając na miejsce zbrodni, najmłodszy zwykle odruchowo szukał wzrokiem miejsca, gdzie znajduje się śmierć. Ci najbardziej doświadczeni szukają życia. Ale tutaj było to niemożliwe. Śmierć wypełniła całe wnętrze, włącznie z pełnymi niedowierzania spojrzeniami żywych. Camille nie miał nawet czasu pomyśleć, skąd ta szczególna atmosfera; jego wzrok natychmiast przyciągnęła przybita do ściany głowa kobiety.

Nie zrobił jeszcze trzech kroków, a już zdążył ogarnąć spojrzeniem obraz, którego nie zdołałby wymyślić w żadnym z najczarniejszych koszmarów; powyrywane palce, morze zastygłej krwi, a wszystko tonące w fetorze ekskrementów, zakrzepłej krwi i wypatroszonych trzewi. Natychmiast przypomniał mu się *Saturn pożerający swoje dzieci* Goi; znów ujrzał jego przerażoną twarz, wytrzeszczone oczy, szkarłatne usta i szaleństwo, absolutne szaleństwo. Choć należał do najbardziej doświadczonych wśród obecnych tu ludzi, momentalnie poczuł chęć, by wykonać w tył zwrot i wycofać się na podest, na którym Louis, na nikogo nie patrząc, trzymał w wyciągniętej ręce plastikową torebkę niczym żebrak demonstrujący swoją nienawiść do świata.

– Co się tu, do cholery, dzieje...

Komisarz Le Guen powiedział to sam do siebie, ale jego słowa trafiły w całkowitą próżnię.

Usłyszał je tylko Louis.

– Nie mam pojęcia. – Podszedł i otarł oczy. – Wszedłem i natychmiast wyszedłem...

Stojący pośrodku pokoju Armand odwrócił się do nich z osłupiałym wyrazem twarzy, dla kurażu wycierając wilgotne dłonie o spodnie.

Bergeret, szef laboratorium, podszedł do Le Guena.

– Będę potrzebował dwóch ekip. To zajmie sporo czasu.

I, co do niego niepodobne, dodał:

– Nietypowa sprawa...

Nie była typowa.

– No to ja już idę. – Le Guen wyminął Malevala, który w tym momencie wszedł i zasłaniając rękami usta, natychmiast się wycofał.

A wtedy Camille dał znak reszcie ekipy, że czas pokazać, co potrafią.

Niełatwo było wyobrazić sobie, jak naprawdę wyglądało mieszkanie przed... przed „tym”. Ponieważ „to” wypełniło całą scenę i nie wiadomo było, na co najpierw patrzeć. Po prawej leżały na podłodze szczątki ciała z rozprutym brzuchem i połamanymi żebrami, które przebiły jakąś czerwono-białą fałdę, prawdopodobnie żołądek, a także pierś, tę w każdym razie, która nie została odcięta, jakkolwiek trudno to było z całą pewnością stwierdzić z tej przyczyny, że to ciało – kobiety, to jedno było pewne – pokrywały ekskrementy, spod których prześwitywały niezliczone ślady ukąszeń. Naprzeciwko, po lewej, leżała głowa (druga, też kobiety) o wypalonych oczach i dziwnie krótkiej, jakby wtłoczonej w ramiona

szy. Z czeluści jej rozdziawionych ust wystawały białoróżowe kanały tchawicy i żył wyszarpane czyją ręką z głębi gardła. Nieco dalej spoczywało inne ciało, do którego ta głowa (chyba że ta pierwsza) być może kiedyś należała, ciało za pomocą głębokich nacięć częściowo odarte ze skóry; na brzuchu oraz sromie widniały głębokie otwory o wyraźnych brzegach, bez wątpienia wypalone kwasem siarkowym. Głowę drugiej ofiary przybito za policzki do ściany. Camille uważnie obejrzał wszystkie te szczegóły, wyjął notatnik, ale zaraz schował go z powrotem do kieszeni, jakby czekające go zadanie było tak makabryczne, że każda metoda była bezużyteczna, każdy plan skazany na porażkę. W obliczu okrucieństwa trudno o strategię. A przecież właśnie po to się tu znalazł, w obliczu tego koszmarnego spektaklu.

Na ścianie ktoś świeżą jeszcze krwią jednej z ofiar nakreślił wielkimi literami: WRÓCIŁEM. Musiał zużyć do tego mnóstwo krwi, o czym świadczyły długie zacieki pod każdą z liter. Pisał je kilkoma palcami naraz, to złączonymi, to rozstawionymi, co sprawiało wrażenie, jakby patrzyło się na ów napis zmaconym wzrokiem. Camille przestąpił okaleczone ciało kobiety i podszedł do ściany. Na końcu napisu widniał odcisnięty z zamierzoną starannością ślad palca. Każda z linii papilarnych była wyraźna, doskonale czysta, przypominała odcisk palca w starym dowodzie osobistym, kiedy to dyżurny policjant przykładając palec jego posiadacza do pożółkłego kartonika i z całej siły na wszystkie strony go dociskał.

Ściany zbrzyzgane były krwią aż po sufit.

Camille potrzebował dłuższej chwili, żeby się pozbierać. W tej scenerii nie był w stanie myśleć, gdyż wszystko, co tu widział, urągało myśleniu.

W lofcie pracowało teraz koło dziesięciu osób. Na miejscu zbrodni, podobnie jak na sali operacyjnej, panuje często atmosfera mogąca sprawiać wrażenie swobodnej. Ludzie chętnie żartują. Camille tego nie znosił. Niektórzy technicy zamęczają kolegów swoimi dowcipami, najczęściej sprośnymi; tak jak jedni grają na czas, tak oni zdają się grać na dystans. To postawa charakterystyczna dla zawodów, w których większość stanowią mężczyźni. Ciało kobiety, nawet martwe, kojarzyć się będzie zawsze z ciałem kobiety i w oczach technika przywykłego do obnażania realiów dramatu, samobójczyni, nawet z twarzą posiniałą i obrzmiałą jak balon, nadal pozostaje „piękną dziewczyną”. Ale tego dnia w lofcie w Courbevoie panowała inna atmosfera. Ni to skupienia, ni to współczucia. Spokojna i ciężka, tak jakby najwięksi nawet żartownisie, wzięci z zaskoczenia, nie bardzo wiedzieli, co pikantnego można by powiedzieć na temat wypatroszonych zwłok i martwego wzroku głowy przybitej do ściany. Więc w milczeniu dokonywali pomiarów, spokojnie zdejmowali odciski, w niemal nabożnej ciszy ustawiali światła reflektorów, żeby można było zrobić zdjęcia. Armand, który przecież niejedno już widział, wręcz nienaturalnie blady, przestępował przez rozciągnięte przez techników taśmy z ceremonialną powolnością, jakby obawiając się, że któryś z jego ruchów może nagle ożywić furię wciąż jeszcze obecną w pomieszczeniu. A Maleval nadal rzygał jak kot do plastikowej torebki, raz i drugi podejmując próbę dołączenia do zespołu, ale natychmiast zawracał, dosłownie dławiąc się smrodem fekaliów i poćwiartowanych ciał.

Mieszkanie było bardzo duże. Mimo bałaganu widać było, że zostało urządzone z wielką starannością. Jak w wielu innych loftach drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do salonu, przepastnego pomieszczenia o pomalowanych na biało betonowych ścianach. Ścianę po prawej stronie pokrywała gigantycznych rozmiarów fotografia. Objęcie jej wzrokiem w całości wymagało maksymalnego cofnięcia się. Camille widział już tu i ówdzie to zdjęcie.

Oparty plecami o drzwi wejściowe próbował przypomnieć sobie gdzie.

– Ludzki genom – odpowiedział Louis.

Otóż to. Reprodukacja mapy ludzkiego genomu, artystyczna jej wizja, podmalowana tuszem chińskim i węglem.

Przez szerokie drzwi balkonowe, zza zasłony drzew, które nie zdążyły jeszcze urosnąć, widać było osiedle domków jednorodzinnych na przedmieściu. Na jednej ze ścian wisiała replika krowiej skóry, szeroki prostokątny pas skóry w czarno-białe łaty. Pod nią stała czarna skórzana kanapa, kanapa gigantyczna, nietypowych rozmiarów, może nawet wykonana na zamówienie na całą szerokość ściany, czy to wiadomo, kiedy człowiek nie jest u siebie, kiedy znalazł się w innym świecie, w świecie, w którym wiesz się na ścianie ogromne fotografie ludzkiego genomu i w którym ćwiartuje się dziewczyny, wypatroszywszy im uprzednio brzuchy... Na podłodze przed kanapą egzemplarz magazynu „Gentlemen’s Quaterly”. Po prawej całkiem przyzwoicie zaopatrzony barek. Po lewej na niskim stoliku telefon z sekretarką. Obok, na konsoli z dymnego szkła szerokoekranowy telewizor, przed którym przyklęknął Armand.

Camille, dotąd z racji wzrostu niemający po temu okazji, położył mu dłoń na ramieniu i wskazując na magnetowid, powiedział:

– Sprawdź to.

W środku znajdowała się kasetka. Zobaczyli psa, owczarka niemieckiego w czapce bejsbolowej, który trzymał w przednich łapach pomarańczę, obierał ją i częstka po częstce zjadał. Wyglądało, że to jeden z tych głupawych programów z wideogagami, z amatorskimi ujęciami, z łatwym do przewidzenia ostrym kadrowaniem. W prawym dolnym rogu widniało logo „US-gag” i miniaturowy rysunek szeroko uśmiechniętej kamery.

– Przewiń dalej, nigdy nie wiadomo... – powiedział Camille.

A sam zainteresował się automatyczną sekretarką. Rejestrację wiadomości poprzedzał podkład muzyczny wybrany zgodnie z aktualną modą. Kilka lat temu byłaby to *Palba* Pachelbela; teraz wydawało mu się, że rozpoznaje *Wiosnę* Vivaldiego.

– *Jesień* – szepnął skupiony Louis. A potem usłyszeli: „Dzień dobry! (Głos mężczyzny, około czterdziestki, kulturalny ton, staranna artykulacja, dziwna dykcja). Przykro mi, ale jestem aktualnie w Londynie. (Czyta tekst, głos dość wysoki, nosowy...). Po usłyszeniu sygnału zostaw, proszę, wiadomość... (dość wysoki, afektowany, homoseksualista?), oddzwonię po powrocie. Do usłyszenia”.

– Używa zakłóacza dźwięku – rzucił Camille.

I poszedł do sypialni.

Całą ścianę w głębi zajmowała wielka szafa z lustrzanymi drzwiami. Łóżko również całe było we krwi i ekskrementach. Czerwone prześcieradło zostało ściągnięte i zwinięte w kłębek. Na podłodze w nogach łóżka leżała pusta butelka po coronie. U wezłowie wielki przenośny odtwarzacz CD i obcięte palce ułożone w kształt korony kwiatu. Obok odtwarzacza zgniecione obcasem pudełko z kompaktem zespołu *Traveling Wilburys*. Nad japońskim łóżem, bardzo niskim i zapewne bardzo twardym, wisiał malunek na jedwabiu, którego gejzery czerwieni doskonale współgrały z całą scenerią. Żadnych ubrań, tylko kilka par w dziwny sposób powiązanych szelek. Camille zerknął do szafy, którą technicy zostawili otwartą; nie było w niej nic oprócz walizki.

– Ktoś sprawdzał, co jest w środku? – spytał półgłosem Camille.

W odpowiedzi usłyszał rzucone beznamiętnym tonem: „Jeszcze nie”. Najwyraźniej ich wkurzam, pomyślał.

Nachylił się, żeby odczytać napis na kartoniku zapalek leżącym na podłodze obok łóżka: „Palio’s”, czerwoną kursywą na czarnym tle.

– Mówi ci to coś?

– Nie, nic.

Zapytał o to Malevala, ale widząc jego zmienioną twarz, która nieśmiało pojawiła się w drzwiach, dał znak, żeby nie wchodził. To może poczekać.

Łazienka była biała, z wyjątkiem jednej ze ścian pokrytej tapetą w czarno-białe cętki. W wannie również widać było ślady krwi. Przynajmniej jedna z dziewczyn została do niej włożona bądź wyjęta z niej w oplakany stan. Umywalki użyto do obmycia czegoś, być może rąk morderców.

Wydawszy Malevalowi polecenie, by odszukał właściciela mieszkania, Camille razem z Armandem i Louisem wyszli, pozwalając technikom dokończyć pracę. Louis wyjął małe cygaro, jedno z tych, których nigdy nie pozwoliłby sobie zapalić w obecności Camille'a w biurze, w samochodzie, w restauracji, krótko mówiąc, nigdzie, tylko na dworze.

Stojąc ramię w ramię, uwolnieni nagle od horroru, w milczeniu rozejrzeli się po placu budowy, jakby dostrzegając w ponurej scenerii tego miejsca coś uspokajającego, w pewien sposób ludzkiego.

– Ty, Armand, na początek rozejrzysz się po okolicy – odezwał się w końcu Camille. – Przyślemy ci Malevala, jak tylko wróci. Rozegrajcie to dyskretnie... I bez tego sytuacja wygląda nieciekawie.

Armand skinął głową, że zgoda, ale jednym okiem łypał pożądliwie na małe pudełko cygar Louisa. Właśnie wyciągał od niego swoje pierwsze tego dnia cygaro, kiedy wyszedł do nich Bergeret.

– To potrwa – oznajmił krótko i wykonał w tył zwrot.

Bergeret karierę zaczynał w wojsku. Prosty styl.

– Jean! – zawołał Camille.

Bergeret się odwrócił. Przystojna tępa twarz człowieka, który potrafi upierać się przy swoim, powołując się na niedorzeczność świata.

– Absolutny priorytet – oświadczył Camille. – Dwa dni.

– Akurat! – rzucił tamten, pokazując mu plecy.

Camille spojrzał na Louisa i z rezygnacją machnął ręką.

– Czasami to skutkuje...

## 6

Loft na ulicy Félix-Faure został urządzony przez firmę specjalizującą się w inwestycjach w nieruchomości, SOGEFI.

Jedenasta trzydzieści, quai de Valmy. Elegancki budynek nad kanałem, jak okiem sięgnąć żyłkowana wykładzina, jak okiem sięgnąć szkło, a i piersi recepcjonistki też jak okiem sięgnąć. Legitymacja Policji Kryminalnej, lekki popłoch, potem winda, znów żyłkowana (w odwrotnej kolejności kolorów) wykładzina, dwuskrzydłowe drzwi do ogromnego gabinetu, antypatyczny osobnik o nazwisku Cottet, pewny siebie, pamiętajcie, że jesteście na moim terenie, proszę usiąść, czym mogę służyć, ale nie mogę wam poświęcić dużo czasu.

W rzeczywistości Cottet przypominał domek z kart. Należał do ludzi, którymi potrafi zachwiać byle drobiazg. Choć wysoki, sprawiał wrażenie żyjącego w cudzym ciele. Widać było, że ubiera go żona, która ma własne i to nie najlepsze wyobrażenie o facecie. Kreowała go na szefa firmy władczego (jasnoszary garnitur), zdecydowanego (koszula w niebieskie prążki) i żyjącego w ciągłym pośpiechu (włoskie buty ze spiczastymi noskami), lecz przyznawała, że jest tylko średniego szczebla menażerem, lubiącym ostentację (krzykliwy krawat) i dość wulgarnym (złoty sygnet i złote spinki do kompletu). Ujrawszy wchodzącego do gabinetu Camille'a, z miejsca poległ na egzaminie wstępnym, z zaskoczeniem unosząc brwi, po czym opanował się i dalej już zachowywał jakby nigdy nic. Najgorsza z możliwych reakcja, pomyślał Camille, który znał je wszystkie.

Cottet postrzega życie jako sprawę poważną. Były sprawy, które mógł nazwać „prostymi”, były takie, które określał jako „delikatne”, i wreszcie były „sprawy paskudne”. Wystarczyło mu spojrzeć na twarz Camille'a, by zrozumieć, że obecna okoliczność nie będzie podpadała pod żadną z tych kategorii.

Często w takich wypadkach inicjatywę przejmował Louis. Louis był cierpliwy. Louis czasami

wykazywał podejście wręcz pedagogiczne.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, kto i na jakich warunkach wynajmował to mieszkanie. Zależy nam rzecz jasna na czasie.

– Rzecz jasna. O które mieszkanie chodzi?

– W Courbevoie, na ulicy Félix-Faure siedemnaście.

Cottet pobladł.

– Aaa...

I cisza. Cottet z przygnębioną miną patrzył na podkładkę przy komputerze, jakby widział rybę.

– Panie Cottet – podjął Louis swoim najbardziej opanowanym i dobitnym tonem – sędzę, że dla pana oraz pańskiej firmy lepiej byłoby, gdyby nam pan to wszystko wyjaśnił, spokojnie i wyczerpująco...

Proszę się nie spieszyć.

– Tak, oczywiście – zgodził się Cottet.

I uniósł na nich spojrzenie rozbitka.

– Ta transakcja nie odbyła się... jak by to powiedzieć... w sposób w pełni typowy, rozumiecie panowie...

– Otóż nie za bardzo – powiedział Louis.

– Skontaktowano się z nami w kwietniu. Ta osoba...

– Czyli kto?

Cottet spojrział na Camille'a, po czym na moment zapatrzył się w okno, jakby za nim szukając pomocy, wsparcia.

– Haynal. Nazywał się Haynal. Jean. Chyba...

– Chyba?

– No tak, Jean Haynal. Był zainteresowany tym loftem w Courbevoie. Prawdę powiedziawszy – ciągnął Cottet, odzyskując pewność siebie – ten projekt dość opornie się zwraca... Sporo zainwestowaliśmy, tymczasem wyniki dla całej tej strefy przemysłowej, gdzie już zamknęliśmy cztery projekty indywidualne, są nadal dość nieprzekonujące. Nie żeby alarmujące, to nie, ale...

– A konkretnie, ile sprzedaliście? – przerwał Camille, którego irytowały te dygresje.

– Żadnego.

Cottet wpatrywał się w niego z napięciem, jakby słowo „żadnego” oznaczało dla niego wyrok śmierci. Camille dałby głowę, że to przedsięwzięcie deweloperskie postawiło jego oraz jego firmę w bardzo, ale to bardzo kłopotliwej sytuacji.

– Proszę dalej... – zachęcił go Louis.

– Ten pan nie chciał go kupić, tylko wynając na trzy miesiące. Powiedział, że jest przedstawicielem firmy producenckiej z branży filmowej. Odmówiłem. Takich rzeczy nie robimy. Zbyt duże ryzyko ze ściąganiem należności, zbyt wysokie koszty i zbyt krótki okres wynajmu, rozumiecie panowie. A poza tym my zajmujemy się sprzedażą projektów, a nie bawimy się w agencję nieruchomości.

Pogardliwy ton, jakim Cottet rzucił te słowa, wiele mówił o jego trudnym położeniu, które sprawiło, że sam musiał zabawić się w agenta nieruchomości.

– Rozumiem – powiedział Louis.

– Ale cóż, rzeczywistość ma swoje prawa – dodał, jakby ta błyskotliwa uwaga miała pokazać, że jest również człowiekiem kulturalnym. – A ten pan...

– Płacił gotówką? – zapytał Louis.

– Tak, gotówką, i...

– I gotów był słono zapłacić – podsunął Camille.

– Trzykrotność ceny rynkowej.

- Jak wyglądał ten człowiek?
- Nie wiem, rozmawiałem z nim tylko przez telefon.
- A jego głos?
- Był wyraźny.
- Co potem?

– Poprosił, żeby mu pokazać loft. Chciał zrobić zdjęcia. Umówiliśmy się na spotkanie. Udałem się na nie osobiście. Już wtedy powinny mnie tknąć wątpliwości...

– Co do czego? – zapytał Louis.

– Ten fotograf... Wyglądał... jak by to powiedzieć... niezbyt profesjonalnie. Przyniósł z sobą coś w rodzaju polaroida. Zdjęcia, które robił, układał na ziemi, równo, jedno obok drugiego, jakby bał się je pomieszać. Przed każdym kolejnym ujęciem zaglądał do kartki, jakby działał zgodnie z instrukcjami, które nie bardzo rozumiał. Pomyślałem, że taki z niego fotograf, jak ze mnie...

– Agent nieruchomości? – podsunął Camille.

– Powiedzmy – rzekł Cottet, zabijając go wzrokiem.

– Może go nam pan opisać? – zaproponował Louis, żeby zmienić temat.

– Bardzo pobieżnie. Długo tam nie zabawiłem. Nie miałem nic do roboty, a tracić dwie godziny w pustym lokalu, by obserwować faceta, który robi zdjęcia... Wpuściłem go, popatrzyłem przez chwilę, jak pracuje, i wyszedłem. Kiedy skończył, wrzucił klucze do skrzynki na listy, mieliśmy zapasowe, nie było z tym pośpiechu.

– Jak wyglądał?

– Przeciętnie...

– To znaczy? – nie ustępował Louis.

– Przeciętnie! – zdenerwował się Cottet. – Co niby mam panu powiedzieć: średniego wzrostu... w średnim wieku... no, przeciętnie.

Zapadła cisza, podczas której wszyscy trzej zdawali się medytować nad rozpaczliwą przeciętnością świata.

– A fakt, że ów fotograf był tak mało profesjonalny – powiedział Camille – uznał pan za dodatkową gwarancję, prawda?

– Tak, przyznaję – odparł Cottet. – Zapłata w gotówce, żadnej umowy i pomyślałem sobie, że film... to znaczy przy... przy tego rodzaju filmie nie będziemy mieli problemów z lokatorem.

Camille wstał pierwszy. Cottet odprowadził ich aż do windy.

– Będzie pan musiał oczywiście podpisać zeznanie – wyjaśnił Louis takim tonem, jakby mówił do dziecka – możliwe, że będzie pan zmuszony stawić się przed sądem, więc...

– Więc – przerwał mu Camille – proszę niczego nie ruszać. Ani w pana księgach, ani gdziekolwiek. Z fiskusem sam się pan rozliczy. Na razie mamy dwie półwiotowane dziewczyny. Dlatego teraz nawet dla pana to jest najważniejsze.

Cottet miał zagubione spojrzenie, jakby próbował ocenić konsekwencje, jak przeczuwał, katastrofalne, a jego pstrokaty krawat wydał się nagle równie nie na miejscu jak żabot na piersi skazanego na śmierć.

– Ma pan jakieś zdjęcia, plany? – zapytał Camille.

– Przygotowaliśmy piękną makietę reklamową... – zaczął Cottet z szerokim uśmiechem dyrektora handlowego, lecz uświadomiwszy sobie niestosowność tego zadowolenia, spisał szybko swój uśmiech na rachunek zysków i strat.

– Proszę mi to jak najszybciej przysłać – powiedział Camille, wręczając mu swoją wizytówkę.

Cottet ujął ją w dwa palce, jakby się bał, że go poparzy.



Kiedy zjeżdżali na parter, Louis krótko napomknął o „walorach” recepcjonistki. Camille odpowiedział, że żadnych nie zauważył.

## 7

Nawet pracując w dwie ekipy, technicy musieli spędzić tu prawie cały dzień. Koło południa nieunikniony w takich razach balet radiowozów, motocykli i furgonetek spowodował pierwsze zbiegowisko. Ciekawe, w jaki sposób wszyscy ci ludzie wpadli na pomysł, żeby się tu zjawić. Nadciągali niczym zastępy zombi w filmie klasy B. Pół godziny później przyjechała prasa. Nie było rzecz jasna mowy o żadnych zdjęciach wewnątrz, rzecz jasna żadnego oświadczenia, ale po pierwszych przeciekach w dzienniku o czternastej Camille poczuł, że lepiej byłoby powiedzieć cokolwiek, niż zostawić prasę samej sobie. Zadzwonił z komórki do Le Guena i podzielił się z nim swoimi obawami.

– Tu też zaczyna już być o tym głośno... – poinformował Le Guen.

Camille wyszedł z loftu z jednym tylko celem: powiedzieć najmniej, jak się da.

Nie było takiego znów tłumu, ledwie kilkudziesięciu gapiów, z tuzin reporterów i na pierwszy rzut oka nikogo liczącego się, sami wolni strzelcy i chałturnicy; nieoczekiwana sposobność pozwalająca rozładować sytuację oraz zyskać kilka cennych dni.

Istniały dwa słuszne powody, dla których Camille był znany i rozpoznawalny. Dzięki swoim dokonaniom zawodowym cieszył się znakomitą reputacją, którą jego nietypowy wzrost zamienił w niejaką sławę. Choć niełatwo go było skadrować w obiektywie, dziennikarze chętnie przeprowadzali wywiady z tym niskim mężczyzną o oschłym, stanowczym głosie. Uważali, że jest trochę małomówny, ale ma „głowę na karku”.

W pewnych okolicznościach, choć marna to korzyść w porównaniu z niedogodnościami, postura Camille’a bywała mu pomocna. Wystarczyło raz go zobaczyć, żeby zapamiętać. Odmówił już udziału w niejednym programie telewizyjnym, wiedząc, że zapraszają go w nadziei, iż wygłosi cudownie emocjonującą tyradę człowieka, który „tak wspaniale przewyciężył własną ułomność”. Prowadzący owe programy najwyraźniej aż się ślinili na myśl o pasjonującym reportażu ukazującym Camille’a w jego samochodzie dla niepełnosprawnych, ze wszystkimi funkcjami sterującymi przy kierownicy, za to z kogutem na dachu. Jemu samemu ani trochę się to nie uśmiechało i nie tylko dlatego, że nienawidził prowadzić. Jego przełożeni byli mu za to wdzięczni. Raz tylko, jeden jedyny raz się zawahał. Któregoś pochmurnego dnia. Dnia gniewu. Tego dnia, kiedy przyszło mu odbyć zbyt długą podróż metrem pod umykającymi bądź kpiącymi spojrzeniami współpasażerów. Zaproponowano mu wtedy wystąpienie we France 3. Po zwyczajowym patosie na temat służby publicznej, którą jakoby uosabiał, jego rozmówca, wyobrażając sobie zapewne, że wszystkim absolutnie marzy się sława, w zawołanych słowach dał mu do zrozumienia, że nic na tym nie straci. Nie, to było tego dnia, kiedy rozkwasił sobie twarz w wannie. Pechowego dnia dla karłów. Wyraził zgodę, przełożeni udawali, że z całego serca to popierają.

Po przyjeździe do studia, przygnębiony, że uległ czemuś, co nie było już nawet pokusą, musiał wjechać windą na górę. Obładowana pudłami taśm i papierami kobieta, która wsiadła za nim, zapytała, na które jedzie piętro. Camille z rezygnacją wskazał na umieszczony na zawrotnej wysokości przycisk piętnastego. Kobieta uroczo się uśmiechnęła, ale próbując dosięgnąć przycisku, upuściła taśmy. Kiedy winda dojechała na miejsce, oni nadal na czworakach zbierali otwarte pudła i papiery. Podziękowała mu za pomoc.

– Tak samo jest, kiedy kładę tapetę – pocieszył ją Camille. – Natychmiast robi się z tego koszmar...

Kobieta się roześmiała. Miała piękny uśmiech.

Pół roku później Irène została jego żoną.

Dziennikarzom bardzo się spieszyło.

– Dwie ofiary – rzucił Camille.

– Kto?

– Nie wiadomo. Kobiety. Młode.

– W jakim wieku?

– Jakies dwadzieścia pięć lat. W chwili obecnej tylko tyle możemy powiedzieć.

– Kiedy wyniosą ciała? – zapytał jeden z fotografów.

– Niedługo, mamy trochę spóźnienia. Problemy techniczne...

Chwila przerwy w pytaniach, dobra okazja, żeby wystartować:

– Chwilowo nic więcej nie powiemy, ale prawdę mówiąc, nic też specjalnego nie ma do powiedzenia. Mamy niewiele danych, to wszystko. Jutro powinniśmy podsumować sprawę. A na razie pozwólmy chłopakom z laboratorium dalej robić swoje...

– A co powiemy? – zapytał młody blondyn o oczach alkoholika.

– Powiemy: dwie kobiety, jeszcze nie wiadomo, kim były. Powiemy: zamordowane, dzień, dwa dni wcześniej, nie wiadomo przez kogo, jak również nie wiadomo jeszcze jak ani dlaczego.

– To niewiele!

– To właśnie próbuję wam wytłumaczyć.

Trudno było powiedzieć jeszcze mniej. W szeregach zapanowała chwila niezdecydowania.

I w tym dokładnie momencie nastąpiło coś, czego Camille najmniej sobie życzył. Furgonetka z laboratorium podjechała tyłem pod wejście do loftu, ale z powodu betonowej skrzynki na kwiaty, nie wiedzieć czemu akurat tutaj ustawionej, nie mogła podjechać wystarczająco blisko. Kierowca wysiadł, otworzył szeroko oba skrzydła tylnych drzwi i w następnej sekundzie wysiadło z niej gęsiego dwóch ludzi z laboratorium. Rozproszona dotąd uwaga reporterów ustąpiła nagle miejsca napiętnemu zainteresowaniu, kiedy za drzwiami loftu ukazała się ściana salonu, a na niej ogromny, jak na obrazie Pollocka, rzucony niedbale bryzg krwi. I jakby ten widok wymagał jeszcze potwierdzenia, dwaj ludzie z laboratorium zaczęli pracowicie ładować do furgonetki starannie zamknięte plastikowe worki, opatrzone etykietkami Instytutu Medycyny Sądowej.

Otóż dziennikarze są trochę jak pracownicy zakładu pogrzebowego, wystarczy im jeden rzut oka, by ocenić długość ciała. I widząc wynoszone worki, od razu odgadli, że zawartość jest w kawałkach.

– O rany! – jęknęli chórem reporterzy.

I zanim taśmą zabezpieczającą rozszerzono teren zdarzenia, fotografowie przypuścili ostrzał wynoszonych zwłok. Mała sfera, jak komórka rakowa, odruchowo rozdzieliła się na dwie grupy, jedni pstrykali zdjęcia furgonetki, wrzeszcząc: „Tutaj!”, żeby ściągnąć wzrok makabrycznych tragarzy i choć na moment ich zatrzymać, inni przez komórki wzywali posiłki.

– O rany! – potwierdził Camille.

Prawdziwa fuszerka. Po czym z kolei on wyjął komórkę i wykonał nieuniknione telefony pieczętujące jego wkroczenie w oko cyklonu.

Ludzie z laboratorium solidnie pracowali. Uchyłili dwa okna, żeby zrobić przeciąg, dzięki czemu poranny fetor na tyle wywiało, że chusteczki do nosa i chirurgiczne maski nie były już potrzebne.

Czasami na tym etapie miejsca zbrodni wyglądają jeszcze bardziej przerażająco niż w obecności zwłok, gdyż ma się wrażenie, że śmierć po raz drugi zaatakowała, powodując ich zniknięcie.

Tu było jeszcze gorzej. Na miejscu zbrodni zostali tylko pracownicy laboratorium z aparatami

fotograficznymi, elektronicznymi miarkami, pęsetami, probówkami, plastikowymi torebkami i wywoływaczami i zrobiło się teraz tak, jakby nie było tu nigdy żadnych ciał albo jakby śmierć odarła je definitywnie z godności posiadania żywej niegdyś powłoki. Technicy pozbierali i wywieźli fragmenty palców, głowy, wypatroszone wnętrzności. Na miejscu pozostały tylko ślady krwi i ekskrementów, a uwolnione od nagiego horroru mieszkanie przybrało całkiem inny wygląd. Wygląd, zdaniem Camille'a, wręcz niesamowity. Louis dyskretnie zerkał na swojego szefa, stwierdzając, że ze zmarszczonym czołem i ściągniętymi brwiami wygląda dziwnie, jak człowiek próbujący rozwiązać krzyżówkę.

W salonie Louis poszedł do konsoli z telewizorem i telefonem, Camille obszedł pokój wkoło; snuli się po pomieszczeniu jak dwójka turystów w muzeum, którzy rozglądają się za jakimś szczegółem, wcześniej przeoczonym. Chwilę potem, wciąż zamyśleni, spotkali się w łazience, po czym Louis poszedł przyjrzeć się sypialni, a Camille, w czasie gdy technicy gasili reflektory, zwijali plastikowe płachty i kable, zamykali kolejne kuferki i skrzynki, wyglądał przez okno. Louis, krążąc pośród tej scenerii, postawiony w stan pogotowia zaafierowaną miną Camille'a, zaprzął do pracy własne neurony. I powoli również na jego twarzy zaczął malować się wyraz coraz większego skupienia, jakby w myślach przeprowadzał jakąś ośmiocyfrową operację.

Zastał Camille'a w salonie. Przed nim na podłodze leżała otwarta, znaleziona w szafie walizka (pierwszorzędny gatunek, beżowa skóra, wewnątrz wyściełana, z metalowymi okuciami jak kufer podróżny), której technicy jeszcze nie zabrali. W walizce znajdował się garnitur, łyżka do butów, elektryczna maszynka do golenia, etui na banknoty, sportowy zegarek i kieszonkowa fotokopiarka.

Technik, który musiał na chwilę wyjść, wrócił teraz, informując Camille'a:

– Sądny dzień, Camille, przed chwilą przyjechała telewizja...

I powiódłszy wzrokiem po szerokich smugach krwi rozmazanych po pokoju, dodał:

– Będiesz teraz miał przez jakiś czas na głowie wieczorny dziennik telewizyjny.

## 10

– Czysta premedytacja – stwierdził Louis.

– Na moje wyczucie to coś bardziej skomplikowanego. I tyle ci powiem, że coś mi tu nie pasuje.

– Nie pasuje?

– Właśnie – potaknął Camille. – Wszystko tu jest prawie nowe. Kanapa, łóżko, tapety, wszystko. Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby ktoś poszedł w takie koszta tylko po to, żeby nakręcić film pornograficzny. Do tego kupuje się wyposażenie z drugiej ręki. Albo wynajmuje się mieszkanie umeblowane. Zresztą najczęściej nawet się nie wynajmuje. Tylko korzysta z tego, co się trafi za darmo.

– *Snuff movie*? – podsunął Louis.

Miał na myśli rodzaj filmów pornograficznych, w których na koniec naprawdę się morduje. Kobiety, oczywiście.

– Też o tym pomyślałem – powiedział Camille. – Owszem, to możliwe...

Ale obaj wiedzieli, że moda na takie filmy już minęła. A wyszukany i kosztowny wystrój mieszkania nie bardzo pasował do tej hipotezy.

Camille, milcząc, nadal krążył po pokoju.

– Ten ślad palca na ścianie jest zbyt wyraźny, żeby można to uznać za przypadek – podjął.

– Z zewnątrz nie było nic widać – dodał Louis. – Drzwi były zamknięte, okna tak samo. Zbrodni nikt nie odkrył. Z czego logiczny wniosek, że to jeden ze zbrodniarzy nas zawiadomił. Jest w tym jednocześnie i premedytacja, i roszczenie. Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby taka jatka mogła być dziełem jednego człowieka...

– To się dopiero okaże. Nie, mnie najbardziej intryguje nagranie na sekretarce.

Louis zagapił się na niego zaskoczony, że tak szybko stracił wątek.

– Nagranie na sekretarce? – powtórzył.

– Zastanawia mnie, że jest wszystko co trzeba, telefon, sekretarka, z wyjątkiem najważniejszego: nie ma czynnej linii...

– Co takiego?

Louis poderwał się, pociągnął za kabel, odsunął mebel od ściany. Ujrzał tylko kontakt elektryczny, telefon nie był podłączony.

– Premedytacji nie próbowano ukryć. Nie zrobiono nic, by ją zamaskować. Przeciwnie, można by pomyśleć, że wszystko jest wyraźnie wyeksponowane... A to wiele znaczy.

Camille z rękami w kieszeniach zrobił kilka dalszych kroków po pokoju i znów stanął przed zdjęciem genomu.

– Tak – potwierdził. – To wiele znaczy.

## 11

Pierwszy zjawił się Louis, zaraz po nim Armand. I kiedy, kończąc rozmowę przez komórkę, dołączył do nich Maleval, ekipa Camille'a, przez niektórych z respektem lub z przekąsem nazywana „brygadą Verhoevena”, znalazła się w komplecie. Camille przejrzał szybko notatki, po czym spojrzał na swoich współpracowników.

– I co wy na to?

Wymienili spojrzenia.

– Najpierw trzeba by się dowiedzieć, ilu ich jest – zaryzykował Armand. – Im więcej, tym większe mamy szanse ich znaleźć.

– Nikt w pojedynkę nie dałby rady czegoś takiego zrobić – zaopiniował Maleval. – To niemożliwe.

– Żeby mieć co do tego pewność, musimy poczekać na wyniki z laboratorium i raport z sekcji. Louis, przedstaw sprawę wynajmu loftu.

Louis pokrótce zrelacjonował ich wizytę w firmie SOGEFI. Słuchając go, Camille obserwował Armanda i Malevala.

Każdy z nich był przeciwieństwem drugiego, jeden uosabiał nadmiar, drugi niedostatek. Jean-Claude Maleval miał dwadzieścia sześć lat oraz urok, z którego bez umiaru korzystał, podobnie jak bez umiaru korzystał ze wszystkiego, z nocnego życia, z kobiet, z uciech cielesnych. Typ faceta, który się nie oszczędza, dzień w dzień okazując światu znużoną twarz. Camille myślał o nim zawsze z pewnym niepokojem, zastanawiając się, ile musi go kosztować tak burzliwe życie. Maleval miał zadatki na przyszłego skorumpowanego gline, tak jak niektóre dzieci już od przedszkola mają zadatki na przyszłych leserów. Właściwie trudno było powiedzieć, czy po prostu trwonił swoje kawalerskie życie, tak jak inni trwonią otrzymany spadek, czy zdążył już wkroczyć na śliską równię pochyłą wydatków człowieka żyjącego ponad stan. W ciągu ostatnich miesięcy Camille dwukrotnie przyłapał go w towarzystwie Louisa. Za każdym razem obaj mieli nietęgą minę ludzi przyłapanych na gorącym uczynku i Camille był pewny, że Maleval wyłudza od Louisa pieniądze. Może regularnie, może nie. Nie chciał się w to mieszać i udawał, że niczego nie widzi.

Maleval mnóstwo palił, dopisywało mu spore szczęście na wyścigach i wykazywał wyraźną słabość do whisky Bowmore. Ale najwyżej na liście swoich wartości stawiał kobiety. Fakt, że był przystojny. Wysoki, smagły, z łobuzerskim spojrzeniem i do dziś z sylwetką młodzieżowego mistrza Francji w judo, którym kiedyś był.

Camille przeniósł wzrok na jego przeciwieństwo, Armanda. Biedny Armand. Od blisko dwudziestu lat inspektor w Brygadzie Kryminalnej, z czego dziewiętnaście i pół roku z reputacją największego

skapca, jakiego kiedykolwiek karmiła policja. Mężczyzna w nieokreślonym wieku, o wymizerowanej twarzy, długi jak dzień głodówki, chudy i nerwowy. Wszystkie cechy definiujące Armanda należały do sfery niedostatku. Ten człowiek był chodzącym ubóstwem. Jego skąpstwo nie miało w sobie uroku cechy charakteru, było patologią, ciężką patologią, nieuleczalną i zdaniem Camille'a ani trochę zabawną. W gruncie rzeczy skąpstwo Armanda obchodziło go tyle co zeszłoroczny śnieg, ale po tylu latach wspólnej pracy wciąż cierpiał, widząc, do jak niskich chwytów „biedny Armand” mimo woli się zniża, byle nie wydać centyma, do jak skomplikowanych strategii się ucieka, byle uniknąć zapłacenia za filiżankę kiepskiej kawy. Być może wskutek własnej ułomności Camille cierpiał czasem z powodu tych upokarzających sytuacji tak, jakby były jego własnym udziałem. A już najbardziej patetyczne było to, że Armand był w pełni świadomy swojej przypadłości. Ubolewał nad nią, z jej powodu stał się człowiekiem smutnym. Pracował w milczeniu. Pracował dobrze. Na swój sposób był może najlepszym z drugoplanowych bohaterów Brygady Kryminalnej. Skąpstwo uczyniło z niego policjanta drobiazgowego, skrupulatnego, sumiennego, potrafiącego całymi dniami przeszukiwać książkę telefoniczną, spędzać niekończące się godziny na obserwacji w radiowozie, w którym nie działało ogrzewanie, przesłuchiwać całe ulice, całe profesje, odnaleźć – dosłownie – igłę w stogu siana. Gdyby dać mu puzzle składające się z miliona fragmentów, po prostu zabrałby je, wrócił do biura i wszystkie godziny służby spędził na ich mozolnym układaniu. Nieważne zresztą było, czego szukał. Przedmiot poszukiwań nie miał najmniejszego znaczenia. Jego obsesyjne zbieractwo wykluczało jakiekolwiek preferencje. Ale często też dokonywało cudów i nawet jeśli wszyscy zgadzali się, że na co dzień trudno z nim wytrzymać, bez wahania przyznawali, że ten uparty, dociekliwy glina ma coś, czego nie mają inni, coś ponadczasowego, dobitnie pokazującego, jak nieciekawe zajęcie posunięte do granic absurdu może graniczyć z geniuszem. Wyczerpawszy wszystkie możliwe kawały na temat jego skąpstwa, koledzy powoli spasowali i przestali z niego kpić. Nikogo to już nie bawiło. Wszyscy byli tym zdołowani.

– No dobrze – powiedział Camille, kiedy Louis zakończył swoje wystąpienie. – Czekając na pierwsze wyniki, na razie bierzemy sprawę, jak leci. Armand i Maleval pójdą śladem tropów materialnych, tego, co zastaliśmy na miejscu: skąd pochodzą meble, bibeloty, ubrania, pościel i tak dalej. Ty, Louis, zajmiesz się kasetą wideo, amerykańskim pismem, jednym słowem, wszystkim, co nietypowe, ale bądź w pobliżu. Jeśli pojawi się coś nowego, przekażesz to dalej. Jakieś pytania?

Nie było żadnych. Albo było ich zbyt wiele, co na jedno wychodzi.

## 12

Policja w Courbevoie dowiedziała się o zbrodni z anonimowego telefonu. Camille pojechał przesłuchać nagranie.

„Na rue Félix-Faure siedemnaście popełniono morderstwo...”

Był to z całą pewnością ten sam głos co na sekretarce, z tą samą deformacją spowodowaną przez to samo urządzenie.

Przez następne dwie godziny Camille wypełniał formularze, kwestionariusze, wnioski, uzupełniał kropkowane miejsca niewiadomymi śledztwa, nieustannie zadając sobie pytanie, komu to potrzebne.

Zmuszony poddać się wymogom administracyjnej roboty, często czuł, że popada w rodzaj umyślowego odrętwienia. Prawym okiem udzielał informacji formularzom, nagiął się do potrzeb lokalnej statystyki, sporządzał regulaminowe protokoły i raporty z podjętych działań, a na siatkówce jego lewego oka nadal trwały obrazy porzuconych na ziemi martwych ciał, ciemnych plam zastygłej krwi, twarzy wykrzywionych bólem i rozpaczliwą walką o przeżycie, i to ostatnie spojrzenie ofiar wyrażające niezrozumienie w obliczu oczywistości nieuniknionej, a zawsze zaskakującej śmierci.

A czasami wszystkie te obrazy się na siebie nakładały. Tak jak teraz, kiedy ujrzał obcięte palce kobiet

ułożone kolicie na tle logo policji sądowej... Odłożył okulary na biurko i powoli przetarł oczy.

## 13

Szef laboratorium kryminalistyki Bergeret, typowy były wojskowy, nie był człowiekiem skłonny się spieszyć ani, świadom własnego znaczenia, reagować na czyjekolwiek poganie. Ale Le Guen musiał użyć swojego wpływu – zwanie dwóch tytanów, dwóch sił bezwładu ścierających się w patetycznych zapasach, niczym sfilmowana w zwolnionym tempie walka dwóch sumitów – i tak późnym popołudniem Camille otrzymał pierwsze wyniki z laboratorium.

A więc dwie młode kobiety, wiek między dwadzieścia a trzydzieści lat. Obie blondynki. Jedna metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt kilo wagi, na wewnętrznej stronie lewego kolana plama wina, zdrowe uzębienie, wydatny biust, druga mniej więcej tego samego wzrostu, mniej więcej tej samej wagi, również zdrowe uzębienie, żadnych znaków szczególnych, biust również wydatny. Obie ofiary na jakieś trzy do pięciu godzin przed śmiercią spożyły posiłek: sałata, carpaccio i czerwone wino. Jedna zjadła truskawki z cukrem, druga cytrynowy sorbet. Obie też piły szampana. Na butelce wytrawnego moët hennessy oraz na dwóch kieliszkach znalezionych pod łóżkiem zostały ich odciski. To ich obciętymi i złożonymi razem palcami morderca zrobił krwawą smugę na ścianie. Rekonstrukcja modus operandi – wyrażenie uwielbiane przez wszystkich nieznaną łaciny – zajmie oczywiście więcej czasu. W jakiej kolejności zostały poćwiartowane, w jaki sposób i czym? Czy zrobił to jeden, czy kilku mężczyzn (lub kilka kobiet?), czy zostały zgwałcone i jak (lub przy użyciu czego?). Ileż niewiadomych było w tym makabrycznym równaniu, które Camille miał za zadanie rozwiązać.

Detal jeszcze dziwniejszy: ten tak wyraźny odcisk palca środkowego zostawiony na ścianie nie był prawdziwy, tylko wykonany pieczątką z tuszem.

Camille nigdy nie żywił jakichś specjalnych uprzedzeń wobec informatyki, ale bywały dni, kiedy nie mógł opędzić się przed myślą, że wszystkie te urządzenia mają naprawdę wredny charakter. Ledwie napłynęły pierwsze ustalenia z laboratorium, a już komputer centralnej kartoteki to potwierdził, dając mu do wyboru wiadomość dobrą lub złą. Dobra była taka, że dostarczył mu uzyskane na podstawie odcisków dane osobowe jednej z ofiar. Była nią Évelyne Rouvray, lat dwadzieścia trzy, zamieszkała w Bobigny, notowana za prostytutkę. Natomiast zła wiadomość jasno i wyraźnie potwierdzała powrót tego, co wypierał, i spowodowała, że jak cios obuchem powróciło do niego coś, co jeszcze kilka minut temu próbował odrzucić. Znaleziony na ścianie sztuczny odcisk palca odsyłał do innej sprawy, sprawy z dwudziestego pierwszego listopada 2001 roku, której akta natychmiast Camille'owi dostarczono.

## 14

Te akta też były wredne. Co do tego wszyscy się zgadzali. Tylko gliniarz samobójca mógłby chcieć dostać tę sprawę, która już i tak narobiła zbyt wiele szumu. Swego czasu reporterzy bez końca komentowali sztuczny odcisk palca wykonany czarnym tuszem, pozostawiony na stopie ofiary. Przez kilka tygodni prasa rozpowszechniała detale tej sprawy pod różnymi hasłami. Mówiono o „zbrodni z Tremblay”, o „tragicznym porażeniu”, przy czym, jak często bywało, wszystkich przebił „Le Matin”: relacjonując sprawę, mówił o „młodej dziewczynie, którą zabrała śmierć”.

Camille znał tę sprawę jak wszyscy, ani lepiej, ani gorzej, ale jej widowiskowość nasuwała mu myśl o oku cyklonu, który nagle zawęził średnicę.

Ponowne wypłynięcie zbrodni z Tremblay zmieniało postać rzeczy. Jeśli jakiś facet zaczął ćwiartować dziewczyny na przedmieściach Paryża, to dopóki nie zostanie zatrzymany, można się będzie spodziewać nowych odkryć. Z jakiego typu klientem mają do czynienia? Camille sięgnął po telefon, zadzwonił do Le Guena i przekazał mu nowinę.

– Cholera – rzucił krótko Le Guen.

- Owszem, można tak powiedzieć.
- Prasa będzie zachwycona.
- Jestem pewny, że już jest.
- Jak to „już”?
- A jak myślisz? Ta firma to istne sito. W Courbevoie godzinę po nas zjawiły się pismaki...
- I...? – Le Guen z obawą zawiesił głos.
- I zaraz za nimi telewizja – niechętnie przyznał Camille.

Le Guen przez chwilę milczał, co od razu wykorzystał Camille.

- Chcę mieć profil psychologiczny tych facetów – zażądał.
- Dlaczego „tych facetów”? To były inne odciski?
- Tego faceta, tych facetów... skąd mogę wiedzieć?
- Zgoda. Do sprawy została wyznaczona sędzia Deschamps. Zadzwoń i powiem, żeby dostarczyła biegłego.

Camille, który dotychczas nie współpracował z sędzią Deschamps, przypomniał sobie pięćdziesięcioletnią kobietę, którą kiedyś spotkał, szczupłą, elegancką i przeraźliwie brzydką. Typ kobiety wymykającej się wszelkim próbom opisu i kochającej złotą biżuterię.

– Jutro rano odbędzie się sekcja. Jeśli uda się w miarę szybko wyznaczyć biegłego, przyślę ci go, bo chcę poznać wstępne ustalenia.

Camille odłożył na później lekturę akt sprawy z Tremblay. Zabierze je i przeczyta w domu. Na razie lepiej skoncentrować się na teraźniejszości.

## 15

Akta Évelyne Rouvray.

Urodzona w marcu 1980 roku w Bobigny, córka Françoise Rouvray i nieznanego ojca. Naukę zakończyła na drugiej klasie szkoły średniej. Nigdzie niezatrudniona. Pierwsza wzmianka w listopadzie 1996: przyłapano na uprawianiu nierządu w samochodzie przy Porte de la Chapelle. Odnotowana za obrazę obyczajów, ale nie za prostytutkę. Dziewczyna jest jeszcze nieletnia, co oznacza mnóstwo zawracania głowy, a zresztą i tak wiadomo, że się ją znowu zobaczy. Tak też się dzieje. Trzy miesiące później recydywa, mała Rouvray zostaje znów zgarnięta na bulwarach Maréchaux, znów w samochodzie i w tej samej pozycji. Tym razem staje przed sądem, sędzia wie, że odtąd będą się często spotykać, prezentem powitalnym francuskiego wymiaru sprawiedliwości dla małej przestępczyni, która niedługo wyrośnie na dużą, jest osiem dni z zawieszeniem. I od tej pory, co ciekawe, ślad się po niej urywa. Wypadek dość rzadki; zwykle lista zatrzymań za drobne przestępstwa wydłuża się wraz z upływem lat, a bywa, że miesiący, jeśli dziewczyna wykazuje dużą aktywność, jeśli jest ćpunką albo złapie AIDS, jednym słowem, jeśli potrzebuje pieniędzy i od rana do wieczora szuka klientów. Ale nie tym razem. Évelyne zarabia osiem dni w zawieszeniu i znika z policyjnej kartoteki. W każdym razie do czasu, kiedy w kawałkach zostaje znaleziona w lofcie w Courbevoie.

## 16

Ostatni znany adres: Bobigny, osiedle Marcel Cachin.

Blokowisko z lat siedemdziesiątych, obłuzowane drzwi wejściowe, wybebeszone skrzynki na listy, otagowane od podłogi do sufitu ściany, na trzecim piętrze w drzwiach judasz, a na wezwaniu: „Otwierać, policja!” zniszczona, postarzała twarz kobiety. Matka.

- Pani Rouvray?
- Chcielibyśmy porozmawiać o pani córce Évelyne.
- Już tu nie mieszka.

– Gdzie mieszkała... gdzie teraz mieszka?

– Nie wiem. Nie jestem z policji.

– Ale my tak, i lepiej by było, gdyby nam pani pomogła... Évelyne ma kłopoty, wielkie kłopoty.

Kobieta jest zaintrygowana.

– Kłopoty... jakiego rodzaju kłopoty?

– Chcielibyśmy dostać jej adres...

Waha się. Camille i Louis wciąż stoją pod drzwiami. Ostrożni. I doświadczeni.

– To ważne...

– Jest u José. Rue Fremontel.

Zaraz zamknie drzwi.

– José i co dalej?

– Nie wiem. José, i tyle.

Tym razem Camille blokuje stopą drzwi. Matka nie chce nic wiedzieć o kłopotach córki. Wyraźnie ma co innego na głowie.

– Pani Rouvray, Évelyne nie żyje.

W tym momencie następuje metamorfoza. Usta się zaokrąglają, do oczu napływają łzy, żadnego krzyku, żadnego westchnienia, tylko te łzy, które zaczynają spływać po policzkach, i nagle w niewytłumaczalny sposób Camille'owi wydaje się piękna, ma w sobie coś z twarzy, jaką miała dziś rano Alice, nie tyle jej sińce, ile obolałą duszę. Camille patrzy na Louisa, potem znów na nią. Kobieta ze spuszczonego wzrokiem wciąż przytrzymuje drzwi. Żadnego słowa, żadnych pytań, tylko milczenie i łzy.

– Będzie pani musiała zidentyfikować ciało.

Kobieta już nie słucha. Wciąż milcząc, unosi oczy, kiwa głową, że zrozumiała, i powoli zamyka drzwi. Camille i Louis, siewcy dramatów, zadowoleni, że zdołali wytrwać do końca, są już gotowi do odejścia, już odeszli.

## 17

José dla Centralnej Kartoteki to José Riveiro. Dwadzieścia cztery lata. Wczesny początek kariery, kradzieże samochodów, akty przemocy, trzykrotnie aresztowany. Kilka miesięcy odsiadki za udział w napadzie na jubilera w Pantin. Sześć miesięcy temu wyszedł na wolność i jak dotąd nie podpadł jeszcze organom ścigania. Jeśli dopisze im szczęście, nie zastaną go w domu, jeśli dopisze im jeszcze większe szczęście, okaże się, że uciekł i jest człowiekiem, którego szukają. Ani Camille, ani Louis nawet przez chwilę w to nie wierzą. Nic w jego aktach nie wskazuje na szalonego mordercę z wielką kasą. Jest zresztą w domu, w dzinsach i kapciach, niezbyt wysoki, przystojna chmurna twarz, lecz mina niespokojna.

– Witaj, José. Jeszcze się nie znamy.

Między nim a Camille'em momentalnie dochodzi do konfrontacji. José to twardy facet. Patrzy na tego kurdupła jak na psią kupę.

Tym razem weszli natychmiast. José o nic nie pyta, wpuszcza ich do środka, zapewne gorączkowo roztrzęsając wszelkie możliwe powody, jakie mogłaby mieć policja, by wejść do jego mieszkania tak bez żadnych wstępów. A tych powodów by nie brakowało. Salon jest niewielki, poczesne miejsce zajmują w nim kanapa i telewizor. Na niskim stoliku dwie puste butelki po piwie, jakiś bohomasz na ścianie i smród brudnych skarpetek. Lokum raczej kawalerskie. Camille zagląda do sypialni, a tam prawdziwy bajzel, wszędzie ciuchy, męskie i damskie, ponure pomieszczenie z pluszową, intensywnie kolorową kapą na łóżku.

José oparł się o framugę drzwi, spięty, już z góry nieprzystępny, z miną wyraźnie mówiącą, że nie zamierza pisać słówka i dać się zrobić na całego.



- Mieszkasz sam, José?
- Czemu pan pyta?
- My tu zadajemy pytania, José. Więc jak, sam?
- Nie. Z Évelyne. Ale jej nie ma.
- A czym się zajmuje Évelyne?
- Szuka pracy.
- Aha... I nie może znaleźć, co?
- Jeszcze nie.

Louis nic nie mówi, czeka, żeby się dowiedzieć, jaką strategię wybierze Camille. Ale Camille'a opada wielkie znużenie, bo to wszystko jest takie przewidywalne, z góry wiadome, a także dlatego, że w tej pracy nawet nękanie innych staje się formalnością. Chcąc mieć sprawę z głowy, stawia na szybkość.

- Od jak dawna jej nie widziałeś?
- Wyszła z domu w sobotę.
- A często zdarza jej się nie wracać?
- No właśnie nie.

I w tym momencie do José dociera, że wiedzą więcej od niego, że najgorszego jeszcze nie usłyszał i że zaraz usłyszy. Patrzy na Louisa, spogląda w dół na Camille'a. I nagle Camille nie jest już żadnym kurduplem. Jest odrażającym posłańcem nieuchronnego. O konsekwencjach nie wspominając.

- Wiecie, gdzie ona jest... – mówi José.
- Została zamordowana, José. Znaleźliśmy ją dziś rano w pewnym mieszkaniu w Courbevoie.

Dopiero w tym momencie zrozumieli, że małemu José sprawi to prawdziwy ból. Że Évelyne, kiedy była jeszcze cała i żywa, mieszkała z nim tutaj, że tutaj razem z nim spała i choć była dziwką, zależało mu na niej. Camille patrzy na jego zdruzgotaną twarz, na której maluje się totalne niezrozumienie i rozpacz w obliczu autentycznej katastrofy.

- Kto to zrobił? – pyta José.
- Nie wiadomo. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co tam robiła.

José przecząco kręci głową. O niczym nie wie. Godzinę później Camille wie już wszystko, czego można się było dowiedzieć o José, o Évelyne i o ich drobnym prywatnym przedsięwzięciu, w którego wyniku taka skądinąd cwana dziewczyna dała się pokroić na kawałki przez jakiegoś anonimowego popaprańca.

## 18

Évelyne Rouvray była dziewczyną zaradną. Po pierwszym aresztowaniu szybko do niej dociera, że wkroczyła na równię pochyłą, po której – wystarczyło jej spojrzeć na matkę – błyskawicznie się stoczy. Co do prochów, to trzyma się dawki wysokiej, ale nie zabójczej, zarabia na życie na Porte de la Chapelle i posyła na drzewo wszystkich, którzy proponują jej podwójną stawkę, ale bez prezerwatywy. Kilka tygodni po wyroku w jej życiu pojawia się José. Zamieszkują razem na rue Fremontel i rejestrują się na Wanadoo. Przez dwie godziny dziennie Évelyne rekrutuje klientów, a potem do nich jeździ. Zawozi ją zawsze José. I w pobliskiej kawiarni grając we flippery, zawsze na nią czeka. Tak naprawdę nie jest sutenerem. To nie on jest mózgiem tego przedsięwzięcia, mózgiem jest Évelyne. Dobrze zorganizowana, ostrożna. Do czasu. Z wieloma klientami spotyka się w hotelu. Tak też było w zeszłym tygodniu. Klient przyjął ją w hotelu Mercure. Po powrocie nie mówiła o nim dużo, tyle tylko, że to żaden zboczeniec, nawet miły, ma kasę. I to sama Évelyne wyszła z propozycją. Spotkanie we trójkę pojutrze, ona zajmie się znalezieniem partnerki. Facet chce tylko, żeby były mniej więcej tego samego wzrostu, mniej więcej

w podobnym wieku. Zależy mu na dużych piersiach, to wszystko. Więc Évelyne dzwoni do Josiane Debeuf, którą poznała na Porte de la Chapelle, to tylko jedna noc, gość będzie sam i proponuje sporo pieniędzy, równowartość dwudniowego zarobku i zero dodatkowych kosztów. Podał adres w Courbevoie. Obie dziewczyny zawiózł tam José. Przyjeżdżają na to wyludnione przedmieście i ogarnia je lekki niepokój. Na wypadek, gdyby sprawa okazała się nie całkiem czysta, umawiają się, że José zaczeka w samochodzie, dopóki jedna z nich nie da mu znaku, że wszystko w porządku. Siedzi więc w samochodzie, kiedy kilkadziesiąt metrów dalej klient otwiera im drzwi. W padającym z wnętrza domu świetle widzi tylko jego sylwetkę. Mężczyzna wita się z dziewczynami uściskiem dłoni. José czeka w samochodzie przez dwadzieścia minut, aż w końcu Évelyne podchodzi do okna i daje mu umówiony znak. José nie jest niezadowolony, że odjeżdża, bo chce obejrzeć mecz na Canal Plus.

Po wyjściu z mieszkania José Riveiro Camille zleca Louisowi zebranie wstępnych informacji na temat drugiej z ofiar, dwudziestoletniej Josiane Debeuf. Pójście tym tropem nie powinno być trudne. Bardzo rzadko się zdarza, by dziewczyny dorywczo dorabiające na bulwarach obrzeżnych były nieznane policji.

## 19

Ujrawszy Irène całą i zdrową, leżącą na kanapie przed telewizorem z obiema rękami na brzuchu i z pięknym uśmiechem na twarzy, Camille uzmysłowił sobie, że od rana chodziły mu po głowie poćwiartowane kobiety.

– Coś nie tak...? – zapytała, widząc go wchodzącego z grubą teczką pod pachą.

– Nie... wszystko w porządku.

I, żeby zmienić temat, położył rękę na jej brzuchu i zapytał:

– Jak tam, mocno kopie?

Ledwie zdążył to powiedzieć, kiedy wieczorny dziennik telewizyjny pokazał na wstępie furgonetkę z laboratorium kryminalistyki odjeżdżającą powoli ulicą Félix-Faure w Courbevoie.

O tej godzinie, o której zjechali kamerzyści, nie bardzo się mieli czym pożywić. Ujęcia ukazywały pod wszelkimi możliwymi kątami wejście do loftu, zamknięte drzwi, kilku krzątających się jeszcze techników, zbliżenia okien, również zamkniętych. Komentarz wygłaszany był poważnym głosem, rezerwowanym na okoliczność wielkich katastrof. Już samo to wystarczyło Camille'owi, by zrozumieć, że prasa bardzo liczy na to wydarzenie i że bez istotnego powodu z niego nie zrezygnuje. Przez chwilę miał nadzieję, że minister zostanie wzięty w obroty.

Szczególnie wielkie zainteresowanie wzbudziło pojawienie się plastikowych worków. Nie co dzień ma się do czynienia z tyloma plastikowymi workami. W komentarzu podkreślono, jak niewiele wiadomo o „straszliwej tragedii w Courbevoie”.

Irène milczała. Patrzyła na męża, który w tym momencie pojawił się na ekranie. Opuszczając loft pod koniec dnia, Camille powtórzył tylko to, co powiedział już kilka godzin wcześniej. Ale tym razem towarzyszył temu obraz. Otoczony kręgiem trzymany na żerdziach mikrofonów, filmowany był z góry, jakby dla podkreślenia niestosowności całej sytuacji. Na szczęście materiał dotarł do redakcji dość późno.

– Mieli niewiele czasu na montaż – tonem profesjonalistki stwierdziła Irène.

Obrazy na ekranie potwierdziły trafność jej komentarza. Oświadczenie Camille'a było pocięte, zachowano tylko najlepsze kawałki.

– Zamordowane zostały dwie młode kobiety, których tożsamości nie znamy. To zbrodnia... wyjątkowo bestialska („Jak mogłem coś takiego powiedzieć!”, pomyślał Camille). Sprawę powierzono sędzi Deschamps. W chwili obecnej tylko tyle możemy powiedzieć. A teraz pozwólcie nam wrócić do

pracy...

– Biedaku... – powiedziała Irène, kończąc temat.

Po kolacji Camille udawał, że interesuje go program w telewizji, ale potem, przejrzawszy wpiersz jedno czy dwa pisma, wyjął z sekretarzyka plik papierów i z długopisem w ręku przeglądał je tak długo, aż w końcu Irène z uśmiechem zaproponowała:

– Może powinienes trochę popracować. To cię pewnie odpręży...

I spytała:

– Pewnie późno się położysz?

– Skąd – obruszył się Camille. – Rzucę tylko okiem i zaraz do ciebie przyjdę...

## 20

Była już dwudziesta trzecia, kiedy Camille odłożył na biurko akta oznaczone sygnaturą „01/12587”. Grube akta. Zdjął okulary i powoli przetaił oczy. Bardzo lubił ten gest. On, który miał zawsze znakomity wzrok, swego czasu nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł taki gest wykonać. Właściwie były to dwa gesty... Pierwszy polegał na tym, by zamaszystym ruchem, lekko odwracając głowę niejako dla wzmocnienia efektu, prawą ręką zdjąć okulary. Drugi był dopracowaną wersją pierwszego, tyle że wzbogaconą o nieco zagadkowy uśmiech, w jego odsłonie idealnej Camille z dyskretną nieporadnością przekładał okulary do ręki lewej, prawą wyciągając do gościa, na którego użytek ów gest był wykonany niczym estetyczny dar dodany do przyjemności ponownego z nim spotkania. W tym drugim geście Camille, przymykając oczy, zdejmował okulary lewą ręką, kładł je w zasięgu dłoni, po czym przytykając palec wskazujący do czoła, kciukiem i palcem środkowym pocierał grzbiet nosa. W tej wersji oczy pozostawały zamknięte. Gest ten miał wyrażać odprężenie po wysiłku lub zbyt długim czasie koncentracji (można było też opatrzeć go głębokim westchnieniem). Był to gest lekko, ale to naprawdę lekko starzejącego się intelektualisty.

Wieloletnie obcowanie z wszelkiego rodzaju raportami, sprawozdaniami i protokołami nauczyło go szybkiego poruszania się po bardzo nawet opasłych aktach.

Sprawa zaczęła się od anonimowego telefonu. W protokole przeczytał: „W Tremblay-en-France popełniono morderstwo. Wysypisko na rue Garnier”. Morderca najwyraźniej działał tą samą metodą. Niesamowite, jak szybko nabiera się przyzwyczajień.

To powtórzenie schematu było oczywiście równie znaczące jak użyte słowa. Wybrana przez sprawcę formuła była prosta, przemyślana i czysto informacyjna. Wyraźnie wskazywała na brak poruszenia, paniki, jakiegokolwiek emocji. I dokładne jej powtórzenie nie było bynajmniej dziełem przypadku. Świadczyło wręcz o rzeczywistym bądź domniemanym opanowaniu sprawcy wcielającego się w rolę zwiastuna własnych zbrodni.

Ofiarę szybko zidentyfikowano jako Manuelę Constanzę, młodą dwudziestoczworoletnią prostytutkę, Hiszpankę z pochodzenia, która przyjmowała klientów w obskurnym hoteliku na rogu rue Blondel. Jej sutener, Henri Lambert zwany grubym Lambertem – pięćdziesiąt siedem lat, siedemnaście razy arestowany, cztery razy skazany, z czego dwa za stręczycielstwo – został natychmiast zatrzymany. Gruby Lambert, dokonawszy w myślach szybkiego obrachunku, wolał przyznać się do udziału z napadzie w centrum handlowym w Tuluzie 21 listopada 2001 roku i zarobić osiem miesięcy bez zawieszenia, niż zostać oskarżonym o morderstwo. Camille czytał dalej.

Dwie czarno-białe, zdumiewająco ostre fotografie. I zaraz to: ciało młodej kobiety przepołowione w talii.

– No nie... – mruknął Camille. – Co to za facet...

Pierwsze zdjęcie: dolna połowa ciała, naga. Szeroko rozłożone nogi. Na lewym pośladku wyrwany

wielki kawał ciała. Gruba, poczerniała już szrama ukazuje głęboką ranę biegnącą od talii po srom. Sądząc z pozycji nóg, na wysokości kolan zostały złamane. Na powiększonej fotografii dużego palca stopy widać odcisk palca wykonany stemplem. Sygnatura. Ta sama co na ścianie loftu w Courbevoie.

Drugie zdjęcie: górna połowa ciała. Na piersiach ślady licznych oparzeń po papierosach. Prawa pierś została odcięta, trzyma się reszty ciała jedynie na kilku strzępach skóry. Sutek lewej jest poharatany. Rany na obu piersiach są głębokie, aż do kości. Kobieta najwyraźniej była związana; widać jeszcze głębokie, przypominające oparzenia ślady po znacznej grubości sznurach.

Trzecie zdjęcie. Zbliżenie głowy. Makabra. Twarz jest jedną wielką raną. Nos głęboko wtłoczony w czaszkę. Usta rozcięte brzytwą od ucha do ucha. Twarz zdaje się patrzeć na ciebie z odrażającym uśmiechem. Wszystkie zęby wybite. Pozostała tylko ta parodia uśmiechu. Horror. Młoda kobieta miała bardzo ciemne włosy, koloru, który pisarze określają jako „kruczoczarny”.

Camille z trudem oddycha. Zbiera mu się na mdłości. Unosi wzrok, rozgląda się po pokoju i znów wraca do zdjęcia. Ta młoda przepołowiona kobieta jest mu w pewien sposób bliska... Przypominają mu się słowa jednego z dziennikarzy: „Ten grymas jest aktem ostatecznego okrucieństwa”. Dwa nacięcia brzytwą biegną precyzyjną owalną linią od kącików ust po płatki uszu.

Odłożył zdjęcia, otworzył okno i przez chwilę błędził wzrokiem po ulicy i po dachach. Zbrodnia w Tremblay-en-France popełniona została osiemnaście miesięcy temu, ale nic nie wskazywało, że była pierwsza. Ani że ostatnia. Teraz tylko pytanie, ile jeszcze odkryją. Stan ducha Camille'a oscylował między ulgą a niepokojem.

Technicznie rzecz biorąc, było coś pocieszającego w sposobie, w jaki ofiary zostały zgładzone. Pasował on do dość powszechnego profilu psychopaty, co z punktu widzenia śledztwa stanowiło pewien plus. Natomiast aspekt niepokojący wiązał się ze scenerią zbrodni w Courbevoie. Nie licząc premedytacji, zbyt wiele elementów było tu odmiennych; pozostawione na miejscu kosztowne przedmioty, osobliwy wystrój, akcenty amerykańskiej egzotyki, niepodłączony telefon... Zaczął przeglądać raporty ze śledztwa. Godzinę później miał już powody, by się na dobre zaniepokoić. Zbrodnia w Tremblay-en-France też miała wiele niejasnych stron. W myślach zaczął sporządzać ich listę.

Tam również nie brakowało zastanawiających detali. Przede wszystkim ofiara, Manuela Constanza, miała zaskakująco czyste włosy. Raport z ekspertyzy uściślał, że na kilka godzin przed odkryciem zbrodni, a prawdopodobnie już po śmierci ofiary, która nastąpiła około godziny ósmej rano, zostały one umyte zwykłym szamponem o zapachu zielonego jabłka. Trudno sobie wyobrazić, żeby zbrodniarz, który zmasakrował dziewczynę i przepołowił jej ciało, zadał sobie następnie trud umycia jej włosów... Brakowało też wielu narządów wewnętrznych. Nie znaleziono ani jelit, ani wątroby, ani żołądka, ani pęcherzyka żółciowego. Tu znów, pomyślał Camille, fetyszizm mordercy, który zachowuje dla siebie takie trofea, nie bardzo pokrywał się z nasuwającym się na pierwszy rzut oka profilem psychopaty. Tak czy inaczej, trzeba będzie zaczekać na jutrzejszy wynik sekcji, by się dowiedzieć, czy w Courbevoie również brakowało wnętrzości ofiar.

Bezspornie obie dziewczyny z Courbevoie i ta z Tremblay spotkały tego samego mężczyznę; podrobiony odcisk palca nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

Jedna rozbieżność: u ofiary z Tremblay brak było jakichkolwiek śladów gwałtu. Raport z autopsji mówił o dobrowolnych stosunkach seksualnych w ciągu ośmiu dni poprzedzających śmierć, lecz na podstawie śladów spermy nie sposób było, rzecz jasna, ustalić, czy były to stosunki z mordercą.

Ofiara z Tremblay-en-France była biczowana, co wydawało się wskazywać na podobieństwo obu zbrodni, ale raport wspomina o razach „łagodnych”, z rodzaju tych, jakie bez specjalnego uszczerbku na ciele serwują sobie pary sado-maso.

Rys wspólny: dziewczynę z Tremblay zamordowano w sposób określany w licznych raportach jako

„bestialski” (nogi miała połamane czymś w rodzaju kija bejsbolowego, tortury, jakim ją poddano, mogły trwać nawet dwie doby, ciało zostało rozplątane przy użyciu rzeźnickiego noża), ale staranność, z jaką morderca postarał się wykrwawić jej ciało, umyć je przy użyciu dużej ilości wody i zwrócić społeczeństwu czyste jak nowa moneta, nie miało nic wspólnego z chorobliwą uciechą, z którą morderca z Courbevoie wymazał ściany krwią, czerpiąc ewidentną rozkosz z jej widoku i z jej upuszczania.

Camille znów sięgnął po zdjęcia. Tak, nie sposób było się oswoić z tym makabrycznym uśmiechem, jednak wyraźnie nasuwał on skojarzenie z głową przybitą do ściany w mieszkaniu w Courbevoie...

Była już późna noc, kiedy Camille’owi zakręciło się w głowie ze zmęczenia. Zamknął teczkę z aktami, zgasił światło i poszedł do sypialni.

O drugiej trzydzieści wciąż jeszcze nie spał. Leżał obok Irène, swoją drobną dłonią gładząc w zamyśleniu jej brzuch. Magiczny brzuch Irène. Czuwał nad jej snem, był przesiąknięty jej zapachem, tak jak był nim przesiąknięty ten pokój i całe jego życie. Miłość była rzeczą tak prostą, czasami...

Czasami, tak jak tej nocy, patrzył na Irène z dojmującym poczuciem, że dostąpił cudu. Wydawała mu się niewiarygodnie piękna. Czy rzeczywiście była piękna? Takie pytanie zadał sobie dwa razy.

Po raz pierwszy podczas ich wspólnej kolacji trzy lata temu. Tamtego wieczoru Irène miała na sobie granatową sukienkę, od góry do dołu zapinaną na guziki, ten fason sukienki, którą mężczyźni w wyobraźni natychmiast zaczynają rozpinąć i którą kobiety wkładają właśnie po to. Na szyi zwykły złoty łańcuszek.

Przypomniało mu się wtedy przeczytane dawno temu zdanie o „śmiesznym przesądzie mężczyzn na temat chłodu blondynek”. Zmysłowy wygląd Irène zadawał kłam tej opinii. Czy była piękna? Odpowiedź brzmiała: „Tak”.

Po raz drugi zadał je sobie siedem miesięcy temu: Irène włożyła tę samą sukienkę, tylko biżuteria była inna, teraz miała na sobie tę, którą podarował jej Camille w dniu ich ślubu. I była umalowana.

– Wychodzisz... – zapytał Camille, wracając do domu.

Było to nie tyle pytanie, ile rodzaj zadanego pytającym tonem stwierdzenia, typowe dla niego połączenie będące pozostałością po czasach, kiedy sądził, że Irène i on przeżywają jeden z tych epizodów, które życie niekiedy człowiekowi taktownie ofiarowuje, a potem bezwzględnie odbiera.

– Nie, nie wychodzę – odpowiedziała.

Praca w studiu montażowym nie pozostawiała jej wiele czasu na przyrządzanie posiłków. Z kolei harmonogram Camille’a był uwarunkowany niedolą świata; wychodził wcześniej, wracał późno.

Tego jednak wieczoru stół był nakryty do kolacji. Camille zamknął oczy i wciągnął w nozdrza zapach. Sos bordoski. Irène nachyliła się i go pocałowała. Uśmiechnął się.

– Wygląda pani pięknie, pani Verhoeven – stwierdził, sięgając ręką do jej piersi.

Irène się uchyliła.

– Najpierw aperitif – powiedziała.

– Oczywiście. Co takiego świętujemy? – zapytał Camille, siadając na kanapie.

– Nowinę.

– Jaką nowinę?

– Po prostu nowinę.

Usiadła obok Camille’a, ujęła go za rękę.

– To mi wygląda na dobrą nowinę – zauważył Camille.

– Mam nadzieję.

– Nie jesteś pewna?

– Nie jestem. Wolalabym, żeby ta nowina nadeszła w dniu, kiedy będziesz miał mniej na głowie.

– Nie, jestem tylko zmęczony – zaproponował Camille, przepraszając gładząc jej dłoń. – Muszę się przespać.

– Dobra nowina jest taka, że ja nie jestem zmęczona i również się położę.

Camille się uśmiechnął. Miał za sobą dzień wypełniony ciosami noża, burzliwymi zatrzymaniami, wrzaskami w lokalach Brygady Kryminalnej. Otwarta, jęcząca się rana świata.

Ale Irène posiadała umiejętność zmiany tematu. Należała do osób wzbudzających zaufanie, które potrafią rozmówcę rozerwać. Zaczęła opowiadać o pracy w studiu, o montowanym aktualnie filmie („nawet sobie nie wyobrażasz, co za chała...”). Rozmowa, ciepło wnętrza, ustępujące zmęczenie po całym dniu pracy. Camille poczuł, że ogarnia go bliski odrętwienia błogostan. Przestał słuchać. Wystarczał mu jej głos. Głos Irène.

– No, dobrze, chodźmy jeść – powiedziała.

Już miała wstać, ale nagle jakby sobie o czymś przypomniała.

– Ale jeszcze, póki pamiętam, dwie sprawy. Nie, trzy.

– Słucham.

– Trzynastego idziemy na kolację do Françoise. Wykonalne czy niewykonalne?

– Wykonalne – odpowiedział Camille po krótkim namyśle.

– Dobrze. Druga sprawa. Muszę zrobić rachunki, daj mi od razu twoje płatności kartą.

Camille zsunął się z kanapy, wyjął z teczki portfel, pogrzebał w nim i wyciągnął zwitek pogniecionych kwitów.

– Ale nie rób tego dzisiaj – dorzucił, kładąc zwitek na stoliku. – Dzień i bez tego był trudny.

– Oczywiście. A teraz do stołu – powiedziała Irène i ruszyła do kuchni.

– Powiedziałaś: trzy sprawy?

Irène przystanęła, odwróciła się z miną osoby próbującej sobie coś przypomnieć.

– A tak! Oczywiście... Chciałbyś zostać tatą?

Stała w drzwiach do kuchni. Camille popatrzył na nią tępo, odruchowo spuścił wzrok na jej brzuch, skądinąd idealnie płaski, uniósł go z powrotem na jej twarz i ujrzał jej śmiejące się oczy. Pomysł posiadania dziecka był przedmiotem długotrwałych sporów między nimi. Prawdziwą kością niezgody. Początkowo Camille grał na zwłokę, Irène wybrała strategię uporów. Camille ostrożnie wycofał się w okopy genetyki, Irène wyminęła przeszkodę, przedstawiając pogłębiony bilans. A wtedy Camille dobył swój atut: nie zgadzam się. Irène przebiła go własnym: mam już trzydzieści lat. Kości zostały rzucone. A teraz partia była już rozegrana. To wtedy po raz drugi zadał sobie pytanie, czy Irène jest piękna. Odpowiedź brzmiała: „Tak”. Miał niemądre przecucie, że nigdy więcej go już sobie nie zada. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł wzbierające w nim łzy, autentyczną melancholię szczęścia, swoisty wstrząs w obliczu prawdy życia.

## 21

A teraz leżał w łóżku z dłonią ciężko spoczywającą na jej brzemiennym brzuchu. I nagle poczuł pod tą dłonią kopnięcie, miękkie i gwałtowne kopnięcie. Do reszty rozbudzony, zamarł i czekał. Irène przez sen cicho mruknęła. Minęła minuta, potem druga. Camille cierpliwie jak kot trwał na czatach i wtedy tuż pod dłonią poczuł drugie kopnięcie, różniące się od tamtego, rodzaj miękkiego przewrotu przypominającego pieszczotę. Jak zwykle mógł sobie jedynie powtórzyć ten optymistyczny banał, że się porusza, tak jakby w jego własnym życiu wszystko nagle zostało wprawione w ruch. Tu było życie. A mimo to znów na moment powrócił mu obraz przybitej do ściany głowy młodej kobiety. Odpędził go i spróbował znów skoncentrować się na brzuchu Irène, ale zło już się stało.

Teraz marzenia dogoniła rzeczywistość i, początkowo z wolna, zaczęły napływać do niego inne obrazy. Niemowlę, brzuch Irène, niemal namacalnie wyraźny krzyk noworodka. Machina wyobraźni przyspieszyła, kolejne obrazy, piękna twarz Irène, kiedy się kochali, i jej ręce, a potem odcięte palce,

oczy Irène i makabryczny uśmiech innej kobiety, uśmiech od ucha do ucha... Trailer kolejnych sekwencji nabierał szaleńczego tempa.

Camille czuł zdumiewającą trzeźwość umysłu. Między nim a życiem istniał zadawniony spór. I nagle przyszło mu do głowy, że te dwie poćwiartowane dziewczyny w jakiś niewytłumaczalny sposób przekształciły ów spór w kłótnię. Dziewczyny takie jak ta, którą w tym momencie pieścił, o takich jak u niej krągłych, białych pośladkach i jędrnym młodym ciele, mające w chwili, gdy zasypiają, taką jak ona twarz odwróconej pływaczki i ciężki powolny oddech, i tak jak ona lekko pochrapujące i chwilami zapadające w bezdech wzbudzający niepokój mężczyzn, którzy je kochają i przyglądają się im śpiącym, i takie jak ona loki na rozczulającym karku. To były dziewczyny dokładnie takie jak ta, którą w tym momencie kochał. I pewnego pięknego dnia przyszły – jak: zaproszone? Zwerbowane? Zmuszone? Uprawdzone? Opłacone? – i dały się pokroić na kawałki facetom, którym po prostu zachciało się ćwiartowania młodych dziewczyn o białych miękkich pośladkach, i żadnego z nich nie wzruszyło ani jedno ich błagające spojrzenie, kiedy zrozumiały, że za chwilę zginą, a być może te spojrzenia nawet ich ekscytowały, i te dziewczyny stworzone do miłości, stworzone do życia przyszły, żeby umrzeć – nawet nie wiadomo jak – do tego właśnie mieszkania, w tym właśnie mieście, w tym właśnie stuleciu, w którym on, Camille Verhoeven, najzwyczajniejszy w świecie glina, karzełek policji kryminalnej, zarozumiały, zakochany troll, pieścił boski brzuch kobiety będącej dla niego wciąż absolutną nowością, ósmym cudem świata. Coś się tu nie zgadzało. W ostatnim przebłyску znużonej świadomości ujrzał się poświęcającego wszystkie swoje siły na realizację tych dwóch, absolutnie zasadniczych i definitywnych celów: po pierwsze kochać najmocniej jak potrafi to ciało, które teraz pieścił i które wkrótce obdarzy go najbardziej nieoczekiwanym z darów, a po drugie szukać, ścigać i dopaść tych, którzy uśmiercili te dziewczyny, którzy je wypieprzyli, zgwałcili, zamordowali, poćwiartowali i przybili do ścian.

Już prawie zasypiając, Camille zdążył jeszcze wyrazić ostatnią wątpliwość:

– Jestem naprawdę skonany.

## 1

W metrze przeczytał gazety. Jego obawa, jego – jak to zwykle u pesymistów – zarazem diagnoza, potwierdziła się. Prasa zdążyła już się dowiedzieć o skojarzeniu sprawy z Courbevoie ze zbrodnią w Tremblay-en-France. Szybkość, z jaką tego typu informacje docierały do gazet, była tyleż błyskawiczna, co logiczna. Pismacy byli płaceni od tego, co wywęszą, obchodząc komisariaty, rzeczą powszechnie znaną było też to, że wielu policjantów było źródłem wiedzy dla niektórych redakcji. Mimo to Camille próbował przez chwilę odtworzyć drogę, jaką mogła odbyć ta informacja od późnego popołudnia poprzedniego dnia. Było to jednak niewykonalne. Fakty mówiły za siebie. Gazety donosiły, że policja ustaliła znaczące podobieństwo zbrodni w Courbevoie, na której temat dysponowały jedynie wyrwykowymi informacjami, do zbrodni w Tremblay, na której temat wszystkie miały materiału pod dostatkiem. Nagłówki ociekały sensacją, autorzy tytułów najwyraźniej dawali z siebie wszystko: *Rozpruwacz grasuje, Rzeźnik z Tremblay znów w akcji w Courbevoie* albo *Po Tremblay kolej na jatkę w Courbevoie*.

W gmachu Instytutu Medycyny Sądowej Camille skierował kroki do wskazanej mu sali.

W swojej nadmiernej, acz niekiedy owocnej, skłonności do uproszczeń Maleval dzielił ludzi na dwie odrębne kategorie, kowbojów i Indian, co było niewyszukaną formą modernizacji tradycyjnego, uświęconego przez wielu podziału na introwertyków i ekstrawertyków. Doktor N'Guyen i Camille byli Indianami, milczącymi, wytrwałymi, spostrzegawczymi i czujnymi zwiadowcami. Nigdy nie mieli potrzeby używania zbyt wielu słów, bez trudu porozumiewali się spojrzeniem. Niewykluczone, że syna wietnamskich uchodźców i filigranowego policjanta łączyła cicha solidarność, zrodzona w walce z przeciwnościami losu.

Z kolei matka Évelyne Rouvray sprawiała wrażenie prowincjuszki z wizytą w stolicy. Wystrojona w ubrania niekoniecznie w jej rozmiarze wydała się Camille'owi niższa niż poprzedniego dnia. Pewnie z powodu cierpienia. Zionęło od niej alkoholem.

– To nie potrwa długo – powiedział.

Weszli do sali. Na stole spoczywał jakiś kształt z trudem mogący się kojarzyć z kompletnym ludzkim ciałem. Starannie okryty. Camille pomógł kobiecie podejść bliżej i na jego znak człowiek w kitlu ostrożnie odsłonił głowę, tylko do szyi, bo dalej nie było już nic.

Kobieta popatrzyła, nic nie rozumiejąc. Jej spojrzenie nic nie wyrażało. Leżąca na stole głowa wyglądała jak teatralny rekwizyt wyobrazający śmierć. Ta głowa nie przypominała nic ani nikogo i kobieta powiedziała tak, nic więcej, tylko tak. Trzeba było ją podtrzymać, by nie osunęła się na ziemię.

## 2

Na korytarzu czekał jakiś mężczyzna.

Camille, podobnie jak wszyscy, oceniał innych według własnej miary. Ten jego zdaniem był niezbyt wysoki, jakieś metr siedemdziesiąt. Natomiast od razu uderzyło go jego spojrzenie. Ten człowiek był przede wszystkim spojrzeniem. Koło pięćdziesiątki, z rodzaju tych mężczyzn, którzy dbają o siebie, przestrzegają higieny życia i co niedzielę rano, zimą czy latem, przebiegają dwadzieścia pięć kilometrów. Typ człowieka czujnego. Ubrany dobrze, acz bez nadmiernej ostentacji. Trzymając w ręku teczkę z jasnej skóry, cierpliwie czekał.

– Doktor Edouard Crest – przedstawił się, wyciągając rękę. – Przysłała mnie pani sędzia Deschamps.

– Dziękuję, że pan tak szybko przyszedł – powiedział Camille, ściskając mu dłoń. – Poprosiłem



o pana, bo potrzebny jest nam profil sprawców, ich ewentualnych motywacji... Przygotowałem tu panu kopię wstępnych raportów – dodał, wręczając mu kartonową teczkę.

W czasie kiedy doktor Crest wertował pospiesznie pierwsze strony, Camille przyjrzał mu się uważniej. „Przystojny facet”, stwierdził i czyniąc to spostrzeżenie, nie wiedzieć czemu pomyślał o Irène. Poczuł krótkie ukłucie zazdrości, którą natychmiast od siebie odpędził.

– Termin? – zapytał.

– Powiem panu po sekcji, zależy, jakie dane uda mi się zebrać – odparł Crest.

### 3

Camille’owi wystarczył jeden rzut oka, by poczuć różnicę. Oglądanie odrażającej głowy Évelyne Rouvray – lub tego, co z nią zrobiono – to jedno. Czym innym była sekcja, przypominająca bardziej układanie jakichś makabrycznych puzzli.

Zwykle wyjęte z szuflad chłodniczych ciała tchnęły straszliwą rozpaczą, jednak w samej tej rozpaczce było coś żywego. By cierpieć, trzeba żyć. Ale to ciało wyglądało jak rozłożone na czynniki pierwsze. Dostarczano je w pakietach, jak kawałki tuńczyka na wagę z nadmorskiego targu.

W sali prosektorium na stołach z nierdzewnej stali leżały jakieś bliżej nieokreślone bryły różnej wielkości. Wszystkiego jeszcze nie wyjęto, ale już teraz trudno było sobie wyobrazić, by te fragmenty mogły stanowić kiedyś jedno lub dwa ciała. Patrzącemu na rzeźnicki stół nigdy nie przyjdzie do głowy, by odtworzyć w wyobraźni całe zwierzę.

Doktorzy Crest i N’Guyen uścisnęli sobie dłonie niczym dwaj uczestnicy kongresu. Wysłannik obłędu z powagą powitał wysłannika okrucieństwa.

Po czym N’Guyen założył okulary, sprawdził działanie dyktafonu i postanowił zacząć od brzucha.

– Mamy przed sobą kobietę, typ europejski, wiek około...

### 4

Philippe Buisson nie był może najlepszy, ale z pewnością należał do najbardziej upartych. Przekaz: „Na tym etapie śledztwa inspektor Verhoeven nie życzy sobie żadnych rozmów z prasą” nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Nie oczekuję żadnego oświadczenia. Chcę z nim tylko przez chwilę porozmawiać.

Zaczął dzwonić wczoraj pod wieczór.

Wczesnym rankiem na nowo wystartował. O godzinie jedenastej telefonistka poinformowała Camille’a o jego trzynastym telefonie. Była zirytowana.

Buisson nie był gwiazdą. Brakowało mu tego, co najważniejsze, by zostać wybitnym dziennikarzem, ale był dziennikarzem dobrym, gdyż jego niebezpieczna intuicja ograniczała się ściśle do obszaru jego kompetencji. Świadom zapewne swoich niedostatków i talentów, postawił na kronikę wydarzeń i okazało się to wyborem słusznym. Nie posiadał własnego stylu, ale pióro miał sprawne. Renomy przysporzyła mu obsługa kilku widowiskowych spraw, w których udało mu się ujawnić kilka nowych elementów. Trochę nowości i dużo efekciarstwa. Nie był żadnym orłem dziennikarstwa, lecz sumiennie eksploatował ten klasyczny koktajl. Pozostawał jeszcze łut szczęścia, które podobno trafia się po równo i bohaterom, i kanaliom.

Natrafiwszy na sprawę z Tremblay, chyba pierwszy zorientował się, co może na niej zyskać: licznych czytelników. Obsługiwał ją od początku do końca. Toteż jego pojawienie się w śledztwie w Courbevoie nie było naturalnie żadną niespodzianką.

Wychodząc z metra, Camille od razu go rozpoznał. Wysoki, modny trzydziestolatek. Piękny głos, którego uroku trochę nadużywał. Zbyt miły. Przebiegły. Inteligentny.

Camille momentalnie zamknął się w sobie i przyspieszył kroku.

– Proszę tylko o dwie minuty... – powiedział Buisson, doganiając go.

– Chętnie bym nimi służył, gdybym tylko je miał.

Camille maszerował szybkim krokiem, ale to, co dla niego było szybkim marszem, dla mężczyzny wzrostu Buissona oznaczało normalne tempo.

– Panie władzo, lepiej będzie udzielić wypowiedzi. Inaczej dziennikarze zaczną wypisywać różne bzdury...

Camille przystanął.

– Jest pan staroświecki. Nie mówi się już „panie władzo”, i to od dawna. A te bzdury niby jak mam rozumieć? To argument czy pogróżka?

– Nic z tych rzeczy. – Buisson się uśmiechnął.

Camille zatrzymał się, i to był jego błąd. Zrozumiał, że pierwszą rundę wygrał Buisson. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Wie pan, jak to jest – podjął Buisson – nie mając żadnych konkretów, dziennikarze popuszczają wodze fantazji...

Buisson miał własną metodę dystansowania się od fanaberii, które przypisywał innym. Jego spojrzenie sugerowało Camille’owi, że stać go na wszystko, na najgorsze, a nawet więcej. O różnicy między dobrym drapieźcą a wielkim drapieźcą decyduje instynkt. Buissona najwyraźniej predestynowały do tego zawodu jakieś wyjątkowe geny.

– Teraz, kiedy wypłynęła ta historia z Tremblay...

– Nowiny szybko się rozchodzą... – zauważył Camille.

– Obsługiwałem tę sprawę, więc siłą rzeczy mnie interesuje...

Camille uniósł głowę. Nie lubię tego gościa, pomyślał. I natychmiast poczuł, że jego antypatia jest odwzajemniona, że mimo woli wkradła się między nich głucha niechęć i że już się od niej nie uwolnią.

– Nie dowie się pan niczego więcej niż inni – rzucił Camille. – Po komentarz niech się pan zwróci gdzie indziej.

– Chce pan powiedzieć, że wyżej? – spytał Buisson, patrząc na niego z góry.

Obaj przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem, oszołomieni przepaścią, która się między nimi otwarła.

– Przepraszam... – powiedział Buisson.

Ale Camille poczuł dziwną ulgę. Niekiedy pogarda przynosi pocieszenie.

– Przykro mi – ciągnął Buisson – wypadło to niezręcznie...

– Nie wiem, o czym pan mówi – uciał Camille.

I ruszył dalej z dziennikarzem depczącym mu po piętach. Atmosfera między nimi wyczuwalnie się zmieniła.

– Ale mógłby pan jednak coś powiedzieć. Na jakim etapie jest śledztwo?

– Bez komentarza. Działamy. Po informacje niech się pan zwróci do komisarza Le Guena. Albo bezpośrednio do prokuratury.

– Panie Verhoeven... O tych sprawach zaczyna być już głośno. Redakcje są niezwykle podekscytowane. W niespełna tydzień tabloidy i brukowa prasa znajdą wam od groma podejrzanych i przedstawią robocze portrety, w których połowa Francuzów rozpozna drugą połowę. Nie dostarczając żadnych istotnych elementów, wywoła pan psychozę.

– Gdyby to tylko ode mnie zależało – odrzekł sucho Camille – prasa zostałaby poinformowana dopiero po zatrzymaniu sprawcy.

– Zmusiłby pan prasę do milczenia?

Camille znów przystanął. Nie było już mowy o wzajemnych korzyściach czy strategii.

- Nie pozwoliłbym jej na „wywołanie psychozy”. Innymi słowy, na wypisywanie bzdur.
- Więc ze strony Brygady Kryminalnej nie można na nic liczyć?
- Można. Że aresztuje mordercę.
- Pana zdaniem prasa nie jest panu do niczego potrzebna?
- Na razie do niczego.
- Na razie? Cynik z pana!
- Instynktowny.

Buisson zdawał się coś rozważać.

- Proszę posłuchać, myślę, że mógłbym coś dla pana zrobić. Coś osobistego, całkowicie osobistego.
- Nie sądzę.

– Ależ tak, mógłbym panu zrobić reklamę. W tym tygodniu przejmuję kolumnę portretu, z pięknym zdjęciem pośrodku i tak dalej. Wziąłem już na warsztat pewnego gościa, ale... ale to może poczekać. Więc gdyby to pana interesowało...

– Niech pan odpuści, Buisson...

– Nie, mówię poważnie! To prezent, nie odmawia się przyjęcia prezentu. Potrzebowałbym tylko kilku informacji nieco bardziej prywatnych. Zapewniam, że pański portret będzie sensacyjny... W zamian za co pan dostarczy mi garść informacji na temat tych spraw, nic kompromitującego.

– Już powiedziałem: niech pan odpuści.

– Trudno z panem pracować, Verhoeven...

– Panie Verhoeven!

– Mimo wszystko odradzam taki ton, „panie Verhoeven”!

– Inspektorze Verhoeven!

– Zgoda – rzucił Buisson oziębłym głosem, który sprawił, że Camille się zawahał. – Jak pan woli.

Co powiedziawszy, obrócił się na pięcie i odszedł tym samym długim i zdecydowanym krokiem, jakim się pojawił. Jeśli nawet Camille mógł czasami uchodzić za postać medialną, to najwyraźniej nie zawdzięczał tego swoim talentom negocjatora czy dyplomaty.

## 5

Z racji swojego wzrostu Camille wolał stać. A z racji tego, że nie siadał, nikt inny nie śmiał usiąść i wszyscy nowo przybyli podporządkowywali się tej niepisanej regule: w tym pokoju zebrania odbywają się na stojąco.

Poprzedniego dnia Maleval i Armand spędzili sporo czasu, próbując zebrać zeznania sąsiadów. Bez większego przekonania, jako że żadnych sąsiadów nie było. Zwłaszcza nocą, kiedy ta okolica była tak uczęszczana jak burdel w raj. José Riveiro, czekając na sygnał od dziewczyn, nie zauważył nikogo kręcącego się w pobliżu, ale możliwe, że ktoś pojawił się później. Musieli przejść ponad dwa kilometry na piechotę, nim na przedmieściu domków jednorodzinnych napotkali pierwsze ślady życia, kilku sklepikarzy odciętych od świata, którzy absolutnie nie byli w stanie dostarczyć im jakichkolwiek informacji na temat ewentualnych przybyszy. Żaden z nich nie zauważył niczego podejrzanego, ani ciężarówki, ani furgonetki, ani dostawcy. Ani mieszkańca. Sądząc z tych wstępnych ustaleń, obie ofiary zjawiły się tam najpewniej za sprawą Ducha Świętego.

– Facet najwyraźniej dobrze wybrał okolicę – zauważył Maleval.

Camille popatrzył na niego z wytężoną uwagą. Ćwiczenie porównawcze: jaka jest różnica między Malevałem stojącym pod drzwiami i wyciągającym z kieszeni kurtki sfatygowany notes a Louistem stojącym obok biurka i w splecionych dłoniach trzymającym swój?

Obaj byli eleganccy; obaj na swój sposób chcieli się podobać. Różnica między nimi była natury

seksualnej. Camille przez chwilę przetrawiał tę interesującą myśl. Maleval pożył kobiet. Miał ich pod dostatkiem. I wciąż mu było mało. Jego poczynaniami zdawało się kierować libido. Wszystko w nim tchnęło chęcią uwodzenia, zdobywania. Nie chodzi o to, że chce ich wciąż więcej, rozmyślał Camille, tylko że jest zawsze jakaś inna, równie godna pożądania. Tak naprawdę Maleval nie lubił kobiet; uganiał się za młodymi dziewczynami. Lekki ubiór, ubiór bojowy – był przygotowany, by podążyć pierwszym lepszym tropem, skuteczny, zawsze gotowy, zawsze w formie. Działał w branży gotowej konfekcji. Miłostki Louisa musiały być, podobnie jak jego ubrania, w najlepszym gatunku. Dzisiaj, w pierwszych promieniach wiosennego słońca, miał na sobie elegancki jasny garnitur, piękną błękitną koszulę, krawat klubowy, a jego buty... Najwyższa półka, pomyślał Camille. Natomiast o seksualności swojego zastępcy wiedział niewiele. Innymi słowy, nie wiedział nic.

Zastanawiał się nad łączącymi ich relacjami. Były przyjazne. Maleval przyszedł do Brygady kilka tygodni po Louisie. Szybko się dogadali. Z początku czasami nawet razem wychodzili. Camille zapamiętał, jak kiedyś po takim wspólnym wyjściu Maleval rzucił: „Louis wygląda na grzecznego chłopca, ale to cicha woda. Arystokracja, jak już sobie poluzuje, idzie po bandzie na całość”. Louis nic nie powiedział. Odgarnął tylko kosmyk z czoła. Camille nie pamiętał już, którą ręką.

Głos Malevala wyrwał go z tych studiów porównawczych.

– Zdjęcie ludzkiego genomu – mówił Maleval – zawisło we wszelkiego rodzaju agencjach reklamowych, w wydawnictwach, krótko mówiąc, jest tego wszędzie pełno. O krowiej skórze lepiej nawet nie mówić. Teraz nie jest już tak bardzo w modzie, ale kiedyś szło to jak świeże bułeczki. Więc żeby się dowiedzieć, skąd ta akurat pochodzi... Czarno-biała tapeta w łazience została położona chyba niedawno, ale na razie trudno odkryć jej pochodzenie. Trzeba będzie skontaktować się z producentami tapet...

– Nie wygląda to zbyt zachęcająco... – wtrącił Louis.

– Raczej nie... Co do sprzętu hi-fi, to sprzedano tego miliony egzemplarzy. Numery serii zostały usunięte. Posłałem je do laboratorium, ale ich zdaniem użyto do tego kwasu solnego. Jednym słowem, szanse są niewielkie.

Maleval spojrział na Armanda, oddając mu głos.

– Ja też nic specjalnego nie mam...

– Wielkie dzięki, Armand – przerwał mu Camille. – Doceniamy twój wkład. Bardzo pouczający. Bardzo nam pomocny.

– Ależ, Camille... – zaczął Armand, rumieniąc się.

– Żartuję, Armand, żartuję!

Znali się od ponad piętnastu lat, a że razem zaczynali pracę, od początku byli na ty. Armand był towarzyszem, Maleval marnotrawnym synem, Louis kimś w rodzaju delfina. Kim ja dla nich jestem?, zastanawiał się czasami Camille.

Armand się zaczerwienił. Przy byle okazji zaczynały mu się trząść ręce. Niekiedy Camille czuł przypływ bolesnej sympatii dla kolegi.

– No więc...? Ty też... nic nie masz? – zapytał z zachęcającym spojrzeniem.

– Właściwie to mam – odrzekł Armand, nieco podniesiony na duchu – ale niewiele. Pościel w mieszkaniu jest zupełnie zwyczajna, marki, jaką można kupić wszędzie. Tak samo szelki. Natomiast to japońskie łóżko...

– Tak?

– Takie łóżko nazywa się foton.

– Może futon... – podsunął uprzejmie Louis.

Armand zajrzał do swoich notatek. Trochę to trwało, ale ujawniało całą wartość Armanda. Niczego

nie można było uznać za pewnik, dopóki nie zostało skrupulatnie sprawdzone. Podejście kartezjańskie.

– Tak – potwierdził w końcu, unosząc głowę i patrząc na Louisa z niejakim podziwem. – Tak właśnie, futon!

– I ten futon...? – podpowiedział Camille.

– No więc pochodzi prosto z Japonii.

– Aha... z Japonii, powiadasz. To dość powszechne, że obiekty japońskie pochodzą właśnie z Japonii.

– No tak, możliwe... – zgodził się Armand.

W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy znali Armanda. Pod względem solidności nie miał sobie równych. Taki wielokropek w jego wypowiedzi mógł być ekwiwalentem dwustu godzin pracy.

– Wyjaśnij nam to, Armand.

– To obiekt dość powszechny, tyle że ten akurat pochodzi z fabryki w Kioto. Produkują w niej głównie meble, a z mebli głównie różne rzeczy do siedzenia i leżenia...

– Coś takiego... – nie wytrzymał Camille.

– No więc ten... – Armand sprawdził w notatkach – futon pochodzi właśnie stamtąd. Ale co ciekawsze, kanapa, ta wielka kanapa... też stamtąd pochodzi.

Znowu milczenie.

– To bardzo wielki rozmiar. Dużo tego nie sprzedają. Ta konkretnie została wyprodukowana w styczniu. Sprzedali trzydzieści siedem egzemplarzy. Nasza kanapa z Courbevoie jest jedną z nich. Mam tu listę klientów.

– Do kurwy nędzy, Armand, nie mogłeś tego powiedzieć od razu?!

– Już to robię, Camille, już to robię. Z tych trzydziestu siedmiu sprzedanych dwadzieścia sześć stoi jeszcze w sklepach. Jedenaście sprzedano w Japonii. Sześć Japończykom. Pozostali kupili je korespondencyjnie. Trzy poszły do Francji. Pierwszą zamówił właściciel sklepu dla jednego ze swoich klientów, Sylvaina Siegela, to ta...

Armand wyjął z kieszeni cyfrowe zdjęcie kanapy identycznej jak ta z loftu w Courbevoie.

– Sfotografował ją dla mnie sam pan Siegel. Pojadę jeszcze i to sprawdzę, ale moim zdaniem to załatwia sprawę...

– A dwie pozostałe? – zapytał Camille.

– Tu robi się już ciekawiej. Te dwie zostały kupione przez internet. W przypadku bezpośrednich zamówień złożonych przez osoby prywatne podążenie wirtualnym tropem trwa dużo dłużej. Wszystko przechodzi przez komputery, trzeba znaleźć odpowiednie kontakty, trafić na kompetentnych chłopaków, sprawdzić pliki... Pierwszą zamówił niejaki Crespy, drugą osobnik o nazwisku Dunford. Obaj z Paryża. Nie udało mi się dotrzeć do Crespy'ego, zostawiłem dwie wiadomości, ale nie oddzwonił. Jeśli do jutro rano niczego nie uzyskam, pojadę i to sprawdzę. Ale tutaj wiele nie znajdziemy, jeśli chcecie znać moje zdanie...

– Gratis? – zarechotał Maleval.

Zatopiony w notatkach lub we własnych myślach Armand nie zareagował na zaczepkę. Camille spojrział na Malevala ze znużeniem. Też ci moment na dowcipy.

– Telefon odebrała gosposia. Powiedziała, że kanapa stoi u nich w domu. Zostaje ostatni. Dunford. I to jest, jak myślę – powiedział, unosząc głowę – nasz człowiek. Nie da rady go zlokalizować. Płaci międzynarodowym przekazem, gotówką, jutro będę miał potwierdzenie. Każę dostarczyć kanapę do przechowalni mebli w Gennevilliers. Magazynier mówi, że następnego dnia przyjechał po nią furgonetką. Nie przypomina sobie nic szczególnego, ale jutro rano pojadę go przesłuchać, zobaczymy, czy nie wróci mu pamięć.

– Nie jest powiedziane, że to on – zaproponował Maleval.

– Masz rację, ale mamy już jednak jakiś początek tropu. Maleval, pojedziesz jutro z Armandem do Gennevilliers.

Przez chwilę wszyscy czterej milczeli, ale każdy z nich najwyraźniej myślał to samo: jest tego bardzo mało. Wszystkie tropy prowadziły do tego samego, czyli prawie niczego. Ta zbrodnia była nie tylko zaplanowana. Ona została przygotowana z najwyższą starannością, niczego nie zostawiono na łaskę przypadku.

– Skupimy się na detalach. Ponieważ nic innego nie możemy zrobić, ponieważ takie są reguły gry. Tyle że wszystko, co jesteśmy zmuszeni zrobić, może nas oddalić od tego, co najistotniejsze. A najistotniejsze nie jest pytanie „jak?”, tylko przede wszystkim „dlaczego?” Coś jeszcze? – zapytał Camille po chwili namysłu.

– Josiane Debeuf, druga ofiara, mieszkała w Pantin – zabrał głos Louis, zaglądając do notatek. – Zatrzymaliśmy tam, mieszkanie jest puste. Najczęściej urzędowała przy Porte de la Chapelle, rzadziej przy Porte de Vincennes. Cztery czy pięć dni temu zniknęła. Nikt nic o niej nie wie. Nie wiemy, czy miała chłopaka. Z tej strony niewiele uzyskamy.

Louis podał Camille’owi kartkę.

– A, tak. Jest jeszcze to – powiedział w zamyśleniu Camille, sięgając po okulary. – Neser typowego biznesmena, który dużo podróżuje – dodał, przeglądając listę wyszczególniającą zawartość walizki pozostawionej na miejscu zbrodni.

– Zwłaszcza że to bardzo eleganckie rzeczy – zaznaczył Louis.

– Ach tak?

– Tak mi się wydaje... – podjął Louis. – Co by zresztą potwierdzało to, co przed chwilą usłyszeliśmy od Armanda. Zamówienie w Japonii nietypowo wielkiej kanapy tylko w celu poćwiartowania dwóch dziewczyn jest co najmniej dziwne. Ale nie mniej dziwne jest zostawienie walizki Ralphi Laurena wartej około trzystu euro. Podobnie jak zawartości tej walizki. Garnitur od Brooks Brothers, łyżka do butów firmy Barney’s. Kieszonkowa fotokopiarka Sharpa... Elektryczna golarka, sportowy zegarek, skórzany portfel, elegancka suszarka do włosów... Robi się z tego spora suma...

Camille przez dłuższą chwilę milczał.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Została nam jeszcze sprawa tego odcisku palca. Nawet jeśli wykonanego tuszem... To jednak ślad bardzo szczególny. Louis, sprawdzisz, czy przekazano go do europejskiej bazy danych, bo nigdy nie wiadomo.

– Zrobiono to czwartego grudnia dwa tysiące pierwszego roku, podczas śledztwa w sprawie Tremblay – odrzekł Louis, zaglądając do notatek. – Nic to nie dało.

– W porządku. Dobrze byłoby ponowić tę prośbę. Przekażesz jeszcze raz wszystkie dane do Europejskiej Kartoteki, zgoda?

– Rzecz w tym... – zaczął Louis.

– Tak?

– To decyzja w gestii sędziego.

– Wiem. Na razie ponów prośbę. Formalności załatwię później.

Camille rozdał krótkie, sporządzone w nocy memo podsumowujące główne punkty sprawy z Tremblay-en-France. Louis otrzymał polecenie zebrania wszelkich możliwych zeznań w nadziei, że uda się odtworzyć ostatnie dni młodej prostytutki i dotrzeć do jej ewentualnych stałych klientów. Wysyłanie Louisa w takie szemrane miejsca wydawało się zawsze Camille’owi czymś wysoce surrealistycznym. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak jego asystent w starannie wyglansowanych butach wspina się po obskurnych schodach, jak w pięknym garniturze od Armaniego wkracza do zatęchłych pokoiów

schadzek. Czysta rozkosz.

– Nie ma nas zbyt wielu, żeby to wszystko zrobić...

– Szczerze podziwiam twoją sztukę eufemizmu, Louis.

Louis – prawą ręką – odgarnął kosmyk z czoła, Camille zaś rzucił w zamyśleniu:

– Ale masz oczywiście rację.

Spojrzał na zegarek.

– No, dobrze. N’Guyen obiecał przedstawić wstępne wyniki późnym popołudniem. Tyle wam powiem, że dobrze się składa. Od kiedy telewizja w wieczornym dzienniku pokazała ujęcia mojej głowy, a tym bardziej po dzisiejszych porannych artykułach, sędzia trochę się niecierpliwi.

– A to znaczy? – zapytał Maleval.

– A to znaczy, że o siedemnastej wszyscy mamy się u niej stawić w celu podsumowania śledztwa.

– Podsumowania... – zafrasował się Armand. – I... co powiemy?

– No cóż, jest z tym pewien problem. Niewiele mamy do powiedzenia, a to, co moglibyśmy powiedzieć, nie powala. Tym razem wykorzystamy to, że uwagę od nas odwróci doktor Crest, który zaprezentuje profil psychologiczny naszego człowieka, oraz doktor N’Guyen, który przedstawi wstępne wyniki sekcji. Ale i tak będziemy musieli coś znaleźć, żeby wybrnąć z sytuacji...

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Armand.

Zapadła krótka chwila ciszy niewiele mająca wspólnego z wcześniejszymi chwilami milczenia. Camille wyglądał jak skołowany wędrowiec, który zgubił drogę.

– Nie mam żadnego pomysłu, Armand. Najmniejszego. Myślę, że wszyscy zgodzimy się co do jednego: tkwimy po uszy w gównie.

Wyrażenie nie było zbyt wytworne. Ale bardzo trafnie oddawało stan ducha ich wszystkich.

## 6

Camille pojechał do sędzi razem z Armandem, Louis i Maleval mieli do nich dołączyć już na miejscu.

– Ta sędzia Deschamps... znasz ją? – zapytał Camille.

– Nie przypominam sobie.

– To znaczy, że jej nigdy nie widziałeś.

Samochód włączył się do ruchu i popędził pasmem przeznaczonym dla autobusów.

– A ty? – zapytał Armand.

– Ja tak, pamiętam ją!

Sędzia Deschamps cieszyła się opinią osoby nie lubiącej ekscesów, co było raczej dobrym znakiem. Camille zapamiętał kobietę mniej więcej w jego wieku, szczupłą tak, że prawie chudą, o niesymetrycznej twarzy, w której wszystko, nos, usta, oczy, kości policzkowe oceniane z osobna mogło wydawać się normalne, wręcz logiczne, ale razem sprawiało wrażenie poskładanego na chybił trafił, toteż całość wyglądała inteligentnie, a zarazem chaotycznie. Ubierała się elegancko i kosztownie.

Le Guen siedział już w jej gabinecie, kiedy zjawił się Camille z Armandem i lekarzem sądowym, a w ślad za nimi Maleval i Louis. Sędzia Deschamps, pewną ręką dzierżąca ster zza swojego biurka, wyglądała mniej więcej tak, jak ją zapamiętał, choć była jednak od niego młodsza, jeszcze szczuplejsza, niż myślał, twarz jej wyrażała nie tyle inteligencję, ile ogłade, a jej ubrania okazały się nie tyle drogie, co horrendalnie drogie.

Kilka minut później do gabinetu wszedł doktor Crest. Wyciągnął do Camille’a szczupłą dłoń, posłał mu nikły uśmiech i stanął przy drzwiach jak ktoś, kto nie ma zamiaru zabawić dłużej, niż planował.

– Będą nam potrzebne umiejętności was wszystkich – zagaiła sędzia Deschamps. – Oglądaliście telewizję, czytaliście gazety, o tej sprawie będzie głośno. Dlatego musimy działać szybko. Nie robię

sobie złudzeń i nie oczekuję od was niemożliwego. Ale muszę być na bieżąco informowana, proszę też o zachowanie jak najdalej idącej dyskrecji co do przebiegu dochodzenia. Dziennikarze nie będą was odstępować na krok, ale w kwestii tajemnicy śledztwa będę nieugięta. Mam nadzieję, że zostałam dobrze zrozumiana... Najprawdopodobniej pod gabinetem już na mnie czekają i będę im musiała dostarczyć trochę informacji. Na razie czekam na wasze relacje, zanim zdecyduję, co prześlemy do prasy. Licząc, że dzięki temu choć trochę przycichnie...

Le Guen, niczym rzecznik całej grupy, ostentacyjnie potakiwał głową.

– W porządku – zakończyła pani Deschamps. – Doktorze N’Guyen, słuchamy.

Lekarz sądowy odkasznął.

– Wyniki analiz otrzymamy nie wcześniej niż za kilka dni. Niemniej jednak sekcja umożliwiła nam wysunięcie pewnych wniosków. Wbrew pozorom i mimo ogromu obrażeń mamy, jak się wydaje, do czynienia z jednym tylko zabójcą.

Po tym wstępnym stwierdzeniu zapadła pełna napięcia cisza.

– Prawdopodobnie mężczyzną – ciągnął N’Guyen. – Użył on do tego celu licznych utensyliów, przede wszystkim elektrycznej wiertarki wyposażonej w okazałej średnicy wiertło do betonu, następnie kwasu solnego, piły elektrycznej, pistoletu do wbijania gwoździ, noży oraz zapalniczki. Trudno oczywiście ustalić dokładną kolejność faktów, sprawa wygląda niekiedy dość, powiedzmy... niejasno. Ogólnie biorąc, obie ofiary noszą ślady stosunków seksualnych oralnych, analnych oraz pochwowych, które odbyły częściowo między sobą, częściowo z mężczyzną, będącym, jak można przypuszczać, mordercą. Mimo dość... rozpasanego charakteru tych stosunków dziwne jest, że w pochwie jednej z ofiar znaleźliśmy ślady prezerwatywy. Użyto również gumowego sztucznego fallusa. Co się tyczy zbrodni w ścisłym tego słowa znaczeniu, to dysponując tak skąpym materiałem, nie wiemy jeszcze, jaką przyjąć kolejność. Oczywiście wskazówką jest tu niewykonalność pewnych poczynań. Na przykład morderca nie mógł mieć wytrysku do głowy ofiary, zanim ją obciął...

Milczenie stawało się coraz cięższe. N’Guyen na chwilę uniósł wzrok, poprawił okulary i mówił dalej:

– Obie ofiary były chyba kilkakrotnie obezwładniane gazem duszącym. Sprawca ogłuszył je prawdopodobnie kolbą wiertarki lub pistoletu do wbijania gwoździ, to tylko przypuszczenie, w każdym razie obie tym samym narzędziem. Jednej i drugiej zadał podobny cios, nie na tyle jednak silny, by na dłużej straciły przytomność. Innymi słowy można przyjąć, że ofiary zostały ogłuszone, obezwładnione gazem, ale do końca były świadome, co się z nimi dzieje.

N’Guyen zerknął do notatek, na moment się zawahał, po czym podjął:

– Szczegóły znajdziecie w moim raporcie. Srom pierwszej ofiary został wyszarpany zębami. Następstwem tego musiał być bardzo gwałtowny krwotok. Co się tyczy głowy, wargi Évelyne Rouvray odcięto prawdopodobnie nożyczkami do paznokci. Odniosła głębokie rany cięte brzucha i nóg. Wnętrznosci i pochwę miała wytrawione kwasem solnym. Odcięta głowa ofiary została umieszczona na komodzie w sypialni. W jej ustach odkryliśmy ślady spermy; analiza z pewnością potwierdzi, że znalazły się tam po jej śmierci. Zanim przejdę do Josiane Debeuf, kilka szczegółów...

– Dużo tego jeszcze? – zapytał Camille.

– Tak, jeszcze trochę – odrzekł patolog. – Josiane Debeuf została przywiązana do bocznej krawędzi łóżka sześcioma parami szelek znalezionych w mieszkaniu. Morderca najpierw opalił jej zapałkami brwi i rzęsy. Za pomocą pistoletu do gwoździ wepchnął jej w odbył sztuczny fallus, ten sam, który posłużył do seksualnych igraszek. Oszczędzę wam niektórych przykrych szczegółów... Powiem tylko, że morderca wsadził jej rękę do gardła i wyrwał przebiegające tam żyły i arterie... Krwią tej właśnie ofiary nakreślił dużymi literami na murze napis: „Wróciłem”. Głowa jednej z ofiar została przy użyciu pistoletu



elektrycznego przybita za policzki do ściany.

Milczenie.

– Jakież pytania? – przemówił Le Guen.

– Związek ze sprawą z Tremblay-en-France? – zapytała sędzia Deschamps, patrząc na Camille’a.

– Wczoraj wieczorem przestudiowałem akta. Brakuje nam wielu jeszcze zestawień faktów. Jednak ponad wszelką wątpliwość odcisk palca wykonany stemplem jest identyczny. W obu przypadkach zostawiono go na widoku w charakterze sygnatury.

– Nie jest to oczywiście dobry znak – stwierdziła sędzia Deschamps. – Oznacza, że sprawcy zależy na rozgłosie.

– Jak dotąd to dość typowe – odezwał się w tym momencie doktor Crest.

Po raz pierwszy zabrał głos, więc wszyscy na niego spojrzeli.

– Przepraszam... – powiedział.

Jednak ton jego głosu oraz pewność siebie, z jaką wygłosił te przeprosiny, wskazywały, że tak naprawdę było to wystąpienie w pełni przemyślane i nie zależy mu na niczyjej wyrozumiałości.

– Ależ proszę – odparła sędzia Deschamps, tak jakby, mimo że zdążył już zabrać głos, udzielenie mu go należało do niej z urzędu.

Doktor Crest odkaslnął, zajrzał do notatek.

– Na płaszczyźnie psychologicznej mamy tu do czynienia z przypadkiem klasycznym, jakkolwiek dość nietypowym pod względem metody działania. Strukturalnie jest to osobowość obsesyjna. Wbrew pozorom sprawca nie jest na pewno owładnięty manią destrukcyjną. Już bardziej manią posiadania, która graniczy z destrukcją, nie ona jest jednak głównym motorem jego poczynań. Pragnie zdobywać kobiety, lecz ich zdobycie nie przynosi mu ukojenia. Więc je torturuje. Ale te tortury nie przynoszą mu ukojenia, więc je uśmierca. Ale również morderstwo nie załatwia sprawy. Może je zdobywać, gwałcić, torturować, ćwiartować, pastwić się nad nimi, ale wszystko na próżno. Niejasno przeczuwa, że nigdy nie zazna spokoju. Nigdy się nie zatrzyma, gdyż jego pogoń nie ma końca. Z biegiem lat wytworzyła się w nim autentyczna nienawiść do kobiet. Nie z powodu tego, kim są, ale ponieważ nie są w stanie przynieść mu ukojenia. W gruncie rzeczy ten człowiek przeżywa dramat samotności. Doznaje satysfakcji fizycznej w tym znaczeniu, jakie się zwykle temu pojęciu przypisuje, czyli nie jest impotentem, ma erekcję, może mieć wytrysk, ale jak wiadomo, nie ma to nic wspólnego z prawdziwą rozkoszą, która jest spełnieniem na innym poziomie. Tego poziomu ów człowiek nigdy nie osiągnął. Lub jeśli kiedyś osiągnął, teraz jest to jak zamknięte drzwi, do których zgubił klucz. I od tej pory go szuka. Nie jest zimnym potworem, nieczułym na ludzkie cierpienie, czy jak kto woli, wyłącznie sadystą. Jest to człowiek nieszczęśliwy, który znęca się nad kobietami, ponieważ sam nad sobą się znęca.

Doktor Crest miał niespieszny i wystudiowany sposób mówienia oraz najwyraźniej ufał swoim talentom dydaktycznym. Camille przyglądał się jego włosom przerzedzającym się od skroni aż po czubek głowy i poczuł nagłą pewność, że ten mężczyzna nigdy nie był tak przystojny jak teraz, dopiero po przekroczeniu czterdziestki.

– Pierwsze, co mnie zastanowiło, ale myślę, że was również, to najwyższa staranność, z jaką przygotował tę inscenizację. Zwykle tego typu zbrodniarze pozostawiają kilka znaków, których celem jest „oznakowanie” dzieła. Znaki te mają zawsze związek z ich fantazmatami, najczęściej z fantazmatem wyjściowym. Mam wrażenie, że tak właśnie mogłem zinterpretować odcisk palca zostawiony na ścianie, a tym bardziej słowo: „Wróciłem”, oba stanowią w sposób oczywisty podpis pod tą zbrodnią. Ale jak wynika z wstępnych ustaleń, które mi pan dostarczył – tu doktor Crest odwrócił się do Camille’a – tych znaków jest zbyt dużo. O wiele za dużo. Przedmioty, miejsce, inscenizacja nawiązują zbyt dosłownie do teorii ZNAKU, którego celem jest „podpisanie” zbrodni. Uważam, że należy więc spojrzeć na sprawę od

innej strony. Godna odnotowania jest staranność, z jaką przygotowuje inscenizację swoich zbrodni. Najwyraźniej ma plan, projekt gruntownie przemyślany i przygotowany. W jego oczach każdy szczegół ma swoją wagę, wagę zasadniczą, ale daremnie by zgłębiać, co może oznaczać obecność tego czy innego przedmiotu. Nie chodzi nawet, jak w przypadku innych podobnych zbrodni, o dociekanie, jakie miejsce każdy z tych przedmiotów zajmuje w jego życiu. Gdyż w pewnym sensie każdy przedmiot z osobna nie ma żadnego znaczenia. Liczy się dopiero całość. Głowienie się nad znaczeniem każdego ze znaków nic nie da. To tak jakby szukać sensu w każdym zdaniu sztuki Szekspira. Taka metoda uniemożliwiłaby zrozumienie *Króla Leara*. Szukać musimy ogólnego sensu. Ale w tym miejscu... – dodał, ponownie zwracając się do Camille'a – kończy się moja wiedza...

– A jego pochodzenie społeczne? – zapytał Camille.

– Europejczyk. Wykształcony. Niekoniecznie intelektualista, ale na pewno człowiek myślący. Wiek między trzydzieści a pięćdziesiąt lat. Mieszka sam. Może być wdowcem albo rozwodnikiem... Myślę, że raczej mieszka sam.

– O jakiego rodzaju recydywie możemy tu mówić? – zapytał Louis.

– To sprawa delikatna. Nie sądzę, żeby to była jego pierwsza zbrodnia. Powiedziałbym, że działa na zasadzie naczyń włosowatych, czy może bardziej kół koncentrycznych, od środka po coraz szersze kręgi. Możliwe, że początkowo kobiety gwałcił. Potem je torturował, aż w końcu zaczął zabijać. To akurat schemat łatwy do przewidzenia. Możliwe, że takich stałych u niego nie ma zbyt wiele. Możemy być pewni jedynie tego, że są to prostytutki, że młode, że je torturuje, że je uśmierca. Poza tym...

– Czy mógł być w przeszłości leczony psychiatrycznie? – zapytał Armand.

– Możliwe. Z powodu pomniejszych zaburzeń zachowania. Ale to człowiek inteligentny i tak nawykły do oszukiwania samego siebie, że bez trudu oszukuje innych. Nikt nie zdoła sprawić, by zaznał spokoju. Jego ostatnią nadzieją są kobiety. Uporczywie domaga się od nich czegoś, czego nie są w stanie mu dać, i eskalacja jego poczynań skończy się dopiero wtedy, gdy uda wam się go zatrzymać. Znalazł logiczne uzasadnienie dla swoich popędów. Ta logika, o której przed chwilą mówiłem, ta skomplikowana inscenizacja... To dzięki niej może realizować swoje popędy. Ale ta logika moim zdaniem nie ma końca. Powiecie mi, że tak jest ze wszystkimi seryjnymi mordercami. Ale jego przypadek jest nieco inny. Skrupulatność, z jaką przygotowuje swoje zbrodnie, zdaje się wskazywać, iż ma wysokie mniemanie o tym, co robi. Nie mówię tu o poczuciu jakiejś szczytnej misji, nie... chociaż tak, to coś w tym rodzaju. Dopóki będzie czuł w sobie tę misję, dwie rzeczy są właściwie pewne. Pierwsza, to że nadal będzie mordował, druga, że jego poczynania będą coraz brutalniejsze.

Crest popatrzył na sędziego, potem na Camille'a i Le Guena i na koniec, omiótłszy całą grupę zafrasowanym spojrzaniem, stwierdził:

– Ten osobnik jest w stanie dopuścić się czynów, które trudno nam sobie nawet wyobrazić... o ile już się ich nie dopuścił.

Milczenie.

– Coś jeszcze? – zapytała sędzia Deschamps, kładąc płasko obie dłonie na blacie biurka.

7

– To jakiś psychopata!

Wieczór. Irène. Kolacja w restauracji.

Od chwili gdy się dowiedział o ciąży Irène, czas upływał z zawrotną szybkością. Jej brzuch, a potem twarz zaokrągliły się, sylwetka, biodra, chód zmieniły się, nabrały ociężałości, powolności. W oczach Camille'a zmiany te nie dokonywały się tak stopniowo, jak myślał, następowały nagłymi falami, etapami. Któregoś dnia po powrocie do domu zauważył, że raptem przybyło jej piegów. Powiedział jej o tym

serdecznym tonem, bo wydało mu się to urocze, ale też zaskakujące. Irène z uśmiechem pogłaskała go po policzku.

– Kochanie... To wcale nie stało się tak nagle. Może to dlatego, że od ponad dziesięciu dni nie jedliśmy razem kolacji...

Nie spodobało mu się to. Irène nawiązała do utartego schematu – mężczyzna pracuje, kobieta czeka – i Camille nie wiedział, co go bardziej zabolalo, czy sama sytuacja, czy jej banalność. Irène wypełniała jego myśli, jego życie, sto razy dziennie o niej myślał, sto razy dziennie perspektywa narodzin ich dziecka olśniewała go, zmuszała do przerywania pracy, sprawiała, że tak jak człowiek po operacji katarakty w całkiem nowym świetle postrzegał własne życie. Więc takie oskarżanie, że ją zaniedbuje... Ale daremnie się tego wypierał, w głębi duszy wiedział, że nie umiał się znaleźć w nowej sytuacji. W pierwszych miesiącach nie było problemów. Irène również dużo pracowała, często do późna, i już dawno temu zorganizowali wspólne życie, zamieniając ten handicap w okoliczność sprzyjającą. W niektóre wieczory, nie planując tego, spotykali się w restauracji w pół drogi między jej pracą i jego; oboje z przerażeniem stwierdzając, że już dwudziesta druga, dzwonili do siebie i pędzili, by zdążyć na ostatni wieczorny seans w kinie niedaleko domu. To były czasy proste, składające się z łatwych przyjemności. W gruncie rzeczy świetnie się bawili. Sytuacja się zmieniła, kiedy Irène musiała przerwać pracę. Całymi dniami siedzieć w domu... „Dotrzymuje mi towarzystwa – mówiła, gładząc brzuch – ale nie jest jeszcze zbyt rozmowny”. To właśnie wtedy Camille nie potrafił się znaleźć w nowej sytuacji. Nadal pracował jak dawniej, nadal późno wracał, nie zdając sobie sprawy, że jej życie i jego życie nie są już tak zsynchronizowane. Więc tym razem nie było mowy, żeby zmarnował okazję. Po długich wahaniach późnym popołudniem postanowił zasięgnąć języka u Louisa, znawcy dobrych manier.

– Potrzebna mi jakaś dobra restauracja. Wiesz, coś naprawdę ekstra. To nasza rocznica ślubu.

– Radzę panu spróbować w Chez Michel, jest absolutnie bezbłędna – zapewnił Louis.

Camille już miał zapytać o ceny, kiedy ostrzegawczy głos jego miłości własnej podpowiedział mu, żeby tego nie robił.

– Jest też L'Assiette... – ciągnął Louis.

– Dzięki, Louis, jestem pewny, że Chez Michel świetnie się nada. Dziękuję.

## 8

Widać było, że Irène już dawno jest gotowa do wyjścia. Camille pohamował odruch, by spojrzeć na zegarek.

– Już dobrze – powstrzymała go Irène z uśmiechem. – Spóźnienie niewątpliwe, ale wybacalne.

W drodze do samochodu zaniepokoił go jej chód. Wszystko w niej – powolniejszy krok, lekkie człapanie, wyraźniejsze wygięcie pleców, niżej opuszczony brzuch – zdawało się tchnąć zmęczeniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Na moment przystanąła, oparła dłoń na jego ramieniu i z powściągliwym uśmiechem odparła:

– W jak najlepszym, Camille.

Nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale w tonie jej odpowiedzi, nawet w samym jej geście wyczuł rozdrażnienie, tak jakby zadał jej to pytanie już wcześniej, ale nie zwrócił uwagi na odpowiedź. Wyrzucał sobie, że okazuje jej nie dość zainteresowania. Poczł cichą irytację. Kochał ją, ale możliwe, że nie był dobrym mężem. Przeszli tak kilkaset metrów w milczeniu, odbierając to milczenie jako wyraz niewytłumaczalnej dezaprobaty. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Kiedy przechodzili obok kina, Camille zauważył nazwisko aktorki, Gwendolyn Playne. Otwierając samochód, próbował sobie przypomnieć, z czym mu się ono kojarzy, ale bezskutecznie.

Irène wsiadła w milczeniu i Camille zadał sobie pytanie, w jakiego rodzaju impas zabrnęli. Irène

również musiała się nad tym zastanawiać, ale okazała się mądrzejsza od niego. W chwili gdy miał już ruszyć, ujęła jego rękę, położyła ją sobie na udzie, bardzo wysoko, aż pod napiętym brzuchem, i nagle, objąwszy go za kark, przyciągnęła do siebie i namiętnie pocałowała. Potem popatrzyli na siebie zaskoczeni, że tak szybko udało im się wydostać się z tej pułapki milczenia, w którą zabrnęli.

– Kocham pana – powiedziała Irène.

– Ja też panią kocham – odrzekł Camille.

I uważnie jej się przyglądając, powiódł palcami po jej czole, po ustach, wokół oczu.

– Ja też panią kocham...

Chez Michel. Miejsce rzeczywiście ekstra. Paryskie, że bardziej być nie może, wszędzie lustra, kelnerzy w czarnych spodniach i białych marynarkach, hałas jak w hali dworcowej i mocno schłodzony muszkatel. Irène miała na sobie sukienkę w czerwono-żółte kwiaty. Ale sukienka, choć z założenia obszerna, zdawała się nie nadążać za ciężką i kiedy Irène usiadła, guziki lekko się napięły.

Było dużo ludzi, hałas zapewniał im całkowitą intymność. Rozmawiali o filmie, którego montaż Irène musiała przerwać, ale była o nim na bieżąco informowana, o znajomych i w końcu zapytała Camille'a, co słychać u jego ojca.

Kiedy po raz pierwszy odwiedziła ojca Camille'a, ten powitał ją tak, jakby się znali od dawna. Po kolacji wręczył jej prezent, pracę Basquiata. Był człowiekiem zamożnym. Dość wcześnie przeszedł na emeryturę, sprzedał swoją aptekę za sporą sumę, której wysokości Camille zapewne nigdy nie pozna, która jednakże pozwoliła mu na zachowanie mieszkania ewidentnie dla niego zbyt dużego, na gosposię, w gruncie rzeczy niepotrzebną, na kupowanie książek w ilości, której nie był w stanie przeczytać, tylu płyt z muzyką, ile tylko był w stanie wysłuchać, oraz, od jakiegoś roku czy dwóch, na odbycie kilku podróży. Któregoś dnia poprosił syna o zgodę na sprzedaż obrazów jego matki, za którymi właściciele galerii weszli już od czasu zamknięcia jej pracowni.

– Po to są, by je oglądano – oświadczył Camille, który zachował dla siebie tylko kilka obrazów.

Jego ojciec zachował dwa. Pierwszy i ostatni.

– Pieniądze ty dostaniesz – zapewnił ojciec, mając na myśli obrazy, które zamierzał sprzedać.

– Wydaj je – odrzekł Camille, licząc po cichu, że ojciec tego nie zrobi.

– Rozmawiałem z nim przez telefon – odpowiedział teraz Camille. – U niego wszystko w porządku.

Irène pochłaniała jedzenie, Camille zaś wzrokiem pochłaniał ją.

– Przekaż Louisowi, że było świetnie – powiedziała, odsuwając talerz.

– Przekażę mu też rachunek.

– Skąpiec.

– Kocham cię.

– Mam nadzieję.

Przy deserze Irène zapytała:

– A jak twoja sprawa...? Przed chwilą słyszałam w radiu, mówiła sędzia... Sędzia... Deschamps, tak?

– Tak. I co mówiła?

– Niewiele, ale wydało mi się to dość ponure.

I, widząc pytający wzrok Camille'a, dodała:

– Mówiła o zabójstwie dwóch młodych kobiet, prostytutek, w mieszkaniu w Courbevoie. Nie wchodziła w szczegóły, ale brzmiało to dość makabrycznie...

– Raczej tak.

– Powiedziała, że ta sprawa wiąże się z inną, dawniejszą. W Tremblay-en-France. To byłś ty?

– Nie, tamta to nie ja. Ale teraz tak.

Nie miał najmniejszej ochoty o tym rozmawiać. Czuł się rozdarty. Nie będzie przecież rozmawiał o młodych ofiarach ze swoją ciężarną żoną, i to w rocznicę ich ślubu. Ale być może Irène zorientowała się, że owe młode ofiary nieustannie zaprzętały jego myśli i że nawet kiedy je wreszcie opuszczały, ktoś lub coś sprowadzało je tam z powrotem. Camille wyjaśnił pokrótce okoliczności sprawy, nieporadnie klucząc między słowami, których wolał nie wymawiać, szczegółami, których wolał nie ujawniać, obrazami, o których wolał nie wspominać, i jego relacja pełna była zakłopotania i przemilczeń, wahań składniowych i spojrzeń, którymi obrzucał salę, jakby licząc, że tam znajdzie brakujące słowa. I w końcu, po zagajonym z pedagogiczną rozważą wstępie, nagle wszystkiego zaczęło mu brakować, zdań, potem słów, aż wreszcie bezsilnym gestem uniósł ręce. Irène zrozumiała, że to, czego nie potrafi wytłumaczyć, jest po prostu niewytłumaczalne.

– Ten facet to jakiś psychopata... – stwierdziła.

Wyjaśnił, że sprawa taka jak ta trafia się jednemu policjantowi na stu w całej karierze i że nawet jeden policjant na tysiąc nie chciałby się znaleźć na jego miejscu. Irène, jak większość ludzi, wyobrażenie o jego pracy zdawała się czerpać głównie z przeczytanych kryminałów. Kiedy podzielił się z nią tym spostrzeżeniem, zaprotestowała:

– Widziałeś, żebym kiedykolwiek czytała jakiś kryminał? Nienawidzę tego gatunku.

– Jeden przeczytałaś!

– Tak, *Dziesięciu małych Murzynków*...! Jechałam wtedy na wakacje do Wyoming i mój ojciec uznał, że ta książka najlepiej mnie przygotowuje na zetknięcie z amerykańską mentalnością. Nigdy nie miał zbyt dużego rozeznania w geografii.

– Ja właściwie tak samo, bardzo rzadko je czytam.

– Wolę kino... – powiedziała z kocim uśmiechem.

– Wiem – odparł z filozoficznym uśmiechem.

Grubymi nićmi szyta aluzja między dwojgiem ludzi, którzy aż za dobrze się znają. Camille czubkiem noża kreślił na obrusie kontury drzewa. A potem spojrzął na żonę i wyjął z kieszeni małą prostokątną paczuszkę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy...

Irène pomyślała, że jej mąż nie ma doprawdy za grosz wyobraźni. Jeden klejnot podarował jej w dniu ich ślubu, inny na wiadomość o ciąży. A teraz, ledwie kilka miesięcy później, znów powtarza ten numer. Nie miała mu tego za złe. Była w pełni świadoma swojej uprzywilejowanej sytuacji w oczach innych kobiet, które odbierają hołdy od mężów jedynie pod koniec tygodnia. Ona miała więcej wyobraźni. Wyjęła prezent sporego formatu, który wcześniej, jak zauważył, położyła pod swoim krzesłem, kiedy siadali do stołu.

– Tobie również wszystkiego najlepszego...

Przypomniawszy sobie prezenty, jakie dostał od Irène, za każdym razem inny, i zrobiło mu się trochę wstyd. Na oczach zaciekawionych gości z sąsiednich stolików rozwinął papier i wyjął książkę. *Tajemnica Caravaggia*. Na okładce detal z *Oszusta* przedstawiał cztery dłonie, z czego jedna w białej rękawiczce, druga trzymająca talię kart. Camille, który znał ten obraz, przypomniał go sobie: kobieta w czerwonym kapeluszu puszcza oko do służącej, leżące na stole monety... To było bardzo podobne do Irène, by ofiarować swojemu mężowi policjantowi album z dziełami malarza przestępcy.

– Podoba ci się?

– Bardzo...

Jego matka również lubiła Caravaggia. Pamiętał jej komentarze na temat *Dawida z głową Goliata*. Teraz, kartkując album, natrafił na ten właśnie obraz. Jego spojrzenie przykuła twarz Goliata. Doprawdy, dzisiejszy dzień upływał pod znakiem obciętych głów.

– To wypisz wymaluj walka Dobra ze Złem – mówiła jego matka. – Spójrz na Dawida, na jego szalone oczy, i ten spokój cierpienia u Goliata. Gdzie jest Dobro, gdzie Zło? Oto jest pytanie...

## 9

Po wyjściu z restauracji, trzymając się za ręce, spacerowym krokiem doszli do wielkich bulwarów. Poza domem lub w miejscach publicznych Camille mógł trzymać ją tylko tak, za rękę. On też chciałby, jak inni, móc objąć ją w pasie lub otoczyć ramieniem, nie po to, żeby ich naśladować, ale ponieważ bardzo mu brakowało tego władczyego gestu. Z czasem żał, że nie może tego zrobić, ustąpił. Zwykle ujęcie jej za rękę było dyskretniejszą, bardziej mu teraz odpowiadającą oznaką posiadania. Irène zwolniła kroku.

– Zmęczona?

– Trochę – westchnęła z uśmiechem.

I jakby wygładzając jakąś niewidoczną fałdę, przesunęła jego dłonią po swoim brzuchu.

– Pójdę po samochód – zaoferował się Camille.

– Nie, nie trzeba.

Okazało się, że jednak trzeba.

Zrobiło się późno. Na bulwarach było jeszcze sporo ludzi. Ustalili, że Irène poczeka na tarasie jednej z kawiarni, a on podjedzie samochodem.

Na rogu bulwaru Camille odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na żonę. Poczł ukłucie w sercu, bo nagle wydało mu się, że dzieli ich nieprzebyta odległość. Siedząc z rękami na brzuchu, Irène, mimo ciekawych spojrzeń rzucanych na wieczornych przechodniów, żyła we własnym świetle, z którego Camille poczuł się wykluczony, w świetle swojego brzucha. Zaraz się jednak uspokoił, bo wiedział, że ów dystans między nimi nie miał związku z miłością. Że sprowadzał się do prostego faktu: Irène była kobietą, on był mężczyzną. Dystans był nieprzebyty, ale ani bardziej, ani mniej niż zwykle. Wręcz dzięki niemu się spotkali.

Na myśl o tym uśmiechnął się i stracił ją z oczu. Jakiś młody mężczyzna, tak jak on czekający na zielone światło, stanął przy krawędzi chodnika i zasłonił mu widok na żonę. Niesamowite, jacy wielcy są dzisiaj ci młodzi, pomyślał, stwierdzając, że jego oczy znajdują się na wysokości łokcia chłopaka. Niedawno przeczytał, że ludzie stają się coraz wyżsi. Nawet Japończycy. Po drugiej stronie bulwaru, gdy sięgał ręką do kieszeni po kluczyki do samochodu, pamięć podsunęła mu nagle brakujące ogniwo, którego szukał przez większą część wieczoru. I nazwisko aktorki filmowej, które niedawno przykuło jego uwagę, nareszcie nabrało sensu: Gwendolyn Playne zaprowadziła go do Gwynplaine'a, bohatera *Człowieka śmiechu*, i do maksymy, którą uważał za już zapomnianą: „Wysocy są tacy, jacy chcą, niscy tacy, jacy mogą”.

## 10

– Szpachlą kształtuje się grubość warstwy materiału. Spójrz...

Mama nieczęsto znajduje czas, by udzielać mu rad. W pracowni pachnie terpentyną. Mama pracuje w czerwieniach. Używa czerwonej farby w ogromnych ilościach. Czerwieni krwistej, karminowej, czerwieni tak głębokiej, że aż czarnej. Szpachla zagłębia się w farbie, nakłada nią grube warstwy, które następnie rozprowadza krótkimi ruchami. Mama kocha czerwienie. Mam mamę, która kocha czerwienie. Która życzliwie na mnie patrzy, mówi: „Przecież ty też kochasz czerwienie, Camille, prawda...?”. Przestraszony Camille odruchowo się cofa.

Kilka minut po czwartej Camille nagle się obudził. Nachyliwszy się nad nieruchomym ciałem Irène, wstrzymując oddech, przez chwilę nasłuchiwał jej powolnego, równego, cichego pochrapywania brzemienną kobietą. Delikatnie położył dłoń na jej brzuchu. I dopiero kiedy poczuł pod palcami ciepło jej skóry, gładkość jej napiętego brzucha, znów zaczął normalnie oddychać. Wciąż jeszcze oszołomiony

tym nagłym przebudzeniem rozgląda się w ciemnościach sypialni, patrzy w okno, przez które sączy się słabe światło ulicznych latarni. Próbuje uspokoić gwałtowne bicie serca. No nie..., mówi sobie, zauważając, że spływające z czoła krople potu zaczynają mącić mu wzrok.

Ostrożnie wstaje z łóżka, przez dłuższą chwilę opłukuje twarz zimną wodą.

Zwykle rzadko coś mu się śni. „Podświadomość daje mi spokój”, mawia często.

Nalewa sobie szklanekę zimnego mleka i siada na kanapie. Ma obolałe nogi, sztywny kark i plecy, jest niewyobrażalnie zmęczony. Dla rozluźnienia mięśni porusza głową w dół i do góry, potem na boki. Próbuje odpędzić od siebie obraz dwóch dziewczyn poćwiartowanych w lofcie w Courbevoie. Jego myśli wypełnia strach.

Co się z tobą dzieje?, strofuje się. Weź się w garść. Ale w głowie nadal ma zamęt. Oddychaj. Przypomnij sobie wszystkie horrory swojego życia, wszystkie te obrazy zmasakrowanych ciał, jakich w nim nie brakowało, te są tylko bardziej makabryczne, ale ani pierwsze, ani ostatnie. Wykonujesz swoją pracę. To praca, Camille, a nie misja. Obowiązek przeciętnego człowieka. Zrób, co możesz, znajdź tych drani, czy tego drania, ale nie mieszaj w to własnego życia.

Lecz raptem powraca do niego końcowa scena snu. Jego matka namalowała na ścianie twarz młodej dziewczyny, twarz ofiary z Courbevoie. I ta martwa twarz nagle ożywa, zdaje się rozwijać, otwierać jak korona kwiatu. Ciemnoczerwonego kwiatu o licznych płatkach, przypominającego chryzantemę. Lub piwonię.

I wtedy Camille staje nagle, jak wryty, pośrodku salonu. Wie, że dokonuje się w nim coś, czego nie potrafi jeszcze nazwać. Stoi nieruchomo. Znów cały sprężony, powoli oddycha, czeka. Nie chce niczego zepsuć. Napina się w nim jakaś cieniuteńka nić, nić tak wąta... Zastygły, z zamkniętymi oczami sonduje obraz przybitej do ściany głowy młodej dziewczyny. Ale istotą tego snu nie jest ona, jest nim ten kwiat... Tu chodzi o co innego, jest tego coraz bardziej pewny. Stoi nieruchomo, jego myśli falami napływają i odpływają.

Z każdym ich przyływem i odpływem narasta w nim pewność.

– Cholera...!

Ta dziewczyna jest kwiatem. Jakim kwiatem, do cholery, jakim kwiatem? Teraz jest już całkowicie rozbudzony. Jego umysł pracuje na najwyższych obrotach. Kwiatem o licznych płatkach, podobnym do chryzantemy. Albo piwonii.

I nagle fala przyływu przynosi mu to słowo, oczywiste, jasne jak słońce, zwyczajnie nieprawdopodobne. I Camille nareszcie rozumie swój błąd. Jego sen nie odnosi się do zbrodni w Courbevoie, tylko w Tremblay.

– Niemożliwe... – mówi, sam w to nie wierząc.

Biegnie do gabinetu i przeklinając swoje dwie lewe ręce, wyciąga zdjęcia ze zbrodni w Tremblay-en-France. Ma już wszystkie, szybko je przerzuca, szuka okularów, nie może znaleźć. Więc bierze po kolei zdjęcie za zdjęciem i ogląda je w słabym świetle zza okna. I w końcu znajduje to, którego szuka. Twarz dziewczyny rozplątana brzytwą od ucha do ucha. Znów przerzuca akta, znajduje fotografię przepołowionego ciała...

– Nie wierzę... – mówi sam do siebie Camille, patrząc w stronę salonu.

Wychodzi z gabinetu, staje przed biblioteką. Zdejmując z taboretu nagromadzone w ciągu ostatnich tygodni książki i gazety, w duchu odtwarza ogniwa tego łańcucha: Gwynplaine, *Człowiek śmiechu*. Głowa kobiety z szerokim uśmiechem rozplątana brzytwą. Kobiety, która się śmieje.

A ten kwiat to nie piwonia...

Wszedł na stołek. Przesuwa palcami po grzbietach książek. Jest tu kilku Simenonów, trochę autorów angielskich, amerykańskich, jest Horace McCoy i zaraz za nim James Hadley Chase, *Nie ma orchidei dla*

panny Blandish<sup>[1]</sup>...

– Orchidea, na pewno nie orchidea... – kończy myśl, sięgając po tom i przyciągając go do siebie. – Dalia.

„I bynajmniej nie czerwona”.

Siada na kanapie i przez chwilę wpatruje się w książkę, którą trzyma w rękach. Twarz młodej ciemnowłosej kobiety na okładce przypomina, być może z powodu fryzury, portret z lat pięćdziesiątych. Odruchowo sprawdza rok wydania: 1987.

Na czwartej stronie okładki czyta:

*Piętnastego czerwca 1947 roku na przedmieściach Los Angeles znaleziono przecięte na pół, nagie i okaleczone ciało młodej dwudziestodwuletniej dziewczyny Betty Short, nazywanej Czarną Dalią...*

Dość dobrze pamięta tę sprawę. Jego spojrzenie przesuwają się po kolejnych stronach, wyłapując tu i ówdzie fragmenty tekstu, i nagle zatrzymuje się na stronie 99:

*Była to młoda dziewczyna, której nagie i okaleczone ciało zostało przepołowione na wysokości talii. Z jej lewego pośladka wycięto duży fragment ciała; od talii po wznórek łonowy biegła długa otwarta rana cięta. Na piersiach widać było liczne oparzenia od papierosów, prawa pierś, odcięta, zwisała na kilku strzępach skóry; lewa wokół sutka była poszarpana. Rany cięte były głębokie, dochodziły do kości, ale najstraszliwszy ze wszystkiego był widok jej twarzy.<sup>[2]</sup>*

– Co ty tu robisz, nie śpisz?

Camille unosi wzrok. W drzwiach stoi Irène w koszuli nocnej.

Odkłada książkę, podchodzi do żony, kładzie rękę na jej brzuchu.

– Idź spać, zaraz przyjdę. Za sekundę.

Irène wygląda jak dziecko wybudzone ze snu przez koszmar senny.

– Już idę. Połóż się, szybciotko.

Patrzy na Irène, która rozespana, zataczając się, wraca do sypialni. Na kanapie leży książka otwarta na stronie, na której przerwał lekturę. Głupi pomysł, myśli Camille, mimo to z powrotem siada, sięga po książkę, przerzuca strony i czyta dalej:

*Jej twarz była jedną wielką siną wybroczyną, nos zmiądzony i wtłoczony w głąb czaszki, usta rozplątane od ucha do ucha, szczerzące się w grymasie, jakby chciała obrócić w szyderstwo wszystkie tortury zadane jej ciału. Wiedziałem, że ten uśmiech towarzyszyć mi będzie do końca moich dni, aż po grób.*

Dobry Boże...

Camille jeszcze przez chwilę kartkuje książkę, po czym ją odkłada. Zamyka oczy, przypominając sobie zdjęcie Manueli Constanzy, ślady sznura wokół kostek nóg...

I znów podejmuje lekturę.

*Na jej kruczoczarnych włosach nie znać było żadnych śladów krwi, tak jakby morderca wcześniej umył je szamponem.*

Odkłada książkę. Chciałby wrócić do gabinetu, jeszcze raz rzucić okiem na zdjęcia. Ale nie. To tylko sen... Bzdury.



## 1

– Daj spokój, Camille, wierzysz w te bzdury?

Godzina dziewiąta. Gabinet komisarza Le Guena.

Camille przez chwilę przyglądał się obwisłym, znużonym policzkom przełożonego, zastanawiając się, czym on je od środka tak obciąża.

– Dziwi mnie, że nikt wcześniej na to nie wpadł – powiedział. – Chyba nie zaprzeczysz, że to niepokojące.

Le Guen słuchał, nie przerywając lektury. Przesuwał wzrok po skrzydełkach książki.

W końcu zdjął okulary, odłożył je na biurko. W gabinecie komisarza Camille zawsze stał. Kiedyś spróbował usiąść w jednym z foteli naprzeciwko biurka Le Guena, ale zapadł się w niego niczym w wyściełaną poduszkami studnię i musiał jak szalony wierzgać nogami, żeby się wydostać.

Le Guen zamknął książkę, spojrział na okładkę i ze sceptyczną miną stwierdził:

– ...nie znam tego.

– Nie obrazisz się, jeśli ci powiem, że to klasyk gatunku?

– Możliwe...

– Rozumiem – mruknął Camille.

– Posłuchaj, Camille, uważam, że dość już z tym mamy zawracania głowy. To, co mi pokazałeś, jest rzeczywiście... jak by to ująć... niech będzie, niepokojące... ale o czym niby miałyby świadczyć?

– O tym, że facet wzorował się na książce. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie mam pojęcia. Po prostu wszystko się zgadza. Przeczytałem jeszcze raz raporty. I wszystko, co w trakcie śledztwa nie miało żadnego sensu, nagle znajduje rację bytu. Przepołowione w pasie ciało ofiary. Daruję ci absolutnie identyczne ślady przypalania papierosami czy krępowania kostek. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego morderca umył ofierze włosy. Dopiero teraz nabiera to sensu. Przeczytaj jeszcze raz sprawozdanie z sekcji. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zniknęły jelita, wątroba, żołądek, pęcherzyk żółciowy... A ja ci mówię: zrobił to, bo tak jest w tej książce. Nikt nie potrafił powiedzieć, skąd te ślady... – przez chwilę szukał tego słowa – „łagodnych razów” na ciele, prawdopodobnie zadanych pejczem. A to jest załącznik, nikt nie wie, z czym to połączyć – wskazał na książkę, na której Le Guen oparł łokieć – ale to jest załącznik. Umyte włosy plus brak wnętrzości, plus oparzenia na ciele, plus ślady biczowania równa się... książka. Jest w niej wszystko czarno na białym, kropka w kropkę, w najdrobniejszych szczegółach...

Niekiedy Le Guen spoglądał na Camille'a w pewien specyficzny sposób. Podziwiał jego inteligencję, nawet jeśli chwilowo zawodziła.

– Widzisz siebie startującego z tym do sędzi Deschamps?

– Siebie nie. Ale ciebie...?

Le Guen ze smutkiem popatrzył na Camille'a.

– Biedaku...

Nachylił się i sięgnął do teczki stojącej obok biurka.

– Po czymś takim? – zapytał, podając mu poranną gazetę.

Camille sięgnął do kieszeni marynarki po okulary, ale i bez nich rozpoznał swoje zdjęcie i zauważył tytuł artykułu. Serce zabiło mu szybciej, dłonie zwilgotniały. Usiadł i zaczął czytać.

Ostatnia strona „Le Matin”.

Zdjęcie, a na nim sfotografowany z góry Camille. Patrzy przed siebie, minę ma niezbyt życzliwą. Zdjęcie musiało zostać zrobione, kiedy przemawiał do prasy, wizerunek jest podretuszowany, twarz Camille’a sprawia wrażenie szerszej, spojrzenie twardszego niż w rzeczywistości.

Pod nagłówkiem „Portret” tytuł:

*Policjant na dworze wielkich tego świata.*

*Okrutna rzeź w Courbevoie, o której donosiła nasza gazeta, niedawno zyskała dodatkowy wymiar. Zdaniem zajmującej się sprawą sędzi Deschamps bezsprzeczna poszlaka w postaci doskonale czytelnego odcisku palca wykonanego przy użyciu kauczukowej pieczętki wyraźnie łączy tę sprawę z inną, nie mniej makabryczną, z 21 listopada 2001 roku. Tego dnia na wysypisku miejskim w Tremblay-en-France odkryto skatowane, a następnie przepołowione ciało młodej kobiety, której zabójcy dotąd nie znaleziono.*

*Do akcji rusza inspektor Verhoeven. Obejmując prowadzenie tego podwójnego niezwykłego śledztwa, znowu będzie miał okazję popracować nad swoim wizerunkiem nietuzinkowego policjanta. To normalne; gdy w grę wchodzi podtrzymanie własnej reputacji, każda okazja po temu jest dobra.*

*Kierując się maksymą, w której myśl im mniej się o czymś mówi, tym bardziej sprawia się wrażenie osoby wszytkowiedzącej, Camille Verhoeven bywa wręcz przesadnie lakoniczny i tajemniczy. Nawet jeśli prasa i media muszą obejść się smakiem. Ale tym inspektor Verhoeven zbyt nie przejmuje. On chce być tylko pierwszorzędnym gliną. Gliną, który spraw nie objaśnia, tylko je rozwiązuje. Człowiekiem czynu i dokonań.*

*Camille Verhoeven ma swoje zasady i swoich mistrzów. Tych ostatnich daremnie by szukać pośród weteranów Quai des Orfèvres. To byłoby zbyt pospolite dla człowieka, który uważa się za tak niepospolitego. Jego mistrzów szukać należy raczej wśród takich jak Sherlock Holmes, Maigret czy Sam Spade. A jeszcze bardziej Rouletabille. Usilnie kultywuje w sobie intuicję pierwszego, cierpliwość drugiego, brak złudzeń trzeciego oraz wszystko, czego dusza zapagnie, tego ostatniego. Jego dyskrecja wzbudza podziw, lecz osoby mające bliższą z nim styczność bez trudu domyślają się, jak bardzo marzy mu się status żywej legendy.*

*Camille Verhoeven cierpi zapewne na przerost ambicji, ale trzeba przyznać, że niebezpodstawnie. Jest bowiem znakomitym fachowcem. I policjantem o nietypowym życiorysie.*

*Będąc synem malarki Maud Verhoeven, on również swego czasu próbował swoich sił w technice gwaszu. Jego ojciec, były aptekarz, obecnie na emeryturze, kwituje to powściągliwie: „Nie było to nieudolne...”. Relikty tych młodzieńczych prób (kilka pejzaży mgliście nawiązujących do japońszczyzny, starannie dopracowane portrety) nadal spoczywają w kartonie nabożnie przechowywanym przez pana Verhoevena seniora.*

*Czy to wskutek trzeźwej oceny własnych umiejętności, czy trudności z zaistnieniem w świecie sztuki, Camille uznaje, że jednak słuszniej będzie postawić na studia prawnicze.*

*Jego ojciec wprawdzie liczy, że wybierze medycynę, ale młodemu Camille’owi najwyraźniej niespieszno spełnić oczekiwania rodziców. Nie zostanie ani malarzem, ani lekarzem; robi dyplom prawnika, i to z najwyższą oceną. Bez wątpienia jest błyskotliwy, mógłby wybrać karierę uniwersytecką, mógłby zostać adwokatem, ale jego interesuje Wyższa Szkoła Policyjna.*

*„To był dziwny wybór – stwierdza w zamyśleniu jego ojciec. – Z Camille’a w ogóle jest bardzo dziwny chłopak...”*

*W rzeczy samej dziwny jest ten młody człowiek, któremu na przekór wszelkim prognozom i wbrew wszelkim regułom udaje się postawić na swoim. Rzecz w tym, że lubi znajdować się tam, gdzie nikt by się go nie spodziewał. Łatwo sobie wyobrazić, że komisja rekrutacyjna, przewidując konsekwencje*

jego ułomności, długo ociągała się z dopuszczeniem do egzaminu wstępnego do policji mężczyzny wzrostu metr czterdzieści pięć, zmuszonego używać samochodu ze specjalnym oprzyrządowaniem i zbyt zależnego od otoczenia w wielu aspektach życia codziennego. Ale dla Camille'a, który wie, czego chce, to żadna przeszkoda – zdaje egzamin wstępny z pierwszą lokatą. Co więcej, kończy szkołę jako najlepszy ze swojego rocznika. Kariera zapowiada się błyskotliwie. Już wtedy, dbając o reputację, nie życzy sobie żadnych przywilejów i bez wahania występuje o placówki trudne, na paryskich przedmieściach, mając pewność, że wcześniej czy później zawiodą go do portu, który postrzega jako swój port docelowy: do Brygady Kryminalnej.

Tak się składa, że w jej kierownictwie zasiada zaprzyjaźniony z nim komisarz Le Guen, z którym już wcześniej pracował. Po kilku latach zdobywania szlifów na niespokojnych przemieściach, gdzie pozostawił po sobie sympatyczne, choć mało wyraziste wspomnienie, oto nareszcie nasz bohater obejmuje prowadzenie drugiej grupy operacyjnej rzeczony Brygady, gdzie nareszcie będzie mógł w pełni pokazać, co potrafi. Mówimy „bohater”, bo słowo to daje się tu i ówdzie coraz częściej słyszeć. Kto pierwszy je rzucił, nie wiadomo. Niemniej Camille Verhoeven się od niego nie odcina. Podtrzymuje swój wizerunek pracowitego i sumiennego policjanta, ale udaje mu się też rozwiązać kilka dość głośnych medialnie spraw. Mówi niewiele, tak jakby wolał, by jego dokonania mówiły za niego.

Camille Verhoeven zachowując spory dystans wobec innych, nie ma nic przeciwko temu, by uchodzić za postać enigmatyczną i z powściągliwym upodobaniem kultywuje swoją tajemniczość. Tak w Brygadzie Kryminalnej, jak i poza nią wiadomo o nim tylko tyle, ile sam zechciał ujawnić. Pod maską skromności ukrywa się zręczny gracz; w rzeczywistości obnosi się z tą swoją dyskrecją dość ostentacyjnie, chętnie afiszując się nią w czasie wystąpień w telewizji.

Obecnie prowadzi dochodzenie w sprawie odrażającej i bardzo nietypowej zbrodni, którą sam określa jako „wyjątkowo bestialską”. I nic więcej się od niego nie dowiemy. Ale te słowa już padły, słowa mocne, krótkie, wymowne, pasujące do wizerunku bohatera. Wystarczyły te dwa słowa, byśmy zrozumieli, że Camille Verhoeven nie zajmuje się sprawami rutynowymi, tylko wielkimi sprawami kryminalnymi. Inspektor Verhoeven, który zna potęgę słów, z wielką biegłością uprawia sztukę litoty i udaje zdumienie, odkrywając medialne bomby z opóźnionym zapłonem, które w roztargnieniu upuścił po drodze. Za miesiąc zostanie ojcem, ale nie tylko w ten sposób pracuje dla potomności; już teraz jest „wielkim fachowcem”, jednym z tych, którzy z bezbrzeżną cierpliwością tworzą własną mitologię.

### 3

Camille starannie złożył gazetę.

– Oduść sobie, słyszysz? – powiedział Le Guen, któremu nie spodobał się nagły spokój przyjaciela.

A że ten nie zareagował, zapytał:

– Znasz tego gościa?

– Wczoraj się ze mną skontaktował. Zbyt dobrze go nie znam, za to on, jak się zdaje, całkiem dobrze zna mnie...

– I chyba za tobą nie przepada.

– To akurat mam gdzieś. Bardziej mnie niepokoi efekt lawiny. Pałeczkę przejmą teraz inne gazety, a...

– ...a sędzi Deschamps już i tak pewnie nie spodobała się zajawka we wczorajszym dzienniku...

Sprawa ledwie się zaczęła, a ty już masz na karku całą prasę. Wiem, że to nie twoja wina... ale teraz jeszcze ten artykuł...

Le Guen sięgnął po gazetę i wyciągnął ją przed siebie, jakby trzymał w ręku ikonę. Albo psią kupę.

– I to na całą stronę! Z twoim zdjęciem i całym tym syfem...

Camille w milczeniu popatrzył na Le Guena.

– Jest tylko jedno wyjście, Camille, wiesz o tym równie dobrze jak ja: działać szybko. Bardzo szybko. Zbieżność ze sprawą w Tremblay powinna ci pomóc i...

– Śledziłeś tę sprawę w Tremblay?

Le Guen podrapał się po policzku.

– Tak, wiem, nie jest prosta.

– Nieprosta to eufemizm. Nie mamy nic. Dosłownie nic. A ta odrobina, jaką mamy, jeszcze bardziej wszystko komplikuje. Wiadomo, że chodzi o zbrodnię podobnego typu, o ile tylko jedną, co wcale nie jest takie pewne. W Courbevoie sprawca gwałci ofiary na wszelkie możliwe sposoby. W Tremblay nie ma nawet śladu gwałtu, widzisz tu jakąś zbieżność? W pierwszym wypadku ćwiartuje dziewczyny nożem rzeźnickim i elektryczną wiertarką, w drugim zadaje sobie trud, żeby umyć wnętrzności, w każdym razie te, które zostawia na miejscu zbrodni. Przerwij mi, kiedy dostrzeżesz podobieństwo, dobrze? W Courbevoie...

– No dobrze – zgodził się Le Guen. – Zbieżność tych dwóch spraw może nie będzie nam bezpośrednio pomocna.

– W rzeczy samej, może nie.

– Co nie znaczy, że twój pomysł z tą książką – Le Guen spojrział na okładkę, najwyraźniej nie mógł zapamiętać tytułu – z tą *Czarną Dalią*...

– Pewnie masz lepszą hipotezę – przerwał mu Camille. I sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki, dodał: – Podziel się nią ze mną, to musi być prawdziwa bomba, pozwolisz, że będę notował...

– Nie wygłupiaj się, Camille – powiedział Le Guen.

Obaj mężczyźni, Le Guen wpatrując się w okładkę książki, Camille obserwując zmarszczone czoło przyjaciela, przez chwilę milczeli.

Le Guen miał wiele wad, co do tego zgadzały się wszystkie jego ekszony, ale głupota nie była jego mocną stroną. Swego czasu był wręcz pierwszorzędnym, wybitnie inteligentnym gliną. Jednym z funkcjonariuszy, którzy w myśl zasady Petera awansują w administracji aż po osiągnięcie pułapu własnej niekompetencji. Łączyła ich długoletnia przyjaźń. Camille z ubolewaniem obserwował, jak sprawowanie funkcji kierowniczej powoduje uwiad talentu przyjaciela. Sam Le Guen opierał się pokusie tęsknoty za dawnymi czasami, kiedy praca pasjonowała go do tego stopnia, że poświęcił dla niej trzy kolejne małżeństwa. I stał się w pewnym sensie czempionem alimentów. Te niezliczone kilogramy, w które obrósł w ciągu ostatnich lat, Camille składał na karb instynktu samozachowawczego. Jego zdaniem Le Guen w ten sposób chronił się przed pokusą nowego związku, poprzestając na obsłudze poprzednich, to znaczy patrząc, jak jego pensja znika w szczelinach jego egzystencji.

Scenariusz ich wzajemnych relacji był stały i niezmienny. Le Guen, w pewien sposób wierny swojemu miejscu w hierarchii służbowej, opierał się tak długo, dopóki argumenty Camille'a nie przeważały nad jego własnym przekonaniem. I wtedy, dosłownie w jednej chwili, przechodził od roli challenger'a na pozycję przyjaciela. Tak w jednej, jak i w drugiej roli stać go było niemal na wszystko.

Ale tym razem się wahał. Co dla Camille'a nie było dobrym znakiem.

– Posłuchaj, Camille – przemówił wreszcie Le Guen, patrząc mu prosto w oczy – nie mam lepszej hipotezy. Ale to nie oznacza, że twoja na tym zyskuje. Bo co? Znalazłeś książkę, która opowiada o podobnej zbrodni? Od zarania dziejów mężczyźni mordują kobiety, zdążyli już do tej pory wyczerpać wszelkie możliwe kombinacje. Gwałcą je, ćwiartują, znajdź mi faceta, któremu nie chodziłoby to po głowie. Nawet ja, nie mówiąc już o mnie... zresztą rozumiesz. Więc po jakimś czasie wszystko staje się podobne. Nie ma potrzeby szukać w bibliotece, spektakl świata masz przed oczami.

A potem, patrząc na przyjaciela, zbolałym tonem dodał:

– To nie wystarczy, Camille. Masz moje poparcie. Poprę cię, jak tylko będę mógł. Ale już teraz ci powiem; sędzi Deschamps to nie wystarczy.

#### 4

– James Ellroy. Cóż, to dość nieoczekiwane...

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Nie, nie – zaproponował Louis. – Mówię tylko, że to rzeczywiście bardzo...

– Niepokojące. Tak, wiem, słyszałem to już od Le Guena. Wystąpił nawet z fascynującą teorią o mężczyznach, którzy od zarania dziejów mordują kobiety, wiesz, coś w tym stylu. Ale ja mam to gdzieś.

Oparty o drzwi gabinetu Maleval z rękami w kieszeniach ukazywał światu swoje poranne oblicze, tyle że bardziej niż zwykle strudzone, choć nie było jeszcze dziesiątej. Armand, niemal wtopiony w wieszak na płaszcze, wpatrywał się w zamyśleniu we własne buty. Natomiast Louis, którego Camille na tę okoliczność posadził przy swoim biurku, zlecając mu głośną lekturę, miał na sobie elegancką zieloną marynarkę z cienkiej wełny, kremową koszulę i krawat klubowy.

Louis czytał inaczej niż komisarz. Kiedy Camille wskazał mu swój fotel, wygodnie w nim usiadł i przytrzymując stronę książki rozpostartą dłonią, starannie przeczytał cały tekst. Camille'owi skojarzyło się to z jakimś obrazem, ale nie mógł sobie przypomnieć z jakim.

– Co nasunęło panu na myśl *Czarną Dalię*?

– Trudno powiedzieć.

– Uważa pan, że morderca z Tremblay w pewnym sensie zmałpował książkę.

– Zmałpował? – zapytał Camille. – Ty to potrafisz powiedzieć... Facet przepoławia dziewczynę, usuwa jej wnętrzności, obie połowy ciała myje, szoruje jej głowę szamponem, a potem wszystko wyrzuca na miejskie wysypisko! Jeśli to małpa, to całe szczęście, że nie może mówić...

– Nie, chciałem tylko powiedzieć...

Louis aż się zarumienił ze zmieszania. Camille popatrzył na dwóch pozostałych współpracowników. Louis odczytał tekst skupionym głosem, który pod wpływem treści powoli się zmieniał, na koniec tak cichnąc z emocji, że musieli nastawiać ucha, żeby coś usłyszeć. W pierwszej chwili żaden z nich nie wyglądał na powalonego i Camille nie wiedział, czy ich reakcja odnosi się do treści, czy do jego hipotezy. Atmosfera w gabinecie zrobiła się ciężka.

I nagle zrozumiał, że być może nie ma ona związku ani z jednym, ani z drugim, tylko z faktem, że oni również przeczytali artykuł w „Le Matin”. Gazeta pewnie zdążyła już obiec całą Brygadę, Policję Kryminalną, po czym szybko dotarła do sędzi Deschamps i dalej, do ministerstwa. Tego rodzaju informację, jak komórkę rakową, napędza własna dynamika. Co o tym wszystkim pomyśleli? Co z tego zrozumieli lub wywnioskowali? Ich milczenie nie wróżyło nic dobrego. Gdyby mu współczuli, porozmawialiby z nim o tym artykule. Gdyby im to było obojętne, zapomnieliby o nim. Camille'owi poświęcono całą stronę, niezbyt przychylną, lecz stanowiącą znakomitą reklamę. Milczeli, bo dało im to więcej do myślenia, niż skłonni byli przyznać. Czyżby przypuszczali, że Camille maczał w tym palce lub po cichu się zgodził? O jego ekipie nie wspomniano nawet słowem. Nieważne, czy artykuł był przychylny, czy nie, poświęcony był wyłącznie jemu, Verhoevenowi, a teraz ten bohater dnia przychodzi i serwuje im swoje idiotyczne pomysły. Camille miał wrażenie, że świat wokół niego zniknął, a odpowiedzią na to zniknięcie było ich milczenie. Ani potępiające, ani obojętne. Wyrażające rozczarowanie.

– To możliwe – bąknął w końcu ostrożnie Maleval.

– I czego by to miało dowodzić? – zapytał Armand. – To znaczy, jaki by to miało związek z tym, co znaleźliśmy w Courbevoie?

– Nie mam pojęcia, Armand! Wiem tylko tyle, że mamy sprawę sprzed osiemnastu miesięcy, która kropka w kropkę przypomina sprawę z książki, to wszystko!

A ponieważ tamci milczeli, dodał:

– Macie rację, to chyba idiotyczny pomysł.

– Więc... co robimy? – zapytał Maleval.

Camille powiódł spojrzeniem po trójce współpracowników.

– Zasięgnijemy opinii kobiety.

## 5

– To rzeczywiście ciekawe...

W głosie sędzi Deschamps przez telefon Camille nie usłyszał tego sceptycyzmu, na który był przygotowany. Powiedziała to normalnym tonem, jakby głośno myśląc.

– Jeśli ma pan rację – ciągnęła – to również zbrodnia w Courbevoie powinna figurować w książce Jamesa Ellroya lub innej. Trzeba by to sprawdzić...

– Ale może nie – powiedział Camille. – Książka Ellroya powstała na kanwie prawdziwego zdarzenia. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku dokładnie w taki sposób zamordowano młodą kobietę, Betty Short, a książka jest fikcyjnym odtworzeniem tamtego, swego czasu zapewne głośnego, zdarzenia. Ellroy dedykuje tę książkę swojej matce, która w pięćdziesiątym ósmym roku również została zamordowana... Jest tu wiele potencjalnych tropów.

– To faktycznie nieco zmienia postać rzeczy... – zgodziła się sędzia Deschamps.

I, po dłuższej chwili namysłu, podjęła:

– Obawiam się, inspektorze, że prokuratura może nie potraktować tego tropu zbyt poważnie. Pewne elementy się zgadzają, ale nie bardzo wiem, co by można z tym zrobić. Nie bardzo sobie wyobrażam zlecenie Policji Kryminalnej lektury całego Jamesa Ellroya i przekształcenie Brygady Kryminalnej w salę biblioteczną, chyba pan to rozumie...

– Oczywiście... – przyznał Camille, który dopiero teraz uświadomił sobie, jak niewiele miał złudzeń co do jej odpowiedzi.

Sędzia Deschamps najwyraźniej nie była złym człowiekiem. Sądząc z jej głosu, szczerze żałowała, że nie może nic innego powiedzieć.

– Proszę posłuchać, jeśli ta hipoteza w jakimkolwiek miejscu się potwierdzi, zobaczymy. Na razie wolałabym, żeby śledztwo prowadzono dalej metodami... bardziej tradycyjnymi, rozumie pan, prawda?

– Rozumiem – powiedział Camille.

– Przyzna pan, inspektorze, że okoliczności są dość... szczególne. Ostatecznie, gdyby to dotyczyło tylko pana i mnie, moglibyśmy ewentualnie przyjąć tę hipotezę jako możliwy punkt wyjścia, ale nie jesteśmy sami...

Otóż to, pomyślał Camille i poczuł nagły skurcz żołądka. Nie ze strachu, lecz z obawy przed zranieniem. Już dwa razy został wmanewrowany. Raz przez techników, którzy wpadli na fatalny pomysł, żeby w obecności dziennikarzy wynieść worki ze zwłokami, drugi raz przez takiego właśnie dziennikarza, który zdołał przeniknąć, i to w najgorszym możliwym momencie, do jego życia prywatnego. Camille nie lubił się w roli ofiary, jeszcze bardziej nie lubił wypierać się swoich oczywistych potknięć, jednym słowem, ani trochę nie podobało mu się to, co się aktualnie działo, jakby przy kolejnych sprawach był spychany na margines. Nikt, ani Le Guen, ani sędzia, ani nawet jego ekipa, nie potraktował jego hipotezy poważnie. Sprawilo mu to jednak dziwną ulgę, gdyż nie czuł się wystarczająco kompetentny, by podążać tropem tak dalekim od utartych ścieżek. Nie, zraniło go to, o czym mówił najmniej. W głowie wciąż brzmiały mu sformułowania artykułu Buissona z „Le Matin”. Ktoś wdarł się w jego życie, w jego życie

prywatne, mówił o jego żonie, o rodzicach, ktoś wymienił „Maud Verhoeven”, mówił o jego dzieciństwie, jego studiach, rysunkach, wyjawiał, że wkrótce zostanie ojcem... To było, jak uważał, naprawdę niesprawiedliwe.

O jedenastej trzydzieści zadzwonił Louis.

– Gdzie jesteś? – spytał nerwowo Camille.

– Na Porte de la Chapelle.

– A co tam robisz?

– Jestem u Séfariniego.

Camille dobrze znał Gustave’a Séfariniego, specjalistę od dostarczania informacji wszelkiego rodzaju klienteli. W zamian za rozsądnie skalkulowany udział procentowy Séfarini powiadamiał włamywaczy o interesujących okazjach, w trakcie przygotowań do akcji zlecano mu często misję rozeznania terenu; miał bystre oko, dzięki któremu zyskał solidną renomę. Typ rozważnego przestępcy, którego kartoteka karna po dwudziestu latach pracy była – prawie – równie dziewicza jak jego córka Adèle, młoda ułomna dziewczyna, którą się z oddaniem opiekował i darzył rozczulającą miłością, o ile można uznać za rozczulającego faceta pomagającego organizować napady, przez co w ciągu ostatnich dwudziestu lat przyczynił się do śmierci czterech osób.

– Jeśli ma pan chwilę, dobrze byłoby, gdyby pan tu zajrzał...

– To pilne? – zapytał Camille, spoglądając na zegarek.

– Pilne, ale nie powinno zająć panu dużo czasu – uznał Louis.

## 6

Séfarini mieszkał w domku, którego okna wychodziły na obwodnicę. Rozciągający się przed nim zapuszczony ogródek dniem i nocą zdawał się drzeć pod podwójnym naporem bezustannie ruchliwej autostrady oraz przebiegającej dokładnie pod jego fundamentami linii metra. Widok tego domu i zaparkowanego na chodniku poobijanego peugeota 306 nasuwał pytanie, gdzie podziały się pieniądze, które zarabiał Séfarini.

Camille wszedł do środka jak do własnego domu.

Zastał Louisa i jego gospodarza w kuchni urządzonej meblami ze sklejkki pamiętającymi jeszcze lata sześćdziesiąte. Siedzieli przy stole nakrytym ceratą, tak wytartą, że po jej deseniui zostało tylko wspomnienie, nad kawą w szklankach z duralexu. Séfarini nie wyglądał na specjalnie zachwyconego, zobaczywszy Camille’a. Louis się nie poruszył, obracał tylko z roztargnieniem w palcach szklankę z kawą, której nie miał najmniejszej ochoty wypić.

– O co chodzi? – zapytał Camille, sięgając po jedyne wolne krzesło.

– No cóż – zaczął Louis, spoglądając na Séfariniego – tłumaczyłem właśnie naszemu przyjacielowi Gustave’owi... Chodzi o jego córkę... O Adèle...

– A właśnie, gdzie jest Adèle? – zainteresował się Camille.

Séfarini z pośępną miną wskazał na piętro i z powrotem utkwiał wzrok w blacie stołu.

– Wyjaśniłem mu – ciągnął Louis – że krąży sporo plotek.

– Hmm – mruknął ostrożnie Camille.

– Otóż to... Przykra sprawa, takie plotki. Wyjaśniłem naszemu przyjacielowi, że jego stosunki z Adèle bardzo nas niepokoją. Bardzo – powtórzył, patrząc na Camille’a. – Mówi się o złym dotyku, o występnych kontaktach, o kazirodztwie... Spieszę dodać, że absolutnie nie dajemy wiary tym uporczywym insynuacjom!

– Naturalnie! – potwierdził Camille, który zaczynał się już orientować, do czego zmierza Louis.

– W żadnym wypadku – ciągnął Louis. – Ale opiekunki społeczne są innego zdania... My znamy

Gustave'a. Dobry z niego ojciec i tak dalej... Ale cóż robić, one dostają listy...

– Wkurzająca rzecz, takie listy – wtrącił Camille.

– To wy mnie wkurzacie! – wrzasnął Séfarini.

– To było wulgarne, Gustave – obruszył się Camille. – Mając dzieci, trzeba, do cholery, uważać na to, co się mówi.

– No więc – podjął Louis zbolalym tonem – byłem akurat niedaleko, pomyślałem, a właśnie, zajrzę i przywitam się z naszym przyjacielem Gustave'em, nawiasem mówiąc, bliskim kumplem grubego Lamberta... I uprzedzę go, że mówi się o przymusowym przeniesieniu córki. Dopóki nie zostanie całkowicie oczyszczony z zarzutów. Takie przeniesienie to nic wielkiego, raptem na kilka miesięcy. Nie dam głowy, że Gustave i Adèle będą mogli wspólnie powitać Nowy Rok, ale przy odpowiednich naciskach...

Camille natychmiast czujnie zastrzygł uszami.

– No dalej, Gustave, wyjaśnij to inspektorowi Verhoevenowi. Jestem pewny, że może zdziałać wiele dobrego dla Adèle, prawda?

– Cóż, zawsze można spróbować... – potwierdził Camille.

Séfarini od początku tej rozmowy gorączkowo kalkulował. Choć miał spuszczone głowę, widać to było po jego zmarszczonym czole, po szybkich spojrzeniach zdradzających intensywność jego namysłu.

– No dalej, stary, opowiedz nam o tym. Gruby Lambert...

Séfarini dobrze znał sprawę napadu w Tuluzie, który miał miejsce w tym samym dniu co zabójstwo Manueli Constanzy, młodej kobiety znalezionej w Tremblay-en-France. I nie bez powodu, bo to on wypatrzył słabe punkty w centrum handlowym, on sporządził plany, on opracował timing całej operacji.

– A co takiego ciekawego jest dla mnie w tej twojej historii? – zapytał Camille.

– Lamberta tam nie było. To pewne jak amen w pacierzu.

– Czyli musiał mieć naprawdę silną motywację, żeby wziąć na siebie oskarżenie o napad, w którym nie brał udziału. Naprawdę bardzo silną.

Stojąc przy krawężniku, zanim wsiedli do samochodu, przyglądali się posępnej scenerii obwodnicy. Zabrzęczała komórka Louisa.

– To Maleval – powiedział Louis, kończąc rozmowę. – Lambert od dwóch tygodni jest na warunkowym zwolnieniu.

– Trzeba działać szybko. Najlepiej od razu...

– Już się robi – powiedział Louis i wybrał numer.

## 7

Ulica Delage szesnaście. Czwarte piętro bez windy. Jak poradzi sobie ojciec za kilka lat? Kiedy wokół jego domu zacznie krążyć śmierć? Było to pytanie, które Camille często sobie zadawał i od razu odpędzał w zasadniczo magicznej nadziei, że do takiej sytuacji nigdy nie dojdzie.

Na klatce schodowej pachniało pastą do podłogi. Jego ojciec spędził życie w aptece pośród woni medykamentów, jego matka pachniała terpentyną i olejem lnianym. Camille miał rodziców, których otaczały zapachy.

Czuł się zmęczony i przybity. Co miał powiedzieć ojcu? Czy poza tym, że widzi się, że ojciec żyje, że trzyma się go w pobliżu niczym ostatni talizman, którego przydatności nigdy się nie pozna, można mieć w ogóle coś do powiedzenia własnemu ojcu?

Po śmierci żony pan Verhoeven sprzedał mieszkanie, osiadł w dwunastce nieopodal Bastyllii i z dyskretną sumiennością podtrzymywał wizerunek nowoczesnego wdowca, subtelne połączenie samotności z zaradnością. Na powitanie jak zawsze się pocałowali. Wiązało się to z faktem, że wbrew



naturalnej kolei rzeczy ten akurat ojciec pozostał wyższy od syna.

Pocałunek w policzek. Woń wołowiny po burgundzku.

– Kupiłem pieczeń po burgundzku...

Ten dar stwierdzenia oczywistości... Cały jego ojciec.

Siedząc naprzeciwko siebie w fotelach, wypili aperitif. Camille siadał zawsze na tym samym miejscu, odstawiał szklankę z sokiem owocowym na niski stolik, zakładał ręce i pytał: „A więc, co u ciebie słyhać?”.

– A więc, co u ciebie słyhać? – zapytał teraz.

Od razu po wejściu do pokoju dostrzegł leżący na podłodze przy fotelu ojca złożony egzemplarz „Le Matin”.

– Wiesz, Camille – zaczął ojciec, wskazując na gazetę – przykro mi z powodu tej sprawy...

– Daj spokój...

– Przyszedł niespodziewanie, bez uprzedzenia. Od razu do ciebie zadzwoniłem...

– Nie wątpię, tato, daj spokój, to bez znaczenia.

– ...ale twój telefon był zajęty. A potem zaczęliśmy rozmawiać. Wydawało się, że ten dziennikarz bardzo cię lubi, przestałem się mieć na baczności. Wiesz co, napiszę do jego dyrektora! Zażądam prawa do sprostowania!

– Biedny tato... W tym artykule nie ma nic, co by się miało z prawdą. Co najwyżej punkt widzenia. Prawo do sprostowania to co innego. Nie, proszę cię, odpuść.

Już miał dodać: „Dość już narozrabiałeś”, ale ugryzł się w język. Ale ojciec i tak musiał to usłyszeć.

– Przysporzy ci to kłopotów... – powiedział i umilkł.

Camille uśmiechnął się i uznał, że pora zmienić temat.

– Mam nadzieję, że cieszysz się na wnuka...?

– Skoro chcesz naprawdę swojego ojca zdenerwować...

– Nie ja ci to mówię, tylko USG... a zresztą skoro denerwuje cię, że mam syna, to znaczy, że sam jesteś złym ojcem.

– Jak mu dacie na imię?

– Jeszcze nie wiem. Rozmawiamy o tym, negocjujemy, podejmujemy decyzję, a potem się rozmyślamy...

– Twoja matka wybrała ci imię w hołdzie dla Pissarra. I kochała to imię nawet wtedy, gdy przestała już kochać malarstwo.

– Wiem.

– O tobie porozmawiamy później. Najpierw opowiedz mi o Irène...

– Myślę, że bardzo się nudzi.

– To się niedługo skończy... Wyglądała mi na zmęczoną.

– Kiedy? – zapytał Camille.

– W zeszłym tygodniu mnie odwiedziła. Było mi wstyd. Zważywszy na jej stan, to raczej ja powinienem się pofatygować, ale znasz mnie, wiesz, jak trudno mi się ruszyć. Wpadła tak po prostu, bez zapowiedzi.

Camille od razu wyobraził sobie Irène żmudnie pokonującą cztery piętra w górę, dyszącą na każdym podeście, być może podtrzymującą brzuch. Wiedział, że jej wizyta była czymś więcej niż zwykłymi odwiedzinami. Była przekazem pod jego adresem. Wyrazem dezaprobaty. Tymi odwiedzinami poświęcała uwagę ojcu Camille’a, gdy tymczasem Camille tak mało uwagi poświęcał jej. Zapragnął natychmiast do niej zadzwonić, ale wiedział, że nie po to, żeby się usprawiedliwić, lecz by podzielić się z nią swoimi wyrzutami sumienia, wyznać jej, co czuje. Kochał ją do szaleństwa. A im bardziej nie

potrafił tego okazać, tym bardziej z powodu tej miłości cierpiał.

Tak więc ojciec i syn dalej odprawiali swój towarzyski rytuał, aż w końcu pan Verhoeven sztucznie niedbałym tonem rzucił:

– Kaufman... Pamiętasz Kaufmana?

– Tak, całkiem dobrze.

– Jakieś dziesięć dni temu mnie odwiedził...

– To już kawał czasu...

– Tak, od śmierci twojej matki widziałem go wszystkiego ze dwa, trzy razy.

Camille poczuł lekki, niemal niewyczuwalny dreszczyk. Nagły niepokój wzbudziło w nim nie tyle ponowne pojawienie się dawnego przyjaciela matki – zresztą również wielbiciela jej malarstwa – ile głos ojca. W jego sztucznie swobodnym tonie słychać było lekkie zakłopotanie, przymus. Zmieszanie.

– Powiedz, tato, o co chodzi – zachęcił Camille, widząc, jak ojciec obraca łyżeczką w filiżance, nie mogąc się zdecydować.

– No dobrze, Camille, jak chcesz. Ja sam bym ci o tym nawet nie wspomniał. Ale Kaufman nalega, żebym to zrobił. Ja go o to nie prosiłem! – Raptem podniósł głos, jakby broniąc się przed jakimś pomówieniem.

– Powiedz... – powtórzył Camille.

– Osobiście jestem temu przeciwny, no, ale to zależy nie tylko ode mnie... Kaufman zostawia swoją pracownię. Czysz płaci ten sam, ale jest już dla niego za mała. Wiesz, on teraz maluje wielkie formaty!

– I?...

– I pyta mnie, czy nie zamierzamy sprzedać pracowni matki.

Camille zrozumiał, nim jeszcze ojciec skończył zdanie. Zawsze obawiał się tej rozmowy, ale pewnie dlatego, że się jej bał, zdążył się już z nią oswoić.

– Wiem, co sobie pomyślisz, i...

– Nie, tato, nie wiesz – przerwał mu Camille.

– Oczywiście, ale się domyślam. Zresztą już powiedziałem Kaufmanowi: Camille się nie zgodzi.

– A jednak mi o tym mówisz...

– Mówię, bo obiecałem, że ci powiem! Zresztą, zważywszy na okoliczności...

– Okoliczności...

– Kaufman oferuje dobrą cenę. Teraz, kiedy urodzi się mały, możesz mieć nowe plany, zechcesz kupić coś większego, sam nie wiem...

Camille był zaskoczony własną reakcją.

Miejsce zwane Montfort było ostatnią pozostałością po osadzie leżącej niegdyś na obrzeżach kompleksu parkowego Clamart. Obecnie skraj lasu zawłaszczony przez firmy deweloperskie, zabudowany pretensjonalnymi rezydencjami, utracił już ten pograniczny charakter, jaki Camille pamiętał z czasów dzieciństwa, gdy przyjeżdżał tu z matką. Pracownia mieściła się w dawnym domku strażnika posiadłości, z której wskutek niefortunnnych rządów kolejnych spadkobierców nie pozostało już nic oprócz tego budynku. Jego matka usunęła w nim wszystkie ściany działowe. Camille spędzał tu długie popołudnia, obserwując ją przy pracy, otoczoną zapachem farb i terpentyny, rysując na blacie leżącym na kozłach, który ustawiła dla niego obok pieca opalanego drewnem, zimą roztaczającego ciężkie, wonne ciepło.

Pracownia właściwie nie miała w sobie nic urokliwego. Ściany pobielone były zwykłym wapnem, obluzowane kafelki starej czerwonej posadzki zapadały się pod stopami, szklany dach, przez który wpadało światło, przez dwie trzecie roku pokrywał brud. Raz do roku pan Verhoeven senior przyjeżdżał tu, wietrzył, próbował odkurzać, lecz w końcu dawał za wygraną, siadał pośrodku pomieszczenia

i niczym ocalały z katastrofy rozbitek wpatrywał się w zamyśleniu w relikty egzystencji kobiety, którą tak kochał.

Camille przypomniał sobie, kiedy był tam ostatni raz. Irène chciała zobaczyć pracownię Maud, ale widząc, jak jest temu niechętny, nie nalegała. A potem któregoś dnia, kiedy w drodze powrotnej z weekendu przejeżdżali niedaleko Montfort, Camille ni stąd, ni zowąd zapytał:

– Chcesz obejrzeć pracownię?

Żadne z nich nie było tak naiwne, by nie zdawać sobie sprawy, że tak naprawdę chce tego Camille. Zjechali z drogi. Ojciec Camille'a co roku płacił sąsiadowi, by miał oko na dom i wycinał zarośla w parku, jednak najwyraźniej zbytnio się do tego nie przykładał. Camille i Irène przedarli się przez gąszcz pokrzyw i kluczem od niepamiętnych czasów chowanym pod ceramiczną doniczką otworzyli drzwi, które głucho zaskrzypiały.

Ogołoczone pomieszczenie robiło wrażenie jeszcze większego niż zwykle. Irène bez najmniejszego skrępowania zwiedzała wewnątrz, spoglądając tylko pytająco na Camille'a, ilekroć chciała odwrócić jakiś blejtram lub zanieść obraz do okna, by obejrzeć go w świetle. Camille nie ruszał się z miejsca, na którym siadywał jego ojciec podczas swoich samotnych wizyt. Irène, która z zaskakującą trafnością komentowała obrazy jego matki, przez dłuższą chwilę przyglądała się jednej z ostatnich jej prac, nieukończonej mozaice głębokich czerwieni, jak gdyby z wściekłością rzuconych na płótno. Trzymała je w wyciągniętej ręce i Camille widział tylko rewers. Swoim dużym rozstrzelonym piśmem Maud kredą napisała na nim: *Dojmujący ból*.

To była jedna z niewielu prac, które zgodziła się zatytułować.

Opuszczając ramię, by odstawić obraz, Irène ujrzała, że Camille płacze. Przez długą chwilę go do siebie przytulała.

Nigdy więcej już tam nie pojechał.

– Pomyślę o tym – powiedział w końcu.

– Będzie, jak postanowisz – odparł ojciec, powoli dopijając kawę. – Zresztą i tak pieniądze będą dla ciebie. Dla twojego syna.

Zawibrowała komórka, dając Camille'owi znak, że przyszedł SMS od Louisa: „Lambert wyfrunął z gniazdka. Obserwujemy? Louis”.

– Muszę już iść. – Camille wstał.

Ojciec spojrział na niego z tym samym co zwykle zdziwieniem, zaskoczony, że czas tak szybko upłynął, że syn musi już iść. Ale w głowie Camille'a odzywał się zawsze dziwny sygnał, podpowiadający mu, że pora się pożegnać. Od tego momentu nie mógł usiedzieć w miejscu, tak bardzo chciał już wyjść, tak pilnie musiał już wyjść.

– A ten dziennikarz... – zaczął ojciec, wstając.

– Zapomnij o tym.

Pocałowali się i po chwili Camille stał na chodniku. Nie był zaskoczony, kiedy spojrzawszy w okna mieszkania, ujrzał ojca opartego o poręcz balkonu i unoszącego dłoń pożegnalnym gestem, który często kazał mu myśleć o dniu, kiedy zobaczy go po raz ostatni.

## 8

Zadzwoił do Louisa.

– Wiemy już trochę więcej o Lambercie – powiedział Louis. – Drugiego, zaraz po wyjściu na warunkowe, wrócił do domu. Z tego, co mówi jego otoczenie, był w dobrej formie. Jeden z jego kontaktów, niejaki Mourad, diler z Clichy, twierdzi, że wybrał się w podróż, to był wtorek. Podobno był z nim Daniel Royet, cyngiel, o którym też nie mamy żadnych wieści. I od tamtej pory nic. Postawimy

obserwatorów u Lamberta.

– Gustave będzie chciał się zabezpieczyć. Mamy na to dwa dni, nie więcej. Bo później Lambert zniknie na dłużej...

Omówili rozlokowanie ekip mających obserwować miejsca, w które mógł się udać Lambert. W grę wchodziły zwłaszcza dwa adresy. Za sprawą cudu bądź daru perswazji – zresztą Le Guen wiedział, że Camille ma za mało ludzi, by to obsłużyć – Camille dostał dwie dodatkowe ekipy, których koordynację przejął Louis.

## 9

Położył na biurku stos książek: *Tajna sprawa, Rekwiem dla Browna, Dolina samobójców, Zabójca na drodze* oraz *Kwartet Los Angeles*, na który składały się *Czarna Dalia, Wielkie nic, Tajemnice Los Angeles* i *Biała gorączka*. I na koniec *Amerykański spiszek*.

Sięgnął na chybił trafił po jedną z nich. *Biała gorączka*. Nie był to bynajmniej wybór przypadkowy. Postać kobiety na okładce dziwnie przypominała tę z *Czarnej Dalii*. Technika, styl rysunku i typ urody były na obu okładkach podobne, nawet jeśli dziewczyna z *Białej gorączki* miała pełniejszą twarz, fryzurę bardziej bujną i wypracowaną, mocniejszy makijaż i kolczyki w uszach. Ilustrator nawiązał tu do typu hollywoodzkiego, nieco wulgarnego wampa, rezygnując z tej spontaniczności, z jaką przedstawił *Czarną Dalię*. Camille nie przemyślał jeszcze ewentualnego podobieństwa tych trzech młodych kobiet. Jeśli bez trudu można się było doszukać podobieństwa między Évelyne Rouvray i Josiane Debeuf z Courbevoie, to co te dwie mogły mieć wspólnego z Manuelą Constanzą z Tremblay?

Na podkładce nagryzmolił trzy słowa, dopisał „Louis” i dwukrotnie podkreślił.

– To żmudna robota...

„Żmudna”... Na Boga, skąd Louis brał takie słowa?

– To jest twoja porcja. A to moja – powiedział Camille.

– Aha.

– Szukamy wielkiego apartamentu, dwóch zgwałconych i poćwiartowanych dziewczyn. Będziemy musieli czytać po łebkach.

Pierwsze książki wydały mu się raczej klasykami. Prywatni detektywi, popijając kawę i jedząc pączki, gnuśnieli w nędznych biurach nad stertami niezapłaconych rachunków. Sfiksovani zabójcy raptem folgowali swoim psychopatycznym impulsom. A potem styl się zmieniał, stawał się coraz bardziej odjechany, coraz bardziej dosadny. James Ellroy zaczynał ukazywać okrucieństwo w stanie czystym. Miejskie szumowiny jawiły się jako metafora zdemoralizowanej i odartej ze złudzeń ludzkości. Miłość nabierała cierpkiego posmaku ulicznych dramatów. Do głosu dochodziły sadyzm, przemoc, okrucieństwo, nasze najniższe fantazmaty z całym korowodem krzywd i odwetów, maltretowanych kobiet i krwawych zbrodni.

Popołudnie szybko upłynęło.

Przy pierwszych oznakach zmęczenia Camille poczuł pokusę, by te setki stron, które mu jeszcze zostały, przejrzeć bardziej po łebkach, w trakcie pobieżnej lektury szukając jedynie kilku kluczowych słów... tylko jakich? Ale jej nie uległ. Ileż to razy dochodzenie utknęło w miejscu lub zakończyło się porażką, ponieważ śledczy działał zbyt szybko, zrezygnował z niezbędnej sumienności? Ilu anonimowych zbrodniarzy zawdzięczało wolność niestaranności zmęczonych policjantów?

Co godzinę wychodził z gabinetu i w drodze do ekspresu z kawą przystawał na progu gabinetu Louisa, w którym ten pracował z powagą studenta teologii. Spoglądali na siebie bez słowa, gdyż ich spojrzenia i tak wystarczająco wiele mówiły o tym, że ich poszukiwania z obiecujących stają się coraz bardziej zniechęcające, że wynotowane tu i ówdzie fragmenty po ponownej lekturze okazują się całkiem

bezużyteczne i tak już pewnie zostanie aż do chwili wyczerpania i książek, i ludzi.

Camille na czystej kartce papieru robił notatki. Wykaz był absolutnie przygnębiający. Wyrostek uduszony majtkami pełnymi kleju, naga kobieta powieszona głową w dół nad własnym łóżkiem, inna uśmiercona strzałem w serce i przepołowiona piłą do metalu, trzecia zgwałcona i zasztyletowana... Świat zbrodni zaludniony świrami działającymi bardziej w afekcie niż z premedytacją, pełen podejrzanych interesów i porachunków, dość odległy od metodycznej staranności zabójcy z Courbevoie i Tremblay. Jedynym uderzającym podobieństwem pozostawała Czarna Dalia, ale istniała głęboka przepaść między jej niewątpliwą zbieżnością ze zbrodnią w Tremblay a dość mglistymi zbieżnościami, jakich można się było w niej tu i ówdzie dopatrzeć ze zbrodnią z Courbevoie.

Louis sporządził własną listę. Kiedy wszedł, Camille obrzucił go pytającym spojrzeniem i od razu zorientował się, że dopisało mu nie więcej szczęścia niż jemu. Z roztargnieniem zerknął do notesu, w którym Louis swoim wystudiowanym charakterem pisma wynotował własne odkrycia: strzały z rewolweru, ciosy zadane nożem, kastetem, kilka gwałtów, kolejna powieszona ofiara...

– Trudno, jest, jak jest – powiedział Camille.

## 10

O osiemnastej cała ekipa spotkała się w jego gabinecie w celu podsumowania dnia pracy.

– Kto zaczyna? – zapytał Camille.

Tamci popatrzyli na siebie. Camille westchnął.

– Ty, Louis.

– Przejrzeliśmy pobieżnie inne tytuły Jamesa Ellroya; szef myśl... Przepraszam – powiedział, gryząc się w język.

– Dwie rzeczy, Louis – przerwał mu z uśmiechem Camille. – Po pierwsze, dobrze, że się z tym „szefem” w porę wstrzymałeś, bo wiesz, co o tym myślę. A po drugie, z tymi książkami to, proszę, nie ściemniaj.

– W porządku – powiedział Louis i też się uśmiechnął. – Prawdę mówiąc, przejrzelśmy prawie wszystkie tytuły Jamesa Ellroya i nie znaleźliśmy nic, co usprawiedliwiłoby hipotezę o powieleniu zbrodni z książki. Tak lepiej?

– Znakomicie, Louis, jesteś dżentelmenem. Dodam, że straciliśmy na to całe pół dnia. I myślę, że na ten temat to byłoby już wszystko...

Pozostali uśmiechem skwitowali jego słowa.

– A ty, Maleval, masz coś?

– Co jest poniżej „nic”?

– Mniej niż nic – odpowiedział Louis.

– Trzykrotne nic – zaryzykował Armand.

– A więc mniej niż trzykrotne nic. Na imitacji krowiej skóry nie ma żadnej marki, której tropem zakupu lub pochodzenia można by pójść. Czarno-biała tapeta w łazience nie została wyprodukowana we Francji. Jutro mam dostać wykaz głównych producentów za granicą. Pewnie będzie ich z pięciuset, skromnie licząc. Zacznę szukać po całym świecie, ale nie sądzę, żeby nasz człowiek kupił ją na siebie, podając własne dane osobowe.

– Faktycznie, mało to prawdopodobne – zgodził się Camille. – A dalej?

– Za pokój w hotelu Mercure, gdzie Évelyne Rouvray po raz pierwszy spotkała się z klientem, swoim przyszłym mordercą, zapłacono gotówką. Nikt niczego nie pamięta. Z kolei laboratorium nie udało się odtworzyć numerów seryjnych sprzętu wideo, telewizora, walkmana i tak dalej. Każde z tych urządzeń sprzedawane jest w tysiącach egzemplarzy. Tu trop się urywa.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– Owszem, kolejna ślepa uliczka, skoro pan sobie życzy.

– Mimo wszystko powiedz.

– Nagranie wideo to fragment z amerykańskiego programu telewizyjnego, który leci co tydzień na kanale US-Gag. Bardzo popularnego programu. Fragment nagrany na taśmie pochodzi sprzed czterech lat.

– Gdzie to znalazłeś?

– Na jedynce telewizji francuskiej. Kupili ten serial. Jest tak denny, że nawet oni zrezygnowali z emisji i tylko najlepszymi w ich pojęciu kawałkami zapychają luki w programie. Ten numer z psem, który obiera pomarańczę, puścili siódmego lutego tego roku. Facet mógł to wtedy nagrać. A tekturka z zapałkami jest podrabiana. Wyjściowo to zwykłe zapałki, jakie można kupić w każdym tabaku. Napis „Pallio” został wykonany na kolorowej drukarce, jakich we Francji jest ponad czterysta tysięcy. Również papier, który do tego posłużył, jest całkiem zwyczajny, powszechnie używany. Tak samo jak klej do wykładziny, którym został przyklejony.

– „Pallio” to pewnie nazwa klubu nocnego czy czegoś w tym rodzaju.

– Pewnie tak... Albo baru... Co wychodzi prawie na jedno.

– Tak, wychodzi dokładnie na jedno: że nie wiemy nic.

– Można tak powiedzieć.

– Niezupełnie – odezwał się Louis, nie unosząc oczu znad notesu.

Maleval i Armand spojrzeli na niego.

– Louis ma rację – podjął Camille. – To nie to samo. To najwyższy stopień inscenizacji. Mamy dwie grupy wskazówek. Obiekty masowej produkcji, których tropem nie da rady pójść, oraz te, których nabycie było wynikiem drobiazgowych przygotowań... Jak ta twoja japońska kanapa – dodał, patrząc na Armanda.

Wyrwany z zamyślenia Armand szybko zajrzał do notesu.

– A, tak... Tyle że tego Dunforda, o którym mowa, nie możemy namierzyć. Fałszywe nazwisko, płatność międzynarodowym przelewem, odbiór zamówienia w magazynie meblowym w Gennevilliers na nazwisko – sprawdził w notesie – Peace. Jednym słowem tu też nici.

– Peace... – powtórzył Maleval. – Peace, jak „pokój”? Zabawne...

– Pociężne – rzucił Camille.

– Po co używać obcych nazwisk? – zapytał Louis. – To jednak daje do myślenia...

– Moim zdaniem facet jest snobem – zaopiniował Maleval.

– Co jeszcze? – zapytał Camille.

– Ciekawsza jest za to sprawa tego czasopisma – odezwał się Armand. – To znaczy, trochę ciekawsza... To wiosenny numer „Gentlemen’s Quaterly”, amerykańskiego pisma z modą męską.

– Angielskiego – sprostował Louis.

Armand sprawdził w notesie.

– Tak, masz rację, angielskiego.

– A w czym... ciekawsza? – spytał niecierpliwie Camille.

– Pismo jest sprzedawane w angielskich i amerykańskich księgarniach. Ale tak znów wiele ich nie ma. Zadzwoń do dwóch czy trzech i bingo: w księgarni Brentano’s na avenue de l’Opéra jakiś mężczyzna trzy tygodnie temu zamówił stary numer, konkretnie z marca.

Armand znów zajrzał do notatek, najwyraźniej pragnąc szczegółowo odtworzyć trop, którym poszedł.

– Streszczaj się, Armand... – popędził go Camille.

– Już mówię. Mężczyzna odebrał zamówienie, sprzedawczyni jest tego pewna. Zjawił się w sobotę po południu. Tego dnia i o tej porze w księgarni jest pełno ludzi. Zapłacił gotówką. Dziewczyna nie

pamięta, jak wyglądał. Mówi: „Jakiś mężczyzna”. W następnym tygodniu, tego samego dnia i o tej samej godzinie przyszedł znowu i z podobnym skutkiem. Dziewczyna go nie pamięta.

– Nieźle... – powiedział Maleval.

– Tak samo zawartość walizki nic nie wnosi. Nadal szukamy. Wszystko to rzeczy luksusowe, ale jednak dość dostępne i trzeba by szczęścia...

Nagle Camille coś sobie przypomniał.

– Louis... Jak się nazywa ten facet?

Louis, jakby z węchem psa myśliwskiego podążający tropem myśli Camille'a, od razu odpowiedział:

– Haynal. Jean. Żadnego śladu. W kartotece policyjnej go nie ma. Kazałem go szukać... oszczędzę panu szczegółów. Albo osobnicy nazywający się Jean Haynal, których znajdujemy, nie są w tym wieku, albo już nie żyją, albo, i to od dawna, mieszkają daleko. Szukamy dalej, ale tu również widoki są raczej niewielkie.

– Trudno – odparł Camille.

Bilans był rzeczywiście przygnębiający, ale mieli przynajmniej jakiś trop. Brak śladów, drobiazgowość przygotowań nie były sprawą przypadkową i same w sobie stanowiły wskazówkę. Camille przypuszczał, że wcześniej czy później wszystko zbiegnie się w jakimś niewiadomym jeszcze punkcie; przeczuwał, że w przeciwieństwie do innych spraw, które powoli, jak stopniowo wywoływana fotografia, zaczynały nabierać kształtów, ta będzie należała do innego rodzaju. W niej wszystko się wyjaśni nagle. To tylko kwestia cierpliwości i uporu.

– Louis, spróbuj znaleźć punkty wspólne w życiorysie obu dziewczyn z Courbevoie i tej z Tremblay, miejsca, w których, mogły bywać, nawet się nie znając, kontakty, żeby sprawdzić, czy nie miały jakiegoś wspólnego znajomego, wiesz, o co chodzi...

– Dobrze – powiedział Louis, zapisując polecenia.

Trzy notesy jednocześnie się zamknęły.

– Do jutra – rzucił na pożegnanie Camille.

Wyszli z gabinetu.

Kilka minut później wrócił Louis ze stosem przejrzanych książek, które położył na biurku szefa.

– Szkoda, co? – zapytał Camille z rozbawieniem.

– Tak. Wielka. To byłoby eleganckie rozwiązanie...

A potem, wychodząc z gabinetu, odwrócił się i dodał:

– Może nasz zawód nie jest aż tak książkowy...

Może faktycznie nie, zgodził się w myślach Camille.

## 1

– Myślę, że pani Deschamps się to nie spodoba, Camille.

*Courbevoie – Tremblay-en-France*

*Fikcja, lecz fikcja bardzo prawdziwa.*

*Sędzia Deschamps, której podlega śledztwo w sprawie podwójnej zbrodni w Courbevoie, ujawniła, że podrabiany odcisk palca znaleziony na miejscu zdarzenia łączy tę sprawę z popełnionym w listopadzie 2001 roku morderstwem młodej, dwudziestoczteroletniej prostytutki Manueli Constanzy, której przepołowione zwłoki znaleziono na wysypisku miejskim. Wszystko wskazuje na to, że prowadzący śledztwo inspektor Verhoeven ma do czynienia z seryjnym mordercą. To, co w zasadzie powinno ułatwić rozwiązanie sprawy, wprost przeciwnie, zdaje się jeszcze bardziej ją komplikować. Pierwsze zaskoczenie: metoda. Zwykle seryjni mordercy popełniając kolejne zbrodnie, używają podobnych technik. Tymczasem pod tym względem obu spraw zdaje się nic nie łączyć. Sposób, w jaki te młode kobiety zostały uśmiercone, jest tak odmienny, że wręcz powstaje pytanie, czy odcisk palca znaleziony w Courbevoie nie jest aby fałszywym tropem. Chyba że...*

*Chyba że wyjaśnienie jest całkiem inne i że obie sprawy łączą te właśnie różnice. Taką przynajmniej hipotezę zdaje się stawiać inspektor Verhoeven, doszukując się uderzającego podobieństwa między zbrodnią w Tremblay-en-France i... książką amerykańskiego autora Jamesa Ellroya. W dziele tym...*

Camille gwałtownie złożył gazetę.

– Szlag!

Znów ją otworzył i przeczytał zakończenie artykułu.

*...Możemy się jednak założyć, że mimo tych niewątpliwych zbieżności „książkowa” hipoteza Verhoevena nie zyska gorącego uznania ze strony znanej z pragmatyzmu pani sędzi Deschamps. A na razie oczekujemy od inspektora Verhoevena tropów mniej... fikcyjnych.*

## 2

– To wariat.

– Możliwe, ale bardzo dobrze poinformowany.

Le Guen, jak wieloryb wtłoczony w swój przepastny fotel, bacznie spojrzał na Camille’a.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Sam nie wiem... I wcale mi się to nie podoba.

– Pani Deschamps też nie – przyznał Le Guen. – Zadzwoiła do mnie skoro świt.

Camille spojrzał na niego pytająco.

– Zachowuje spokój. Nie takie już rzeczy widziała. Wie, że nie ma w tym twojego udziału. Co nie zmienia faktu. Jest taka jak wszyscy. W takich sytuacjach można sobie zachowywać spokój, a na koniec i tak człowiek się wkurzy.

Camille dobrze o tym wiedział. Przed wizytą u Le Guena zajrzał do biura. Już pół tuzina redakcji gazet, dziennikarze z radia i trzy kanały telewizji domagały się potwierdzenia informacji dostarczonych przez „Le Matin”. W oczekiwaniu na przyście szefa Louis – elegancki garnitur z surowego jedwabiu, stosowna koszula, bladeżółte skarpetki – pełnił funkcję recepcjonisty i co dwadzieścia sekund odgarniając – lewą ręką – włosy z czoła, z istic brytyjską flegmą uprawiał sztukę uniku.

– Zebranie – zarządził głuchym głosem Camille.



Chwilę potem do gabinetu weszli Maleval i Armand. Z kieszeni kurtki tego pierwszego wystawał dzisiejszy, już pokreślony na zielono program wyścigów konnych, drugi trzymał w ręku złożoną w kwadrat kartkę żółtego papieru i ołówek z logo Ikei. Camille na nikogo nie patrzył. W powietrzu wisiała burza.

Otworzył gazetę na czwartej stronie.

– Ten facet jest BARDZO dobrze poinformowany – oświadczył. – To nam teraz znacznie bardziej utrudni zadanie.

Maleval jeszcze nie czytał artykułu. Armand, w co Camille nie wątpił, przeczytał go już na pewno. Znał jego technikę. Armand wychodził z domu dobre pół godziny wcześniej i zajmował pozycję na peronie stacji, która nie była jego stacją, ale na której mógł mieć oko na trzy kosze z papierowymi śmieciami. Ilekroć pasażer wyrzucał gazetę, Armand podrywał się, sprawdzał tytuł, i z powrotem siadał. W kwestii porannej prasy był bardzo wymagający: cenił tylko „Le Matin”. Z powodu krzyżówek.

Skończywszy lekturę, Maleval z podziwem cicho gwizdnął i odłożył gazetę na biurko szefa.

– No właśnie... – skwitował to Camille. – Wiem, że w tę sprawę wmieszanych jest wiele osób. Chłopaki z laboratorium, z biura kryminalistyki, współpracownicy sędzi Deschamps... to mogło wyjść od kogokolwiek. Ale teraz tym bardziej musimy uważać. Czy to jasne?

I od razu pożałował tego pytania, które mogło zabrzmieć oskarżycielsko.

– Jedyne, o co was proszę, to żebyście wzięli przykład ze mnie. Gęba na kłódkę.

Rozległ się pomruk aprobaty.

– O Lambercie wciąż nic? – zapytał tonem celowo pojednawczym.

– Nie mogliśmy szukać na zbyt dużą skalę, popytaliśmy tu i ówdzie, dyskretnie, żeby nie wywołać paniki wśród jego kontaktów. Gdyby się dowiedział, że go szukamy... Mamy potwierdzenie, że zniknął, ale żadnej wskazówki, kiedy ani dokąd pojechał, ani miejsca, gdzie może przebywać obecnie.

Camille przez chwilę się namyślał.

– Jeśli za dzień lub dwa nic nie będziemy mieli, urządzimy obławę wśród jego znajomków i spróbujemy to wyjaśnić. Maleval, przygotuj listę, żebyśmy byli gotowi, jak przyjdzie co do czego.

### 3

Po powrocie do gabinetu Camille spojrzął na stos książek na swoim biurku i zniechęcony westchnął. Na podkładce, w wolnym miejscu pośród mrowia rysunków, które ciągle szkicował, gdyż pomagało mu to myśleć, zanotował:

*Tremblay = Czarna Dalia = Ellroy*

W chwili gdy próbował się skupić nad świeżo sporządzoną notatką, jego spojrzenie padło na książkę, którą kupił w księgarni i kompletnie o niej zapomniał. *Powieść detektywistyczna – tematyka.*

Odwrócił ją i na okładce z tyłu przeczytał:

*Powieść detektywistyczną przez długi czas uważano za pośledni gatunek literacki. Musiało upłynąć z górą sto lat, by zyskała prawa obywatelskie w kręgu „prawdziwej” literatury. Długotrwałe jej zepchnięcie do rzędu podliteratury wynikało z wyobrażenia, jakie czytelnicy, autorzy i wydawcy przez długi czas mieli o tym, co jakoby jest literackie i jako takie wchodzi w skład naszych nawyków czytelniczych, ale wiązało się również, jak powszechnie uważano, z samą jej tematyką, a mianowicie zbrodnią. Ten fałszywy pewnik, równie odwieczny jak ów gatunek, zdaje się nie przyjmować do wiadomości, że morderstwo oraz proces śledztwa zajmują poczesne miejsce w twórczości autorów uchodzących za największych klasyków, od Dostojewskiego po Faulknera, od literatury średniowiecznej po Mauriaca. W literaturze wątek zbrodni ma rodowód równie długi jak wątek miłości.*

– Znakomita książka – powiedział księgarz, widząc, że Camille ją przegląda. – Ballanger to prawdziwy znawca, wielki specjalista. Szkoda, że jest autorem tylko tego jednego dzieła.

Camille przez chwilę wyglądał przez okno. W jego obecnej sytuacji... Spojrzał na zegarek i sięgnął po telefon.

## 4

Z zewnątrz budynek uniwersytetu przypominał trochę szpital, do którego nikt z własnej woli nie chciałby trafić. Z piętra na piętro system oznaczeń stawał się coraz bardziej nieczytelny, a strzałki wskazujące, jak dojść do katedry literatury współczesnej, gubiły się w labiryncie korytarzy obwieszonych planami zajęć i apelami o solidarność dla wszelkiej maści ugrupowań.

Na szczęście kierowana przez Fabiena Ballangera katedra: „Literatura detektywistyczna: Czarna Seria” zajmowała miejsce na samym dole tablicy informacyjnej, na dogodnej dla Camille’a wysokości.

Pół godziny zajęło mu szukanie sali, w której około trzydziestu studentów słuchało wykładu. Nie chcąc go zakłócać, następne pół godziny spędził w wielkiej kafeterii przyjemnie pachnącej ziołem, po czym wrócił do sali wykładowej akurat w porę, by zdążyć zająć miejsce w kolejce młodych ludzi do wysokiego, szczupłego mężczyzny, który każdemu z nich udzielał lakonicznych odpowiedzi, nie przestając gorączkowo grzebać w czarnej teczce, po brzegi wypełnionej papierami. Grupki innych studentów w sali prowadziły rozmowy tak głośne, że Camille musiał podnieść głos, żeby go usłyszano.

– Inspektor Verhoeven. Przed chwilą do pana dzwoniłem...

Ballanger spojrział w dół na Camille’a i przestał przeszukiwać teczkę. Nosił szarą, bardzo luźną marynarkę. Nawet kiedy nic nie robił, miał zatroskane, zaaferowane spojrzenie człowieka, który niezależnie od okoliczności zawsze myśli. Zmarszczył teraz brwi, dając do zrozumienia, że nie przypomina sobie tej rozmowy.

– Inspektor Verhoeven, Policja Kryminalna.

Wykładowca powiódł wzrokiem po sali, jakby kogoś szukał, i oświadczył:

– Mam mało czasu...

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa trzech młodych kobiet, które pokrojono na kawałki. Mnie również się spieszy.

Ballanger znów na niego spojrział.

– Nie bardzo rozumiem, co ja...

– Jeśli poświęci mi pan kilka minut, wszystko panu wyjaśnię – przerwał mu Camille.

Ballanger powoli podciągnął rękawy marynarki takim gestem, jakim inni poprawiają na nosie okulary. I wreszcie, choć wyraźnie na siłę, uśmiechnął się. Nie był z tych, co to uśmiechają się z byle powodu.

– Zgoda. Niech mi pan da dziesięć minut.

Wystarczyły mu trzy. Wyszedł na korytarz, na którym czekał Camille.

– Mamy jakiś kwadrans – oznajmił, ściskając z ciekawością dłoń Camille’a, jakby dopiero teraz się spotkali. Camille musiał przyspieszyć kroku, by nadążyć za nim w labiryncie korytarzy.

Pod drzwiami swojego gabinetu Ballanger zatrzymał się, wyjął trzy klucze i otworzył po kolei trzy zamki, wyjaśniając:

– Zwinęli nam komputery... w zeszłym roku dwa razy.

Wpuścił Camille’a do środka. Trzy biurka, trzy ekrany komputerów, kilka półek z książkami i cisza jak na pustyni. Uczony wskazał gościowi fotel, sam usiadł naprzeciwko i nic już nie mówiąc, wlepił w niego uważny wzrok.

– Kilka dni temu w pewnym mieszkaniu w Courbevoie znaleziono poćwiartowane ciała dwóch

młodych dziewczyn. Mamy bardzo mało danych. Wiemy, że były poddane seksualnym torturom...

– Tak, w rzeczy samej, słyszałem o tym – powiedział Ballanger.

Wspierając łokcie na szeroko rozstawionych kolanach, wpatrywał się w Camille'a z wyężoną uwagą, jakby chciał mu dopomóc w poczynieniu jakiegoś wyjątkowo przykrego wyznania.

– Ta zbrodnia wykazuje podobieństwa z inną, dawniejszą. Z morderstwem innej młodej kobiety, której ciało, przepołowione w talii, znaleziono na miejskim wysypisku. Czy coś to panu mówi?

Ballanger pobladł, gwałtownie się wyprostował.

– A powinno? – spytał oschłym tonem.

– Nie, w żadnym wypadku – uspokoił go Camille. – Zwracam się z tym pytaniem do pana jako naukowca.

Kontakty między ludźmi nieraz przypominają linię szyn kolejowych. Kiedy szyny się rozchodzą, oddalają od siebie, należy poczekać do zwrotnicy, licząc, że na nowo pobiegą równoległym torem. Ballanger poczuł się jak człowiek na cenzurowanym. Camille zaproponował zwrotnicę.

– Być może obiała się panu o uszy ta sprawa. To było w listopadzie w dwa tysiące pierwszym roku, w Tremblay-en-France.

– Rzadko czytuję gazety – odparował Ballanger.

Camille poczuł, że wykładowca lekko zeszywniał.

– Nie rozumiem, co mógłbym mieć wspólnego z dwoma...

– Ależ nic, panie Ballanger, nic zupełnie. Zwróciłem się z tym do pana tylko dlatego, że morderstwa te mogłyby mieć jakiś związek (to rzecz jasna tylko hipoteza) ze zbrodniami opisanymi w kryminałach.

– To znaczy?

– Nie wiemy. Zbrodnia w Tremblay dziwnie przypomina sprawę opisaną przez Jamesa Ellroya w *Czarnej Dalii*.

– Ciekawe!

Nie wiadomo było, czy reakcja Ballangera wyraża więcej ulgi czy zaskoczenia.

– Zna pan tę książkę?

– Oczywiście. A... co nasunęło panu skojarzenie...

– Nie bardzo mogę zdradzić szczegóły śledztwa. Ale stawiamy hipotezę, że między tymi dwiema zbrodniami istnieje związek. A ponieważ pierwsza zdaje się żywcem powielać zbrodnię opisaną w książce Ellroya, zastanawiamy się, czy inspiracji dla drugiej...

– ...również nie dostarczyła jakaś inna książka tego autora!

– Nie, to już sprawdziliśmy. Myślę raczej, że pozostałe zbrodnie mogły wzorować się na jakichś innych tytułach. Niekoniecznie Ellroya.

Ballanger z powrotem wsparł łokcie na kolanach, podparł dłonią podbródek, spuścił wzrok.

– I pyta mnie pan...

– Powiem tylko tyle, że w materii kryminałów jestem raczej dyletantem. Moja znajomość tego gatunku jest, no... powierzchowna. Szukam kogoś, kto mógłby mi pomóc, i pomyślałem o panu.

– Czemu akurat o mnie?

– Pana książka o literaturze detektywistycznej. Pomyślałem, że może...

– Och, to stara rzecz. Wymagałaby uaktualnienia. Od tamtej pory wiele się zmieniło.

– Mógłby pan nam pomóc?

Ballanger podrapał się po brodzie. Miał zakłopotaną minę lekarza zmuszonego przekazać złe wieści.

– Nie wiem, czy studiował pan na uniwersytecie, panie...

– Verhoeven. Tak, skończyłem prawo na Sorbonie. Fakt, że dawno temu.

– Och, te sprawy aż tak się nie zmieniły. Nadal pozostajemy fachowcami.

– Właśnie dlatego przyszedłem.

– Niezupełnie to miałem na myśli... Zająłem się literaturą detektywistyczną. To bardzo szeroka dziedzina. Moje badania dotyczyły tematyki książek z kolekcji Czarnej Serii. Wyłącznie Czarnej Serii. Ograniczyłem się wręcz do tysiąca pierwszych tytułów. Znam je bardzo dobrze, ale to w końcu tylko tysiąc książek z dziedziny, która liczy kilka milionów pozycji. Badania nad tą problematyką zmusiły mnie oczywiście do wypadów poza Czarną Serię. Wspomniany przez pana James Ellroy nie był w niej wydawany, nie należy, przynajmniej dotąd, do klasyków gatunku. Znam go, bo go czytałem, ale nie mogę uważać się za eksperta...

Camille się zirytował. Ballanger mówił jak belfer tłumaczący się, że przeczytał za mało książek.

– Czyli? – zapytał krótko.

Tamten posłał mu spojrzenie pełne niedowierzania i irytacji, jakie pewnie rezerwował dla najgorszych studentów.

– Czyli jeśli sprawy, o których pan mówi, wchodzą w skład mojego zbioru, być może zdołam panu pomóc. Ale zaznaczam, to zbiór bardzo ograniczony.

Źle trafił. Camille sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął dwie złożone kartki i wręczył je Ballangerowi.

– Tu znajdzie pan zwięzły opis sprawy, o której mówiłem. Gdyby mógł pan mimo wszystko rzucić na to okiem... Nigdy nie wiadomo...

Ballanger rozłożył kartki, ale postanowił odłożyć lekturę na później i schował je do kieszeni.

W tym momencie w kieszeni Camille'a zawibrowała komórka.

– Wybacz pan? – spytał, nie czekając na odpowiedź.

To Louis. Szybko wyjął notes i nagryzmolił kilka znaków zrozumiałych chyba tylko dla niego.

– Spotkamy się na miejscu – rzucił i szybko wstał.

Zaskoczony Ballanger natychmiast się poderwał, jak kopnięty prądem.

– Obawiam się, panie Ballanger – powiedział Camille, zmierzając do drzwi – że niepotrzebnie zawracałem panu głowę...

– Oo... – Ballanger był dziwnie zawiedziony. – To nie było to?

Tknięty nagłą myślą Camille odwrócił się do niego. I jakby ta myśl zwała go nagle z nóg, wyjaśnił:

– Bardzo możliwe, że niebawem będę jednak zmuszony poprosić pana o pomoc.

W taksówce wiozącej go do śródmieścia, zadawszy sobie pytanie, czy w całym swoim życiu przeczytał tysiąc książek, zaczął je liczyć, przyjmując średnio dwadzieścia tytułów rocznie (w dobrych latach), zaokrąglił rachunek do czterystu i oddał się gorzkiej refleksji nad swoim odczytaniem.

## 5

Ulica Cardinal-Lemoine. Staroświecka księgarnia. Nic wspólnego z rozjarzonymi przestrzeniami wielkich bookstore'ów. Tutaj królowało rękodzieło, wypastowane parkiety, półki z lakierowanego drewna, drabinki z gładzonego aluminium, przyćmione światło. W atmosferze tego miejsca było coś spokojnego i imponującego, coś, co zmuszało do odruchowego ściszenia głosu. Co dawało przedsmak wieczności. Obok drzwi stelaż z fachową prasą, pośrodku stół uginający się pod przeróżnego formatu książkami. Na pierwszy rzut oka całość sprawiała wrażenie lekko przykurzonego nieładu, ale bardziej uważne oko dostrzegało, że wewnątrz jest starannie utrzymane i że rządzi się własną logiką. Na prawo od wejścia rzędy książek miały jaskrawożółte grzbiety, dalej, po drugiej stronie, znajdowała się, zapewne kompletna, kolekcja Czarnej Serii. Tu wchodziło się nie tyle do księgarni, ile w świat kultury. Przystąpiwszy próg, wkraczało się do świątyni znawców tematu, skrzyżowania zakonu z sektą.

Kiedy weszli, w pomieszczeniu było pusto. Na dźwięk brzęczyka u drzwi wejściowych pojawił się,

jakby wychynawszy znikąd, wysoki czterdziestoletni mężczyzna o poważnej, niemal zatroskanej twarzy, w granatowych, niezbyt szykownych spodniach, w marynarce i w małych binoklach. Biła od niego pewność siebie i niejake samozadowolenie. „Jestem na własnym terytorium – zdawała się głosić jego wysoka szczupła postać. – Jestem gospodarzem tego miejsca. Jestem znawcą tematu”.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Podszedł do Camille’a, ale nie za blisko, jakby chciał uniknąć patrzenia na niego z góry.

– Inspektor Verhoeven.

– A, tak...

Odwrócił się, sięgnął do tyłu, i podał Camille’owi książkę.

– Czytałem o tym w gazetach. Moim zdaniem, nie ma tu najmniejszych wątpliwości...

Wydanie kieszonkowe. Żółtą zakładką księgarz zaznaczył jakiś fragment w środku książki. Camille patrzy najpierw na okładkę. Ukazany z góry mężczyzna w czerwonym krawacie, w kapeluszu i w rękawiczkach trzyma w ręku nóż. Stoi chyba na schodach, ale może nie.

Camille zakłada okulary, czyta stronę tytułową.

Bret Easton Ellis

*American Psycho.*

Copyright 1991. Wydanie francuskie rok późniejsze.

Przewraca jedną stronę, drugą. Autorem wstępu jest Michel Braudeau.

*Bret Easton Ellis, urodzony w 1964 roku w Los Angeles... Jego agent uzyskał dla niego zaliczkę w wysokości trzystu tysięcy dolarów za napisanie powieści o nowojorskim seryjnym mordercy. Otrzymał rękopis, wydawca odzłotał dolary i odrzucił rękopis. Był przerażony. Ale wydawnictwo Vintage nie miało takich oporów. Nie bacząc na skandal (lub z jego powodu), jaki wywołało zwykłe puszczenie w obieg kilku próbnych fragmentów, rzuciło wyzwanie opinii publicznej i organizacjom feministycznym... Ellis zmuszony był zatrudnić ochroniarza, mieszano go z błotem, grożono mu śmiercią. I w samych tylko Stanach Zjednoczonych sprzedał tysiące egzemplarzy American Psycho.*

Louis, który nie chce czytać nad ramieniem szefa, ogląda półki z książkami. Księgarz, założywszy ręce za plecami, stoi na lekko rozstawionych nogach i przez okno wygląda na ulicę. Camille czuje, że narasta w nim coś bardzo przypominającego ekscytację.

W miejscu zaznaczonym przez księgarza zakładką dzieją się potworne rzeczy. Camille w skupieniu zaczyna czytać. Od czasu do czasu kręci głową, mrużąc pod nosem: „To niemożliwe...”.

Louis nie wytrzymał i podszedł. Camille lekko odsuwa książkę, żeby mógł czytać razem z nim.

Strona 388.

*Północ. Rozmowa, którą prowadzę z dziewczynami – dwiema młodymi blond laskami z wielkim cycem – jest z konieczności krótka, bo aż rwę się do działania i ledwo mogę ten zapal utrzymać w ryzach<sup>[3]</sup>.*

Księgarz:

– Krzyżykiem zaznaczyłem akapity, które wydały mi się... znaczące.

Camille nie słucha, nie słyszy. Czyta:

*Ale przestaje mnie to kręcić [...]*

*Kiedy Torri odzyskuje świadomość, jest związana i leży na plecach, zwisając z łóżka. Ma zakrwawioną twarz, bo obciąłem jej wargi nożyczkami do paznokci. Po drugiej stronie leży Tiffany związana sześcioma parami szelek Paula. Jęczy ze strachu. Potworna rzeczywistość odebrała jej całkowicie rozum. Tężeje w bezruchu. Chcę, żeby widziała, co zrobię z Torri, sadzam ją w taki sposób, że nie ma wyboru, musi patrzeć. Jak zwykle próbuję zrozumieć, co kieruje takimi jak one, dlatego filmuję ich śmierć. Używam ultraminiaturowej kamery Minox LX z filmem 9,5 mm i obiektywem 15 mm*

f/3,5 oraz licznikiem wykorzystanej taśmy i wbudowanym filtrem gęstości naturalnej. Kamera stoi na statywie. Do przenośnego odtwarzacza kompaktowego, leżącego obok łóżka, włożyłem płytę *Traveling Wilburys*. Muzyka zagłusza wszystkie krzyki.<sup>[4]</sup>

– Cholera...! – mruczy pod nosem Camille.

Przesuwa wzrok po linijkach tekstu. Czyta coraz wolniej. Próbuje zebrać myśli. Na próżno. Litery, które chwilami tańczą mu przed oczami, zdają się go wchłaniać. Musi się skupić, w głowie nagle zaczynają mu się kłębić tysiące myśli, tysiące wrażeń.

*Potem odwracam ją na plecy – jest już bardzo osłabiona – i odcinam wargi oraz ciało w okolicach ust...\**

Camille unosi wzrok na Louisa. Widzi u niego, jak w odbiciu, wyraz własnej twarzy.

– Co to za książka...? – pyta Louis z miną pełną niedowierzania.

– Co to za facet? – odpowiada Camille, podejmując lekturę.

*Zanurzam rękę w brzuchu jednego z ciał i nad boazerią ze sztucznej wołowej skóry piszę krwią WRÓCIŁEM.\**

## 6

– Powiem tylko jedno: brawo.

– Chyba żartujesz...

– Nie, Camille – zapewnił Le Guen – bo nie wierzyłem w tę twoją historię. Cóż, przyznaję... Ale najpierw jedna rzecz.

– Mów – powiedział Camille, otwierając swoją skrzynkę mailową.

– Rozwiej moje wątpliwości: nie wystąpiłeś chyba o wgląd do europejskiego rejestru skazanych bez zgody sędzi Deschamps, co?

Camille zasznurował usta.

– Dopełnię formalności...

– Camille... – jęknął ze znużeniem Le Guen. – Czy i bez tego nie dość już mamy kłopotów? Przed chwilą do mnie dzwoniła. Jest wściekła. Zaraz pierwszego dnia ta historia z telewizją, następnego twoja autoreklama w gazecie, a teraz jeszcze to...! Kolekcjonujesz kłopoty, Camille. Teraz nie mogę już nic dla ciebie zrobić, nie mogę!

– Poradzę sobie z nią. Wytłumaczę...

– Sądząc z tonu, jakim ze mną rozmawiała, będzie ci raczej trudno. Tak czy inaczej, odpowiedzialność za twoje wygłupy zrzuca na mnie. Na jutro rano zwołała zebranie kryzysowe. Skoro świt.

A że Camille wciąż milczał:

– Słyszałeś, co powiedziałem, Camille? Skoro świt! Hej, Camille, jesteś tam?

– Mam tu pański faks, inspektorze Verhoeven.

Camille momentalnie wychwycił oschły, surowy ton sędzi Deschamps. W innych okolicznościach byłby gotów się pokajać. Ale tym razem obszedł tylko swoje biurko, bo drukarka była zbyt daleko, by mógł wyjąć kartkę z wydrukiem.

– Przeczytałam fragment książki, który mi pan przysłał. Wygląda na to, że pańska hipoteza była słuszna. Jak się pan domyśla, będę musiała spotkać się z prokuratorem. I od razu powiem, że nie tylko o tym zamierzam z nim rozmawiać.

– Owszem, domyślałam się, komisarz Le Guen do mnie zadzwonił. Proszę posłuchać, panie sędzio...

– Pani sędzio! – przerwała mu.

– Przepraszam, mam braki stylistyczne.

– Braki regulaminowe, to na pewno. Otrzymałam właśnie potwierdzenie, że obył się pan bez mojej zgody, występując o poszukiwania na płaszczyźnie europejskiej. Wie pan oczywiście, że jest to wykroczenie...

– Ciężkie?

– Poważne, inspektorze. I to mi się nie podoba.

– Proszę posłuchać, pani sędzio, ureguluję...

– Ależ inspektorze! Od regulowania jestem tu ja. Zdaje się pan zapominać, że to w mojej gestii leży udzielenie zezwolenia...

– O niczym nie zapominam, pani sędzio, ale nawet jeśli regulaminowo jestem w błędzie, to technicznie mam rację. Uważam wręcz, że słuszne z pani strony byłoby jak najszybsze dopełnienie owych formalności.

Zapadła złowróżbna cisza.

– Inspektorze Verhoeven – przemówiła w końcu sędzia Deschamps – myślę, że wystąpię do prokuratora o odebranie panu tego śledztwa.

– Wolno pani. Ale kiedy poprosi go pani, żeby mi je odebrał – dodał Camille, czytając jeszcze raz kartkę wyjętą z drukarki – niech mu pani również powie, że mamy na karku trzecią zbrodnię.

– Słucham?

– Na pani mandat europejski odpowiedział przed chwilą śledczy... – szybko poszukał w nagłówku maila nazwiska nadawcy – Timothy Gallagher z policji kryminalnej w Glasgow. Mają tam niewyjaśnioną zbrodnię z dziesiątego lipca dwa tysiące pierwszego roku. Na zamordowanej wówczas młodej dziewczynie znaleziono odcisk palca, o którym im wspomnieliśmy. Jeśli chce pani mojej rady, mój następca powinien jak najszybciej się z nim skontaktować...

Odłożywszy słuchawkę, Camille sięgnął po swoją listę:

*Tremblay = Czarna Dalia = Ellroy*

*Courbevoie = American Psycho = Ellis*

i dopisał:

*Glasgow = ? = ?*

## 7

Śledczy Gallagher był nieobecny, Louisa połączono z jego przełożonym, nadkomisarzem Smollettem, z akcentu sądząc czystej krwi Szkotem. Na pytanie Louisa nadkomisarz wyjaśnił, że Szkocja należy do ostatniej grupy krajów, które dołączyły do europejskiego systemu wymiany informacji między policjami Unii, co tłumaczyło, dlaczego nic nie wiedzieli o pierwszym zapytaniu w sprawie odcisku zostawionego przez mordercę z Tremblay.

– Spytaj go, jakie jeszcze kraje należą do tej grupy.

– Grecja i Portugalia – wyliczył Louis pod dyktando nadkomisarza Smolletta.

Camille zanotował, żeby wystąpić o poszukiwania do tamtejszych policji. Zgodnie z jego instrukcjami Louis poprosił o kopię z głównymi danymi sprawy oraz o obietnicę, że Gallagher jak najszybciej zadzwoni.

– Zapytaj, czy Gallagher mówi trochę po francusku.

Zasłaniając lewą ręką słuchawkę, Louis z pełnym uszanowaniem, zabarwionym nutką ironii uśmiechem przetłumaczył odpowiedź nadkomisarza:

– Ma pan szczęście, jego matka jest Francuzką.

Na zakończenie wymienił ze swoim rozmówcą kilka jeszcze uwag, odłożył słuchawkę i roześmiał się.

Widząc pytające spojrzenie Camille'a, wyjaśnił:

– Zapytałem, czy McGregor wrócił już do formy po kontuzji.

– McGregor...

– Ich rozgrywający. Dwa tygodnie temu w meczu z Irlandią został kontuzjowany. I jeśli w sobotę nie zagra, Szkocja praktycznie traci wszelkie szanse w spotkaniu z Francją.

– I...?

– Wrócił do formy – oznajmił Louis z uśmiechem zadowolenia.

– To ty się interesujesz rugby?

– Nie bardzo – odparł Louis. – Ale skoro potrzebujemy Szkotów, lepiej rozmawiać ich językiem.

## 8

Camille wrócił do domu o dziewiętnastej trzydzieści. Zatroškany. Mieszkał przy spokojnej uliczce w ruchliwej dzielnicy. Przypomniała mu się propozycja ojca. Być może zmiana miejsca zamieszkania nie była złym pomysłem. Zadzwońla jego komórka, spojrzal na ekran. Louis.

– Niech pan pamięta o kwiatkach... – powiedział tylko Louis.

– Dzięki, Louis, jesteś niezastąpiony.

– Mam nadzieję.

Na to mu przyszło, że współpracownik musiał mu przypominać, by pomyślał o własnej żonie. Zirytowany, bo minął kwiaciarnię i nawet jej nie zauważył, zawrócił na pięcie i dosłownie uderzył czołem w tors jakiegoś mężczyzny.

– Przepraszam...

– Nie ma za co, inspektorze, nie bolało.

Nim jeszcze uniósł głowę, rozpoznał jego głos.

– To teraz mnie pan śledzi? – zapytał zrozpaczony.

– Próbuję pana złapać.

Camille nic nie mówiąc, ruszył dalej. Oczywiście Buisson bez trudu dotrzymywał mu kroku.

– Nie uważa pan, że ta sytuacja zaczyna się trochę powtarzać? – spytał Camille, znieczeka przystając.

– Zdążymy się czegoś napić? – odpowiedział mu pytaniem Buisson, z zachęcającą miną wskazując kawiarnię, jakby obu ich bardzo ucieszyło to przypadkowe spotkanie.

– Może pan. Ja nie.

– To również zaczyna się powtarzać. Proszę posłuchać, inspektorze, przepraszam za ten artykuł. Byłem, jak to się mówi, dotknięty do żywego.

– Za który artykuł, pierwszy czy drugi?

Stali pośrodku niezbyt szerokiego chodnika, tarasując drogę pieszym, którzy spieszyli się, by zdążyć z zakupami przed zamknięciem sklepów.

– Pierwszy... Ten drugi był czysto informacyjny.

– Otóż to, panie Buisson, coś mi się widzi, że jest pan aż za dobrze poinformowany...

– To chyba minimum, jakiego można oczekiwać od dziennikarza, prawda? O to nie może pan mieć do mnie pretensji. Nie, jest mi przykro z powodu pańskiego ojca.

– Tym się pan chyba zbytnio nie przejmuje. Najwyraźniej lubi pan łatwe zdobycze. Pewnie przy okazji sprzedał mu pan też i prenumeratę.

– No, inspektorze, zapraszam na kawę. Pięć minut.

Ale Camille ruszył już dalej. A że tamten wciąż go nie odstępował, spytał w końcu:

– Czego pan ode mnie chce, Buisson?

W jego głosie więcej było znużenia niż gniewu. To w taki sposób, stawiając na wyczerpanie rozmówcy, dziennikarz zwykle dopina swego.



– Naprawdę pan wierzy w tę historię z książką? – zapytał Buisson.

– Szczerze mówiąc, nie – bez namysłu odparł Camille. – To tylko uderzające podobieństwo, nic więcej. Pewien trop i tyle.

– Pan naprawdę w to wierzy...!

Buisson był lepszym psychologiem, niż przypuszczał Camille. Przyrzekając sobie, że już go więcej nie zlekceważy, dotarł do bramy swojego domu.

– Wierzę w to nie bardziej niż pan.

– Znaleźliście coś jeszcze?

– Czy naprawdę pan sądzi – spytał Camille, wystukując kod wejściowy – że gdybyśmy coś nowego znaleźli, akurat panu bym o tym powiedział?

– Więc w Courbevoie, jak w książce Ellisa, to także „uderzające podobieństwo”?

Camille stanął jak wryty.

– Proponuję panu wymianę – ciągnął Buisson.

– Nie jestem pańskim zakładnikiem.

– Przez kilka dni zachowam tę informację dla siebie, żeby mógł pan bez przeszkód kontynuować śledztwo...

– W zamian za co?

– A potem da mi pan jedną długość przewagi, tylko kilka godzin, nic więcej. To uczciwa propozycja...

– A jeśli nie?

– Och, inspektorze! – odrzekł Buisson z udawanym westchnieniem żalu. – Nie sądzi pan, że moglibyśmy się jakoś dogadać?

Camille spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się.

– Do widzenia, Buisson.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Jutrzejszy dzień źle się zapowiadał. Bardzo źle.

Otworzył drzwi mieszkania i wykrzyknął:

– Cholera!

– Co się stało, kochanie? – usłyszał z salonu głos Irène.

– Nic takiego – odpowiedział, myśląc: Kwiaty...

# Piątek, 11 kwietnia

## 1

– Ucieszyła się? – zapytał Louis.

– Z czego...?

– Z kwiatów. Czy się ucieszyła?

– Nawet nie masz pojęcia jak.

Z tonu głosu przełożonego Louis wywnioskował, że coś poszło nie tak, i nie drażył tematu.

– Louis, masz gazety?

– Tak, u siebie w pokoju.

– Już je czytałeś?

Louis tylko odgarnął włosy z czoła. Prawą ręką.

– Za dwadzieścia minut mam się stawić u sędzi Deschamps, zrób mi szybkie podsumowanie.

– Cała prasa już wie, że Courbevoie = *American Psycho*.

– Pieprzony idiota! – mruknął Camille.

– Kto jest idiotą?

– Och, idiotów jest mnóstwo. Ale ten gość z „Le Matin”, Buisson, bije wszystkich na głowę.

I opowiedział mu o wczorajszym spotkaniu.

– Nie dość, że ujawnił informację, to jeszcze rozpowiedział ją wszystkim koleśiom po piórze – zauważył Louis.

– Co chcesz, facet ma gest. Ludzie się nie zmieniają. Wezwij mi samochód. Tego tylko brakuje, żebym się spóźnił.

W drodze powrotnej w samochodzie Le Guena Camille nareszcie zainteresował się prasą. Sędzia Deschamps tylko do niej nawiązała. Teraz, mając te tytuły przed oczami, rozumiał jej gniew.

– Beznadziejnie się do tego zabieram, co? – zapytał, przerzucając pierwsze strony.

– Cóż – westchnął Le Guen – nie jestem pewny, czybyś potrafił inaczej.

– Miły z ciebie szef. Przywiozę ci kilt.

Prasa zdążyła już znaleźć pseudonim dla mordercy: „Literat”. Początek sławy.

– Coś czuję, że mu się to spodoba – oznajmił Camille, wkładając okulary.

Le Guen spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie wyglądasz na zbyt przejętego... Grozi ci odwołanie za pominięcie drogi służbowej, dymisja za ujawnienie tajemnicy śledztwa, ale ty nie tracisz ducha.

Camille opuścił gazetę, zdjął okulary i spojrzał na przyjaciela.

– Wkurza mnie to, Jean – powiedział, szczerze przygnębiony – nie masz pojęcia, jak mnie to wkurza!

## 2

Pod koniec dnia Camille wszedł do pokoju Armanda akurat w chwili, gdy ten odkładał słuchawkę. I zanim uniósł wzrok na szefa, ogryzkiem ołówka z Ikei, skróconym już do kilku milimetrów, powoli przekreślił pozycję na wydruku komputerowym, którego długi zwój spływał z jego biurka aż na ziemię.

– Co to jest? – spytał Camille.

– Lista sprzedawców tapet. Tych, którzy handlują deseniem w łąty.

– Ilu już załatwiłeś?

– Hmm... trzydziestu siedmiu.

– I...?

– Teraz zadzwonię do trzydziestego ósmego.

– Oczywiście.

Camille spojrział na biurko Malevala.

– Gdzie jest Maleval? – zapytał.

– W sklepie na rue de Rivoli. Jakiejś sprzedawczyni wydaje się, że przypomina sobie mężczyznę, który trzy tygodnie temu kupił u niej walizkę Ralpa Laurena.

Na biurku Malevala panował zawsze nieopisany bałagan: akta, luźne kartki papieru, fotografie wyjęte z akt, stare notesy, ale również talie kart, pisma hippiczne, programy gonitw... Całość przywodziła na myśl pokój dziecka podczas wakacji. Maleval miał w sobie coś z takiego dziecka. Na początku ich współpracy Camille zauważył, że nic by się nie stało, gdyby trochę uporządkował biurko.

– Gdyby ktoś musiał cię nagle w trybie pilnym zastąpić...

– Jestem niezastąpiony.

– Na pewno nie rano.

Maleval się uśmiechnął.

– Jakiś facet powiedział, że są dwa typy porządku, porządek witalny i porządek geometryczny. Ja reprezentuję porządek witalny.

– Bergson – bąknął Louis.

– Berg co?

– Bergson. Taki filozof.

– Możliwe – zgodził się Maleval.

Teraz z kolei uśmiechnął się Camille.

– Nie każdy w Brygadzie Kryminalnej ma współpracownika, który potrafi cytować Bergsona!

Mimo to wieczorem sprawdził w encyklopedii, co powinno się wiedzieć o tym autorze, który dostał Nagrodę Nobla i którego tekstów Camille nigdy nie czytał.

– A Louis?

– Odwiedza burdele – odrzekł Armand.

– Nie sądzę.

– Chcę powiedzieć, że przesłuchuje byłe kumpele Manueli Constanzy.

– A ty nie wolałbyś raczej pójść do burdelu, niż ślęczyć nad tapetami?

– No wiesz, jak człowiek widział już raz taki burdel...

– W porządku, skoro w poniedziałek muszę jechać do Glasgow, lepiej, żebym nie wrócił dziś zbyt późno. To na razie. Gdyby coś...

Już prawie wychodził, kiedy Armand zawołał:

– Camille! U Irène wszystko w porządku?

– Jest wykończona.

– Powinieneś znaleźć dla niej trochę czasu. Zresztą tu i tak drepczemy w miejscu.

– Masz rację, Armand. Idę już.

– Ucałuj ją ode mnie.

Przechodząc obok biurka Louisa, na moment przystanął. Wszystko na nim sprawiało wrażenie ogarniętego, uporządkowanego, posegregowanego, uszeregowanego. Podszedł bliżej. Podkładka Lancela, atrament Mont Blanc... I ułożone w porządku tematycznym akta, zapiski, notatki służbowe... Nawet starannie przypięte do korkowej tablicy fotografie ofiar z Courbevoie i Tremblay wisiały równym szeregiem jak obrazy na wystawie. Nie było w tym przesadnej skrupulatności Armanda, wszystko było racjonalne, uporządkowane, ale bez maniactwa.

Camille już miał wyjść, kiedy zatrzymał go jakiś szczegół. Odwrócił się, powiódł wzrokiem po

biurku, niczego nie znalazł, więc ruszył do drzwi. Ale to wrażenie, że coś jednak dostrzegł – czasem człowiekowi utkwi w głowie jakieś słowo z reklamy czy nazwisko w gazecie... – nadal go nie odstępowało i myślał, że wyjdzie, nie wyjaśnwszy sprawy, była równie przykra i irytująca, co daremna próba skojarzenia czyjejś twarzy z nazwiskiem. Zawrócił. Podeszedł do biurka. I wtedy to znalazł. W lewym rogu blatu Louis położył listę osób o imieniu i nazwisku Jean Haynal, o której mu wcześniej wspominał. Szukając tego Jeana Haynala, który mu w przelocie mignął, przesunął palcem po wykazie i krzyknął:

– Na Boga! Armand! Ruszaj się!

### 3

Z kogutem na dachu radiowozu dotarcie na quai de Valmy zajęło im nie więcej niż dziesięć minut. Camille z Armandem wkroczyli do budynku SOGEFI kilka minut przed dziewiętnastą, tuż przed zamknięciem firmy.

Recepcjonistka próbowała ich zatrzymać najpierw gestem, potem słowem. Poruszali się jednak tak zdecydowanym krokiem, że mogła tylko za nimi pobiec.

Jak burza wpadli do gabinetu Cotteta. Pusty. Sekretarka deptała im po piętach.

– Pan... – zaczęła.

– Proszę tu poczekać – gestem dłoni powstrzymał ją Camille.

Podeszedł do biurka, okrążył je i wdrapał się na fotel Cotteta.

– Dobrze być szefem – mruknął, wyciągając szyję i spoglądając przed siebie, ale stopami nie sięgał ziemi.

Zsunął się więc gniewnie z fotela, szybko wspiął na niego jeszcze raz, ukląkł, ale niezadowolony z wyniku tej pierwszej próby w końcu na nim stanął i nagle jego twarz rozjaśnił drapieżny uśmiech.

– Teraz ty – rzucił do Armanda, zwalniając fotel.

Armand, nic nie rozumiejąc, obszedł biurko i z kolei on usadowił się w dyrektorskim fotelu.

– Nie ma wątpliwości – rzekł z satysfakcją, patrząc w znajdujące się po przeciwnej stronie pokoju, a naprzeciwko biurka okno, za którym nad horyzontem ostatnich dachów migotał na zielono neonowy szyld, chociaż jego litera „A” już wyzionęła ducha: „Przewozy Haynala”.

– Zatem wracając do pana François Cotteta – powiedział Camille, skandując sylaby. – Gdzie go można znaleźć?

– No właśnie, w tym problem... Nikt nie wie, gdzie on jest. W poniedziałek wieczorem zniknął.

### 4

Dwa pierwsze radiowozy zatrzymały się pod domem Cotteta, przy czym wóz Armanda całkowicie zniszczył pozostawiony nieopatrznie na chodniku kubeł na śmieci.

Czuje się tu pieniądze. Taka była pierwsza myśl Camille’a na widok domu Cotteta, wielkiego trypoziomowego budynku, którego szeroki ganek prowadził do małego parku, od ulicy odgradzonego wysoką bramą z kutego żelaza. Z radiowozu eskorty wyskoczył funkcjonariusz i otworzył bramę. Samochody podjechały pod ganek i nim zdążyły się zatrzymać, wysiadło z nich czterech mężczyzn, w tym Camille. Drzwi domu otworzyła kobieta, którą wycie syren, mimo wczesnego jeszcze wieczoru, chyba wyrwało ze snu.

– Pani Cottet? – zapytał Verhoeven, wchodząc na ganek.

– Tak...

– Szukamy pani męża. Czy jest w domu?

Nieoczekiwanie twarz kobiety rozjaśnił zagadkowy uśmiech i jakby nagle uświadomiwszy sobie obecność sił porządkowych, które najechały jej dom, usunęła się lekko z drogi.

– Nie – odpowiedziała – ale możecie panowie wejść.

Camille dobrze pamiętał Cotteta, jego aparycję, jego wiek. Pani Cottet, wysoka szczupła kobieta, swego czasu zapewne piękna, musiała być o dobre dziesięć lat starsza od męża i Camille zupełnie nie tak ją sobie wyobrażał. Choć jej wdzięki nieco już przywydły, sposób poruszania się i prezencja zdradzały kobietę stylową, wręcz szykowną, co stanowiło spory kontrast z mężem, którego maniery sprzedawcy i dorobkiewicza zdawały się wskazywać na człowieka z zupełnie innej bajki. Ubrana w domowe spodnie pamiętające lepsze czasy i zwykłą koszulową bluzkę uosabiała – przez ten swój miękki sposób poruszania się? pewną powolność ruchów? – to, co nazywa się klasą.

Armand w towarzystwie dwóch ludzi szybko wkroczył do domu, otwierał drzwi pokoi, szaf ściennych, przeszukiwał pomieszczenia, a pani Cottet w tym czasie nalewała sobie whisky. Jej zniszczona twarz wyraźnie zdradzała, jak bardzo do jej upadku przyczynił się ów gest.

– Pani Cottet, czy może nam pani powiedzieć, gdzie jest pani mąż?

Ze zdziwieniem uniosła wzrok. Po czym skrepowana, że z tak wysoka patrzy na mężczyznę tak niskiego, wygodnie rozsiadła się na kanapie.

– Przypuszczam, że u dziwek... Czemu pan pyta?

– A od jak dawna?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, panie...?

– Inspektor Verhoeven. Zadam to pytanie inaczej: od jak dawna nie wraca do domu?

– Zaraz... co jest dzisiaj?

– Piątek.

– Już? Więc powiedzmy od poniedziałku. Tak, od poniedziałku, jak sądzę.

– Sądzi pani...

– Od poniedziałku. Na pewno.

– Cztery dni, i to pani nie zaniepokoiło?

– Och, wie pan, gdybym się niepokoiła za każdym razem, kiedy mąż wychodzi na... na „spacer”. Tak to nazywa.

– A wie pani, dokąd zwykle chodzi na ten „spacer”?

– Nie chodzę z nim. Nie mam pojęcia.

Camille powiódł wzrokiem po ogromnym salonie; monumentalny kominek, stoliki, obrazy, dywany...

– I jest tu pani sama?

– A jak pan myśli?

– Pani Cottet, pani mąż jest poszukiwany w związku z dochodzeniem kryminalnym.

Spojrzała na Camille'a uważniej, jemu zaś wydało się, że dostrzega na jej twarzy nikły uśmiech Mony Lizy.

– Doceniam pani poczucie humoru, jak również pani dystans – ciągnął Verhoeven – ale mamy na karku zwłoki dwóch młodych dziewczyn poćwiartowanych w mieszkaniu wynajętym przez pani męża i chciałbym jak najszybciej zadać mu kilka pytań.

– Dwie młode dziewczyny, powiada pan? Dziwki?

– Tak, dwie młode prostytutki.

– Mam wrażenie, że mąż raczej woli wyjść – powiedziała i wstała, żeby dolać sobie whisky. – Nie przyjmuje ich w domu. To znaczy, nie przypuszczam.

– Nie jest pani chyba zbyt dobrze zorientowana w poczynaniach męża...

– W rzeczy samej. Jeśli wychodząc na spacer, ćwiartuje dziewczyny, po powrocie mi się z tego nie zwierza. Zresztą szkoda, miałabym niezły ubaw.

Camille nie potrafił ocenić stopnia zamroczenia alkoholowego, w jakim się znajdowała. Wyrażała się

jasno, starannie wymawiała sylaby, co mogło też oznaczać, że próbuje zamydlić mu oczy.

Z góry zszedł Armand w towarzystwie dwóch ludzi. Dał znak Camille'owi, żeby za nim poszedł.

– Wybacz pani...

Idąc przodem, Armand zaprowadził go do niewielkiego gabinetu na pierwszym piętrze: ładny stół z wiśniowego drewna, wypasiony komputer, kilka teczek z dokumentami, półki, rząd książek prawniczych, prospekty agencji nieruchomości. I cztery półki kryminałów.

– Wezwij techników i laboratorium – polecił Camille, schodząc na dół. – Zadzwoń też do Malevala, niech przyjedzie i tu z nimi zostanie. Nawet dzisiaj w nocy. Na wszelki wypadek.

A potem odwracając się do pani Cottet, rzekł:

– Myślę, że powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę na temat pani męża.

## 5

– Dwa dni i ani dnia dłużej.

Camille popatrzył na Irène, która z ciężkim brzuchem, z rozstawionymi nogami bardziej leżała, niż siedziała na kanapie w salonie.

– Przynosisz mi kwiaty, żeby to uczcić?

– Nie, chciałem zrobić to wczoraj...

– Kiedy wrócisz, być może będziesz miał już syna.

– Irène, nie wyjeżdżam na trzy tygodnie, tylko na dwa dni.

Irène rozejrzała się za wazonem.

– Denerwuje mnie – powiedziała z uśmiechem – że mam ochotę być zła, a nie potrafię. Piękne te twoje kwiaty.

– Twoje.

W drzwiach kuchni przystanąła, odwróciła się do męża.

– Mam ochotę być zła – ciągnęła – bo już dwa razy rozmawialiśmy o wyjeździe do Szkocji, dwa lata się nad tym zastanawiałeś, a kiedy wreszcie podjąłeś decyzję, jedziesz tam beze mnie.

– Przecież wiesz, że nie jadę na wakacje.

– Wolałabym, żeby chodziło o wakacje – odparła, wchodząc do kuchni.

Camille podszedł do niej, próbował ją objąć, lecz się odsunęła. Grzecznie, ale się odsunęła.

W tym momencie zadzwonił Louis.

– Chciałem tylko powiedzieć... Chodzi o Irène... proszę się nie niepokoić. Ja... Niech jej pan powie, że pod pana nieobecność będę przez cały czas pod telefonem.

– Miło z twojej strony, Louis.

– Kto dzwonił? – zapytała Irène.

– Mój anioł stróż.

– Myślałam, że to ja jestem twoim aniołem – zaprotestowała i przytuliła się do niego.

– Nie, ty jesteś moją boginią płodności – powiedział Camille, kładąc dłoń na jej brzuchu.

– Och, Camille! – szepnęła Irène i cicho się rozplakała.

# Sobota, 12 kwietnia i niedziela, 13 kwietnia

## 1

W sobotę wszyscy, łącznie z Le Guenem, spotkali się o ósmej trzydzieści.

– Skontaktowałeś się z Brygadą Finansową?

– Za godzinę będziesz miał wszystkie dane.

Camille rozdzielił zadania. Maleval, który spędził całą noc w Saint-Germain, demonstrował tego ranka triumfalną minę. Armand miał się zająć kontaktami Cotteta, jego książką adresową, zawodowymi i prywatnymi e-mailami oraz sprawdzić, czy jego rysopis został wczoraj wieczorem wszędzie rozesłany. Do Louisa należało prześledzenie jego prywatnych i firmowych kont bankowych, wpłat i wypłat, oraz jego kalendarza.

– Nasz morderca potrzebuje trzech rzeczy. Czasu, a Cottet go ma, bo sam sobie jest szefem. Pieniądzy, a Cottet je ma, wystarczy spojrzeć na jego firmę czy dom... nawet jeśli nie wszystkie inwestycje w nieruchomości są równie trafione. I dobrej organizacji. A na tym też musi się znać.

– Zapominasz o motywach – wtrącił Le Guen.

– O motywy, Jean, to go zapytamy, jak go znajdziemy. Nadal żadnych wieści o Lambercie, Louis?

– Żadnych. Zmieniliśmy ekipy obserwujące trzy miejsca, w których często bywa. Na razie nic.

– Obserwacja nic już nie da.

– Też tak uważam. Działaliśmy dyskretnie, ale i tak ludzie pewnie gadają w najlepsze...

– Lambert, Cottet... Nie bardzo widzę, co mogłoby ich łączyć. Tu też trzeba będzie się rozejrzeć.

Louis, ty się tym zajmiesz.

– Sporo tego, nie?

Camille odwrócił się do Le Guena.

– Louis mówi, że sporo tego.

– Gdybym miał więcej ludzi, też byłoby wiadomo, nie?

– Zgoda, Jean. Dzięki za pomoc. Proponuję zrobić obławę wśród kontaktów Lamberta. Maleval, masz aktualną listę?

– Znalazłem jedenaście osób wśród jego bliskich kontaktów. Potrzebne będą co najmniej cztery ekipy, żeby była koordynacja i żeby nikt się nie wymknął.

– Jean? – Camille spojrzał pytająco na Le Guena.

– Na samą obławę mogę ci na dziś wieczór skombinować ludzi.

– Proponuję akcję o dwudziestej drugiej. O tej porze łatwo wszystkich zlokalizować. Ty to zorganizujesz, Maleval. Ty, Armand, zostaniesz z nim na pokładzie, żeby ich przesłuchać. No dobrze, a ja na razie zostaję i sprawdzę, co przyniosła ostatnia noc – zakończył, obejmując spojrzeniem swoich ludzi.

– Przed południem wszyscy się tu stawiają.

Późnym rankiem Camille'owi udało się z grubsza odtworzyć przebieg kariery François Cotteta.

W wieku dwudziestu czterech lat, po skończonej bez trudu i chwały zwykłej szkole handlowej, rozpoczął pracę w SODRAGIM, firmie deweloperskiej kierowanej przez jej założyciela, niejakiego Edmonda Forestiera, na stanowisku kierownika małego działu promocji budownictwa domów jednorodzinnych. Trzy lata później trafiła mu się pierwsza gratka – poślubił córkę swojego szefa.

– Znaleźliśmy się w... Byliśmy zmuszeni wziąć ślub – powiedziała pani Cottet. – Co zresztą okazało się niepotrzebne. W sumie poślubienie mojego męża było podwójną wpadką.

Dwa lata potem do Cotteta po raz drugi uśmiechnęło się szczęście: jego teść zginął w wypadku samochodowym na autostradzie w Ardenach. A wtedy w wieku niespełna trzydziestu lat został właścicielem firmy, którą niezwłocznie przekształcił w SOGEFI, tworząc w zależności od potrzeb rynku oraz inwestycji, w które wchodził, liczne spółki podwykonawcze. Przed czterdziestką dokonał nie lada wyczynu, doprowadzając świetnie dotąd prosperującą firmę na skraj bankructwa, co wiele mówi o jego talentach handlowych. Wielokrotnie odnotowywano wpływy z prywatnych funduszy żony dysponującej majątkiem własnym wystarczająco dużym, by ratować z tarapatów chybione interesy męża, który – jak można się było spodziewać, zważywszy na jego uporczywe wpadki finansowe – wcześniej czy później całkiem się wyłoży.

Mało powiedziane, że żona go nie znosiła.

– Spotkał go pan, inspektorze, więc dla pana to żadna nowina: mój mąż jest człowiekiem zdumiewająco pospolitym. Jakkolwiek w środowisku, w którym się obraca, uchodzi to najpewniej za zaletę.

Półtora roku wcześniej pani Cottet wystąpiła o rozwód. Galimatias finansowy oraz przepychanki adwokatów spowodowały, że do dnia dzisiejszego rozwód nie został orzeczony. Co ciekawe: w 2001 roku Cottet miał zatarg z policją. Czwartego października o wpół do trzeciej nad ranem został zatrzymany w Lasku Bulońskim; po tym jak uderzył w brzuch i w twarz prostytutkę, z którą udał się na ubocze, dopadli go goryle sutenera dziewczyny i ratunek zawdzięczał tylko opatrnościowej interwencji patrolu dzielnicowego. Po dwóch dniach spędzonych w szpitalu został skazany na dwa miesiące więzienia w zawieszeniu za użycie przemocy oraz obrazę obyczajności i więcej już nie miał do czynienia z policją. Camille porównał daty. Pierwsza znana im zbrodnia miała miejsce dziesiątego lipca 2001 roku. Czy po tym zatrzymaniu Cottet odkrył swoje prawdziwe powołanie? Te nieustanne wzmianki jego żony o „dziwkach”... Choć może w większym stopniu podyktowane nienawiścią do niego oraz nieskrywaną satysfakcją, że się w końcu doigrał.

Camille sięgnął do wstępnych konkluzji doktora Cresta, które na razie znajdowały potwierdzenie w tym ogólnikowym profilu.

## 2

Pierwsze podsumowanie miało miejsce o dwunastej czterdzieści pięć.

– Dziś rano laboratorium zakończyło pobieranie materiału – oznajmił Camille.

Trzeba będzie jeszcze dwóch, trzech dni, zanim otrzymają wyniki analiz materiału pobranego w mieszkaniu Cotteta (jego ubrania, buty, włókna tkanin, włosy itp.). Tak czy inaczej, dopóki go nie znajdą, te wyniki, nawet pozytywne, do niczego im się nie przydadzą.

– Nie wiem, co siedzi w głowie tego Cotteta – powiedział Armand, kiedy Camille oddał mu głos – ale jego żona ma rację, facet lubi kobiety. W jego komputerze jest mnóstwo zdjęć, dziesiątki stron z pannami do towarzystwa... Musiało mu to zajmować mnóstwo czasu, bo jest tego od groma... I – nie mogąc się powstrzymać, dodał: – kosztowało go kupę kasy.

Wszyscy się uśmiechnęli.

– Na liście jego kontaktów nie znalazłem prostitutek. Z nimi musi kontaktować się przez internet. Relacji zawodowych ma masę, potrzeba będzie czasu, żeby wyłowić to, co mogłoby nas zainteresować. W każdym razie nic, co potwierdzałoby naszą poszlakę.

– To samo z jego rachunkami – podjął Louis. – Ani śladu zapłaty za przedmiot mający bliższy lub dalszy związek z naszymi poszlakami, żadnego kupna gwoździarki, walizki Ralphi Laurena czy japońskiej kanapy. Ciekawiej za to wyglądają wypłaty znacznych kwot w gotówce. Od ponad trzech lat. Nieregularne. Z naszych zestawień wynika, że dokonywane były w okresach poprzedzających znane nam



zbrodnie, ale nie tylko. Trzeba go będzie przycisnąć, żeby to wyjaśnić. Z jego kalendarzem mniej więcej to samo. W czasie zbrodni w Glasgow Cottet był w Hiszpanii.

– Pytanie, czy rzeczywiście był – wtrącił Camille.

– Szukamy, będziemy to wiedzieć dopiero na początku przyszłego tygodnia. W listopadzie zeszłego roku był w Paryżu. Tremblay to bliskie przedmieście, co nie znaczy ani że tam był, ani że nie był. To samo z Courbevoie. I znów dopóki go nie znajdziemy...

A ponieważ poprzedniego wieczoru rysopis Cotteta został rozesłany do wszystkich posterunków żandarmerii i komisariatów policji, postanowili pożegnać się do poniedziałku. Louis pozostanie w gotowości pod telefonem... Na ochotnika. Ustalono, choć nie było potrzeby tego domawiać, że jeśli pojawi się coś nowego, ma przeszkodzić Camille'owi o dowolnej porze weekendu.

### 3

Wróciwszy po południu do domu, Camille zostawił pakunki w małym pomieszczeniu, w którym jego żona, odkąd przestała pracować, urządziła pokój dla dziecka. Z początku Camille jej w tym pomagał, potem pochłonęła go praca. Wcześniej był tu rodzaj składziku, w którym trzymali wszystkie chwilowo niepotrzebne rzeczy. Irène wszystko usunęła, kazała położyć spokojne, lecz wesołe tapety i mały pokój, drzwiami połączony z ich sypialnią, nabrał teraz wyglądu domku dla lalek. W sam raz dla mnie, pomyślał Camille. Kupowane przez Irène rzeczy dla dziecka od miesiąca wciąż były nierozpakowane i Camille poczuł zimny pot. Jego żona na dniach miała rodzić i czas najwyższy, żeby się w to włączył.

Aż podskoczył, słysząc, że dzwoni jego komórka. Louis.

– Nie, nic nowego. Dzwonię, bo wczoraj zostawił pan na swoim biurku akta sprawy z Tremblay. Nie bierze ich pan do Glasgow?

– Zapomniałem...

– Mam je z sobą. Chce pan, żebym je przywiózł?

Camille szybko się zastanowił, popatrzył na kartony czekające na rozpakowanie, usłyszał głos Irène nucącej pod prysznicem.

– Nie, dzięki, a czy ja mogę wpaść do ciebie w weekend?

– Nie ma sprawy. Dyżuruję przy telefonie, więc siedzę w domu.

Chwilę później razem z Irène zabrali się do rozpakowywania kartonów, a potem jeszcze z rozpędu Camille przystąpił do wielkiej operacji montażu łóżeczka, komody (*weź śrubki A i wkręć je we wpusty 1c, następnie w bocznej ramie stelażu zamocuj poprzeczne listwy 2c – cholera, co to są poprzeczne listwy – jest osiem śrubek A i cztery B, nie wkręcaj ich zbyt mocno, dopóki nie wpasujesz nóżek B w miejsca oznaczone E – Irène, kochanie, spójrz, chyba je zmontowałaś na odwrót, itd...*).

Udany dzień.

Kolację zjedli w restauracji i Irène, po konsultacji z kalendarzem uznała, że woli nie zostawać sama w domu na czas pobytu męża w Szkocji i spędzi kilka dni u rodziców, którzy na emeryturę przenieśli się do Burgundii.

– Poproszę Louisa, żeby cię zawiózł na dworzec. Albo Malevala.

– Wezmę taksówkę. Louis ma co innego do roboty. A zresztą jeśli już miałbyś kogoś poprosić, wolałabym Armanda.

Camille się uśmiechnął. Irène żywiła wiele ciepłych uczuć wobec Armanda. Uczuć w pewnym sensie matczynych. Uważała, że jest rozbijającym nieporadny, rozczulała ją jego paranoja.

– Co u niego?

– W skali Richtera skąpstwa przestał się już mieścić. Znalazł się po drugiej stronie.

– Nie może być gorzej, niż było.

– Owszem, w przypadku Armanda, może. To naprawdę patetyczny kazus.

O dwudziestej drugiej trzydziści zadzwonił Maleval.

– Zwinęliśmy wszystkich ludzi Lamberta. Brakuje tylko jednego...

– To problem.

– Nie, bo chodzi o małego Mourada. Wczoraj wieczorem został zadźgany nożem, koło południa znaleziono jego ciało w jakiejś piwnicy w Clichy. Z tymi chłopakami nigdy nie ma się pewności, czy lista jest nadal aktualna.

– Będę wam potrzebny?

Myśląc o Irène, Camille pomodlił się w duchu, żeby nikt nie wyciągnął go z domu przed wyjazdem do Glasgow.

– Nie, nie sądzę, odseparowaliśmy ich od siebie. Louis postanowił, że z nami zostanie. Z Armandem jest nas już trzech... Zadzwonimy, jak będzie coś nowego.

„Nowe” nastąpiło chwilę po północy. I nie było niczym nowym.

– Nikt nic nie wie – poinformował Maleval Camille’a, który szykował się już do spania. – Wszystkie zeznania się pokrywają: Lambert powiedział wszystkim to samo w tym samym momencie.

– Czyli co?

– Nic. Wszyscy lub prawie wszyscy uważają, że wyjechał z Danielem Royetem. Powiedział, że przez chwilę będzie nieobecny. Zdaniem niektórych miał na myśli krótki wypad do którejś ze swoich dziewczyn, powiedział „dwa dni”, nie więcej. Dokąd wyjechał, nie wiadomo. Czy wrócił, nie wiadomo.

– W porządku, wypuście całe towarzystwo. Papiery zaczekają do poniedziałku. Teraz idźcie spać.

#### 4

Irène szykowała się do wyjścia na kolację, a Camille w tym czasie szybko pojechał do Louisa. Budynek, w którym mieszkał Louis, przypominał mu wytworny dom Cotteta. Idealnie wypastowane schody, podwójne drzwi wejściowe do każdego z mieszkań. Podchodząc pod drzwi Louisa, usłyszał jakieś głosy i zatrzymał się.

Spojrzał na zegarek i już miał zadzwonić, kiedy głosy rozległy się znowu. Męskie. Donośne. Głos Louisa rozpoznał od razu, choć nie mógł zrozumieć, co ten mówi. Żywo się z kimś spierał i Camille pomyślał, że trafił naprawdę nie w porę. Może powinien był zadzwonić, zapowiedzieć, że wpadnie. Wahał się, czy nie zrezygnować, ale cztery kondygnacje... Postanowił więc wejść piętro wyżej i już wyjmował komórkę, kiedy drzwi z rozmachem się otworzyły.

– I przestań mi pieprzyć o moralności! – wrzasnął ktoś.

Maleval, pomyślał Camille.

Zaryzykował i wychylił się przez poręcz balustrady. Mężczyzna zbiegający po cztery stopnie naraz miał na sobie kurtkę, którą Camille od razu rozpoznał.

Zmusił się i odczekał dłuższą chwilę. Zatopiony w myślach, obliczył, że aż osiem razy musiał zapalać włącznik światła na schodach. Nie wiedział, jakiego właściwie rodzaju kontakty łączą Louisa i Malevala. Może bliższe, niż mu się wydawało? Miał nieprzyjemne uczucie, że wdepnął w nie swoje sprawy. Wreszcie, uznawszy, że wystarczająco długo czekał, zszedł piętro niżej i zadzwonił do drzwi mieszkania Louisa.

# Poniedziałek, 14 kwietnia

## 1

W poniedziałek rano Cottet wciąż pozostawał nieuchwytny. Ekipa obserwująca jego dom nie odnotowała nic godnego uwagi. W sobotę w ciągu dnia pani Cottet wyszła, ale na noc wróciła.

Samolot do Glasgow odlatywał o jedenastej trzydzieści.

Przez cały weekend Camille'owi chodził po głowie pewien pomysł i rano, koło wpół do dziewiątej zrozumiał, że niepotrzebnie tak się głowił, bo właściwie decyzję już podjął.

Zadzwoił na uniwersytet do Ballangera i zostawił mu wiadomość. Potem zadzwonił do księgarza.

– Jérôme Lesage – przerywając powitalną formułę, odezwał się powściągliwy głos.

– Nie jest zamknięte?

– Jest, ale w poniedziałki często przychodzę załatwić sprawy administracyjne.

Camille spojrział na zegarek.

– Mógłbym do pana na chwilę wpaść?

– Mamy poniedziałek. Jest zamknięte.

Głos księgarza nie zabrzmiał oschle w sensie dosłownym. Powiedział to tonem profesjonalnym, prosto z mostu. Dla niego policjant nie był nikim ważniejszym od zwykłego klienta. Krótko mówiąc, w księgarni Lesage'a to nie policja dyktowała zasady.

– Ale jest pan w firmie... – zaryzykował Camille.

– Jestem i słucham pana.

– Wolałbym się z panem zobaczyć.

– Jeśli to długo nie potrwa – po krótkim namyśle ustąpił Lesage – mogę poświęcić panu kilka minut.

Camille nie zdążył zastukać dyskretnie w metalowe rolety, kiedy w drzwiach obok pojawił się Lesage. Przywitani się krótkim uściskiem dłoni i przez drzwi z korytarza sąsiedniej kamienicy weszli do środka.

W półmroku wewnątrz księgarni sprawiało wrażenie posępne, niemal złowieszcze. W tym przyćmionym świetle półki, wciśnięte pod schodami małe biurko księgarza, stosy książek, a nawet wieszak na płaszcze nabierały widmowych kształtów. Lesage zapalił kilka lamp. Zdaniem Camille'a nic to nie zmieniło. Bez światła z ulicy pomieszczenie nadal wyglądało tajemniczo i groźnie. Jak kryjówka.

– Jadę do Szkocji – bez namysłu oznajmił Camille.

– I po to... żeby mi to powiedzieć...

– Młoda kobieta, uduszona dwadzieścia lat temu.

– Słucham? – zdziwił się Lesage.

– Zwłoki znaleziono w parku.

– Nie bardzo rozumiem...

– Pomyślałem, że może ta sprawa też panu coś mówi – wyjaśnił Camille, zmuszając się do zachowania cierpliwości.

– Proszę posłuchać, inspektorze – podchodząc bliżej, powiedział Lesage. – Pan ma swoją pracę i ja mam swoją. Czytając o tym, co zdarzyło się w Courbevoie, nietrudno mi było skojarzyć to z książką Breta Eastona Ellisa. Uznałem za normalne, że to panu powiem, ale moja „współpraca” na tym się kończy. Jestem księgarzem, proszę pana, nie policjantem. I nie mam najmniejszej ochoty zmieniać zawodu.

– Co oznacza, że...

– Co oznacza, że nie życzę sobie, by mnie co dwa dni nachodzono, i nie chcę wysłuchiwać

sprawozdania z waszych bieżących dokonań. Po pierwsze, nie mam na to czasu. A po drugie, zupełnie w tym nie gustuję.

Lesage podszedł do Camille'a, tym razem nawet nie próbując zachować pewnej odległości.

Nigdy jeszcze Camille, choć przecież do tego przywykł, nie poczuł się aż do tego stopnia „potraktowany z góry”.

– Gdybym zdecydował się zostać informatorem policji, pan pierwszy by o tym wiedział, prawda?

– Już raz pan wystąpił w tej roli, i to nieproszony.

Księgarz poczerwieniał.

– Pańskimi skrupułami rządzi dość kapryśna geometria, panie Lesage – zauważył Camille i odwrócił się, żeby wyjść.

W rozdrażnieniu zapomniał, że żaluzja jest spuszczone. Zawrócił więc, obszedł stół z książkami i ruszył do bocznych drzwi, przez które dostali się do środka.

– Gdzie? – usłyszał za plecami głos Lesage'a.

Przystanął, odwrócił się.

– Ta młoda kobieta... gdzie się to zdarzyło?

– W Glasgow.

Lesage zdążył już odzyskać kontenans. Zmarszczył brwi i utkwivszy wzrok w podłodze, przez chwilę się namyślał.

– Coś szczególnego?... – zapytał.

– Kobieta została zgwałcona. Analnie.

– Ubrana?

– W dzinsowy komplet, w żółtych pantoflach na płaskim obcasie. O ile wiem, wszystkie części ubrania znaleziono. Oprócz jednej.

– Majtek?

Złość Camille'a natychmiast opadła. Poczul się przybity. Popatrzył na Lesage'a, który nie wyglądał już jak belfer, tylko jak onkolog. Księgarz podszedł do półki i po chwili wahania wyjął jedną z książek. Na okładce mężczyzna w kapeluszu opierał dłoń o stół bilardowy; w głębi kawiarni majaczyła niewyraźnie postać drugiego mężczyzny, który zdawał się do niego zbliżać.

William McIlvanney, *Laidlaw*, przeczytał Camille.

– Cholera! – jęknął. – Jest pan pewny?

– Oczywiście nie jestem, ale elementy, które pan wymienił, w książce występują. Niedawno ją przeglądałem, dość dobrze to pamiętam. Teraz, jak to mówią, najgorsze nie zawsze jest pewne. Mogą tu występować znaczne różnice. Możliwe, że nie chodzi...

– Bardzo panu dziękuję – powiedział Camille, wertując książkę.

Lesage lekkim skinieniem głowy dał do zrozumienia, że teraz, po dopełnieniu tej formalności, chciałby jak najszybciej wrócić do pracy.

Camille zaplącił, ścisnął książkę w dłoni, spojrzął na zegarek i wyszedł.

Opuszczając księgarnię wyobraził sobie liczbę tych wszystkich trupów, które musiały występować w pełnej ofercie księgarni Lesage'a.

Była zawrotna.

## 2

W drodze na lotnisko Camille zadzwonił i powiadomił Louisa o swoim odkryciu.

– *Laidlaw*, powiada pan?

– Tak. Znasz to?

– Nie. Przekazać to sędzi Deschamps?

– Nie. Na razie nie ma co jej straszyć. Najpierw muszę przejrzeć książkę i sprawdzić z naszymi angielskimi kolegami...

– Szkockimi! Tam, jeśli pan powie angielskimi...

– Dzięki, Louis. Z naszymi szkockimi kolegami... czy szczegóły sprawy pokrywają się z opisem z książki. Zajmie to dobrych parę godzin. Zawsze zdążymy to zrobić po moim powrocie.

Milczenie Louisa zdradzało zakłopotanie.

– Nie zgadzasz się, Louis?

– Zgadzam się. Tylko pomyślałem o czym innym. To ten pana księgarz zna tak dokładnie wszystkie swoje książki?

– Mnie też to przyszło do głowy. Trochę mnie to martwi. Ale szczerze mówiąc, nie bardzo wierzę w takie zbiegi okoliczności.

– Nie byłby pierwszym zbrodniarzem, który sam naprowadza policję na trop sprawcy.

– To wręcz klasyka, tak, wiem. Co proponujesz?

– Przyjrzeć mu się bliżej. Dyskretnie, rzecz jasna.

– Do dzieła. Przynajmniej się upewnimy.

W sali odpraw Camille zaczął przeglądać książkę McIlvanneya, ale co chwilę unosił wzrok, nie mogąc się skupić.

Tak upłynęło dziesięć minut, podczas których nerwowo przebierał palcami po kredowym papierze okładki jakiegoś pisma, powtarzając w duchu:

– Nie rób tego...

Wreszcie głos stewardesy ogłosił, że za dziesięć minut pasażerowie wchodzą na pokład.

A wtedy, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyjął swoją kartę kredytową i komórkę.

### 3

Timothy Gallagher był ciemnowłosym, chudym pięćdziesięcioletnim mężczyzną o ujmującym uśmiechu. Trzymając na widoku plakietkę z nazwiskiem Camille'a, czekał na niego przy wyjściu dla podróżnych. Na widok postury francuskiego kolegi nie okazał zdziwienia. Trudno byłoby zresztą wyobrazić go sobie okazującego zdziwienie, czy w ogóle jakąkolwiek emocję wykraczającą poza emanującą z całej jego postaci świadomość, że jest stróżem porządku i prawa.

Dwa razy rozmawiali przez telefon. Camille uznał, że nie od rzeczy będzie pogratulować szkockiemu koledze świetnej znajomości francuskiego, żałował tylko, że komplement, choć szczerzy, zabrzmiał tak kurtuazyjnie i zdawkowo.

– Pańską hipotezę uznano u nas za... dość zaskakującą – powiedział Gallagher, kiedy jechali taksówką przez Buchanan Street.

– My też byliśmy zaskoczeni, że musimy ją postawić.

– Rozumiem.

Camille zawsze wyobrażał sobie Glasgow jako miasto jednego sezonu, zimne i wietrzne przez okrągły rok. Rzadko kiedy dane miejsce aż tak samo z siebie przyznaje człowiekowi rację. Wydawało się, że ta kraina nie chce nikogo zawieść.

W oczach Camille'a Glasgow zdawało się kryć w sobie coś starożytnego, obojętnego na świat, będącego światem tylko dla siebie. Zgiętym pod brzemieniem bólu. Podczas podróży taksówką z lotniska na Jocelyn Square, gdzie mieścił się Pałac Sprawiedliwości, Camille chłonał dziwną, niesamowicie egzotyczną scenerię tego szaro-różowego miasta, utrzymującego swoje parki jakby wyłącznie w nadziei, że pewnego dnia zawita do nich lato.

Ucisnął wyciągnięte do siebie dłonie w kolejności pozycji służbowej. Spotkanie na szczycie rozpoczęło się bez pośpiechu, o ustalonej godzinie.

Gallagher zadbał o sporządzenie notatki podsumowującej dotychczasowe ustalenia śledztwa, a usłyszawszy niepewną angielszczyznę francuskiego kolegi, uprzejmie zaproponował tłumaczenie symultaniczne. Camille podziękował mu powściągliwym uśmiechem, jakby i on zdążył już przyswoić niewylewne maniere swoich gospodarzy.

– Grace Hobson – zaczął Gallagher – miała dziewiętnaście lat. Chodziła do liceum i mieszkała z rodzicami w Glasgow Ross. W towarzystwie jednej z przyjaciółek, Mary Barnes, spędziła wieczór w Metropolitan, dyskotekę w śródmieściu. Jedyne godnym uwagi faktem była obecność w lokalu byłego chłopaka Grace, Williama Kilmara, co sprawiło, że przez cały wieczór była nerwowa i rozdrażniona. Kątem oka nieustannie go obserwowała, sporo też piła. Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy chłopak zniknął, a wtedy Grace wstała. Mary Barnes wyraźnie widziała, że poszła w stronę wyjścia. A ponieważ Grace nie wracała, koleżanki pomyślały, że między dwojgiem młodych doszło do wyjaśnień, i nie przejmowały się jej nieobecnością. Na kwadrans przed północą, kiedy grupa już się rozchodziła, zaczęto jej szukać. Od momentu kiedy wyszła, nikt jej już więcej nie widział. Rankiem dziesiątego lipca 2001 roku w Kelvingrove Park znaleziono jej nagie zwłoki. Została analnie zgwałcona, a następnie uduszona. Młody Kilmar oświadczył, że jej nie widział. Faktycznie, koło dwudziestej trzeciej opuścił lokal. Na ulicy spotkał inną dziewczynę, którą odprowadził do domu, po czym na krótko przed północą wrócił do domu rodziców. W drodze powrotnej natknął się na dwóch kolegów z klasy, którzy mieszkali w tej samej co on dzielnicy, wracali z imprezy. Przez kilka minut rozmawiali. Zeznania wyglądają na szczere; w relacji chłopaka nie było nic, co pozostawałoby w sprzeczności z faktami. Zaskoczyły nas trzy sprawy. Przede wszystkim brak majtek u zamordowanej dziewczyny. Wszystkie części jej garderoby znajdowały się na miejscu, oprócz tej. Następnie ślad palca odcisnięty na paznokciu jej stopy za pomocą gumowej pieczątki. I wreszcie namalowany na jej lewej skroni pieprzyk. Wyglądał tak realistycznie, że oszustwo wyszło na jaw dopiero po paru godzinach, kiedy przybyli rodzice w celu identyfikacji ciała. Z analiz wynika, że pieprzyk został namalowany po jej śmierci.

Camille zadał wiele pytań, na które chętnie mu odpowiadano. Policja w Glasgow sprawiała wrażenie pewnej swego i nietroszczącej się zbyt o zachowanie w tajemnicy ustaleń swojego śledztwa.

Pokazano Camille’owi fotografie.

A wtedy on wyjął książkę, którą kupił u Lesage’a.

Ale nawet to odkrycie, jak się wydawało, nie zbiło z tropu jego rozmówców. Camille zaproponował, że zanim goniec dostarczy cztery jej egzemplarze z najbliższej księgarni, streści im pokrótce książkę.

Wypili też herbatę i koło szesnastej podjęli dalszy ciąg zebrania.

Przez dłuższą chwilę żonglując wydaniem angielskim i francuskim, porównywali tekst książki z różnymi ustaleniami śledztwa, zwłaszcza ze zdjęciami.

*Jej ciało częściowo przykrywały liście... Głowa wygięta była pod dziwnym kątem do szyi, jakby czegoś nasłuchiwała. Na jej lewej skroni dostrzegł pieprzyk, ten pieprzyk, który, jak sądziła, umniejsza jej szanse.*

By nie pozostać dłużnym, Camille przedstawił wyniki śledztw prowadzonych we Francji. Szkoccy policjanci studiowali akta w takim skupieniu, jakby dotyczyły ich własnego dochodzenia. Camille miał wrażenie, że czyta im w myślach: „Oto mamy fakty, fakty realne i nieubłagane, z których wynika tylko jedno: jeśli kryje się w tym jakaś szczególna, nietypowa paranoja, policja ma do czynienia z szaleńcem i jej zadaniem jest go powstrzymać”.

Wczesnym wieczorem Gallagher zawiózł Camille’a w kilka miejsc związanych ze śledztwem. Na dworze robiło się coraz chłodniej. Mimo to w Kevingrove Park ludzie spacerowali w samych

marynarkach, jakby powodowani wzruszającą wiarą w nawrót letniej aury. I pewnie, na ile to możliwe, taka właśnie była. Pojechali w miejsce, gdzie odkryto ciało Grace Hobson, zdaniem Camille'a co do joty pokrywające się z opisem McIlvanneya.

Dzielnica Glasgow Cross, w której mieszkała ofiara, była spokojną częścią śródmieścia. Wysokie sztywne kamienice odgradzały od ulicy metalowe bramy pokryte grubą warstwą czarnej, wielokrotnie nakładanej farby. Gallagher spytał, czy Camille chciałby spotkać się z rodzicami ofiary, którą to propozycję ten taktownie odrzucił. To nie było jego śledztwo i nie chciał, żeby wyglądało, iż celem jego przyjazdu było ponowne zebranie źle poprowadzonych zeznań. Następnie odwiedzili Metropolitan, dawną salę kinową przerobioną na dyskotekę. Podobnie jak w większości takich lokali, jego wygląd zewnętrzny – jaskrawe neony i dawne witryny przemalowane na czerwono – zniechęcał do wszelkich prób opisu.

Ze swojego pokoju w hotelu w śródmieściu Camille zadzwonił do Irène przebywającej u swoich rodziców.

- Zawiózł cię Louis?
- Oczywiście, że nie. Jestem już duża, więc wzięłam taksówkę. No, może nie tyle duża, ile gruba...
- Zmęczona?
- I to jak. A najbardziej mnie męczą rodzice, sam wiesz...
- Wyobrażam sobie. Co u nich?
- Po staremu, i to właśnie jest najgorsze.

Camille tylko dwa czy trzy razy gościł u swoich teściów w Burgundii. Ojciec Irène, emerytowany nauczyciel matematyki, dziejopisarz miasteczka i przewodniczący niemal wszystkich lokalnych stowarzyszeń, był miejscową sławą. Bez reszty zapatrzony w siebie, najpierw przez chwilę zabawiał zięcia opowieściami o swoich śmiesznych sukcesach i błahych zwycięstwach, po czym proponował mu rewanż w szachy, przegrał trzy partie z rzędu i do końca ich pobytu, udając kłopoty trawienne, chodził dyskretnie nabzdyczony.

- Ojciec życzy sobie, żebyśmy dali synowi na imię Hugo. Nie wiedzieć czemu akurat Hugo...
  - Zapytałaś go?
  - Mówi, że to imię zwycięzców.
  - Zapewne, ale zapytaj, co by powiedział na Cezara.
- Irène przez chwilę milczała. W końcu powiedziała:
- Tęsknię za tobą, Camille.
  - Ja też za tobą tęsknię.
  - Tęsknisz za mną i mnie okłamujesz... Jaką masz pogodę?
  - *Mixed*, jak tutaj mówią. Co znaczy, że wczoraj padało i jutro też będzie padało.

# Wtorek, 15 kwietnia

## 1

Samolot z Glasgow wylądował kilka minut po piętnastej. Przed wyjściem dla podróżnych Camille ujrzał Malevala z twarzą jeszcze bardziej zmęczoną niż zwykle.

– Nie pytam, czy przynosisz złe nowiny. Wystarczy spojrzeć na twoją minę...

Dokonali wymiany: Maleval odebrał od Camille'a walizkę, jemu zaś wręczył gazetę.

„Le Matin” – Laidlawem *Literat sygnuje swoje trzecie „dzieło”*.

Wyjaśnienie było tylko jedno: Lesage.

– Do kurwy nędzy!

– To samo powiedziałem. Louis był mniej dosadny – dodał Maleval, zapalając silnik.

Camille miał na komórce trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Le Guena. Nawet nie próbując ich odsłuchać, wyłączył telefon.

Czy popełnił błąd, udzielając dziennikarzowi takiej odpowiedzi? Czy mógł zyskać nieco więcej czasu?

Ale nie to było powodem jego przygnębienia. Powodem była myśl o nieuniknionej reakcji, jaką wywoła ten, a zapewne również wszystkie inne jutrzejsze artykuły na ten temat. Uznał, że nie ma sensu informować Le Guena ani sędzi Dechamps, dopóki nie porówna w Glasgow okoliczności tamtejszej zbrodni z opisem McIlvanneya, i to był błąd z jego strony. O informacji znajdującej się w jego posiadaniu już od dwóch dni przełożeni dowiedzieli się z prasy. Jego odwołanie nie stało już pod znakiem zapytania, teraz było pewne. Od początku tej sprawy pozostawał przez cały czas o jedną długość za wszystkim i wszystkimi. Cztery morderstwa później nie mógł się pochwalić żadnym tropem, żadnym dowodem rzeczowym. Nawet dziennikarze zdawali się lepiej zorientowani od niego.

Jego śledztwo zamieniało się w katastrofę.

Nigdy jeszcze, jak długo pracował, Camille nie czuł się aż tak bezsilny.

– Odwieź mnie do domu – powiedział przybitym, prawie niesłyszalnym głosem. I, jakby sam do siebie, dodał: – To koniec.

– Znajdziemy go! – oświadczył z entuzjazmem Maleval.

– Ktoś go znajdzie, ale nie my. W każdym razie nie ja. Będziemy musieli opuścić scenę, i to najpóźniej dziś po południu.

– Jak to?

Camille w kilku słowach wyjaśnił, jak wygląda sytuacja, z zaskoczeniem stwierdzając, że jego współpracownik wygląda na jeszcze bardziej przybitego niż on sam.

– Nie, to niemożliwe... – powtarzał w kółko Maleval.

Lecz było jak najbardziej możliwe.

W miarę lektury artykułu, oczywiście autorstwa Buissona, przygnębienie Camille'a zamieniało się w coraz większy gniew. ...*Najpierw James Ellroy w Tremblay, potem Bret Easton Ellis w Courbevoie, a teraz policja odkrywa, że Literat działał nie tylko we Francji. Z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się, że jest on również sprawcą morderstwa młodej kobiety popełnionego w Glasgow dziesiątego lipca 2001; to z kolei miałyby być wierną transkrypcją zbrodni wymyślonej przez szkockiego autora Williama McIlvanneya w książce pod tytułem Laidlaw.*

Czytając, unosił wzrok znad tekstu, zastanawiał się, a nawet mruknął pod nosem:

– Co za kretyn...



- Oni chyba wszyscy tacy są.
  - O kim mówisz?
  - O dziennikarzach!
  - Nie, Maleval, myślałem o kim innym...
- Maleval przezornie zamilkł. Camille spojrział na zegarek.
- Zanim wrócę do domu, muszę coś jeszcze załatwić. Skręć w prawo.

## 2

Niewiele było tu do powiedzenia. Ujrawszy Camille'a, który zdecydowanym krokiem, z gazetą w dłoni wkroczył do sklepu, Jérôme Lesage wstał, wyciągając obie ręce, jakby chciał się oprzeć o jakąś niewidzialną ścianę.

- Przykro mi, inspektorze... Zapewniam, że...

- Informacje znajdujące się w pańskim posiadaniu objęte były tajemnicą śledztwa. Naruszył pan prawo, panie Lesage.

- Przyszedł pan, żeby mnie aresztować? A wdzięczność?

- W co pan się bawi, Lesage?

- Informacja, o którą mnie pan poprosił, może i jest objęta tajemnicą śledztwa – odpowiedział księgarz – ale nie jest bynajmniej sekretem literackim. Zdziwienie wręcz budzi...

- Co, nasz brak odczytania? – podsunął oschle Camille.

- Tak daleko się nie posunę. Chociaż...

Przez usta księgarza przemknął nikły uśmiech.

- W każdym razie... – zaczął.

- W każdym razie – przerwał mu Camille – nie miał pan nic przeciwko temu, by korzystając z własnego odczytania, zapewnić sobie trochę reklamy. Ma pan kupiecką duszę, panie Lesage.

- Wszystkim nam zależy na reklamie, inspektorze. Jakkolwiek zechce pan zauważyć, że moje nazwisko tu nie padło. Czego nie można powiedzieć o pańskim, o ile dobrze pamiętam.

Odpowiedź ta zaboliała Camille'a, gdyż miała go zaboлеć. Poczuł, jak daremna była jego wizyta w księgarni. Pożałował swojego impulsywnego, nieprzemyślanego kroku.

Rzucił gazetę na biurko Lesage'a.

Zrezygnował z tłumaczenia księgarzowi skutków, jakie jego postępek, wykonany zresztą z niejasnych dla niego pobudek, niechybnie będzie miał dla przebiegu śledztwa. Przygnębienie przeważało i wyszedł bez słowa.

- Zostawię tylko walizkę i przebiorę się – powiedział, wsiadając z powrotem do samochodu – a potem jedziemy do sztabu generalnego ogłosić odwrót.

Maleval został w samochodzie zaparkowanym na trzeciego z włączonym kogutem na dachu. Camille wyjął pocztę ze skrzynki na listy i ciężkim krokiem wszedł po schodach. Bez Irène mieszkanie sprawiało wrażenie niesamowicie pustego. Ujrawszy jednak przez uchylone drzwi pokój czekający na ich dziecko, uśmiechnął się. Będzie miał pod dostatkiem czasu, żeby się zająć rodziną.

To, co miało potrwać tylko kilka minut, w rzeczywistości zajęło mu więcej czasu. Maleval zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do szefa na komórkę. Od dłuższej chwili tak tu stał; żałował, że nie sprawdził godziny. Wsiadł z samochodu i spoglądając w okna mieszkania Camille'a, za którymi nie dostrzegł żadnego ruchu, zapalił papierosa, potem drugiego. W końcu podjął decyzję i w chwili, gdy już wyjmował komórkę, na chodniku pojawił się Camille.

- Zacząłem się już niepokoić... – zaczął.

Najwyraźniej cios, jakim był dla Camille'a ten artykuł, zaczynał robić swoje. Maleval zauważył, że

jego szef wygląda na jeszcze bardziej zdołowanego, niż kiedy wysiadał z samochodu. Przez chwilę stał na chodniku, odsłuchując wiadomości od Le Guena – łącznie było ich trzy.

W pierwszej brzmiała wściekłość:

– Camille, przeginasz! Cała prasa jest au courant, a ja o niczym nie wiem! Zaraz po powrocie do mnie zadzwoń, słyszysz?

Ton drugiej, kilka minut późniejszej, był bardziej pojednawczy:

– Camille... Przed chwilą rozmawiałem z sędzią... Powinniśmy jak najszybciej wspólnie to omówić, bo... nie będzie łatwo. Zadzwonisz?

W trzeciej słychać było szczere współczucie:

– O piętnastej trzydzieści mamy być u sędzi. Jeśli wcześniej się nie odezwiesz, będę u niej na ciebie czekał.

Camille usunął wszystkie trzy wiadomości. Maleval nareszcie mógł ruszyć. Przez całą drogę milczeli.

### 3

Le Guen wstał pierwszy, uściśnął dłoń i łokieć Camille'a gestem dziwnie przypominającym składanie kondolencji. Sędzia Deschamps nawet nie drgnęła, wskazała tylko pusty fotel przed swoim biurkiem.

– Inspektorze Verhoeven – zaczęła spokojnie, biorąc głęboki oddech i wpatrując się w swoje paznokcie. – Nie jest to częsta procedura i nie robię tego z lekkim sercem.

Wygłaszała te administracyjne okrucieństwa, nie siląc się na efekt, beznamiętnie. Precyzja słowa, opanowany uroczysty głos, surowy ton. W końcu uniosła głowę.

– Obecnie pańskich uchybień nie sposób już ani wytłumaczyć, ani usprawiedliwić. Nie ukrywam, że nawet nie próbowałam stanąć w pańskiej obronie. Sprawa była z góry przesądzona. Po wykroczeniach, które już wcześniej panu wytykałam, to że poinformował pan prasę z pominięciem prokuratury...

– Nie było tak! – przerwał Camille.

– Ale na jedno wychodzi! I nie jestem ani trochę ciekawa, jak naprawdę było! Z przykrością zawiadamiam, że odbieram panu tę sprawę.

– Pani sędzio... – zaczął Le Guen.

Camille natychmiast uniesieniem ręki mu przerwał.

– Przestań, Jean! Pani sędzio, nie poinformowałam pani o podobieństwie między zbrodnią w Glasgow i książką, o której pisze prasa, gdyż podobieństwo to nie było bezsporne. Obecnie zostało już dowiedzione, i jestem tu, by to potwierdzić.

– Wielkie dzięki, inspektorze, dowiedziałam się już o tym z gazety... Ale w tej sprawie nie ma postępów. Cała prasa trąbi tylko o panu, ale pan nie ma żadnego, najmniejszego nawet tropu. Od samego początku.

Camille westchnął. Otworzył swoją teczkę, spokojnie wyjął małą broszurę z kredowego papieru i podał ją pani Deschamps.

– To magazyn zatytułowany „Bezsenne Noce”. Tygodnik. Pismo specjalizujące się w literaturze kryminalnej. Publikuje artykuły o nowościach na rynku, przedstawia sylwetki pisarzy, wywiady.

Otworzył je na stronie piątej.

– Oraz ogłoszenia. Przeważnie od osób szukających różnych rarytasów, wyczerpanych nakładów i tego typu rzeczy.

Wstał, podał pismo pani Deschamps i z powrotem usiadł w fotelu.

– Zakreśliłem jedno z nich, na dole, z lewej strony. Bardzo krótkie.

– „BEE”. O nie chodzi? A pod nim... czy to pański prywatny adres?

– Owszem – potwierdził Camille. – A BEE to Bret Easton Ellis.

– I co to niby znaczy?

– Spróbowałem dopaść naszego człowieka. Zamieściłem krótkie ogłoszenie.

– Jakim prawem...

– O, nie, pani sędzio, tylko nie to! – przerwał jej Camille. – Wszystko to już było. Ta śpiewka o uchybieniach, przywoływanie do porządku, przestrzegania procedur, wszystko to już słyszałem. Wiem, wiem, po raz kolejny pominąłem drogę służbową. Cóż, jestem dość impulsywny...

Podał jej dwie zadrukowane kartki papieru.

– A to... – dodał – przyszło do mnie pocztą dziś rano.

*Szanowny Panie!*

*Odezwał się pan. Nareszcie. Pańskie ogłoszenie sprawiło mi wielką ulgę. Powiedziałbym, że było dla mnie wręcz wyzwoleniem. To pokazuje, do jakiego stopnia przez wszystkie te lata cierpiałem, widząc, jak ograniczeni są ludzie, jacy ślepi. Jak niewrażliwi. Trwało to, niech mi pan wierzy, naprawdę długo. Z biegiem lat nabrałem bardzo marnego zdania o policji, a napatrzyłem się na tych wszystkich inspektorów i śledczych co niemiara! Cienia intuicji, za grosz finezji. Wszyscy oni sprawiali na mnie wrażenie wcielonej głupoty. Powoli zaczynałem tracić wszelkie złudzenia. W chwilach rozpacz (a Bóg mi świadkiem, że ich nie brakowało) upadałem na duchu, stwierdzając ów fakt oczywisty, że nikt nigdy nie zrozumie.*

*Tylu już innych przed panem przeszło obok mnie jak ślepcy, że kiedy pan się pojawił, raptem ożyła we mnie nadzieja. Nie był pan taki jak oni, było w panu coś odmiennego. Od momentu, gdy wkroczył pan na scenę, którą długo i wytrwale przygotowywałem, widząc, jak krąży pan wokół sedna sprawy, wiedziałem, że w końcu pan to odkryje. Wiedziałem to, odkąd przeczytałem artykuł w gazecie, odkąd poznałem pana portret, tak zresztą niesprawiedliwy. Wtedy były to jeszcze tylko domysły. Wiedziałem jednak, że pan zrozumiał. Wiedziałem, że już wkrótce będziemy mogli o tym porozmawiać.*

*Pyta pan o BEE.*

*To długa historia. Bardzo dawny projekt, do którego realizacji mogłem przystąpić, dopiero zyskawszy pewność, że dorównam temu, kto nadal pozostaje dla mnie wzorem. Bret Easton Ellis jest mistrzem i trzeba było wielkiej skromności, wielkiej pokory, by mieć nadzieję na sprostanie takiemu arcydziełu. Jak również wiele szczęścia. Zauważył pan (wiem, że tak), jak wielki stopień podobieństwa zdołałem uzyskać? Z jaką wiernością służyłem mistrzowi? Nie było to łatwe. Wymagało długich przygotowań. Ileż ja miejsc obejrzałem, ile odwiedziłem mieszkań! Spotkawszy François Cotteta, momentalnie, zapewne podobnie jak pan, zorientowałem się, z kim mam do czynienia. Co za imbecyl, prawda? Ale lokalizacja była idealna. Nietrudno było skusić tego durnia. Żądę zarobku miał wypisaną na twarzy, z daleka było widać, jaki jest przegrany. Wyobrażał sobie, że robi świetny interes. Dla takich perspektywa zarobku to absolutny klucz do sezamu. Na jego korzyść przemawia jednak to, że był sumienny i uczynny. Bez wahania zgodził się osobiście odebrać wynajęty przeze mnie samochód... czego chcieć więcej? (Z pewnością zauważył pan, że zamówienie sprzętu opiewało na nazwisko Peace, co było naturalnie odesłaniem do autora tetralogii z Yorkshire...<sup>[5]</sup>) Nie wiedział oczywiście, że z tą chwilą kończyła się jego rola. Nietrudno było też wywabić go z domu w poniedziałek wieczorem. Napędził mu pan ciężkiego stracha, gotów był zrobić wszystko, byle wypłatać się ze sprawy, w której jego rola w gruncie rzeczy była żadna. Zabicie go nie sprawiło mi żadnej przyjemności. Nienawidzę śmierci. Cottet po prostu musiał zniknąć, i tyle. Jego ciało znajdzie pan zakopane w lesie w Hez, pod Clermont-de-l'Oise (trzysta pięćdziesiąt metrów na północ od miejsca zwanego „Kawalerią”, dokładne miejsce oznaczyłem pryzmą kamieni). Jestem pewny, że będzie pan umiał w prostych słowach przekazać to swojemu małemu klanowi.*

*Ale wróćmy do sedna sprawy. Z pewnością zauważył pan, z jak wielką starannością i jak wiernie*

zrekonstruowałem miejsce zdarzenia. Każda rzecz jest na swoim miejscu, dokładnie na swoim miejscu; dam głowę, że Ellis byłby szczęśliwy, widząc scenerię tak wiernie odtworzoną, tak zgodną z jego zamysłem: walizka oraz jej zawartość, nabyta wiele miesięcy wcześniej w Anglii, kanapa dostarczona dzięki usłudze naszego przyjaciela Cotteta... Najtrudniej było znaleźć tę koszmarną tapetę w cętki, którą opisuje BEE. Musiałem ją zamówić aż w Stanach.

Wybór młodych bohaterów dramatu też nie należał do najłatwiejszych.

Bohater BEE, Patrick Bateman, w swoim nieco wulgarnym żargonie golden boya jasno sprecyzował, że miały „wielkie cyce” („młodziutki, istne pieścidełka”). Przywiązywałem do tego dużą wagę. Jak również do ich wieku. Jak się pan zapewne domyśla, młodych kobiet z dużym biustem nie brakuje, i nie w tym był problem. Ale musiały być takie, jakie spodobałyby się Batemanowi. A to już była kwestia intuicji. To ona odróżnia prawdziwego reżysera od zwykłego kierownika planu. Mała Évelyne pasowała idealnie. Przelecenie jej za pierwszym razem nie było dla mnie zbyt przykre. Przeleciałem ją, gdyż było to konieczne z punktu widzenia planu, który obmyśliłem. Uznałem, że najpewniejszym sposobem, by nabrała do mnie zaufania, jest podać się za spokojnego klienta bez większych wymagań i niezalującego zapłaty. Obojętnie przystała na zabawę i być może ten jej pozorny luz, zabarwiony pogardą dla potrzeb mężczyzn, którzy za ich zaspokojenie jej płacą, przesądził o mojej decyzji, żeby ją zwerbować. Byłem z niej bardzo dumny, kiedy zjawiała się w Courbevoie w towarzystwie małej Josiane. Ona również była strzałem w dziesiątkę. Umiejętnie otoczyłem się właściwymi ludźmi, i to jest najważniejsze.

Miałem tego wieczoru tremę, Camille, wielką tremę! Kiedy przyjechały, wszystko było już gotowe. Spektakl mógł się zacząć. Nareszcie rzeczywistość mogła połączyć się w jedno z fikcją. Co więcej: dzięki mnie nareszcie miała dokonać się fuzja sztuki i świata. Przez pierwszą część wieczoru targła mną tak wielka niecierpliwość, że przeląknąłem się, czy obie dziewczyny nie uznają mnie za zbyt napalonego. Pobaraszkowaliśmy we trójkę, poczęstowałem je szampanem, a moje wymagania ograniczyły się do minimum niezbędnego dla realizacji mojego planu.

Po godzinie igraszek, kiedy to kazałem im robić dokładnie to samo co bohaterki BEE, uznałem, że nadeszła ta chwila. Potrzebowałem anielskiej cierpliwości, by ich ciała znalazły się w identycznej pozycji co ciała ich literackich pierwowzorów. Od momentu, gdy zębami wyszarpałem srom Évelyne, od jej pierwszego wrzasku bólu, wszystko potoczyło się jak w książce, Camille, identycznie jak w książce. Tej nocy święciłem autentyczny triumf.

Tak, to właśnie wtedy poczułem. Triumf. I chyba mogę powiedzieć, że obie dziewczyny podzielały to uczucie. Gdyby pan widział, jak autentycznymi, jak pięknymi i rześzystymi łzami płakała Évelyne, kiedy już później, w nocy, ujrzała mnie podchodzącego do niej z rzeźnickim nożem! I wiem, że gdyby Bret Easton Ellis na ten moment dramatu zechciał zachować jej usta, Évelyne uśmiechnęłaby się do mnie ze szczęścia, wiem, że ona również poczułaby to, co po długich latach mojego cierpliwego czekania stawało się obecnie naszym wspólnym triumfem. Ofiarowałem jej to najwyższe szczęście, jakim jest zaistnienie za życia w dziele sztuki, i wiem, że ponad ból, w apogeum sięgający szczytów uwznioślenia, jakąś najgłębszą, jej samej nieznaną część siebie, ona także namiętnie upajała się tą chwilą. Wydobyłem ją ze smutnej egzystencji, w której gniją wszystkie Évelyne tego świata, wyniosłem jej nędzne życie do rangi przeznaczenia.

Nie ma emocji głębszych niż te, które przeżywamy za pośrednictwem artystów. Wszyscy miłośnicy sztuki o tym wiedzą. Ja osobiście doświadczałem owych wzniosłych emocji, służąc im, artystom. Wiem, że pan to rozumie. Uszanowałem wszystko, po najdrobniejsze szczegóły. I scena, którą pan odkrył, jest wierną rekonstrukcją treści oryginału.

Będąc tak dogłębnie przesiąknięty tekstem, poczułem się jak aktor całkowicie uwolniony od

sztynego scenariusza, nareszcie będący sobą. Któregoś dnia pan to zobaczy, bo całą tę scenę sfilmowałem opisaną w książce „ultraminiaturową kamerą Minox LX z filmem 9,5 mm”. Nie obejrzał pan tego filmu, gdyż Ellis nie przewidział zostawienia kamery na miejscu zdarzenia. Szkoda, ale takie było życzenie artysty. Często oglądam to nagranie. Pan również, po obejrzeniu go, poczuje się poruszony autentyzmem tego dramatu, jego „cierpką prawdą”. Usłyszysz pan utwór *Traveling Wilburys*, kiedy nożyczkami do paznokci próbuję obciąć dziewczynie palce, odczuje pan diaboliczną moc tej sceny, w której ja, Patrick Bateman, piłą elektryczną obcinam głowę Évelyne, a potem chodzę po pokoju, przyciskając tę głowę do mojego nabrzmiałego członka, albo innej, tej, którą mogę oglądać na okrągło, kiedy gołą ręką rozrywam jej brzuch. To coś nadzwyczajnego, Camille, niech mi pan wierzy, nadzwyczajnego...

Czy powiedziałem już wszystko, co trzeba? O niczym nie zapomniałem? W razie czego niech pan bez oporów pyta. Zresztą wiem, że będziemy mieli wiele innych okazji do rozmowy.

Z poważaniem.

PS Mam nadzieję, że *post factum* doceni pan, że panu właśnie, a nie komu innemu przydzielono śledztwo w sprawie Czarnej Dalii, która tak naprawdę nazywała się Betty „Short”. Jest pan na znanym już terenie. Załączam to *postscriptum* na użytek pańskich przełożonych, na wypadek gdyby wpadli na niemądry pomysł odebrania panu tego śledztwa (działamy WSPÓLNIE, Camille, dobrze pan wie!). Proszę im przekazać, że bez pana tracę nadzieję na ponowną lekturę mojego dzieła... ale ono trwa nadal.

Sędzia Deschamps odłożyła list, przez chwilę się w niego wpatrywała, a potem podała go Le Guenowi.

– Naprawdę nie podobają mi się pańskie metody, inspektorze...

– No nie! – zaczął Camille. – W porównaniu z metodami zabójcy jestem...

Ale spojrzenie pani Deschamps sprawiło, że umilkł.

– Przepraszam pana na chwilę, komisarzu – zwróciła się do Le Guena, jakby Camille nagle przestał dla niej istnieć. – Muszę to skonsultować z moimi przełożonymi.

Na korytarzu, doczytawszy list do końca, Le Guen się uśmiechnął.

– Nie wątpił, że wrócisz do gry. Ale nie sądziłem, że w taki sposób.

## 4

– Udana podróż? – zapytał Armand, z ukontentowaniem kłozarda wydmuchując kłęb gryzącego dymu.

– Fatalny powrót, Armand. Burzliwy.

Armand popatrzył na trzymany pionowo w palcach niedopałek i musiał przyznać, że nie da rady się nim więcej sztachnąć. Z żalem zgniótł go w popielniczce z logo *Optique Moderne* w *Châteauroux*.

– Jest coś nowego. I brzydkiego...

– O...

Z korytarza dobiegł ich głos Louisa.

– To już ostatni raz! – Głos był stanowczy i zaskakująco donośny.

Camille wstał, wyszedł z pokoju i ujrzał Louisa w towarzystwie Malevala.

Tamci odwrócili się speszeni i uśmiechnęli. Sprzeczka między nimi, o cokolwiek w niej poszło, była bardzo nie w porę. Camille postanowił udawać, że niczego nie zauważył.

– Ruszamy do działania, Louis, zwołaj zespół – zarządził, idąc do fotokopiarki.

Potem rozdał swoim ludziom kopię listu mordercy, który wszyscy przeczytali w iście religijnym skupieniu.

- Le Guen załatwi nam wsparcie operacyjne – oznajmił. – Jutro, pojutrze, jeszcze nie wie, ale będzie nam potrzebne.
- Mhmm... – odpowiedzieli chórem Armand, Maleval i Louis, kończąc lekturę. Camille cierpliwie czekał.
- To jakiś pojeb – orzekł Maleval.
- Poprosiłem Cresta, żeby zaktualizował jego profil. Ale w zasadzie się zgadzam: to jest pojeb. W tej sytuacji mamy nowe przesłanki.
- Nie jest powiedziane, że to on... – zaryzykował Armand. – To znaczy, to, co pisze... cała prasa już o tym trąbiła...
- Moim zdaniem za kilka godzin odkopimy ciało Cotteta... Jestem pewny, że to rozwieje twoje wątpliwości.
- Jego list wszystko potwierdza, ale niczego nowego się z niego nie dowiadujemy – analizował Louis.
- Ja też zwróciłem na to uwagę. Facet jest bardzo ostrożny. Mimo wszystko spróbujmy to podsumować. Tapeta jest amerykańska. Armand, wiesz, co cię czeka. Wiadomo też, że oglądał wiele mieszkań. Z tym będzie już trudniej. Trzeba poszukać w Paryżu i na przedmieściach inwestycji budowlanych, które mogłyby go zainteresować i które mógł oglądać. Mamy potwierdzenie, że Josiane Debeuf zwerbował za pośrednictwem Évelyne Rouvray. Tu nic nowego już nie znajdziemy. Może sprawa tej kamery Minox, której jak twierdzi, używał...
- Ja tam nie palę się, żeby obejrzeć ten film – oświadczył Maleval.
- Nikt się nie pali. Mimo to trzeba dodać ten trop do naszej listy. Maleval, spróbujesz pokazać jakieś świeże zdjęcie Cotteta strażnikowi z Gennevilliers. I... i właściwie to byłoby wszystko.
- Niewiele tego jest.
- A, jeszcze jedno, list został nadany w Courbevoie. Z miejsca zbrodni. Szczyt finezji.

## 5

Las w Hez to las spokojny, melancholijny i niezwykle zabójczy dla agentów nieruchomości.

Miejscowi żandarmi zrobili wszystko, co należy, by zabezpieczyć teren, ekipa techników stawiła się w komplecie.

Wybrane przez mordercę miejsce było ciche, ustronne, łatwo było do niego dojechać szosą, co pozwalało przypuszczać, że Cotteta zamordował gdzie indziej, a jego zwłoki tylko tu przywiózł. W świetle potężnych, zasilanych generatorem reflektorów technicy przez dobrą godzinę przeczesywali teren w poszukiwaniu ewentualnych śladów i dopiero wtedy mogła wkroczyć do akcji ekipa mająca dokonać ekshumacji. Koło dwudziestej pierwszej zaczęło się robić naprawdę zimno. W świetle reflektorów i kogutów policyjnych, których błękitny blask przesiewał się przez pączkujące liście, nocny las nabierał wyglądu sennego przywidzenia.

O dwudziestej drugiej wykopali zwłoki Cotteta.

Miał na sobie beżowy garnitur i jasnożółtą koszulę. Kiedy wydobyto ciało, okazało się, że dostał kulę w głowę. Czysta robota. Camille wziął na siebie zawiadomienie jego żony i przeprowadzenie identyfikacji, Maleval miał asystować przy sekcji.

# Środa, 16 kwietnia

## 1

– Zaraz poproszę jednego z moich ludzi, żeby odebrał od pani zeznanie, pani Cottet. Chciałbym jednak zadać pani pewne pytanie...

Stali w korytarzu kostnicy.

– O ile mi wiadomo, pani mąż był wielkim miłośnikiem kryminałów...

Jakkolwiek dziwnie mogło zabrzmieć to pytanie, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Owszem, tylko to czytał. Czytał to, co był w stanie zrozumieć.

– Czy może mi pani powiedzieć o tym trochę więcej? – zapytał Camille.

– Och, wie pan, od lat już z sobą nie rozmawialiśmy. Nasze nieliczne rozmowy w zasadzie nie dotyczyły lektur.

– Wybacz mi, że zapytam... czy pani mąż był człowiekiem gwałtownym? To znaczy, czy wobec pani kiedykolwiek...

– Mój mąż nie był człowiekiem odważnym. Był dość... fizyczny, to pewne, nieco brutalny, to też, ale nie w tym znaczeniu, o którym pan mówi.

– A konkretnie, w sprawach seksualnych, jaki był? – spytał prosto z mostu Camille.

– Szybki – odpowiedziała – zdecydowany zaspokoić podniecenie. Błyskawiczny nawet, jeśli dobrze pamiętam. Żaden dewiant. Ograniczona wyobraźnia. Wręcz jej brak. Amator seksu oralnego, umysłowość sodomity, cóż by tu jeszcze dodać...

– Myślę, że to wystarczy...

– Przedwczesny wytrysk...

– Dziękuję, pani Cottet... Dziękuję...

– Ależ proszę, panie Verhoeven, niech pan pyta. Zawsze to przyjemność porozmawiać z dżentelmenem.

Postanowił powierzyć przesłuchanie Louisowi.

## 2

Camille zaprosił Louisa i Le Guena na obiad. Louis miał na sobie elegancki niebieskoszary garnitur, koszulę w delikatne prążki i granatowy krawat zawiązany tak, że zdobiący go emblemat brytyjskiego uniwersytetu znalazł się idealnie pod węzłem. Le Guen wciąż jeszcze traktował Louisa jak jakąś osobliwość antropologiczną. Niezmiernie go zdumiewało, że ludzkość, wyczerpawszy bez mała wszelkie możliwe kombinacje, była jeszcze w stanie wydać na świat podobny okaz.

– Jak dotąd – rozprawiał Camille, zabierając się do porów – mamy trzy zbrodnie, trzy książki oraz dwóch zaginionych.

– Plus prasę, sędzię, prokuraturę i ministra – uzupełnił Le Guen.

– Jeśli liczyć wszystkie przeciwności losu, to masz rację.

– Wczoraj „Le Matin” miał jedną długość przewagi. Wchłonął go główny peleton, sam widziałeś.

– Nie, wolę nie...

– Niesłusznie. Jeśli tak dalej pójdzie, twój Literat jednomyślną decyzją dostanie Goncourta. Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z sędzią Deschamps. Uśmiejesz się...

– No, nie wiem...

– ...podobno minister „się wzruszył”.

– Minister wzruszony? Żartujesz.

– Ani trochę. Wzruszony minister, dla mnie to wprost wzruszające. A poza tym emocje ministerialne są przydatne. To wszystko, co jeszcze wczoraj było niemożliwe, staje się priorytetem. Dziś po południu będziesz miał nowy lokal i posiłki.

– Mogę sam wybrać?

– No wiesz! Wzruszenie nie oznacza hojności, Camille.

– Chyba mam braki językowe. A więc?

– Daję ci trzech. Powiedzmy o szesnastej.

– To oznacza osiemnastą.

– Tak, z dokładnością kilku minut.

Przez chwilę wszyscy trzej jedli w milczeniu.

– Niemniej – odezwał się w końcu Louis – wygląda na to, że za sprawą pana ogłoszenia w pewnym sensie odzyskaliśmy kontrolę nad sytuacją.

– W pewnym sensie – zgodził się Camille.

– Ten facet trzyma nas za jaja – stwierdził Le Guen.

– Jean! Jesteś w towarzystwie dżentelmenów! Tak przynajmniej zapewniła mnie dzisiaj rano pani Cottet.

– Co to za kobieta ta pani Cottet?

Camille spojrzał na Louisa.

– Inteligentna – odpowiedział Louis, próbując wina. – Z dobrej rodziny. Już z sobą właściwie nie żyli, żyli obok siebie. Od początku nie należeli do tego samego świata, a z czasem przepaść między nimi jeszcze bardziej się pogłębiła. Niewiele wie o jego prywatnym życiu, wzajemnie się ignorowali.

– Nietrudno jej było być inteligentniejszą od męża. Kompletnego idioty... – dodał Camille.

– Wygląda na to, że łatwo go było zmanipulować – zgodził się Louis. – Maleval pokazał jego zdjęcie w magazynie w Gennevilliers. Nie ma żadnych wątpliwości, to był na pewno on.

– Był tylko narzędziem. Niewiele nam to daje.

– Na chwilę obecną mamy potwierdzenie – powiedział Louis – że nasz człowiek powielił zbrodnie z powieści detektywistycznych...

– Z powieści – przerwał mu Camille. – Na razie z powieści kryminalnych. Ale z jego listu nie wynika, że tylko do takich zamierza się ograniczyć. Równie dobrze, chcąc powielić scenę z *Anny Kareniny*, może wepchnąć jakąś kobietę pod pociąg, otruć inną w jakimś zakątku Normandii, żeby odtworzyć *Panią Bovary*... albo...

– ...zrzucić bombę atomową na Hiroszimę, żeby odtworzyć *Hiroszimę, moją miłość* – dodał Le Guen, pragnąc pokazać, że on również jest człowiekiem czytany.

– Na przykład – zgodził się Camille.

Jaką wewnętrzną logiką mógł kierować się ten człowiek? Dlaczego wybrał akurat te trzy książki, a nie inne? Ile zdążył ich już odtworzyć do czasu zbrodni w Tremblay? A pytanie, ile jeszcze innych odtworzy, zanim go dopadną, było jedynym, którego wolał sobie nie zadawać, a które najwyraźniej zaczynało mu odbierać apetyt.

– Co o tym myślisz, Camille?

– O czym...?

– O tym, co powiedział Louis...

– Chcę Coba.

– Jaki to ma związek...

– Posłuchaj, Jean, innych mam w nosie, ale do informatyki chcę Coba.

Le Guen przez chwilę się namyślał.



Czterdziestoletni Cob był już policyjną legendą. W młodym wieku i z przeciętnym dyplomem rozpoczął pracę w dziale informatycznym Policji Kryminalnej od najniższego stanowiska. Awansując wyłącznie z uwagi na wysługę lat, oblewając po drodze wszystkie egzaminy wewnętrzne, zadowalał się podrzędnym stanowiskiem, gdyż jego umiejętności i tak zapewniały mu kluczową pozycję w najtrudniejszych sprawach. Każdy w policji wcześniej czy później usłyszał o informatycznych wyczynach Coba, zwłaszcza jego przełożeni, których jego dokonania, przynajmniej z początku, trochę niepokoiły, dopóki nie zrozumieli, że z jego strony nie mają się czego obawiać. Postrzegany wcześniej we wszystkich działach, do których go przydzielano, jako zagrożenie, które zwykle stwarza obecność geniusza, obecnie uważany był przez wszystkich za największy skarb. Wszyscy chcieli z nim pracować. Camille zbyt dobrze go nie znał. Najczęściej spotykali się w kantynie. Twarz Coba przywodziła na myśl ekran jego komputera: blada, kwadratowa, o zaokrąglonych rogach. Mimo nieco ponurej powierzchowności miał w sobie pewien żartobliwy, kpiarski luz, który Camille'a bawił. Jednak nie z powodu jego poczucia humoru teraz o nim pomyślał. Obecny etap śledztwa wymagał zdolnego informatyka, a wszyscy wiedzieli, że w firmie nie ma lepszego niż Cob.

- Cóż, zgoda, ale co myślisz o tym, co powiedział Louis? – nie dawał za wygraną Le Guen. Camille, który nie słuchał, o czym rozmawiali, spojrzał z uśmiechem na swojego zastępcę.
- Powiem, że Louis ma zawsze rację. Z zasady.

### 3

- Rzecz jasna, jest to objęte tajemnicą śledztwa...
- Rzecz jasna – potwierdził Fabien Ballanger, nie rozumiejąc, o czym mówi Camille.

Siedząc za biurkiem w pozie myśliciela, czekał, aż Camille skończy z tymi obiekcjami; patrzył na niego zachęcającym wzrokiem, jakby z góry udzielając mu rozgrzeszenia, pragnął go uwolnić od jakiegoś ciężaru.

- Obecnie mamy do czynienia z trzema zbrodniami.
- O jedną więcej niż ostatnio...
- Istotnie.
- Dużo tego – stwierdził Ballanger, przyglądając się swoim dłoniom.

Camille wyjaśnił mu pokrótce, w jaki sposób każda z tych trzech zbrodni została popełniona.

- W chwili obecnej mamy już pewność, że owe trzy zbrodnie stanowią wierne powielenie *American Psycho*, *Czarnej Dalii* i *Laidlaw*. Zna pan te książki?

- Tak, wszystkie czytałem.
- Czy dostrzega pan coś wspólnego między nimi?
- A priori nic. – Ballanger odpowiedział po namyśle. – Jeden autor szkocki, dwóch Amerykanów...

Każdy z nich reprezentujący inną szkołę. *Laidlaw* i *American Psycho* dzieli przepaść. Nie znam dokładnych dat ich wydania. Tu też nie bardzo wiem, co mogłoby je łączyć.

- Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, coś je musi łączyć!

Ballanger chwilę myślał i powiedział:

- Może on po prostu lubi te książki!

Camille mimo woli się uśmiechnął i tym uśmiechem zjednał sobie rozmówcę.

- Nie pomyślałem o tym – odparł – tak... to głupie.
- Wie pan, czytelnicy tego typu książek mają bardzo różne gusta...

– Zabójcy już mniej. W pewnym sensie są bardziej logiczni. A przynajmniej kierują się „własną” logiką.

- Gdybym się nie obawiał, że zabrzmi to niestosownie...

– Niech pan powie.

– Powiedziałbym, że wybiera naprawdę świetne książki!

– To dobrze – rzekł Camille, znowu się uśmiechając. – Wolę szukać człowieka z gustem. To podnosi rangę poszukiwań.

– Pański... pański morderca... czyta bardzo dobre książki. Najwyraźniej jest koneserem.

– Bez wątpienia. Ale ten człowiek na pewno jest chory. Jeden problem pozostaje dla nas kluczowy.

Od czego się to wszystko zaczęło?

– To znaczy?

– Znamy jego zbrodnie, odkąd zaczął je sygnować. W najlepszym razie wiemy, która jest ostatnia. Ale nie wiemy, gdzie, kiedy ani od jakiej książki ta seria zbrodni się zaczęła.

– Rozumiem... – powiedział Ballanger, który najwyraźniej nic z tego nie rozumiał.

– Istnieje obawa, że mógł popełnić inne, wcześniej, przed zbrodnią w Glasgow. Jego obszar działania jest rozległy, projekt ambitny. Czy książki, o których tu mówimy, nazwałby pan klasykami gatunku? – zapytał Camille.

– Och, to bardzo znane pozycje. Może niezupełnie klasyczne. To znaczy nie w tym sensie, w jakim rozumiemy to pojęcie na uniwersytecie.

– W takim razie dziwi mnie to – podjął Camille, najwyraźniej zawiedziony jego odpowiedzią. – Jeśli z jego strony to ma być swoisty hołd dla literatury detektywistycznej, dlaczego nie zaczął od tego, co pan nazwałby „wielkim klasykiem”? Byłoby to logiczne, prawda?

Twarz Ballangera się rozjaśniła.

– Oczywiście. Wydaje się to jak najbardziej logiczne.

– Ile tytułów, pańskim zdaniem, można nazwać „wielkimi klasykami”?

– Och, nie wiem, jest ich mnóstwo. Chociaż nie – dodał po namyśle – aż tyle to nie. Definicja tego, czym jest klasyk w tego typu literaturze, jest bardzo umowna. W moim przekonaniu ma wręcz charakter bardziej socjologiczny i historyczny niż literacki.

Widząc pytające spojrzenie Camille’a, wyjaśnił:

– To kwestia socjologii w tym sensie, że w oczach średnio zorientowanych czytelników niektóre książki uznawane są za arcydzieła nawet wtedy, kiedy specjaliści nie uważają ich za takie. To także kwestia historii. Klasyk niekoniecznie jest arcydziełem. *Necropolis* Liebermanna jest arcydziełem, ale jeszcze nie klasykiem. Odwrotnie niż *Dziesięciu małych Murzynków*. *Zabójstwo Rogera Ackroyda* jest i arcydziełem, i klasykiem.

– Mnie potrzebne są konkrety – powiedział Camille. – Gdybym wykładał literaturę, zapewne bawiłbym się w tego typu niuanse... Ale ja prowadzę śledztwo w sprawie zbrodni, których sprawca ćwiartuje młode dziewczyny... Ile według pana może być wśród tych książek arcydzieł, klasyków, krótko mówiąc, ważnych pozycji? Mniej więcej...

– Cóż, powiedziałbym, że trzysta. Mniej więcej.

– Trzysta... Czy mógłby pan sporządzić listę tytułów bezdyskusyjnie najlepszych i podpowiedzieć mi, gdzie szukać ich streszczenia? Dysponując kilkoma znaczącymi detalami każdej takiej historii, moglibyśmy spróbować poszukać w kartotece policyjnej...

– Czemu akurat mnie pan o to prosi?

– Szukam specjalisty zdolnego ustrukturyzować, dokonać syntezy posiadanej wiedzy. Bo widzi pan, w Brygadzie Kryminalnej znawców literatury mam niewielu. Pomyślałem, żeby zwrócić się z tą prośbą do księgarza...

– Dobry pomysł – wszedł mu w słowo Ballanger.

– Znam nawet takiego, tyle że nie kwapi się do współpracy. Wolę zwrócić się z tym, jak by to ująć...

do urzędnika państwowego.

Dobre posunięcie, pomyślał z uznaniem Ballanger. Odwołanie się do tego podniosłego pojęcia stawiało go w sytuacji, w której nie bardzo mógł odmówić, oraz zobowiązywało do zachowania tajemnicy, której gwarancją nie mogła być tylko i wyłącznie jego własna uczciwość.

– Tak, to możliwe... – powiedział wreszcie. – Sporządzenie takiej listy nie powinno być trudne. Tyle że będzie to wybór wysoce arbitralny.

Camille kiwnął głową, że rozumie, że to żadna przeszkoda.

– Powiniennem mieć jakieś monografie, streszczenia... Mogę poprosić też kilku studentów... Dwa dni?

– Znakomicie.

## 4

Dopiero na podstawie środków oddanych do dyspozycji policji widać, jakie zainteresowanie wzbudzają u kierownictwa głośne medialnie sprawy. Camille'owi przydzielono wielką salę w podziemiach. Bez okien.

– Co za głupota, jedna zbrodnia więcej i mielibyśmy okna – skomentował.

– Możliwe – odparł Le Guen – ale jeden trup mniej i nie miałbyś komputerów.

Trwała właśnie instalacja pięciu stanowisk dla informatyków, robotnicy zawieszali korkowe tablice, które miały posłużyć do wywieszania informacji dla ekipy, ustawiali kontenery z wodą zimną i gorącą do robienia neski, sprzęt biurowy, stoły, krzesła, zakładali linie telefoniczne. Zadzwoiła sędzia Deschamps, by ustalić godzinę pierwszego briefingu. Został wyznaczony na jutro, na ósmą trzydzieści.

O osiemnastej trzydzieści ekipa była w komplecie. Zabrakło nie więcej niż dwóch, trzech krzesel. Zresztą, zgodnie z tradycją, Camille poprowadził to pierwsze zebranie na stojąco.

– Na początek zwyczajowe prezentacje. Inspektor Verhoeven – przedstawił się krótko. – Tutaj nie bawimy się w Wersal. To jest Louis. On będzie koordynował pracę całej ekipy. Wszystkie wyniki, jakie uzyskacie, w pierwszej kolejności zostaną przekazane jemu. Do niego należy podział zadań.

Czwórka nowych w milczeniu popatrzyła na Louisa, skinąwszy głowami.

– A to jest Maleval. Teoretycznie Jean-Claude, ale w praktyce Maleval. Jemu podlegają środki materialne. Komputery, samochody i tak dalej. W tych sprawach będziecie się zwracać do niego.

Spojrzenia przeniosły się na drugą stronę pokoju, na Malevala, który uniósł dłoń gestem powitania.

– I wreszcie Armand. Oprócz mnie on jest tu najstarszy stażem. W sprawach technicznych lepszego nie znajdziecie. W razie jakichś wątpliwości możecie na niego liczyć. Bez problemu wam pomoże. To bardzo wspaniałomyślny człowiek.

Zarumieniony Armand spuścił głowę.

– No dobrze, a teraz nowi.

Camille wyjął z kieszeni i rozłożył kartkę.

– Élisabeth...

Czterdziestoletnia kobieta obfitych kształtów o szczerzej twarzy, ubrana w bezosobowy kostium.

– Dzień dobry – powiedziała, unosząc rękę. – Cieszę się, że z wami jestem.

Jej sposób mówienia, bezpretensjonalna swoboda spodobały się Camille'owi.

– Witaj, Élisabeth. Pracowała już pani przy grubych sprawach?

– Przy sprawie Ange'a Versiniego...

Wszyscy w Kryminalnej pamiętali Versiniego, paryskiego Korsykanina, który udusił kolejno dwójkę dzieci, przez osiem tygodni nie dał się złapać i po pościgu, który spowodował wielkie zniszczenia – oraz wiele hałasu w prasie – został niemal z przyłożenia zastrzelony na bulwarze Magenta.

– Brawo. Mam nadzieję, że przyczynimy się do wzbogacenia listy pani osiągnąć.

– Ja też mam taką nadzieję.

Wydawało się, że chce jak najszybciej przystąpić do pracy. Spojrzała krótko na Louisa, poprzestając na przyjaznym uśmiechu i skinieniu głowy.

– Fernand? – zapytał Camille, zajrzawszy do listy.

– To ja – odezwał się mężczyzna koło pięćdziesiątki.

Camille natychmiast go ocenił. Poważna mina, lekko błędne spojrzenie, załamane oczy, ziemista cera alkoholika. Pragmatyczny jak zawsze Le Guen powiedział: „Radzę ci wykorzystać go rano. Bo potem nie ma już człowieka...”.

– Jest pan z obyczajówki, prawda?

– Tak, w Kryminalnej znam niewiele osób.

– Przyda nam się pan na pewno... – dodał Camille, udając większą pewność, niż naprawdę czuł. –

Będzie pan pracował z Armandem.

– A pan, jak wnioskuję, jest Mehdi...? – zapytał, zwracając się do młodego mężczyzny, na oko mającego nie więcej niż dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat.

Dżinsy, rzucający się w oczy T-shirt, postura sporo zawdzięczająca wizytom na siłowni, słuchawki MP3 niedbale okalające szyję. Mehdi miał mroczne i bystre spojrzenie. Ujmujące, jak uznał Camille.

– Jak najbardziej. Ósma brygada. To znaczy... od niedawna.

– To będzie dobre doświadczenie. Zatem witamy. Będziesz w ekipie z Malevałem.

Obaj mężczyźni kiwnęli aprobowująco głowami, nim jeszcze Camille zdążył zastanowić się nad, niezbyt niestety zagadkową regułą, każącą mu do jednych zwracać się per pan, a do innych per ty. Kwestia wieku, stwierdził w duchu bez żalu.

– Ostatni jest Cob – powiedział, chowając kartkę do kieszeni. – Znamy się, ale nie mieliśmy jeszcze okazji razem pracować...

Cob obrzucił Camille’a beznamiętnym spojrzeniem.

– Jeszcze nie.

– Będzie naszym informatykiem.

Wśród zgromadzonych rozległ się cichy szmer, lecz Cob nawet nie drgnął, poprzestając na krótkim uniesieniu brwi tytułem powitania. Wszyscy już słyszeli o jego wyczynach.

– Ustal z Malevałem, czego potrzebujesz, to sprawa priorytetowa.

# Czwartek, 17 kwietnia

## 1

– Na razie nic nie podważa ustaleń wstępnej analizy. Ten człowiek nienawidzi kobiet.

Sędzia Deschamps otworzyła zebranie o wyznaczonej godzinie, punktualnie niemal co do sekundy. Doktor Crest położył teczkę na biurku i zaglądał tylko do notatek. Papier w dużą kratkę, pismo wydłużone i pochyłe.

– Jego list uzupełnia kliniczny obraz, który starałem się nakreślić. Nie podważa jego podstawowych założeń. Mamy do czynienia z człowiekiem wykształconym i zarozumiałym. Który dużo czytał, nie tylko kryminały. Skończył studia, zapewne o profilu humanistycznym, filozofia, historia, tego typu rzeczy. Możliwe, że nauki humanistyczne. Zarozumiałym, bo chce się przed nami popisać swoim odczytaniem. Oczywiście dostrzegamy serdeczny ton, jakim zwraca się do pana, inspektorze Verhoeven. Chce uchodzić w pańskich oczach za osobę sympatyczną. Bardzo pana lubi. Oraz zna.

– Osobiście? – spytał Camille.

– Oczywiście nie. Jakkolwiek... wszystko jest możliwe. Sądzę raczej, że zna pana tak, jak znać mogą osoby, które widziały pana w telewizji, które znają pańską sylwetkę z gazet...

– Prawdę mówiąc, wolę to – rzucił Camille.

Uśmiechnęli się do siebie. Po raz pierwszy w sposób tak otwarty. A pierwszy odwzajemniony uśmiech mężczyzn to początek wzajemnego uznania bądź kłopotów.

– Pańskie ogłoszenie było bardzo zręcznym posunięciem – ciągnął doktor Crest.

– O?...

– Tak. Zadał pan właściwe pytanie. Krótkie i nieosobiste. Poprosił pan, żeby opowiedział o „swojej pracy”. I to mu się spodobało. Najgorsze, co można by zrobić, to spytać, co kieruje jego poczynaniami, tak jakby pan go nie rozumiał. To pytanie sugerowało, że pan to wie, że go pan zrozumiał, a on natychmiast poczuł się, jak by to powiedzieć, na znajomym gruncie.

– Tak naprawdę zbytnio się nad tym nie zastanawiałem.

Crest na moment pozostawił jego słowa bez odpowiedzi, po czym podjął:

– Coś jednak w panu musiało się zastanowić, prawda? I to jest ważne. Natomiast nie jestem pewny, czy dzięki temu dowiadujemy się czegoś więcej o jego motywacji. Z listu wynika, że realizuje coś, co nazywa „dziełem”, że, pod pozorami udawanej skromności, pragnie dorównać wybranym przez siebie wielkim mistrzom literatury detektywistycznej.

– Dlaczego? – zapytała Élisabeth.

– A, to już inna sprawa.

– Niespełniony pisarz? – podsunęła, ubierając w słowa hipotezę stawianą po cichu przez wszystkich pozostałych.

– Oczywiście, to możliwe. To wręcz hipoteza najbardziej prawdopodobna.

– Jeśli jest niespełnionym pisarzem – włączył się Mehdi – musiał napisać jakieś książki. Trzeba by popytać wśród wydawców!

Naiwność młodego człowieka nikogo nie zaszokowała. Camille, dyskretnie przecierając powieki, westchnął:

– Mehdi... Co drugi Francuz pisze. Każdego roku wydawcy dostają tysiące rękopisów, a samych wydawców są setki. Sprawdzając tylko ostatnie pięć lat...

– Okej, okej – przerwał mu Mehdi, obronnym gestem unosząc obie ręce.

– W jakim jest wieku? – zapytała Élisabeth, spiesząc w sukurs młodemu koledze.

– Czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

– Pochodzenie? – zapytał Louis.

– Powiedziałbym górna warstwa klasy średniej. Chce pokazać, że jest człowiekiem kulturalnym.

Wręcz z tym przesadza.

– Na przykład nadając swój list w Courbevoie... – podsunął Louis.

– Jak najbardziej! – powiedział Crest, zaskoczony tą uwagą. – Jak najbardziej. W teatrze nazwano by to „wzmocnieniem efektu”. To gest nieco... ostentacyjny. I być może szansa dla nas. Jest ostrożny, ale tak pewny siebie, że może wykonać jakiś fałszywy ruch. Jest owładnięty ideą, którą z upodobaniem uważa za ideę go przerastającą. Bezsprzecznie spragniony jest podziwu. Nakierowany na siebie. Być może w tym właśnie kryje się sedno jego niekonsekwencji. Zresztą niejedynej.

– To znaczy? – spytał Camille.

– Wiele tu oczywiście niejasności, ale muszę powiedzieć, że zwłaszcza jedna z nich nie daje mi spokoju. Zastanawiam się, dlaczego pojechał do Glasgow, żeby powielić morderstwo wymyślone przez McIlvanneya.

– Bo zbrodnia książkowa tam została popełniona! – odpowiedział natychmiast Camille.

– Tak, o tym pomyślałem. Dlaczego więc powieliła zbrodnię z *American Psycho* w Courbevoie, a nie w Nowym Jorku? Przecież tam toczy się akcja, prawda?

Camille musiał przyznać, że faktycznie, o tej niekonsekwencji nikt nie pomyślał.

– Zbrodnia w Tremblay również powinna zostać popełniona za granicą – podjął Crest. – Nie wiem gdzie...

– W Los Angeles – odpowiedział Louis.

– Racja – przyznał w końcu Camille – nic już z tego nie rozumiem.

I otrząsnął się, momentalnie odpędzając od siebie tę myśl.

– Trzeba by się zastanowić nad treścią następnej wiadomości – stwierdził.

– Na razie trzeba go oswoić. Pytanie go teraz o pobudki oznaczałoby zniweczenie pana wcześniejszych starań. Powinien pan kontynuować z nim dialog jak równy z równym. W jego oczach musi pan uchodzić za kogoś, kto go dogłębnie rozumie.

– Jakiś pomysł? – zapytał Camille.

– Nic osobistego. Ewentualnie pytanie o inną zbrodnię. A potem zobaczymy.

– Pismo wychodzi w poniedziałki. Co oznacza tydzień przerwy między kolejnymi ogłoszeniami. To długo. O wiele za długo.

– Da się to zrobić szybciej.

Po raz pierwszy usłyszeli głos Coby.

– Pismo ma swoją stronę internetową. Sprawdziłem. Można dać ogłoszenie w sieci. Ukaże się jutro.

Potem Camille i doktor Crest wycofali się, żeby wspólnie obmyślić treść drugiego anonsu, którego tekst następnie został przesłany mailem do sędzi Deschamps. Zawierał cztery słowa: „A pańska Czarna Dalia...?” i podobnie jak pierwszy podpisany był tylko inicjałami Camille’a Verhoevena. Cobowi polecono umieścić go na stronie pisma.

## 2

Na liście dostarczonej przez Fabiena Ballangera figurowało sto dwadzieścia tytułów. „Streszczenia będą gotowe za pięć do sześciu dni...”, dopisał odręcznie Ballanger. Sto dwadzieścia! Ile czasu zajmie ich lektura, dwa, może nawet trzy lata? Prawdziwy brewiarz miłośnika kryminałów, biblioteka doskonała, idealna z punktu widzenia czytelnika pragnącego zdobyć gruntowną znajomość przedmiotu

i idealnie nieprzydatna z punktu widzenia kryminalnego śledztwa. Camille nie mógł się powstrzymać, by nie sprawdzić, ile spośród tych pozycji przeczytał (doszedł do ośmiu), a o ilu tylko słyszał (łącznie wyszło mu szesnaście). Przez chwilę pożałował, że morderca nie okazał się raczej miłośnikiem malarstwa.

– A ty ile z nich znasz? – zapytał Louisa.

– Nie wiem – powiedział Louis, studiując listę. – Może ze trzydzieści...

Ballanger zachował się jak fachowiec, i tego od niego oczekiwano, ale tak obszerna lista uniemożliwiała poszukiwania. Camille po namyśle stwierdził, że ten pomysł był typowym chybionym dobrym pomysłem.

W telefonie głos Ballangera zdradzał niejaką dumę.

– Zbieramy teraz dla pana streszczenia. Zaprząłem do tego trójkę studentów. Przyłożyli się, prawda?

– To o wiele za dużo, panie Ballanger.

– Bez obaw, inspektorze, w tym semestrze nie są zbyt przeciążeni pracą...

– Nie, miałem na myśli ten wykaz; stu dwudziestu tytułów nie zdołamy przerobić...

– To ile wam potrzeba?

Ton wykładowcy dawał jasno do zrozumienia, że on i Camille żyją na zupełnie innych planetach, jeden na mrocznej i przyziemnej planecie pospolitych zbrodni, drugi na wyżynach kultury.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Ja tego za pana wiedzieć nie mogę...

– Jeśli nasz zbrodniarz wybiera tytuły pod kątem własnych upodobań – podjął Camille, udając, że nie usłyszał irytacji w głosie uczonego – to lista, o którą pana proszę, będzie nieprzydatna. Sądząc ze wstępnych ustaleń, nasz człowiek jest w tej materii gruntownie odczytany. Niemniej jednak dziwne by było, gdyby na jego własnej liście nie znalazły się co najmniej jeden lub dwa słynne klasyki. To właśnie by nam pomogło. I w tym właśnie pan nam może pomóc.

– Sam zrobię jeszcze raz tę listę.

Podziękowanie Camille'a trafiło w próżnię. Ballanger już się rozłączył.

Armand i Fernand tworzyli niezły duet. Dwie godziny po pierwszym spotkaniu zdążyli się już upodobnić do starej pary małżeńskiej: Armand zaanektował gazetę, długopis i notes kolegi, bez oporów sięgał do jego paczki papierosów (kilka nawet wsunął do kieszeni, żeby mieć coś na wieczór) i udawał, że nie zauważa krótkich wypadów Fernanda do toalety, który wracając z niej, niezmiennie ssał miętówkę. Na polecenie Louisa zarzucili listę producentów tapety, zdecydowanie zbyt długą, i skoncentrowali się teraz na projektach deweloperskich, które mógł odwiedzić morderca, szukając loftu w Courbevoie. Mehdi na wszelki wypadek wybrał się na pocztę w Courbevoie w mało realnej nadziei zdobycia jakichś zeznań, a Maleval zainteresował się nabywcami kamery Minox. Z kolei Louis, z nakazem sędziego w rękę, miał zdobyć listę prenumeratorów pisma „Bezsenne Noce”.

Późnym rankiem Camille ku swemu zaskoczeniu ujrzał profesora Ballangera. Uczony wszedł do sali z dziwnie onieśmieloną miną; z jego wczorajszego rozdrażnienia i irytacji nie został nawet ślad.

– Nie musiał się pan fatygować osobiście... – zaczął Camille.

I urwał, bo zorientował się, że to głównie ciekawość kazała Ballangerowi osobiście dostarczyć owoc swojej pracy, który równie dobrze mógł przysłać mailem; rozglądał się teraz wokół z ciekawością i fascynacją turysty zwiedzającego katakumby.

Pełniąc honory gospodarza, Camille przedstawił mu jedynych w tym momencie obecnych: Élisabeth, Louisa i Armanda, podkreślając „cenną pomoc”, jakiej profesor Ballanger zechciał im udzielić...

– Zrobiłem jeszcze raz tę listę...

– Jesteśmy bardzo wdzięczni – powiedział Camille, odbierając od niego plik kartek.

Pięćdziesiąt jeden tytułów, z dołączonym do każdego krótkim streszczeniem – od kilku linijek do połowy strony. Szybko przebiegł je wzrokiem, wyłapując niektóre tytuły: *Skradziony list*, *Sprawa Lerouge’a*, *Pies Baskerville’ów*, *Tajemnica żółtego pokoju...* i natychmiast spojrzął w stronę komputerów. Uczyniwszy zadość wymogom grzeczności, chciał teraz jak najszybciej pozbyć się Ballangera.

– Dziękuję – rzekł, podając mu rękę.

– Może mógłbym dodać kilka komentarzy od siebie...

– Mam wrażenie, że streszczenia są klarowne...

– Gdybym mógł...

– Już i tak dużo pan zrobił. Pańska pomoc jest dla nas bardzo cenna.

Mimo obaw Camille’a Ballanger nie był niemile zaskoczony. Tylko trochę rozczarowany.

– Pożegnaj się więc – powiedział.

– Jeszcze raz dziękuję.

Po jego wyjściu Camille od razu podszedł do Cobi.

– To jest lista „klasyków”.

– Domyślam się...

– Wyłapujemy główne detale opisanych w nich zbrodni i szukamy niewyjaśnionych spraw odpowiadających tym kryteriom.

– Kiedy mówisz „my”...

– Mam na myśli ciebie – dokończył Camille z uśmiechem.

Odszedł, lecz po kilku krokach, tknięty nagłą myślą, zawrócił.



– Potrzebne mi coś jeszcze...

– Słuchaj, Camille, to tutaj zajmie mi długie godziny...

– Wiem. Ale mimo to potrzebne mi jeszcze coś... A to dość skomplikowane.

Cob był człowiekiem, którego można było wziąć na uczucia. A jego uczucia, podobnie jak on cały, wiązały się z informatyką. Nic nie mogło równie niezawodnie wpłynąć na jego decyzję jak trudne zadanie, a jeszcze lepiej zadanie niewykonalne.

– To również dotyczy spraw niewyjaśnionych. Chcę wykorzystać posiadane przez nas informacje, dotyczące modus operandi.

– A ... czego szukamy?

– Elementów irracjonalnych. Elementów z pozoru niemających nic wspólnego ze sprawą, takich, że powstaje pytanie, co u diabła tu robią. Pojedynczych zbrodni z jakimiś niepasującymi detalami. Najpierw sprawdzamy listę klasyków gatunku, ale facet może też kierować się własnymi gustami. Może wzorować się na tytułach, których nie ma na naszej liście. Jedyne sposoby, żeby je wyłowić, to szukać elementów irracjonalnych, elementów, które do niczego tu nie pasują, ponieważ w rzeczywistości pasują tylko do książek, z których zostały zaczerpnięte.

– Nie mamy klucza do tego typu poszukiwań.

– Wiem. Gdybyśmy je mieli, nie zwróciłbym się z tym do ciebie. Sam bym to zrobił.

– Zakres...?

– Powiedzmy obszar Francji, w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Betka!

– Ile ci to zajmie czasu?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zamyślony Cob. – Najpierw muszę wymyślić metodę...

## 2

– Od samego początku masz go na oku – zauważył z uśmiechem Camille.

– Nie, nie jakoś specjalnie – bronił się Louis. – Chociaż... nie byłby pierwszym mordercą, który sam zawiadamia policję.

– Już mi to mówiłeś.

– Tak, ale teraz mam kilka detali bardziej niepokojących.

– Mów.

Louis otworzył notes.

– Jérôme Lesage, czterdzieści dwa lata, nieżonaty. Księgarnia należała do jego ojca, zmarłego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Studia humanistyczne. Temat dyplomu: *Ustny przekaz w powieści detektywistycznej*. Ocena bardzo dobra. Rodzina: siostra, Claudine, lat czterdzieści. Mieszkają razem.

– Żartujesz...

– Ani trochę. Zajmują mieszkanie nad księgarnią. Wszystko, sklep i mieszkanie odziedziczyli. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku Claudine Lesage poślubiła Alaina Froissarta. Ślub odbył się jedenastego kwietnia...

– Do rzeczy!

– Kiedy to ważne: dziesięć dni później, dwudziestego pierwszego, mąż zginął w wypadku samochodowym. Był jedynym spadkobiercą sporej fortuny, rodzina z Północy, przemysł wełniany, potem przemysłowa produkcja gotowej konfekcji. Ona sama krótko przebywa w szpitalu psychiatrycznym, a w późniejszych latach zalicza dwa dłuższe pobyty w sanatoriach. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku wraca na dobre do Paryża, zatrzymuje się u brata. I mieszka tam do dziś. Osobnik, którego

szukamy, dysponuje znacznymi środkami, a Lesage'owie mają dużo pieniędzy. To punkt pierwszy. Punkt drugi, daty. Dziesiątego lipca dwa tysiące pierwszego w Glasgow zostaje zamordowana Grace Hobson. Księgarnia przez cały lipiec jest zamknięta. Brat i siostra przebywają na wakacjach. Oficjalnie w Anglii. Lesage ma korespondenta w Londynie, przez piętnaście dni, od pierwszego do piętnastego, brat i siostra u niego mieszkają. Z Londynu do Glasgow może być godzina lotu.

– Trochę to karkołomne...

– Ale niewykluczone. Dwudziestego pierwszego listopada dwa tysiące pierwszego ginie Manuela Constanza. Region Paryża. W zasięgu możliwości Lesage'a. W jego rozkładzie dnia nie ma nic szczególnego. Jedenastego kwietnia, Courbevoie. Idem. Paryż, Tremblay, Courbevoie, wszystko leży na obszarze regionu paryskiego, w zasięgu możliwości.

– To wciąż niewiele...

– Z trzech książek podaje nam dwa tytuły... Sam dzwoni z pierwszym. Nie bardzo też wiadomo, z jakiego powodu udzielił informacji prasie. Twierdzi, że został wrobiony... Ale mogło mu też zależeć na zapewnieniu sobie reklamy...

– Możliwe...

– Prenumeruje „Bezsenne Noce” – dodał Louis, wyjmując plik kartek.

– Och, Louis, on się w tym specjalizuje! – powiedział Camille, przeglądając listę. – Musi prenumerować wszystko, co się ukazuje. O, spójrz, są dziesiątki księgarni, które to prenumerują! Odbiorcy są najróżniejsi: księgarze, pisarze, ośrodki dokumentacyjne, gazety, wszyscy tu są! Może nawet mój ojciec... Bingo! Jest! Wszyscy też mają dostęp do ich strony internetowej, swobodnie mogą zamieszczać ogłoszenia...

Louis uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Dobrze, co więc proponujesz? – zapytał Camille.

– Kontrolę finansową. Do księgarni, jak do każdej innej placówki handlowej, wpływa sporo gotówki. Trzeba by bliżej prześledzić wpływy i odpływ pieniędzy, co kupił, czy są jakieś znaczne, a trudne do wyjaśnienia wydatki i tym podobne. Takie zbrodnie sporo jednak kosztują...

Camille się zastanowił.

– Połącz mnie z sędzią.

# Sobota, 19 kwietnia

## 1

Dworzec Gare de Lyon. Dziesiąta rano.

Ujrawszy zbliżającą się kaczym krokiem Irène, Camille z zaskoczeniem stwierdził, że jego żona ma jeszcze pełniejszą twarz i jeszcze większy brzuch niż w chwili wyjazdu. Podbiegł, żeby odebrać od niej walizkę na kółkach, nieporadnie cmoknął ją w policzek. Sprawiała wrażenie wyczerpanej.

– Udany pobyt? – zapytał.

– Najważniejsze już wiesz – odpowiedziała zdyszana.

Wzięli taksówkę, a kiedy znaleźli się w domu, Irène natychmiast z westchnieniem ulgi opadła na kanapę.

– Czego się napijesz? – spytał.

– Herbaty.

Opowiedziała mu o wizycie u rodziców.

– Mój ojciec bez przerwy mówi. Bez przerwy o sobie. Tylko to potrafi.

– Wyczerpujące.

– Ale są mili.

Camille zadał sobie pytanie, jak by się poczuł, usłyszawszy któregoś dnia, że jego własny syn nazywa go miłym.

Potem spytała, co nowego w śledztwie. Zanim zszedł na dół po pocztę, dał jej do przeczytania list mordercy. Kiedy wrócił, zapytała:

– Zjemy razem?

– Chyba nie... – odpowiedział, nagle blednąc, z zapieczętowaną kopertą w rękę.

List został nadany w Tremblay-en-France.

*Drogi inspektorze!*

*Z zadowoleniem stwierdzam, że interesuje się pan moją pracą.*

*Wiem, że działa pan na wszystkie strony i że dla pana oraz pańskiej ekipy oznacza to wiele pracy i wiele fatygi. Szczerze nad tym ubolewam. Niech mi pan wierzy, że gdybym tylko mógł panu w tym ulżyć, zrobiłbym to bez wahania. Muszę jednak kontynuować moje dzieło i wiem, że pan również potrafi to zrozumieć.*

*Ale tak się rozgadałem, a nie odpowiadam na pańskie pytanie.*

*Zatem Czarna Dalia.*

*Jakim majstersztykiem jest ta książka, prawda? Jak również, skromnie dodam, jakim majstersztykiem jest mój hołd oddany temu arcydziełu. „Moja” Dalia, jak ją pan uroczo nazywa, była ostatniego sortu dziwką. Nic z wdzięku, bezsprzecznie nieco wulgarnego, lecz tak ujmującego, Évelyne. Spotkawszy ją po raz pierwszy, od razu zrozumiałem, że lepiej jej będzie w książce Ellroya niż na ulicy. Jej powierzchność była, powiedzmy, odpowiednia. Wprawdzie Ellroy ją opisuje, ale bardziej jako martwą niż żywą. Całymi nocami, wędrując jak pokutująca dusza po ulicach paryskich burdeli, przepowiadałem sobie zdania z jego książki. Zaczynałem tracić już nadzieję, że uda mi się kiedykolwiek znaleźć ten rzadki okaz. Aż któregoś dnia, nagle i nieoczekiwanie, całkiem, powiedziałbym, zwyczajnie objawiła mi się na rogu ulicy Saint-Denis. W nieopisanie krzykliwym stroju, w wysokich czerwonych botkach, z dekoltem do pasa i w rozciętej z przodu spódnicy, spod której widać było bieliznę. O moim wyborze przesądził jej uśmiech. Manuela miała wielkie usta i naturalnie*

kruczoczarne włosy. Zapytałem o cenę i poszliśmy na górę. Niech mi pan wierzy, Camille, było to dla mnie trudne przeżycie. Czuło się w tym miejscu całą nędzą świata, pokój cuchnął potem, którego nie była w stanie zamaskować aromatyczna świeca paląca się na komodzie, łóżko było wyrkiem, na którym nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty się położyć. Zrobiliśmy to na stojąco, tak było znośniej.

Reszta była kwestią długotrwałej strategii. Te dziwki są nieufne, za uchylonymi drzwiami wyczuwa się stałą obecność ich opiekunów, nawet jeśli otwarcie się nie ujawniają. Po korytarzach snują się ich cienie. Musiałem kilka razy wracać, żeby mnie uznała za spokojnego, miłego klienta, ujmującego i niezbyt wymagającego.

Wolałem nie pojawiać się w tym burdelu zbyt często ani o stałych porach. Bałem się, że moja obecność zostanie zauważona, że jej koleżanki będą mnie potem mogły zidentyfikować.

Zaproponowałem więc, żebyśmy spotkali się na zewnątrz, „na całą noc”. Ile zażąda, zapłacę. Nie przypuszczałem, że kwestię ceny będzie tak trudno wynegocjować. Należało to ustalić z jej sutenerem. Mogłem zmienić zdanie, rozejrzeć się za inną współpracowniczką, lecz w moim wyobrażeniu ta akurat tak bezbłędnie pasowała do swojego książkowego pierwowzoru, tak bardzo widziałem ją w tej roli, że nie miałem odwagi z niej zrezygnować. Spotkałem się więc z grubym Lambertem. Co za osobnik! Nie wiem, czy znał go pan za życia – tak, tak, bo Lambert już nie żyje, jeszcze do tego wrócę. Był postacią bardzo... książkową. Karykaturalną aż do przesady. Potraktował mnie z góry. Pozwoliłem mu na to. To było częścią gry. Chciał „wiedzieć, z kim ma do czynienia”, jak wyjaśnił. Ten człowiek, niech mi pan wierzy, kochał swoją pracę. Jestem pewny, że lał swoje dziewczyny jak wszyscy inni, ale wypowiadał się o nich w tonie bardzo opiekuńczym, ojcowskim. Powiedziałem, że chciałbym „jego dziewczynę” na całą noc. Oskubał mnie, niech mi pan wierzy... haniebnie. Ale to było częścią gry. Zażądał adresu, gdzie mieliśmy się spotkać. Udając opory mężczyzny żonatego, podałem fałszywy. To wystarczyło, żeby go uspokoić. Tak przynajmniej sądziłem. Następnego dnia spotkaliśmy się z Manuelą trochę dalej na bulwarze. Bałem się, czy nie wytną mi jakiegoś numeru, ale dla nich to był dobry interes.

W okolicach ulicy Livy, dwa kroki od wysypiska stoi kilka domów, od niepamiętnych czasów niezamieszkałych, bo przeznaczonych do rozbiórki. Okna w niektórych zabito deskami, ponury widok. Dwa inne są tylko puste. Wybrałem ten pod numerem 57. Nocą przyszedłem tam z Manuelą. Wyczuwałem, że wylądowawszy w takim miejscu, czuje się trochę niepewnie. Byłem więc miły, nieporadny, zakłopotany, zachowywałem się tak, że nawet najbardziej oporna dziwka na nowo nabrałaby zaufania.

Wszystko było gotowe. Od razu po wejściu przyłożyłem jej pałką w głowę. Nie zdążyła nawet jęknąć „och” i osunęła się na ziemię. Następnie przeniósłem jej ciało do piwnicy.

Ocknęła się dwie godziny później pod lampą, przywiązana do krzesła, goła. Trzęsła się, w oczach miała panikę. Wyjaśniłem, co ją teraz czeka; przez pierwsze godziny, próbując się uwolnić, zwijała się jak piskorz, usiłowała krzyczeć, choć taśma zaklejająca jej usta nie pozwalała spodziewać się zbyt wiele. Drażniła mnie ta nerwowość. Postanowiłem od razu przetrącić jej nogi. Kijem bejsbolowym. Potem poszło już łatwiej. Niezdolna wstać, mogła tylko czołgać się po ziemi, a i to nie za długo. I nie za daleko. Dzięki czemu dużo łatwiej mi było, zgodnie z tym, co stoi w książce, chłostać ją i przypalać jej piersi papierosami. Oczywiście najtrudniejsze było uzyskanie od pierwszego podejścia uśmiechu Czarnej Dalii. Nie miałem prawa, rzecz jasna, popełnić najmniejszego błędu. To była naprawdę wielka chwila, Camille.

W mojej pracy, jak pan wie, każdy detal jest ważny.

Tak jak w układance, która osiąga doskonałość dopiero wtedy, gdy po zgromadzeniu wszystkich części każda trafia na swoje miejsce. Wystarczy, że jednej zabraknie, a powstaje inne dzieło, ani piękniejsze, ani mniej piękne, po prostu inne. Tymczasem moim zadaniem jest sprawić, by

rzeczywistość wyobrażona przez naszych wielkich ludzi została wiernie odtworzona. Właśnie ta „wierność” stanowi o wielkości mojego dzieła i dlatego też każdy najmniejszy detal trzeba uważnie obmyślić, przewidzieć wszelkie jego konsekwencje. Stąd sprawą najwyższej wagi było, by udał mi się ten uśmiech, by udał mi się bezbłędnie. Moją sztuką jest imitacja, powielenie, jestem, by tak rzec, mnichem kopistą. Wyrzekłem się samego siebie, poświęciłem bez reszty. Moim powołaniem jest służba innym.

Kiedy, trzymając ją za włosy, zatopiłem ostrze centymetr poniżej ucha i wykonałem głębokie cięcie aż po kącik ust, po rozmachu tego gestu, po iście zwierzęcym wyciu, jakie dobyło się z głębi jej trzewi i zamarło w otworze połowy jej nowych ust, z których ciężkimi długimi łzami spływała krew, poczułem, że moje dzieło nabiera realnego kształtu. Kreśląc drugą część naszego uśmiechu, trochę za bardzo się przyłożyłem; nacięcie było może trochę za głębokie, sam nie wiem... Tak czy inaczej, uśmiech Dalii był dla mnie, jak się pan domyśla, wspaniałą nagrodą. Ten cudowny uśmiech uosabiał dla mnie całe piękno świata zamknięte w dziele sztuki. Po raz kolejny przekonałem się, do jakiego stopnia moja skrupulatna staranność nadawała sens mojej misji.

Kiedy Manuela wyzionęła ducha, zgodnie ze słowem książki, przepołowiłem ją rzeźnickim nożem. Nie znam się na anatomii i musiałem wielokrotnie zaglądać do książki, którą przecież i bez tego długo studiowałem, by wyłowić brakujące wnętrzości Czarnej Dalii. Jelita, to proste, tak samo wątroba i żółć, ale czy pan, Camille, wiedziałby, gdzie dokładnie znajduje się pęcherzyk żółciowy?

Żeby umyć obie połowy ciała, musiałem wnieść je na piętro, a że w tych domach od dawna nie ma wody ani elektryczności, zmuszony byłem użyć do tego celu deszczówki ze zbiornika zostawionego przez dawnych właścicieli na tyłach domu. Umyłem też starannie jej włosy.

O świcie zrobiło się już zbyt jasno, by sfinalizować moje dzieło na wysypisku. Obawiałem się, że mogą się już kręcić ludzie, postanowiłem więc wrócić do siebie. Nie ma pan pojęcia, jaki byłem zmordowany! I jaki szczęśliwy. Nazajutrz, jak tylko zapadła noc, wróciłem i zakończyłem pracę, zgodnie ze słowami książki składając obie części ciała na wysypisku.

Moim jedynym błędem, jeśli można tak powiedzieć, było to, że potem przejechałem jeszcze raz samochodem przed domem. Dopiero dojeżdżając do siebie, zorientowałem się, że jechał za mną jakiś motor. Otwierałem bramę, kiedy przejechał obok ulicą. Kierowca, niewidzialny w kasku osłaniającym mu całą twarz, na moment odwrócił głowę w moją stronę. Od razu zorientowałem się, że wpadłem w pułapkę. Manuela rano nie wróciła, ale jej sutener nie miał powodu do niepokoju, bo pracowała tylko w nocy. Ale kiedy nie zjawiała się następnego wieczoru... Z czego wniosek, że poprzedniego dnia, niczego nieświadom, byłem śledzony. Motocyklista wrócił, żeby sprawdzić, o co chodzi, zobaczył, że przejeżdżam przed domem, ruszył za mną... Teraz gruby Lambert znał mój adres, byłem zdany na jego łaskę i niełaskę, a to był bolesny cios dla mojej zwykłej pogody ducha. Natychmiast wyjechałem z Paryża. Tylko na jeden dzień, ale co to był za dzień, Camille... Co za strach! Trzeba to samemu przeżyć, żeby zrozumieć. Następnego dnia się uspokoiłem. Z gazet dowiedziałem się, że Lambert został aresztowany za udział w napadzie. Ja, w przeciwieństwie do policjantów, którzy go zatrzymali, sędziego, który go skazał, wiedziałem, że Lambert ma strategię znacznie bardziej złożoną i że maczał palce w operacji, która zaprowadziła go za kratki. Osiem miesięcy bez zawieszenia, w tym realne widoki na odsiedzenie tylko jednej trzeciej – w jego oczach warte to było tego, co po wyjściu miał nadzieję wyciągnąć ze mnie. Spokojnie na niego czekałem. Przez pierwsze tygodnie nie zrobiłem nic, by wymknąć się spod nadzoru, który ze swojej celi kazał nade mną roztoczyć. Najroztropniej było żyć normalnie, niczym nie okazywać ewentualnego niepokoju. Moja strategia okazała się słuszna. Lambert się uspokoił. I to go właśnie zgubiło. Kiedy dowiedziałem się, że na pewno zostanie zwolniony i objęty nadzorem sądowym, wziąłem kilka dni wolnego i pojechałem do mojego domu rodzinnego. Rzadko tam

*jeżdżę, bo nigdy się tam dobrze nie czułem. Bardzo lubię park, ale sam dom jest zbyt duży, a teraz, kiedy okoliczne wsie opustoszały, leży już na kompletnym odludziu. Spokojnie na niego poczekałem. Musiał być bardzo pewny siebie i bardzo niecierpliwy. Zjawił się natychmiast w towarzystwie swojego cyngla. W nocy, próbując mnie zaskoczyć, dostali się tylnym wejściem do domu i obaj zginęli od strzałów z broni myśliwskiej w głowę. Zakopałem ich w parku. Mam nadzieję, że nie zależy panu, żeby ich szybko znaleźć... I to byłoby wszystko. Jestem pewny, że teraz już pan widzi, jak starannie przykładam się do pracy, że lepiej mnie pan rozumie i właściwie docenia – przynajmniej pan – inne moje dokonania.*

*Pozdrawiam.*

# Poniedziałek, 21 kwietnia

## 1

Dziennik „Le Matin”.

*Policja kontaktuje się z Literatem drogą drobnych ogłoszeń.*

*Sprawa Literata najwyraźniej okazuje się wyjątkowa, i to pod każdym względem. Przede wszystkim z racji charakteru samych zbrodni: policja odkryła już ciała czterech młodych kobiet (w tym jedną w Szkocji), wszystkich zamordowanych w iście makabrycznych okolicznościach.*

*Wyjątkowa również z racji sposobu działania zabójcy (który, jak obecnie ustalono, powieliła w realu zbrodnie opisane w kryminałach).*

*I wreszcie z racji sposobu, w jaki policja prowadzi śledztwo.*

*Prowadzący je inspektor Verhoeven podjął próbę nawiązania kontaktu z seryjnym zabójcą za pośrednictwem... ogłoszenia: „Proszę opowiedzieć o BEE”. Chodzi oczywiście o Breta Eastona Ellisa, autora książki American Psycho, na której wzorował się Literat, popełniając podwójną zbrodnię w Courbevoie. Ogłoszenie ukazało się w ostatni poniedziałek. Nie wiadomo, czy morderca je przeczytał ani czy na nie odpowiedział, ale sama metoda jest co najmniej oryginalna. Nie cofając się przed żadną innowacją, inspektor Verhoeven zamieścił następnie drugie ogłoszenie, sformułowane równie powściągliwie jak pierwsze: „A pańska Czarna Dalia...?”, czytelnie nawiązujące do innej zbrodni Literata: morderstwa młodej prostytutki, inspirowanego arcydziełem Jamesa Ellroya, Czarna Dalia.*

*Próbowaliśmy skontaktować się z Ministerstwem Sprawiedliwości, oraz z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, by dowiedzieć się, czy ta dość nieortodoksyjna metoda działania ma akceptację ze strony władz publicznych. Nasi rozmówcy odmówili wypowiedzi, co całkiem zrozumiałe.*

*A na razie...*

Camille, pod pozornie obojętnym okiem współpracowników, machnął gazetą przez cały pokój.

– Louis! – ryknął. – Znajdź mi go!

– Kogo?

– Tego sukinsyna! Złap go za dupę i tu sprowadź! Natychmiast!

Louis nawet nie drgnął. Z zamyśloną miną spuścił tylko głowę i odgarnął kosmyk z czoła. Pierwszy zareagował Armand.

– Camille, przykro mi, ale robisz głupstwo...

– Jakie głupstwo?! – wrzasnął tamten.

Odwróciwszy się, zaczął wściekłym krokiem chodzić po pokoju, sięgając po różne przedmioty i gwałtownie je odkładając. Widać było, że najchętniej coś by rozwalił. Cokolwiek.

– Powinieneś się uspokoić, Camille, naprawdę!

– Mam powyżej uszu tego typu. Jakbyśmy jeszcze jego potrzebowali, żeby wylądować w gównie... Cienia etyki zawodowej. Kanalia. On publikuje, a my musimy się z tego gówna otrząsać! Louis, masz mi go znaleźć!

– Ale potrzebny mi...

– Nic ci niepotrzebne! Znajdziesz go i tu przyprowadzisz. Jeśli nie będzie chciał przyjść, wyślę po niego ludzi z Brygady, każę go wyprowadzić z tej jego redakcji w kajdankach i mam gdzieś nakaz!

Louis wolał się nie upierać. Inspektor Verhoeven najwyraźniej stracił poczucie rzeczywistości.

W chwili gdy wychodził, Mehdi podał Camille’owi telefon, mówiąc:

– Szefie, dziennikarz z „Le Monde”...

– Powiedz mu, żeby spieprzał. A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie szefem, wypieprzysz razem z nim.

## 2

Louis był młodzieńcem ostrożnym. Postanowił działać tak, jakby reprezentował superego swojego przełożonego, co jest sytuacją częstszą, niż mogłoby się zdawać. Uzgodnił z Buissonem, że ten z własnej nieprzymuszonej woli stawi się wraz z Louisem „na zaproszenie inspektora Verhoevena”. Camille zdąży do tego czasu ochłonać.

Ledwie jednak ujrzał Buissona, wypalił:

– Jest pan idiotą, Buisson.

– Chce pan zapewne powiedzieć: „dziennikarzem”?

Antypatia, jaką wzajem poczuli podczas pierwszego spotkania, momentalnie odżyła. W obawie, by Buisson w trakcie ich rozmowy nie podsłuchał jakichś informacji nieprzeznaczonych dla jego uszu, Camille postanowił przyjąć go w swoim gabinecie. Został z nimi Louis, gotów interweniować na wypadek, gdyby sprawa przybrała zły obrót.

– Chcę wiedzieć, skąd pan czerpie informacje.

– Inspektorze! Obaj jesteśmy już za duzi, żeby się bawić w takie gierki! Żąda pan, bym ujawnił moje źródła informacji, które objęte są tajemnicą zawodową, o czym pan doskonale wie...

– Niektóre z tych informacji objęte są tajemnicą śledztwa. Mam możliwości...

– Nie ma pan żadnych możliwości – przerwał mu Buisson – i nie ma pan nawet żadnego prawa!

– Mam takie, że mogę pana tymczasowo aresztować. Nic mnie to nie będzie kosztowało.

– Będzie to pana kosztowało kolejny skandal. A zresztą na jakiej podstawie? Zamierza pan zakwestionować prawo do wolności informacji?

– Niech pan tylko nie próbuje ze mną numeru z etyką zawodową, Buisson. Wszystkich pan rozśmieszysz. Nawet mojego ojca...

– Więc co pan zamierza zrobić, inspektorze? Obłóżyć aresztem całą paryską prasę? To zakrawa na manię wielkości...

Camille przez chwilę uważnie mu się przyglądał, jakby go dopiero teraz zobaczył. Buisson patrzył na niego cały czas z uśmiechem komitywy, jakby się od dawna znali.

– Dlaczego pan to robi, Buisson? Przecież pan wie, że to bardzo trudne dochodzenie, że musimy powstrzymać tego człowieka i że to, co pan pisze, bardzo utrudnia nam pracę.

Wydawało się, że Buisson nagle się odprężył, jakby doprowadził Verhoevena do tego dokładnie punktu, do którego zamierzał.

– Proponowałem panu układ, inspektorze. To nie moja wina, że go pan odrzucił. A teraz, jeśli pan...

– Nie ma mowy, Buisson. Policja nie wchodzi w układy z prasą.

Buisson szeroko się uśmiechnął i wyprostował na całą wysokość, patrząc na Camille'a z góry.

– Jest pan skuteczny, inspektorze, ale nie jest pan ostrożny.

Camille przez chwilę w milczeniu mierzył go wzrokiem.

– Dziękuję, że zechciał się pan pofatygować, panie Buisson.

– Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze.

Prawdziwą przyjemnością była wieczorna prasa. W popołudniowym wydaniu „Le Monde” powtórzył informację ujawnioną przez Buissona. Kiedy godzinę później Camille zadzwonił do Irène dowiedzieć się, jak się czuje, powiedziała mu, że w radiu jest tak samo. Sędzia Deschamps nawet do niego nie zadzwoniła, co rzecz jasna nic dobrego nie wróżyło.

Camille wystukał hasło: „Philippe Buisson, dziennikarz”.

Louis pochylił się nad ekranem.



– Po co pan to robi? – spytał, kiedy Camille kliknęła na stronę z „Who’s Who du journalisme français”.

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia – odrzekł Camille, czekając, aż okienko się wyświetli.

I aż gwizdnął z wrażenia.

– Ja cię kręcę, to arystokrata, wiedziałeś?

– Nie.

– Ni mniej, ni więcej Philippe Buisson de Chevesne. Coś ci to mówi?

Louis namyślał się przez chwilę.

– Przypuszczam, że muszą być spokrewnieni z Buissonami de la Mortière, prawda?

– O, nie wątpię!

– Szlachta z Périgord. Zrujnowana za rewolucji.

– Niech żyje równość! A oprócz tego, co my tu mamy? Studia w Paryżu. Dziennikarstwo. Pierwsza praca w „Ouest-France”, trochę artykułów w prowincjonalnej prasie, staż w FR3 w Bretanii, potem „Le Matin”. Nieżonaty... I wykaz artykułów. Proszę, wszystko jest na bieżąco! Zajmuję wysoką pozycję...

Zamknął okienko, potem komputer. Spojrzał na zegarek.

– Nie wołałby pan wrócić do domu? – spytał Louis.

– Camille! – Cob wsunął głowę w drzwi. – Mógłbyś na chwilę przyjść?

### 3

– Pierwsze szukanie. Lista Ballangera była najłatwiejsza – zaczął Cob.

Do kartoteki spraw niewyjaśnionych wrzucił znamienne elementy ze streszczeń przygotowanych przez Ballangera i jego studentów i rozszerzył zakres poszukiwań na ostatnie dziesięć lat. Na wstępnej uzyskanej tą drogą liście znalazło się tylko pięć spraw, z pozoru pasujących do sławnych kryminałów. Ich wykaz zawierał numer każdego z dossier, ich daty, nazwiska prowadzących je śledczych, jak również datę, kiedy sprawa z braku wyników została odłożona na półkę. W ostatniej kolumnie Cob umieszczał tytuł odpowiedniej książki.

Camille włożył okulary i skupił się na danych najistotniejszych:

Czerwiec 1994 – Perrigny (departament Yonne) – Morderstwo rodziny rolników (rodzice i dwoje dzieci) – ewentualne źródło: Truman Capote, *Z zimną krwią*.

Październik 1996 – Tuluza – Mężczyzna zastrzelony w dniu swojego ślubu – ewentualne źródło: William Irish, *Panna młoda w żałobie*.

Lipiec 2000 – Corbeil – Kobieta utopiona w rzece – ewentualne źródło: Émile Gaboriau, *Zbrodnia w Orcival*.

Luty 2001 – Paryż – Policjant zastrzelony podczas napadu – ewentualne źródło: William Riley Burnett, *Mały Cezar*.

Wrzesień 2001 – Paryż – Policjant popełnia samobójstwo w swoim samochodzie – ewentualne źródło: Michael Connelly, *Poeta*.

– Drugie szukanie – kontynuował Cob – twoja lista „nietypowych elementów”. To już była rzecz skomplikowana – dodał, stukając w klawiaturę. – Robiłem to w kilku etapach: modus operandi, poszlaki, miejsca zbrodni w połączeniu z tożsamością ofiar, prawdziwe urwanie głowy...

Wreszcie pojawił się obraz. Trzydzieści siedem linijek.

– Jeśli wykluczymy zbrodnie w afekcie – powiedział Cob, klikając myszką – i takie, gdzie brak wyraźnej premedytacji, zostaje dwadzieścia pięć spraw. Zrobiłem ich listę. Na tych dwadzieścia pięć siedem to sprawy, w których było kilku podejrzanych. To druga lista. Z osiemnastu pozostałych dziewięć to motywy ewidentnie ekonomiczne, ofiary bardzo sędziwe, kobiety o skłonnościach

sadomasochistycznych i tak dalej. Zostaje dziewięć.

– W porządku.

– To ta lista pod spodem.

– Coś ciekawego?

– To zależy...

– Jak to, to zależy?

– W żadnej z tych spraw nie ma elementów tak naprawdę niepasujących. To znaczy w tym sensie, o który ci chodzi. Są, oczywiście, różne niewiadome, ale nie ma jakiegoś kompletnie zaskakującego miejsca, jakiegoś osobliwego obiektu, nietypowej daty, użycia wymyślnej broni, nic, co odpowiadałoby temu, czego szukamy...

– To się okaże...

Camille odwrócił się do Élisabeth.

– Co pani na to?

– Wyciągniemy wszystkie akta z archiwum, spędzimy nad tym noc i o świcie podsumujemy...

– Okej, więc do roboty – powiedział Camille, podając jej świeżo wydrukowaną listę.

Élisabeth sprawdziła, która godzina, i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

Camille przez chwilę pocierał powieki.

– Jutro rano, Élisabeth. Gdy zajaśnieje różanopalcu jutrzeńka.

Przed wyjściem wysłał e-mail do doktora Cresta, proponując taki oto tekst następnego ogłoszenia:

„A inne pańskie dzieła...? CV”.

# Wtorek, 22 kwietnia

## 1

O godzinie ósmej do sali, gdzie byli już wszyscy, weszła Élisabeth, pchając wózek ze stosem akt wydobytych z archiwum. Jedenaście opasłych teczek, które podzieliła na podstawie obu list Coba, dziewięć z jednej strony, pięć z drugiej.

– Co w sprawie Lesage’a?

– Sędzia dała właśnie zielone światło – odpowiedział Louis. – Początkowo jej zdaniem było „nie dość dowodów” na tymczasowy areszt, ale przed chwilą Brygada Finansowa dostarczyła Cobowi wszystkie klucze do sprawdzenia rachunków bankowych Lesage’ów, ich aktywów, hipotek i tym podobnych. Teraz to już od niego zależy.

A Cob działał pełną parą.

Od kiedy tu był? Zaanektowawszy komputer Fernanda – który od południa i tak nie byłby już w stanie odróżnić ekranu od klawiatury – podłączył go do swojego. Nie było go już prawie widać zza dwóch wielkich monitorów i można się było tylko domyślić, jak jego palce, niczym palce organisty, pomykają po klawiszach obu klawiatur ustawionych jedna nad drugą.

Camille popatrzył z namysłem na stosy teczek, a potem na członków swojej ekipy. Żeby to wszystko przerobić, trzeba było mieć baczne oko i szybko pracować. Mehdiemu brakowało doświadczenia w tego typu pracy. Z kolei wygląd Malevala wskazywał, że dla niego noc dopiero co się skończyła. Zabraknie mu czujności. Pomocy Fernanda nie śmiał nawet brać pod uwagę; już teraz jego oddech cuchnął skwaśniałym winem.

– No dobrze. Élisabeth, Armand, Louis... ze mną.

W czwórkę stanęli przed wielkim stołem zavalonym teczkami z archiwów.

– To teczki ze sprawami niewyjaśnionymi. Każda z nich zawiera jakieś elementy odbiegające od normy lub relatywnie odbiegające od normy, niepasujące do kontekstu ofiary, a więc takie, które mogły się tu znaleźć z tego powodu, że sprawca chciał dochować wierności oryginałowi książki. Przyznaję, że to hipoteza trochę naciągana. Dlatego nie ma co zbyt długo nad tym siedzieć. Cel jest następujący: sporządzić jasne streszczenie sprawy. Plus minus dwie strony... Dostaną je profesor Ballanger i kilku jego studentów, którzy na ich podstawie powinni stwierdzić, czy sprawy te mają związek ze znanymi im tytułami. Oczekują naszych streszczeń wczesnym popołudniem.

Przerwał, przez chwilę się zastanawiał.

– Louis, przefaksujesz ten materiał również do Jérôme’a Lesage’a. Sprawdzimy, jaka będzie jego reakcja. Jeśli uda nam się streścić te sprawy, powiedzmy do dwunastej, będą mogli od razu zasiąść do lektury.

Klasnął w rękę jak człowiek wygłodniały, który może nareszcie zasiąść do stołu.

– Więc do roboty. Do południa musimy to skończyć.

## 2

Na rękę profesora Ballangera.

Dziewięć do dziś niewyjaśnionych spraw kryminalnych mogło czerpać inspirację z francuskich lub zagranicznych powieści kryminalnych. Ofiarami zbrodni było sześć kobiet, dwóch mężczyzn i jedno dziecko; wszystkie popełniono w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Brygada Kryminalna stara się możliwie jak najdokładniej połączyć posiadane elementy śledztwa z treścią powieści, na których mogli wzorować się sprawcy.

Sprawa 1 – 13 października 1995 – Paryż – Czarnoskóra kobieta, lat 36, której poćwiartowane zwłoki znaleziono w wannie.

Nietypowy detal:

Po poćwiartowaniu zwłoki ofiary zostały ubrane w męski strój.

Sprawa 2 – 16 maja 1996 – Fontainebleau – Przedstawiciel handlowy, lat 38, uśmiercony strzałem w głowę w lesie Fontainebleau.

Nietypowe detale:

1. Rzadko spotykana broń, Colt Woodsman .22.

2. Ubranie ofiary nie było jej własnością.

Sprawa 3 – 24 marca 1998 – Paryż – Ciężarna kobieta, lat 35, znaleziona z rozprutym brzuchem w magazynie.

Nietypowy detal:

U stóp ofiary, sieroty, wychowanej w domu dziecka, znaleziono wieniec nagrobny z napisem: „Ukochanym rodzicom”.

Sprawa 4 – 27 września 1998 – Maison-Alfort – Mężczyzna, lat 48, zmarły na zawał serca, znaleziony w kanale warsztatu samochodowego.

Nietypowe detale:

1. Ofiarę, laboranta w aptece w Douai, trzech niezależnych świadków widziało w tejże aptece w dniu i w domniemanej porze jego śmierci.

2. Dopiero trzy dni po śmierci jego ciało przeniesiono do warsztatu, w którym zostało znalezione.

Sprawa 5 – 24 grudnia 1999 – Castelnau – Dziewięcioletnia dziewczynka powieszona na drzewie w sadzie wiśniowym oddalonym o 30 kilometrów od miejsca jej zamieszkania.

Nietypowy detal:

Przed powieszeniem małej ofierze wycięto nożem pępek.

Sprawa 6 – 4 lutego 2000 – Lille – Śmierć na skutek hipotermii czterdziestosiedmioletniej bezdomnej kobiety.

Nietypowy detal:

Zwłoki znaleziono w opuszczonej rzeźni, w szafie chłodniczej, do której prąd elektryczny został doprowadzony z latarni ulicznej.

Sprawa 7 – 24 sierpnia 2000 – Paryż – Nagie zwłoki uduszonej kobiety znalezione w łyżce pogłębiarki nad brzegiem kanału Ourcq.

Nietypowe detale:

1. Ofiara na wewnętrznej stronie lewego uda miała znamię wykonane niezmywalnym atramentem.

2. Ciało częściowo pokrywała warstwa błota wydobytego z kanału, choć maszyna ostatnio nie była w użyciu.

Sprawa 8 – 4 maja 2001 – Clermont-Ferrand – Kobieta, lat 71, wdowa, bezdzietna, zabita dwiema kulami w serce.

Nietypowy detal:

Morderstwo popełniono i ciało znalezione w samochodzie marki Renault z 1987 roku, którego kasację zgłoszono sześć lat wcześniej.

Sprawa 9 – 8 listopada 2002 – La Baule – Kobieta, lat 24, uduszona.

Nietypowy detal:

Znaleziona na plaży zwłoki, w ubraniu, pokrywała warstwa suchego lodu z przemysłowej gaśnicy.

Wczesnym popołudniem zasiedli do pracy nad pierwszą listą Coba. Louis miał przestudiować sprawę z Perrigny, Élisabeth – z Tuluzy, Maleval – przypadek policjanta zastrzelonego w Paryżu, Armand zbrodnię z Corbeil, a Camille samobójstwo paryskiego policjanta.

Na dobre wiadomości nie trzeba było długo czekać: żadna ze spraw nie wykazywała wystarczających analogii z żadnym ze streszczeń przygotowanych przez profesora Ballangera. Morderca, o czym już wiedzieli, wykazywał wielką dbałość o detale, tymczasem we wszystkich tych sprawach występowały znaczne rozbieżności z treścią książek, na których mogłyby się ewentualnie wzorować. Po niecałych trzech kwadransach Louis pierwszy, z krótkim komentarzem „Nie da rady...”, odłożył swoje akta, wkrótce po nim Élisabeth, a następnie Maleval. Potem z niejaką ulgą dołączył do stosu swoje dossier Camille.

– Kawa dla wszystkich?

– Ale nie dla ciebie... – powiedział Armand z zafrasowaną miną, wchodząc do gabinetu.

Camille złożył dłonie, powolnym ruchem przetarł powieki.

W iście nabożnej ciszy wszyscy wlepili oczy w wąłą postać Armanda.

– Myślę, że powinieneś zadzwonić do komisarza. I do sędzi Deschamps...

– Co masz? – zapytał Camille.

– Nazywa się to *Zbrodnia w Orvical*.

– Orcival – poprawił go grzecznie Louis.

– Orvical czy Orcival, wszystko jedno, ale dla mnie to sprawa z Corbeil. Kropka w kropkę.

Tę właśnie chwilę wybrał profesor Ballanger, by zadzwonić do Camille'a. Ten wolną ręką znów zaczął masować powieki. Z miejsca, w którym siedział, widział wielką korkową tablicę z przypiętymi na niej zdjęciami z podwójnej zbrodni w Courbevoie (odcięte palce dziewczyny ułożone w koronę kwiatu), z Tremblay (fotografia przepołowionych w talii zwłok Manueli), z Glasgow (ciało małej Grace Hobson w całym jego patetycznym opuszczeniu). Poczł, że coraz ciężiej mu oddychać.

– Coś nowego? – zapytał ostrożnie.

– Nie ma nic, co pokrywałoby się w stu procentach z tym, co znamy – zaczął mentorskim tonem Ballanger. – Ale jednemu z moich studentów wydaje się, że rozpoznał pańską sprawę z marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, przypadek tej kobiety z rozplatanym brzuchem, którą znaleziono w magazynie. Tej akurat książki nie znam. Nazywa się to... *Zabójca z cienia*. Autorem jest niejaki Philip Chub lub Hub. Nikomu nieznany. Sprawdziłem w internecie, ale go nie znalazłem. Książka musi być bardzo stara, nakład wyczerpany. Natomiast co do innej sprawy, tego przedstawiciela handlowego z lasu w Fontainebleau... to przyznaję, że nie byłbym taki pewny. Są elementy, które się nie zgadzają, ale, wie pan, bardzo mi to przypomina *The End of the Night* Johna Danna MacDonalda.

#### 4

Louis przyniósł Camille'owi poświadczenie odbioru nowego ogłoszenia nadanego przez Coba, które znajdzie się w sieci najpóźniej w poniedziałek rano. Był już prawie w drzwiach, kiedy Camille go zatrzymał.

– Louis, chciałbym wiedzieć, co jest między tobą i Malevałem.

Twarz jego zastępcy momentalnie stężała. I Camille już wiedział, że niczego się nie dowie. Niemniej jednak, próbując wymusić na nim jakąkolwiek reakcję, rzucił na próbę:

– Jakaś sprawa między mężczyznami?

– To nie sprawa. To... drobna różnica zdań, nic więcej.

Camille wstał i do niego podszedł. W takich sytuacjach Louis reagował zawsze tak samo: lekko się kulił, jakby chcąc umniejszyć różnicę wzrostu między nimi, czy też okazać uległość, co Camille'owi

schlebiało, a zarazem go irytowało.

– Powiem ci tylko jedno i żebym nie musiał tego więcej powtarzać. Jeśli sprawy między wami mają związek z pracą...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Louis natychmiast mu przerwał:

– Absolutnie nie!

Camille przyglądał mu się przez chwilę, niepewny, jaką przyjąć strategię.

– Nie podoba mi się to, Louis.

– To sprawa osobista.

– Poufna?

– Osobista.

– Muszę już iść, Le Guen na mnie czeka – skapitulował Camille, wracając do biurka.

Louis od razu wyszedł. Camille wypatrywał, którą ręką odgarnie kosmyk z czoła, ale nie pamiętał już kodu umożliwiającego właściwe odczytanie tego gestu. Przez chwilę siedział zamyślony, potem zadzwonił do Coba i w końcu postanowił wyjść.

## 5

Późnym popołudniem Le Guen, rozparty w swoim nowym fotelu, trzymając oburącz oparte o brzuch dwie notki sporządzone naprędce przez Camille'a, kończył ich lekturę. W tym czasie Camille rozważał w myślach dwie sprawy, które świeżo wypłynęły, na tyle przynajmniej, na ile był w stanie odtworzyć ich przebieg.

Pierwsza notka dotyczyła wykrytych przez Ballangera „analogii, jakkolwiek dość odległych”, między amerykańskim kryminałem Johna Danna MacDonalda z 1950 roku a sprawą z Fontainebleau.

Późnym rankiem szesnastego maja 1996 roku Jean-Claude Boniface i Nadège Vermontel natknęli się w lesie w Fontainebleau na ciało mężczyzny z kulą w głowie.

Mężczyznę szybko zidentyfikowano jako Rolanda Souchiera, przedstawiciela handlowego z branży urządzeń sanitarnych i hydraulicznych. Kula pochodziła z pistoletu automatycznego kalibru .22, broni rzadkiej w tych stronach. Portfel, pieniądze i karty kredytowe denata zniknęły. Hipoteza zbrodni z niskich pobudek, której motywem była grabież, wydawała się o tyle bardziej prawdopodobna, że tego samego dnia, na małej stacji benzynowej trzydzieści kilometrów na południe od miejsca zdarzenia, z karty kredytowej podjęto miesięczny debet oraz że uciekinier poruszał się samochodem należącym do Souchiera.

Uwagę śledczych zwróciły dwa nietypowe elementy. Po pierwsze ten raczej rzadko spotykany pistolet automatyczny .22. Analiza balistyczna ustaliła, że był to Colt Woodsman, amerykańska broń sportowa, której produkcji zaprzestano w latach sześćdziesiątych. We Francji zarejestrowano tylko kilka jej egzemplarzy.

Drugi ciekawy fakt wiązał się z ubraniem ofiary. Tego dnia Souchier miał na sobie jasnoniebieską koszulę sportową i białe mokasyny. Przy identyfikacji ciała jego żona natychmiast to zauważyła. Była absolutnie pewna: jej mąż nigdy nie miał takich ubrań. W jej zeznaniu znalazła się nawet wzmianka, że „nigdy nie pozwoliłaby mu czegoś takiego na siebie włożyć”.

– Coś mi tu nie pasuje... – rzucił Le Guen.

– Mnie też nie.

Porównali dane z dossier z fragmentami książki, które przefaksował im Ballanger. John D. MacDonald, Czarna Seria, pozycja nr 698.

Strona 163 przekładu francuskiego z 1962 roku:

*Była tam pryzma kamieni wysokości siedmiu, ośmiu metrów... Obok otwartych drzwi samochodu*

stał mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Mężczyzna potarł kark i wykrzywił się... Miał na sobie jasnoniebieską koszulę sportową z plamami potu pod pachami, szare spodnie i czarno-białe buty...

– Trochę dalej – powiedział Camille – autor mówi o zabójcy.

Jeszcze raz wycelował. W górnej części czoła Beechera, nieco z lewej strony pojawiła się mała okrągła dziura. Otworzył oczy. Zrobił krok do przodu, jakby chciał stanąć pewniej na nogach. A potem powoli, jakby próbując zamortyzować upadek, osunął się na ziemię.

– Uee – mruknął Le Guen, krzywiąc się z niesmakiem.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Cóż, mnie też to nie pasuje – podjął Camille. – Za dużo tu niezgadujących się detali. W książce stoi wyraźnie, że mężczyzna otrzymuje „ciosy nożem”, że „mały palec jego lewej dłoni zdobi ciężki sygnet”; u denata z Fontainebleau nic z tych rzeczy. W książce na miejscu zbrodni policja znajduje połówkę cygara i butelkę burbona; tego też tu nie ma. Podobnie jak pudła z terakotą ciśniętego o skały. Nie, to się nie zgadza. Fałszywy trop.

Spojrzenie Le Guena wskazywało, że myśli już o czym innym.

Zapadło milczenie niemające związku z tą sprawą, którą obaj uznali za załatwioną, lecz z inną, prowadzącą ich nieuchronnie ku mniej pogodnym brzegom...

– A co do tej sprawy... – rzucił stłumionym głosem Le Guen – to się z tobą zgadzam. Myślę, że trzeba będzie zawiadomić panią Deschamps.

Jean-François Richet nie był na wakacjach, ale praca przedstawiciela handlowego pozostawiała mu, zwłaszcza w lipcu, trochę wolnego czasu. Zaproponował więc swojemu szesnastoletniemu synowi Laurentowi wypad na ryby nad Sekwanę. I tak też szóstego lipca 2000 roku zrobili. Tradycyjnie stanowisko, gdzie mieli łowić, wybierał syn. Poszedł go więc szukać, lecz nie zdążył znaleźć. Ledwie zrobił kilka kroków, spiętym, przestraszonym głosem przywołał ojca: przy brzegu pływały zwłoki kobiety. Leżała na brzuchu, w niezbyt głębokiej wodzie. Twarz miała zanurzoną w mule. Jej szarą sukienkę pokrywały plamy błota i krwi.

Dwadzieścia minut później zjawili się zandarmi. Śledztwo powierzone komisarzowi Andréanemu zostało szybko przeprowadzone i niespełna tydzień później policja wiedziała już prawie wszystko, czego zdołała się kiedykolwiek dowiedzieć, czyli prawie nic.

Młoda kobieta rasy białej, lat około dwudziestu pięciu, nosiła ślady bestialskiego pobicia, zwłaszcza wleczenia za włosy, czego potwierdzeniem była zdarta z czoła skóra oraz garście wyrwanych włosów. Morderca okładał ją młotkiem. Przeprowadzona przez niejakiego doktora Moniera sekcja wykazała, że przyczyną śmierci były nie te tortury, lecz zadane jej później dwadzieścia jeden ciosów. Nie wykryto żadnych śladów przemocy seksualnej. W lewej dłoni ofiara trzymała skrawek szarego materiału. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie przed czterdziestoma ósmioma godzinami.

W śledztwie szybko ustalono, że ową młodą – dwudziestotrzyletnią, jak się okazało – kobietą była mieszkająca w Corbeil Maryse Perrin, której zniknięcie przed czterema dniami zgłosili rodzice oraz potwierdzili jej znajomi i pracodawcy. Młoda fryzjerka mieszkała na bulwarze de la République pod numerem 16, w wynajętym trzypokojowym mieszkaniu, które dzieliła ze swoją kuzynką, Sophie Perrin. Można było o niej powiedzieć same zwykłe rzeczy: że co rano środkami komunikacji miejskiej jechała do swojego salonu, że doceniano tam jej pracę, że pod koniec tygodnia wychodziła z kuzynką do modnych lokali, że flirtowała z chłopakami, a z niektórymi z nich sypiała, w sumie nic godnego uwagi oprócz tego, że siódmego lipca o siódmej trzydzieści wyszła z domu w białej spódnicy, białej bluzce, różowej kurtce i w pantoflach na płaskich obcasach, a znaleziono ją dopiero dwa dni później z roztrzaskaną czaszką, zanurzoną w rzeczonym mule i ubraną w szarą sukienkę. Jej śmierć pozostała niewyjaśniona. Nie było ani

jednego elementu pozwalającego ustalić, jak zniknęła, jakim sposobem znalazła się nad brzegiem Sekwany, co robiła przez ten czas, który minął od jej zniknięcia, kogo spotkała, kto więc był jej domniemanym zabójcą.

W tej z pozoru banalnej sprawie śledczy natrafili na kilka nietypowych elementów. Na przykład u ofiary nie stwierdzono użycia przemocy seksualnej. W większości przypadków, kiedy w podobnych okolicznościach znajduje się młoda kobietę, nosi ona ślady gwałtu. Tu nic z tych rzeczy. O ile mógł to ustalić lekarz sądowy, ostatnie stosunki seksualne Maryse Perrin miały miejsce dawno temu. Jednym słowem, na tyle dawno, na ile dostępne mu techniki naukowe pozwalały to ustalić. Co mogło oznaczać tygodnie. Faktycznie, podczas drugiego przesłuchania jej kuzynka potwierdziła, że ofiara – wskutek zerwania z chłopakiem, po którym dopiero zaczynała się otrząsać – od dłuższego czasu nie „wychodziła”. Inicjator owego rozstania, niejaki Joël Vanecker, pracownik poczty, został przesłuchany i wyłączony z kręgu podejrzanych.

Prawdziwą osobliwością, kuriozum okazała się szara sukienka, w której znaleziono ofiarę. W ciągu tych kilku dni od zniknięcia mogła z powodzeniem zmienić strój i to kilka razy, ale śledczy nie mogli zrozumieć, dlaczego wyłowiono ją w długiej sukni pochodzącej z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Który to fakt zresztą ustalono dopiero później. Wszystkim, poczynając od rodziców i kuzynki, wydało się dziwne, że Maryse miała na sobie suknię balową. Nie pasowało to ani do stylu, w jakim się ubierała, ani do tego, jak ją postrzegano, zresztą takiej sukni nawet nie posiadała. Uwagę ekspertów zwrócił także stan samej sukni, nietypowy jak na czas przebywania ciała w wodzie. Śledczy zlecieli więc przeprowadzenie ekspertyzy tkaniny oraz kroju sukni specjalistom, ci zaś jednomyślnie uznali, że została uszyta najprawdopodobniej w regionie paryskim oraz zgodnie ze sztuką krawiecką stosowaną od połowy dziewiętnastego wieku. Guziki oraz niebieskie lamówki pozwoliły ustalić przybliżoną datę: 1863 rok, z dokładnością do trzech lat.

Tych samych specjalistów poproszono też o jej wycenę.

Zbrodnię w Corbeil trudno było nazwać bezinteresowną, jako że zabójca nie wahał się pospołu z ciałem wrzucić do wody antyk wart trzy tysiące euro. Jedyнным wytłumaczeniem mogło być to, że nie znał jego wartości.

Przeprowadzono poszukiwania wśród antykwariuszy i handlarzy starzyzną. Jednak z uwagi na brak ludzi zakres poszukiwań ograniczył się do obszaru w pobliżu miejsca zbrodni i po tygodniach pracy sprawa nie ruszyła ani o milimetr do przodu.

W aktach używano sformułowania, że młoda kobietę „znaleziono w tej sukni”, a to dlatego, że nie miała jej na sobie w chwili śmierci. Była bita i została zamordowana w innym stroju i dopiero jakieś trzydzieści sześć godzin później ubrano ją w tę przeklętą kreację balową, ale nawet tu pojawił się osobliwy detal. Morderca nie zadowolił się wrzuceniem zwłok do wody. Złożył w niej ciało dziewczyny z pewną delikatnością i zarówno układ fałd sukni, jak głębokość, na jaką zanurzył jej twarz w mule, wskazywały na wielką staranność, dbałość o szczegóły, zaskakującą u człowieka, który niespełna kilka godzin wcześniej zatłukł ją młotkiem.

Śledczy nie mieli oczywiście pojęcia, co może znaczyć ów detal.

Obecnie dzięki odkryciu *Zbrodni w Orcival*, powieści Émile’a Gaboriau, którą Ballanger zaliczył do najważniejszych pozycji literatury kryminalnej, żadna z osobliwości tego morderstwa nie stanowiła już tajemnicy. Ofiara z książki Gaboriau, hrabina Trémoré, była podobnie jak Maryse Perrin blondynką o niebieskich oczach. Nie ulegało już wątpliwości, że pozycja, w jakiej znaleziono ciało, że sposób, w jaki została uśmiercona, że jej strój, że skrawek szarego materiału, który wciąż trzymała w dłoni, krótko mówiąc, że każdy szczegół pokrywał się co do joty z książką. I, co już było szczytem dbałości o detal: sama suknia została uszyta w okresie, w którym rozgrywa się akcja powieści. Camille nie miał



już cienia wątpliwości, że ma do czynienia z czwartą zbrodnią.

– Z wyjątkiem odcisku palca – zaznaczył Le Guen. – Czemu facet zostawia na wszystkich zwłokach odcisk palca, a na tych nie zostawił?

– Ten facet zaczął sygnować swoje zbrodnie dopiero od Glasgow, nie pytaj mnie dlaczego. Od tej pory wszystkie sygnuje. Co oznacza, że żadnych przeszłych już nie odkryjemy. To jedyna dobra wiadomość.

– Teraz będą tylko przyszłe... – mruknął pod nosem Le Guen.

## 6

Irène zaparzyła ziółka.

Siedząc w fotelu w salonie, wpatrywała się w deszcz, który rozpadał się wczesnym wieczorem i uderzał teraz o szyby ze spokojnym uporem świadczącym, że nieszybko przestanie.

Zjedli lekką kolację. Irène przygotowała tylko zimne dania, nie mówiąc o tym, że od pewnego czasu nie miała już siły, żeby gotować. Nigdy zresztą nie wiedziała, o której godzinie usiądą do stołu.

– Dobra pogoda na zbrodnie... – rzuciła w zamyśleniu, obiema dłońmi obejmując kubek, jakby chciała się rozgrzać.

– Skąd ten pomysł? – spytał Camille.

– Och, sama nie wiem...

Zabrał książkę, którą akurat przeglądał, i usiadł na podłodze u jej stóp.

– Zmęczono...

– Zmęczona?

Powiedzieli to oboje jednocześnie.

– Jak się coś takiego określa? – zapytał Camille.

– Nie wiem. Chyba bezwiednym porozumieniem.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach.

– Bardzo się nudzisz, prawda?

– Teraz tak. Czas mi się dłuży.

– Co byś chciała robić jutro wieczorem? – zapytał bez przekonania.

– Urodzić...

– Muszę poszukać apteczki pierwszej pomocy.

Położywszy książkę obok siebie na podłodze, przewracał od niechcienia stronicę z obrazami Caravaggia. Zatrzymał się przy reprodukcji *Marii Magdaleny*. Irène lekko się nachyliła i spojrzała nad jego ramieniem. Na obrazie Maria Magdalena z rozchyłonymi ustami, z dłońmi splecionymi na brzuchu, unosi twarz. Jej długie rude włosy spływają na prawe ramię i tors, lewa pierś jest ledwie przesłonięta. Camille'owi podobał się taki wizerunek kobiety. Wrócił kilka stron wstecz i przyjrzał się twarzy Marii, którą Caravaggio przedstawił w *Odpczynku w czasie ucieczki do Egiptu*.

– To ta sama? – zapytała Irène.

– Nie wiem.

Ta Maria pochylała się nad swoim dzieckiem, a rudość jej włosów przechodziła w purpurę.

– Myślę, że przeżywa orgazm – powiedziała Irène.

– Nie, to chyba Teresa przeżywa orgazm.

– One wszystkie przeżywają orgazm.

Maria Magdalena w ekstazie, Maria z dzieciątkiem. Nie powiedział tego, ale tak już było, że kiedy myślał o Marii, oczyma wyobraźni widział Irène. Z tyłu czuł jej ciepłą i ciężką obecność. Konsekwencje pojawienia się Irène w jego życiu były niezliczone. Ujął dłoń żony nad swoim ramieniem.

Typ kobiety, o której trudno coś powiedzieć; ani brzydka, ani ładna, w trudnym do określenia wieku. Twarz swojska, znajoma jak twarz dawnej koleżanki szkolnej. Christine Lesage – plus minus czterdzieści lat, ubiór przygnębiająco poprawny, lustrzane odbicie, tyle że żeńskie, brata – siedzi naprzeciwko Verhoevena z dłońmi skromnie splecionymi na kolanach. Trudno powiedzieć, czy boi się, czy jest przejęta. Spojrzenie ma utkwione w kolanach. Camille wyczuwa w niej determinację mogącą posunąć się do granic absurdu. Choć z twarzy jest uderzająco podobna do brata, wyczuwa się w niej silniejszą niż u niego wolę.

Jest w niej jednak jakieś zagubienie, od czasu do czasu umyka w bok spojrzeniem, jakby na moment traciła grunt pod nogami.

– Pani Lesage, zna pani powód swojego przybycia tutaj... – zaczyna Camille, odkładając okulary.

– Powiedziano mi, że jestem tu z powodu brata...

Camille po raz pierwszy słyszy jej głos; jest cienki, lekko podniesiony, jakby odpowiadała na zaczepkę. Nawet sposób, w jaki wymawia słowo „brat”, jest wymowny. Słysząc w nim ton nieledwie matczyny.

– Otóż to. Zadajemy sobie pewne pytania na jego temat.

– Nie wiem, co można by mu zarzucić.

– To właśnie, jeśli pani pozwoli, spróbujemy ustalić wspólnie. Liczę na kilka wyjaśnień z pani strony.

– Wszystko, co miałam do powiedzenia, powiedziałam już pańskiemu koledze...

– Tak – zgadza się Camille, wskazując na leżący przed nim dokument – tyle że tego, co miała pani do powiedzenia, jest niewiele.

Christine Lesage znów splata palce na kolanach. Dla niej rozmowa się skończyła.

– Interesuje nas w szczególności wasz pobyt w Wielkiej Brytanii. W... – Camille zakłada na chwilę okulary, żeby zajrzeć do notatek – w lipcu dwa tysiące pierwszego roku.

– Nie byliśmy w Wielkiej Brytanii, panie śledczy...

– Inspektorze.

– Byliśmy w Anglii.

– Jest pani pewna?

– A pan nie?

– No cóż, prawdę powiedziawszy, nie... W każdym razie nie przez cały czas. Przyjechaliście do Londynu drugiego lipca... Zgadza się?

– To możliwe.

– To pewne. Ósmego pani brat wyjeżdża z Londynu do Edynburga. W Szkocji, pani Lesage. Poniekąd w Wielkiej Brytanii. Jego bilet powrotny potwierdza, że wrócił do Londynu dwunastego. Czy tak?

– Skoro pan tak mówi...

– Nie zauważyła pani, że brat był przez pięć dni nieobecny?

– Mówi pan, że od ósmego do dwunastego. To daje cztery dni, nie pięć.

– Gdzie był?

– Sam pan powiedział: w Edynburgu.

– A co tam robił?

– Mamy tam korespondenta. Podobnie jak w Londynie. Brat odwiedza naszych korespondentów, ilekroć nadarzy się okazja. W... interesach, jeśli pan woli.

– Waszym korespondentem jest pan Sommerville.

– Tak. Pan Sommerville.

– I tu jest pewien problem, pani Lesage. Dziś rano pan Sommerville został przesłuchany przez policję. Rzeczywiście, widział się z pani bratem, ale tylko ósmego lipca. Dziewiątego brat opuścił Edynburg. Czy może mi pani powiedzieć, czym zajmował się pani brat w dniach między dziewiątym a dwunastym?

Camille momentalnie wyczuł, że ta informacja jest dla niej czymś nowym. Christine Lesage przybiera nieufną, zawziętą minę. W końcu rzuca:

– Pewnie turystyką.

– Turystyką. Naturalnie. Zwiedzał Szkocję, jej wrzosowiska, logi, zamki i duchy...

– Niech mi pan oszczędzi tych komunałów, panie śledczy...

– Inspektorze. Czy mógł, pani zdaniem, w swojej turystycznej ciekawości, dotrzeć aż do Glasgow?

– Nie mam żadnego zdania na ten temat. Nie bardzo zresztą rozumiem, czemu miałyby to zrobić.

– Może po to, żeby zgładzić tam małą Grace Hobson?

Verhoeven spróbował; takie strategie potrafiły zadziałać nawet w trudniejszych sytuacjach...

Christine Lesage nie wygląda ani trochę na speszoną.

– Ma pan jakieś dowody?

– Zna pani nazwisko Grace Hobson?

– Czytałam o niej w gazetach.

– Podsumujmy: pani brat opuszcza Londyn, jedzie na cztery dni do Edynburga, spędza tam tylko jeden dzień, a pani nie wie, co robił przez pozostałe trzy dni.

– Tak, mniej więcej się zgadza.

– Mniej więcej...

– Zgadza się. Jestem pewna, że nietrudno mu będzie...

– To się okaże. Wróćmy do listopada dwa tysiące pierwszego roku.

– Pański kolega już mi...

– Wiem, pani Lesage, wiem. Pani mi to tylko potwierdzi i nie będziemy już do tego wracali. Zatem dwudziestego pierwszego listopada...

– A pan pamięta, co robił dwudziestego pierwszego listopada przed dwoma laty?

– Pani Lesage, to nie jest pytanie do mnie, to pytanie do pani! Dotyczy pani brata. Często bywa nieobecny, prawda?

– Inspektorze, prowadzimy sklep – cierpliwym tonem, jakby mówiła do dziecka, odpowiada Christine Lesage. – Mój brat handluje używanymi książkami, książkami z drugiej ręki. Skupując je, odwiedza prywatne biblioteki, sporządza ekspertyzy, nabywa i odsprzedaje je innym bukinistom; jak się pan domyśla, trudno to robić, siedząc w sklepie za biurkiem. Więc tak, mój brat często bywa nieobecny.

– Wobec tego nigdy nie wiadomo, gdzie aktualnie przebywa...

Christine Lesage daje sobie czas do namysłu; zastanawia się nad wyborem strategii.

– Nie sądzi pan, że zyskalibyśmy na czasie, gdyby powiedział mi pan jasno...

– To dość proste, pani Lesage. Pani brat zadzwonił do nas, żeby nas naprowadzić na trop pewnej zbrodni i...

– W takiej sytuacji miałyby się ochotę wam pomóc...

– To nie my prosiliśmy go o pomoc, tylko on nam ją zaproponował. Z własnej nieprzymuszonej woli. Wielkodusznie. Podpowiedział nam, że inspiracją dla podwójnej zbrodni w Courbevoie była książka

Breta Eastona Ellisa. Był dobrze poinformowany. Nie mylił się.

– To jego zawód.

– Mordowanie prostytutek?

Christine Lesage natychmiast się rumieni.

– Jeśli ma pan jakieś dowody, słucham. Zresztą gdyby je pan miał, nie byłoby mnie tu teraz i nie odpowiadałabym na pańskie pytania. Mogę już iść? – kończy, udając, że zamierza wstać.

Camille tylko uważnie na nią patrzy. Pani Lesage w pół gestu rezygnuje.

– Przejeliśmy notesy pani brata. To człowiek skrupulatny. Sprawia wrażenie dobrze zorganizowanego. Nasi ludzie sprawdzają aktualnie jego grafik. Z ostatnich pięciu lat. To dopiero początek, ale wprost trudno uwierzyć, ile tam błędów... Jak na człowieka tak dobrze zorganizowanego.

– Błędów...? – pyta zaskoczona.

– Tak, czytamy, że jest tu i tu... a go nie ma. Zapisuje nieistniejące spotkania. Tego typu rzeczy. Mówi, że jest z kimś, a ten ktoś go nie widział. Więc siłą rzeczy zaczynamy się zastanawiać.

– Zastanawiać nad czym, inspektorze?

– Zastanawia nas, co w tym czasie robi. Co robi w listopadzie dwa tysiące pierwszego roku, kiedy ktoś przepoławia na dwie części dwudziestotrzyletnią prostytutkę. Co robi na początku bieżącego miesiąca, kiedy ktoś ćwiartuje dwie prostytutki w Courbevoie. Czy pani brat często korzysta z usług prostytutek?

– Jest pan obrzydliwy.

– A on?

– Jeśli to wszystko, co ma pan na mojego brata...

– No cóż, pani Lesage, to nie są jedyne pytania, jakie sobie zadajemy na jego temat. Zastanawia nas też, na co idą jego pieniądze.

Christine Lesage z niedowierzaniem patrzy na Camille'a.

– Jego pieniądze?

– To znaczy, wasze pieniądze. Bo, jeśli dobrze rozumiemy... To on zarządza pani majątkiem, prawda?

– Nie mam żadnego „majątku”!

Słowo „majątek” rzuciła takim tonem, jakby było obelgą.

– Mimo wszystko... posiada pani... zaraz... pakiet akcji, dwa mieszkania w Paryżu z przeznaczeniem na wynajem. Dom rodzinny. A właśnie, wysłaliśmy tam naszych ludzi.

– Do Villeréal? Można wiedzieć po co?

– Szukamy dwojga zwłok, pani Lesage. Dużych i małych. Jeszcze do tego wrócimy. Zatem pani majątek...

– Zarządzanie nim powierzyłam bratu.

– No cóż, pani Lesage, obawiam się, że nie był to najtrafniejszy wybór...

Christine Lesage przez długą chwilę wpatruje się w Camille'a. Ten nie bardzo może odgadnąć, co kryje się w jej spojrzeniu: zaskoczenie, zwątpienie, gniew... Szybko jednak przekonuje się, że jest w nim tylko ślepa determinacja:

– Wszystko, co brat zrobił z tymi pieniędzmi, zrobił za moją zgodą. Wszystko. Bez wyjątku.

## 2

– I co nam to daje?

– Szczerze mówiąc, Jean, nie wiem. Tych dwoje łączą dziwne stosunki. Nie, nie wiem.

Jérôme Lesage siedzi sztywno na krześle, demonstrując wymuszony, ostentacyjny spokój. Chce

pokazać, że jest człowiekiem, którego niełatwo w cokolwiek wmanewrować.

– Przed chwilą rozmawiałem z pańską siostrą, panie Lesage.

Mimo wyraźnego postanowienia, że zachowa kamienną twarz, Lesage nieznacznie się krzywi.

– Czemu akurat z nią? – pyta takim tonem, jakby pytał o kartę dań lub rozkład jazdy pociągów.

– Żeby lepiej pana zrozumieć. Żeby spróbować pana lepiej zrozumieć.

– Siostra zaciekle go broni. Trudno będzie się między nich wcisnąć.

– Cóż, w końcu żyją w parze.

– Tak, w skomplikowanej, ale parze.

– Życie w parze jest zawsze skomplikowane. W każdym razie dla mnie życie w parze zawsze było bardzo skomplikowane.

– Wie pan, trudno się połapać w rozkładzie pańskich zajęć. Nawet pańska siostra, która tyle o panu wie...

– Wie tylko to, co zechcę przed nią ujawnić.

Zakłada ręce. Dla niego temat jest wyczerpany. Camille milczy.

W końcu księgarz pyta:

– Czy mogę wiedzieć, co właściwie mi pan zarzuca?

– Niczego panu nie zarzucam. Prowadzę śledztwo kryminalne. I mam na barkach sporo trupów, panie Lesage.

– Nie powinienem był panu pomagać. Nawet za pierwszym razem.

– Pokusa jednak okazała się zbyt silna.

– To prawda.

Sam wydaje się zdziwiony swoją odpowiedzią.

– Byłem dumny, kiedy przeczytawszy o zbrodni, skojarzyłem ją z książką Ellisa – ciągnie z namysłem.

– Ale to nie czyni ze mnie zbrodniarza.

– Siostra go broni. Brat ją osłania. Lub na odwrót.

– Ale co mamy, Camille? Co tak naprawdę mamy?

– Przede wszystkim luki w rozkładzie jego zajęć.

– Na początek chciałbym, żeby mi pan opisał wasz pobyt w Szkocji.

– A co pan chce wiedzieć?

– Co pan robił między dziewiątym a dwunastym lipca dwa tysiące pierwszego roku. Dziewiątego przyjeżdża pan do Edynburga. Wieczorem tego samego dnia pan wyjeżdża i z powrotem pojawia się dopiero dwunastego. To stwarza blisko czterodniową lukę. Co pan robił przez te cztery dni?

– Zwiedzałem.

– Udziela wyjaśnień?

– Nie. Gra na zwłokę. Zrozumiał, że niewiele możemy mu zrobić. Oboje to zrozumieli.

– Zwiedzał pan... Co?

– To i owo. Włączyłem się. Jak wszyscy. Człowiek na wakacjach...

– Nie wszyscy turyści zabijają młode kobiety w pierwszej stolicy, do której trafiają, panie Lesage.

– Nikogo nie zabiłem...!

Po raz pierwszy od początku przesłuchania reaguje tak gwałtownie. Okazywanie wzgardy Verhoevenowi to jedno, ale ryzyko osądzenia o morderstwo to coś zupełnie innego.

– Tego nie powiedziałem...

– Nie, nie powiedział pan... Ale przecież widzę, że próbuje mnie pan wrobić w morderstwo.

– Czy pisał pan kiedykolwiek książki, panie Lesage? Powieści?

– Nie. Nigdy. Jestem czytelnikiem.

– Namiętnym czytelnikiem!

– To mój zawód. Czy ja panu zarzucam, że się pan zadaje z bandytami?

– Wielka szkoda, że nie pisze pan książek, bo przy pana bujnej wyobraźni... Dlaczego wymyśla pan różne wydumane spotkania, spotkania z nikim? Co pan w tym czasie robi, panie Lesage? Po co panu aż tyle czasu?

– Potrzebuję świeżego powietrza.

– Zażywa pan mnóstwo tego świeżego powietrza! Chodzi pan na dziwki?

– I owszem. Zapewne podobnie jak pan...

– I luki w budżecie.

– Duże luki?

– Cob właśnie to oblicza. Idące w dziesiątki tysięcy euro. Prawie wszystko to płatności gotówką. Tu pięćset euro, tam dwa tysiące... W końcu robi się z tego całkiem pokaźna suma.

– Od kiedy?

– Od blisko pięciu lat. Nie mieliśmy zezwolenia, żeby pójść głębiej wstecz.

– I siostrzyczka niczego nie zauważyła?

– Na to wygląda.

– Sprawdzamy aktualnie pańskie rachunki. Siostra będzie zdziwiona...

– Nie mieszajcie w to mojej siostry!

Lesage patrzy na Camille'a tak, jakby dopiero teraz raczył zdradzić mu bardziej osobisty detal.

– Jest bardzo kruchej konstrukcji psychicznej.

– Mnie wydała się psychicznie silna.

– Od śmierci męża ma skłonność do depresji. Dlatego wziąłem ją do siebie. To wielka odpowiedzialność, niech mi pan wierzy.

– Coś mi się zdaje, że szczerze pan to sobie wetuje.

– To sprawa między nią i mną, pana nie dotyczy.

– A zna pan coś, co nie dotyczyłoby policji?

– Dobrze, więc na czym stanęło?

– No właśnie, i tu jest pewien problem, Jean...

– Wrócimy jeszcze do tego, panie Lesage. Mamy mnóstwo czasu.

– Nie zostanę tu.

– Nie panu o tym decydować.

– Żądam adwokata.

– Ależ oczywiście. Sądzi pan, że będzie panu potrzebny?

– Przy ludziach pańskiego pokroju każdemu potrzebny jest adwokat.

– Tylko jedno pytanie. Wysłaliśmy panu listę niewyjaśnionych spraw. Zaskoczyła mnie pańska reakcja.

– Jaka reakcja?

– No właśnie, w tym problem. Jej brak.

– Uprzedziłem, że panu więcej nie pomogę. Co pańskim zdaniem powinienem był zrobić?

– Nie wiem... Na przykład odkryć podobieństwo między jedną z naszych spraw i książką Johna D. McDonalda. Ale może pan tej książki nie zna...

– Znam ją bardzo dobrze, panie Verhoeven! – uniósł się raptem księgarz. – I mogę panu powiedzieć, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z książką McDonalda! Za dużo w niej niepasujących detali. Sam to sprawdziłem.

– Więc jednak pan sprawdził! No proszę! Ale nie uznał pan za stosowne mnie o tym poinformować...

Szkoda.

– Już pana informowałem. Dwa razy. I dlatego teraz tu jestem. Więc...

– Poinformował pan również prasę. Dla równego rachunku zapewne.

– Już się z tego tłumaczyłem. To, co powiedziałem temu dziennikarzowi, nie podpada pod paragraf.

Żądam, by mnie pan natychmiast wypuścił.

– Jeszcze bardziej zaskakujące u człowieka tak odczytanego jak pan – ciągnął Camille, jakby nie usłyszał – jest to, że w żadnej z tych ośmiu spraw nie rozpoznał pan *Zbrodni w Orcival* Émile'a Gaboriau!

– Pan mnie naprawdę uważa za idiotę, inspektorze!

– Zapewniam, że nie, panie Lesage.

– Kto mówi, że nie rozpoznałem?

– Pan. Bo mi pan o tym nie powiedział.

– Z miejsca ją rozpoznałem. Każdy by rozpoznał. Oprócz pana, rzecz jasna. Powiniennem być panu powiedzieć...

– Problem... Nie dość już mamy problemów?

– Otóż to, też tak pomyślałem. Co zrobić, Jean, końca ich nie widać.

– O co tym razem chodzi?

– Co takiego mógł pan nam powiedzieć, panie Lesage?

– Wolę to przemilczeć.

– W ten sposób tylko pan zwiększy naszą podejrzliwość. Pańska sytuacja i bez tego wygląda nie najlepiej...

– O naszą listę niewyjaśnionych spraw. Znow do niej nawiązałem. Nie chciał nic powiedzieć. Wiesz, jak to jest, wszyscy mamy swoją próżność...

– O czym nie chciał nam pan powiedzieć?

– ...

– Ejże, aż pana język swędzi – zachęca Camille.

Lesage mierzy go zimnym wzrokiem. Z ledwie skrywaną pogardą.

– Ta sprawa... z tą dziewczyną w pogłębiarce.

– Tak...?

– Przed śmiercią miała na sobie strój plażowy?

– Tak, chyba tak, wywnioskowaliśmy to na podstawie jej opalenizny. Do czego pan zmierza, Lesage?

– Myślę... że to *Roseanna*.

### 3

Bulwary, obwodnica, szerokie arterie, aleje, kanały; miejsca przelotowe. Sceneria dramatów i nikczemności, wypadków i żałoby. Wszystko tu znajduje się w nieustannym ruchu, nic się nie zatrzymuje – oprócz tego, co tu trafi i po czym ślad momentalnie znika, wchłonięty przez wody rzeki. Nie sposób zliczyć, ile i co można z niej wyłowić: buty i kawałki blachy, ubrania, fortuny, długopisy, kartony, menażki i blaszanki.

A nawet zwłoki.

Dwudziestego piątego sierpnia 2000 roku. Służby budowlane szykowały się do uruchomienia żurawia pogłębiarki, której czerpak miał zanurzyć się aż po dno, wydobyć szlam i wyrzucić go do kontenera.

Gapie nie przepuścili takiej gratki. Rybacy, emeryci, sąsiedzi, przechodnie – wszyscy przystawali na moście Blériot, żeby popatrzeć na te manewry.

Koło dziesiątej trzydzieści silnik krztusząc się i wypuszczając czarne jak sadza spaliny, zaczął

pracować. Spokojna niczym martwa ryba barka odbiorcza czekała na środku kanału. Kilka minut później koparka znalazła się obok niej, a vis-à-vis mostu, na którym zgromadziło się około tuzina osób, zawisła rozdziawiona paszcza czerpaka. Stojący obok żurawia, kierujący operacją Lucien Blanchard uniósł rękę na znak startu i obsługujący maszynę uruchomił dźwignię sterującą. Rozległ się suchy metaliczny szcęk. Szeroki czerpak gwałtownie drgnął, ustawił się naprzeciwko mostu i rozpoczął pierwsze zejście pod wodę. Nie zdążył opuścić się na metr, kiedy uwagę Luciena Blancharda zwróciło poruszenie wśród grupki ludzi stojących na moście śluzy. Rozmawiali z ożywieniem, pokazując na czerpak. Trzy czy cztery osoby, zamasyście machając uniesionymi rękami, coś do niego krzyczały. Kiedy czerpak zanurzył się w wodzie, ludzie podnieśli jeszcze głośniejszy krzyk i wtedy Blanchard zorientował się, że coś jest nie tak. Nie wiedząc nawet, czemu to robi, wrzasnął do dźwigowego, żeby wstrzymał operację. Czerpak, na wpół zanurzony w wodzie, natychmiast znieruchomiał. Blanchard patrzył na most, lecz znajdował się za daleko, by dosłyszeć, co ludzie do niego krzyczą. Na pierwszym planie jakiś mężczyzna wymachiwał w górę i w dół podniesionymi ramionami. Blanchard domyślił się, że chcą, by kazał unieść czerpak. Przywykły do samodzielnego kierowania operacją, zirytowany, że mu się w tym przeszkadza, rzucił papierosa na ziemię. Tak naprawdę nie wiedział, co robić, i był na siebie zły za ten brak zdecydowania. A że wszyscy na moście śluzy w ślad za tym mężczyzną machali rękami, nie przestając krzyczeć, w końcu podjął decyzję i zarządził uniesienie czerpaka. Ten wynurzył się z wody, gwałtownym ruchem zachybotał w tył i znowu znieruchomiał. Lucien Blanchard dał znak dźwigowemu, żeby go obniżył, i podszedł, chcąc sprawdzić, o co chodzi. Kiedy czerpak znalazł się na wysokości jego oczu, zorientował się, że czekają go kłopoty. W głębi ociekającej wodą czary spoczywało nagie ciało kobiety, na wpół zanurzone w kałuży brunatnego szlamu.

Wstępne oględziny określiły jej wiek na dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Fotografie nie przedstawiały w zbyt pochlebnym świetle jej ewentualnej urody. Dwanaście fotografii dużego formatu, które Camille rozłożyła na blacie swojego biurka.

Prawdę mówiąc, nawet za życia raczej nie była zbyt piękna. Szerokie biodra, drobne piersi, grube uda. Jej wygląd przywodził na myśl brudnopis, jakby natura wykonała pracę trochę po łebkach, łącząc w jednym ciele kontrastujące z sobą elementy, szczupłość z grubością, potężny zadek z drobnymi jak u Japonki stopami. Wyraźne ślady zostawione wokół kostiumu kąpielowego, który zapewne miała na sobie, wskazywały, że chyba zaliczyła kilka seansów w solarium (analiza skóry wykluczyła promienie słoneczne). Na ciele nie znać było żadnych wyraźnych śladów przemocy, nie licząc zadrapania biegnącego od talii po kość biodrową. Śladowe resztki cementu pozwalały przypuszczać, że wleczono ją po ziemi. Na twarzy, rozmiękłej na skutek przebywania w wodzie i szlamie – widać było ciemne, dość gęste brwi, dość duże usta. I ciemne, półdługie włosy.

Śledztwo powierzone porucznikowi Murette wykazało, że młoda kobieta padła ofiarą gwałtu z sodomią, a następnie została uduszona. Choć morderca działał w sposób bezwzględny i brutalny, nie pastwił się nad ciałem.

Camille powoli czytał akta. W trakcie lektury niejednokrotnie unosił głowę, jakby próbował lepiej przyswoić informacje, jakby liczył, że nagle coś zaskoczy. Ale nie. Śledztwo było rozpaczliwie smutne. Nic lub prawie nic nowego nie wносиło.

Raport z sekcji nie pomógł mu w pogłębieniu profilu psychologicznego ofiary. Miała około dwudziestu pięciu lat, mierzyła metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, ważyła pięćdziesiąt osiem kilo i na jej ciele nie było żadnych blizn. Na podstawie śladów po promieniach ultrafioletowych ustalono, że w solarium miała na sobie dwuczęściowy kostium, okulary i obuwie plażowe. Nie paliła, nie urodziła dziecka i nie usuwała ciąży. Można było się domyślić, że była zadbana i schludna, choć bez przesadnej dbałości o wygląd zewnętrzny; paznokcie miała nieumalowane i ani śladu makijażu na twarzy. Nic nie



wskazywało, by nosiła jakąś biżuterię, którą morderca ewentualnie mógł z niej zerwać. Ostatni posiłek spożyła sześć godzin przed śmiercią. Składały się na niego mięso, ziemniaki, truskawki. Wypiła sporą ilość mleka.

Zwłoki, zanim je odkryto, przeleżały w szlamie prawdopodobnie około dwunastu godzin. Wśród tych ustaleń uwagę śledczych zwróciły dwie rzeczy, dwa dziwne detale, których – w każdym razie pierwszego z nich – żaden z raportów nie potrafił wytłumaczyć inaczej niż zwyczajowymi oczywistościami.

Przede wszystkim to, że ofiara znaleziona w szuflki koparki pokryta była szlamem.

Zastanawiająca była obecność tego szlamu. Ciało znajdowało się w czerpaku już wcześniej, zanim pogłębiarka rozpoczęła pracę. Jej szufla zaczęła się już opuszczać, lecz nie zeszła na tyle głęboko, żeby nabrać tego szlamu. Z czego wniosek, że – choć wydaje się to dziwne – zabójca najpierw wrzucił do czerpaka ciało, a dopiero potem szlam. Jaka motywacja mogła stać za takim czynem? Porucznik Murette nie postawił żadnej hipotezy, poprzestał tylko na podkreśleniu tego faktu. Cała ta scena, gdy się nad tym zastanowić, wygląda dziwnie. Camille próbował ją odtworzyć, rozważył wszelkie możliwe wyjaśnienia i w końcu stwierdził, że sprawca musiał wykonać bardzo szczególną pracę. Wrzuciwszy zwłoki do czerpaka (według raportu znajdującego się nie wyżej niż metr trzydzieści nad ziemią), musiał pozyskać szlam z kanału (wynik analizy jednoznacznie potwierdzał, że był to szlam z kanału), a następnie pokryć nim ciało. Ilość szlamu wskazywała, że używając do tego celu wiadra lub innego tego typu pojemnika, musiał wiele razy powtórzyć operację. Śledczy nie bardzo wiedzieli, czym wyjaśnić taką kolejność zdarzeń.

Camille poczuł mrowienie na karku. Ten detal był bezsprzecznie intrygujący. Nie stała za nim żadna inna racja logiczna jak tylko chęć odtworzenia sceny z książki...

Na drugi osobliwy detal zwrócił już uwagę Louis, mianowicie na dziwny ślad na ciele ofiary. Przypominał on zwykłe, naturalne znamię na skórze. Zresztą wstępne ustalenia za takie znamię ślad ów uznały. Policja uwinęła się szybko; kilka zdjęć z miejsca zbrodni, zwykłe pomiary topograficzne, rutynowe procedury. Dokładne oględziny ciała przeprowadzono dopiero w kostnicy. I dopiero sekcja wykazała, że nie jest to naturalne znamię. Brunatna plamka o średnicy pięciu centymetrów została starannie namalowana pędzelkiem zwykłą farbą akrylową. Jej kształt przywołał na myśl jakieś zwierzę. Śledczy, zależnie od skojarzeń podsuwanych im przez podświadomość, upatrywali w nim albo świnię, albo psa. Znalazł się nawet ktoś na tyle obeznany z zoologią – uczestniczący w śledztwie niejaki Vaquier – że dopatrywał się w niej guźca. Plamka została pociągnięta przezroczystym lakierem na bazie oleju schnącego, jednej z sykatyw, których używa się w malarstwie. Camille zwrócił szczególną uwagę na ten fakt. On również, w czasach kiedy malował farbami akrylowymi, stosował tę technikę. Potem zarzucił ją na rzecz oleju, lecz wciąż jeszcze pamiętał zapach eteru tych werniksów, tę odurzającą woń, o której trudno powiedzieć, czy jest przyjemna, czy nie, i która, gdy ją zbyt długo wdychać, powoduje straszliwy ból głowy. Jego zdaniem mogło to znaczyć tylko jedno. Morderca chciał, żeby ta plamka została, żeby się nie zatarła, gdy ciało będzie leżeć w wodzie i mule.

Ówczesne poszukiwania w rejestrze osób zaginionych nie przyniosły rezultatu. Rozesłanie rysopisu ofiary do wszystkich służb mogących dostarczyć jakiejkolwiek informacji nic nie dało. Tożsamości zamordowanej kobiety nigdy nie udało się ustalić. Prowadzone z wielką starannością przez porucznika Murette poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Zarówno farba, jak i werniks były w zbyt powszechnym użyciu, by dostarczyć ewentualnego tropu. Obecność takiej ilości szlamu pozostała niewyjaśniona. Z powodu braku wystarczających tropów dochodzenie zostało umorzone.

i Wahlöö.

Camille nie odpowiedział, otworzył tylko książkę, zaanonsował: *Roseanna*, i zaczął czytać:

– Strona 23: *Udużona, pomyślał Martin Beck. Przerzucił plik fotografii: śluza, pogłębiarka, zbliżenie łyżki czerpaka, ciało spoczywające na pomoście, ciało w kostnicy... Leżała przed nim taka jak na zdjęciu, naga i opuszczona, wąskie ramiona, ciemne pasmo włosów miękkim łukiem oblepiające szyję... Miała metr sześćdziesiąt sześć wzrostu, szaroniebieskie oczy i brązowe włosy. Zdrowe zęby. Żadnych blizn pooperacyjnych ani innych znaków szczególnych z wyjątkiem znamienia na wewnętrznej stronie lewego uda, w odległości 3,75 cm od pachwiny. Brunatna plamka wielkości monety 10 ores, o nierównych brzegach, kształtem przypominała małą świnkę...*

– Już dobrze... – rzucił Le Guen.

– *Ostatni posiłek* – ciągnął Camille – *spożyła jakieś trzy do pięciu godzin przed śmiercią. Zjadła mięso, ziemniaki, truskawki i wypła mleko... I jeszcze to: Była to kobieta. Złożyli jej ciało na plandecę nad brzegiem kanału. Mężczyzna na moście... Nie, nie to, zaczekaj, mam: Była naga i nie miała na sobie żadnej biżuterii. Była opalona i sądząc po jaśniejszych miejscach na skórze, musiała opalać się w bikini. Miała szerokie biodra i tęgie uda.*<sup>[6]</sup>

## 5

Louis i Maleval podsumowali ustalenia śledztwa w sprawie zbrodni nad kanałem Ourcq. Głównym powodem, dla którego utknęło ono w martwym punkcie, była niemożność ustalenia tożsamości ofiary. Mimo sprawdzania we wszelkich dostępnych rejestrach, szukania w międzynarodowych bazach danych. Nie szczędzono wysiłków. Domyślając się obecności Coda, ukrytego po drugiej stronie sali za zasłoną ekranów, Verhoeven pomyślał o paradoksie, jakim było zniknięcie bez śladu młodej kobiety w społeczeństwie tak gruntownie zewidencjonowanym. Katalogi, wykazy, listy, rejestrowanie wszystkich istotnych elementów naszej egzystencji, monitorowanie wszystkich naszych telefonów, naszych ruchów, naszych wydatków – a jednak losy niektórych pojedynczych osób wskutek nieprzewidywalnych, zakrawających na cud splotów wydarzeń i zbiegów okoliczności pozostawały poza zasięgiem wszelkich poszukiwań. I tak młoda dwudziestopięcioletnia kobieta, mająca jakichś krewnych, przyjaciół, kochanków, pracodawców, jakiś stan cywilny, mogła bez śladu zniknąć. Mógł minąć miesiąc, a żadnej z przyjaciółek nie zdziwiło, że przestała dzwonić, mógł minąć rok, a jej chłopak, tak przecież kiedyś zakochany, nie zdziwił się, że dotąd nie wróciła z podróży. Rodzice, którzy nie dostali żadnej wiadomości, telefony, których nikt nie odbiera... Młoda kobieta zniknęła z ich życia, nim jeszcze dla nich umarła. Chyba że była samotnicą, sierotą, zbuntowaną uciekinierką, tak wściekłą na świat, że przestała do nich wszystkich pisać. Być może zanim zniknęła z ich życia, wcześniej oni zniknęli jej z oczu.

Na tablicy Louis na użytek całego zespołu sporządził zestawienie; w ciągu tych kilku dni nowe sprawy wychodziły na jaw w tempie, za którym nikt już nie nadązał:

7 lipca 2000, Corbeil: *Zbrodnia w Orcival* (Gaboriau)

Ofiara: Maryse Perrin (23 lata)

24 sierpnia 2000, Paryż: *Roseanna* (Sjöwall i Wahlöö)

Ofiara: ?

10 lipca 2001, Glasgow: *Laidlaw* (McIlvanney)

Ofiara: Grace Hobson (19 lat)

21 listopada 2001, Tremblay: *Czarna Dalia* (Ellroy)

Ofiary: Manuela Constanza (24 lata) + Henri Lambert (51 lat)

11 kwietnia 2003, Courbevoie: *American Psycho* (B.E. Ellis)

Ofiary: Évelyne Rouvray (23 lata) + Josiane Debeuf (21 lat) + François Cottet (40 lat)

– Nasi ludzie są teraz w posiadłości rodzinnej Lesage’ów, w Villeréal, nic jeszcze nie znaleźli – poinformował Louis. – Na początek złożyli wizytę w parku. Ich zdaniem na przekopanie takiego terenu trzeba by miesięcy...

– Christine Lesage wróciła do domu, przydzieliłem jej asystę – dorzucił Maleval.

– W porządku.

Musiało być już naprawdę późno, skoro Élisabeth zrezygnowała z wyjścia na ulicę na papierosa. Fernand, z godnością się zataczając, na chwilę ich opuścił. Zwykle gdy o tej porze zniknął, pojawiał się dopiero następnego dnia. Armandowi zdawało się to nie przeszkadzać. Zdążył już położyć rękę na ostatniej paczce papierosów kolegi i mógł spokojnie poczekać na jutrzejszą dostawę towaru.

Mehdi i Maleval z jednej strony, Louis i Élisabeth z drugiej zestawiali posiadane już elementy dotyczące Jérôme’a Lesage’a z elementami tych pięciu spraw. Pierwszy tandem zajmował się grafikami, wyjazdami i spotkaniami Lesage’a, drugi jego finansami. Armand, z pomocą Coba, który starając się zadośćuczynić oczekiwaniom wszystkich, wysyłał jednocześnie różne zapytania, znów skupił się na studiowaniu detali każdej z pięciu spraw w świetle informacji napływających na bieżąco od pozostałych ekip. Trzeba było wielu godzin, by należycie wykonać tę pracę, od której w dużej mierze zależały wyniki jutrzejszych przesłuchań. Im rzetelniej zostaną ustalone elementy zebranych wiadomości, tym większą nadzieję mógł mieć Verhoeven na postawienie Lesage’a w trudnej sytuacji, jeśli nie wręcz na jego szybkie przyznanie się do winy.

– Co do finansów Lesage’a, jest tu sporo wpływów pieniędzy, a daty są różne – oświadczył Louis, wskazując teczki z aktami. – Aktualnie staramy się ustalić, jakiego rzędu sum wymagało przygotowanie każdej ze zbrodni. Jednocześnie badamy wszystkie podejrzane wpływy gotówki oraz płatności czekami. Jest to o tyle skomplikowane, że pieniądze pochodzą z bardzo różnych źródeł. Akcje sprzedawane lub wymieniane z nadwyżką, których wartości nadal nie znamy, transakcje gotówkowe w sklepie, kupno i sprzedaż całych zbiorów bibliotecznych, zasobów innych bukinistów. W kwestii wydatków sprawa jeszcze bardziej się komplikuje... Jeśli nie zdołamy sami tego wszystkiego wyjaśnić, będzie nam potrzebna pomoc eksperta z działu finansowego.

– Zadzwoń do Le Guena i powiem, żeby skontaktował się z sędzią Deschamps i był gotowy na przekazanie tej prośby.

Cob zawłaszczzył trzeci komputer, ale z braku miejsca nie mógł go podłączyć do dwóch ekranów, którymi już dysponował, więc co chwilę wstawał i aktualizował poszukiwania prowadzone na trzecim stanowisku.

Maleval i Mehdi, obaj z pokolenia z informatyzowanych, nie robili praktycznie żadnych notatek odręcznie. Ściśnięci jeden obok drugiego, siedzieli wpatrzni w ekran, obaj z komórkami w rękę, gotowi natychmiast, jak tylko dostaną namiary biznesowych partnerów Lesage’a, do nich dzwonić.

– Niektóre spotkania miały miejsce dość dawno temu – wyjaśnił Maleval, gdy Mehdi czekał na połączenie z klientem. – Każemy ludziom sprawdzać, potem oddzwaniają, zajmuje to mnóstwo czasu. Tym bardziej...

Wywody Malevala przerwał dzwonek komórki Camille’a.

– Właśnie dowiedziałam się od komisarza – zaczęła sędzia Deschamps. – Ta sprawa nad kanałem Ourcq...

– Tożsamości ofiary nigdy nie odkryto – wszedł jej w słowo Camille. – Co ją jeszcze bardziej komplikuje.

Przez kilka minut omawiali strategię, jaką należy przyjąć.

– Nie wydaje mi się, żeby ten dialog drogą ogłoszeń długo jeszcze potrwał – zakończył Camille. – Na razie facet korzysta z reklamy, o której tak marzył. Myślę, że na ostatnim ogłoszeniu się skończy.

– Co każe panu tak sądzić, inspektorze?

– Przede wszystkim intuicja. Ale też co innego. Mogę się oczywiście mylić, ale chyba nie będzie już żadnych innych dawnych spraw. W sensie technicznym sprawca nie ma nam już nic do powiedzenia. Poza tym staje się to trochę monotonne. Znudzi się, zacznie się mieć na baczności. Każda powtarzalność niesie z sobą pewne ryzyko.

– Ale nowa sprawa... I co dalej? Jutrzejsza prasa nie zostawi na nas suchej nitki, inspektorze.

– Zwłaszcza na mnie.

– Pan ma prasę, ja mam ministra. Każde z nas niesie swój krzyż.

Głos sędzi Deschamps brzmiał inaczej niż w pierwszych dniach; im dłużej śledztwo tkwiło w miejscu, tym bardziej jej ton stawał się pojednawczy. Co, rzecz jasna, nic dobrego nie wróżyło i dlatego Camille obiecał sobie przed wyjściem wspomnieć o tym Le Guenowi.

– A na czym pan stanął z tym swoim księgarzem?

– Jego siostra będzie próbowała dostarczyć mu wszelkie potrzebne alibi. Aktualnie cała ekipa siedzi i przygotowuje materiał do jutrzejszych przesłuchań.

– Zamierza pan trzymać go w areszcie do końca? – zapytała wreszcie.

– Tak. Liczę, że nawet dłużej.

– To był długi dzień, a jutrzejszy nie zapowiada się wcale na krótszy.

Camille spojrział na zegarek i natychmiast przypomniał sobie o Irène. Dał sygnał do wyjścia.

# Czwartek, 24 kwietnia

## 1

„Le Matin”.

*Panika w Brygadzie Kryminalnej: odkryto dwa nowe „dzieła” Literata.*

*Literat nie przestaje nas zaskakiwać...*

*Będącemu sprawcą podwójnej zbrodni popełnionej w Courbevoie 11 kwietnia tego roku Literatowi ostatnio przypisuje się także morderstwo młodej Manuelli Constanzy, której rozplątane na pół zwłoki znaleziono na wysypisku miejskim w listopadzie 2001 roku w Tremblay-en-France. Kiedy przed kilkoma dniami ustalono, że w lipcu tego samego roku w Glasgow bestialsko zamordował on również młodą dziewczynę Grace Hobson, odtwarzając tym samym zbrodnię opisaną przez szkockiego pisarza Williama McIlvanneya w powieści Laidlaw, jego złowrogie dokonania urosły do liczby czterech ofiar, czterech młodych kobiet uśmierconych w okolicznościach tyleż przerażających, co makabrycznych.*

*Obecnie na jaw wyszły dwie następne zbrodnie.*

*Zabójstwo młodej dwudziestotrzyletniej fryzjerki z lipca 2000 roku, której morderca zadał ponad dwadzieścia ciosów nożem, jest jakoby wierną rekonstrukcją klasyka powieści kryminalnej Zbrodnia w Orcival Émile’a Gaboriau, powstałej w końcu... dziewiętnastego wieku.*

*Z kolei zabójstwo w sierpniu 2000 roku innej młodej kobiety, padłej ofiarą okrutnej przemocy seksualnej, po czym uduszonej, miałyby być rekonstrukcją kryminału autorstwa szwedzkiego tandemu pisarskiego Sjöwall i Wahlöö, zatytułowanego Roseanna.*

*Jak dotąd inspiracji temu choremu przedsięwzięciu dostarczyło pięć książek. Sześć kobiet poniosło w nich śmierć, najczęściej okrutną.*

*Zatrwożona tą serią morderstw policja w końcu zmuszona była nawiązać kontakt ze sprawcą za pośrednictwem drobnych ogłoszeń... Ostatnie z nich „A pańskie inne dzieła...?” wyraźnie dowodzi iście zaskakującego podziwu, jakim prowadzący dochodzenie zdają się darzyć tego zbrodniarza.*

*Nowością w śledztwie jest tymczasowe aresztowanie paryskiego księgarza, pana Jérôme’a Lesage’a, obecnie będącego podejrzanym numer jeden. Jego siostra, Christine Lesage, przesłuchiwana wczoraj w Brygadzie Kryminalnej i dosłownie zdruzgotana faktem aresztowania brata, z powściągliwym gniewem komentuje: „Jérôme jest jedyną osobą, która pomogła policji, gdy ta nie mogła zrozumieć, o co chodzi w tej sprawie... Oto jaka spotkała go nagroda! Wobec braku jakichkolwiek dowodów nasz adwokat zażąda natychmiastowego zwolnienia brata”.*

*Wygląda na to, że policja istotnie nie posiada żadnego rzeczowego dowodu przeciwko temu „poręcznemu” podejrzanemu i aresztowanie go tłumaczy jedynie szeregiem zbiegów okoliczności, których ofiarą równie dobrze mógłby paść każdy z nas... Ile nowych zbrodni zostanie jeszcze odkrytych? Ile jeszcze młodych kobiet poniesie śmierć, zostanie poddanych torturom i przemocy, zgwałconych, bestialsko zamordowanych, zanim policji uda się w końcu aresztować ich zabójcę?*

*Oto pytania, które z trwogą zadajemy sobie wszyscy.*

## 2

Mimo ostentacyjnej pewności siebie w nocy Jérôme Lesage nawet na chwilę nie zmrużył oka. Poblady, przygarbiony siedział na krześle sztywno, jakby kij połknął, ze wzrokiem utkwionym w blat stołu, zaciskając dłonie, by powstrzymać ich dyskretne drżenie.

Camille usiadł naprzeciwko, położył na stole teczkę z aktami oraz kartkę z notatkami sporządzonymi swoim nieczystym piśmem.

– Przyjrzeliliśmy się bliżej pańskim terminarzom z ostatnich kilku miesięcy, panie Lesage.

– Żądam adwokata – odparł na to Lesage godnym i stanowczym tonem, w którym słychać było jednak nutę lekkiej nerwowości.

– Już panu mówiłem, na to jeszcze za wcześnie.

Lesage popatrzył na niego, jakby gotów podjąć wyzwanie.

– Jeśli pan nam to wszystko wytłumaczy – ciągnął Camille, otwartą dłonią uderzając w teczkę – pozwolimy panu wrócić do domu.

Założył okulary.

– Po pierwsze pana grafik. Zaczniemy od ostatnich miesięcy, zgoda? Daleko nie szukając... Czwartego grudnia ma pan spotkanie z kolegą po fachu, panem Pelissier. Tego dnia nie było go w Paryżu i nie spotkał się z panem. Siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego grudnia jest pan jakoby na aukcji w Mâcon. Nikt pana tam nie widział, nie zgłosił pan nawet swojego udziału. Jedenastego stycznia spotkanie z panią Bertleman w sprawie ekspertyzy. Spotkała się z panem dopiero szesnastego. Dwudziestego czwartego stycznia jest pan przez cztery dni na targach w Kolonii. Nawet się pan tam nie pojawił... Następnie...

– Proszę...

– Słucham?

Lesage wpatrywał się w swoje dłonie. Camille, chcąc stworzyć pozory dystansu, nie odrywał wzroku od notatek. Kiedy wreszcie uniósł głowę, Jérôme Lesage był już innym człowiekiem. Jego ostentacyjną pewność siebie zastąpiło bezgraniczne znużenie.

– Robię to dla siostry... – szepnął.

– Dla siostry...? Chce pan powiedzieć, że pracuje dla swojej siostry, czy tak?

Lesage skinął tylko głową.

– Dlaczego?

A że Lesage wciąż milczał, Camille, odczekawszy chwilę, postanowił skorzystać z wyłomu i przypuścić atak.

– Pańskie... nieobecności są nieregularne, lecz częste. Problem w tym, że na ogół pokrywają się z czasem, kiedy ktoś morduje kobiety. Więc siłą rzeczy zadajemy sobie pytania.

Dał Lesage'owi krótką chwilę do namysłu.

– Tym bardziej że z pańskiego budżetu znikają również znaczne sumy. Na przykład... w lutym i marcu tego roku likwiduje pan portfel akcji należący do pańskiej siostry, którym pan oficjalnie zarządza. Skądinąd trudno jest się połapać w pańskich manipulacjach giełdowych. W każdym razie sprzedaje pan akcje za nie mniej niż cztery i pół tysiąca euro. Czy mogę wiedzieć, co zrobił pan z tymi pieniędzmi?

– To sprawa prywatna! – zachnął się Lesage, gwałtownie unosząc głowę.

– Już nie, odkąd znikające z pana rachunku znaczne sumy pokrywają się z okresami, w których morderca przygotowuje scenerie zbrodni wymagające dużych nakładów pieniężnych, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– To nie ja! – krzyknął księgarz, waląc pięścią w stół.

– Więc niech mi pan wyjaśni te nieobecności oraz te wydatki.

– Udowodnienie należy do pana, nie do mnie!

– Zapytamy sędziego, co o tym myśli.

– Nie chcę, żeby moja siostra...

– Tak...?

Lesage cały się sprężył.

– Nie chce pan, żeby siostra się dowiedziała, że nie pracuje pan tak ciężko, jak pan utrzymuje, że

wydaje pan jej własne pieniądze, ot co.

– Niech jej pan w to nie miesza. Jest bardzo słaba psychicznie. Niech jej pan w to nie miesza.

– Bo nie chce pan, żeby poznała prawdę?

Wobec jego uporczywego milczenia Camille ciężko westchnął.

– No dobrze, idźmy więc dalej. W dniu, kiedy Grace Hobson zostaje zamordowana w Glasgow, pan, przebywając na wakacjach w Londynie, znika. Z Londynu do Glasgow jest o rzut beretem – dodał Camille, spoglądając na niego znad okularów. – W chwili gdy...

Louis wszedł do sali przesłuchań tak cicho, że Camille dostrzegł jego obecność, dopiero kiedy się nad nim nachylił.

– Mógłby pan na chwilę przyjść? – zapytał szeptem. – Telefon. To pilne...

Camille powoli wstał, popatrzył na Lesage'a, który zwiesił głowę.

– Panie Lesage, albo będzie pan mógł nam to wszystko wyjaśnić i to możliwie najszybciej, albo nie będzie pan mógł, a wtedy będę miał do pana inne, znacznie bardziej osobiste pytania...

### 3

Irène przewróciła się na ulicy des Martyrs. Potknęła się o krawężnik. Nadbiegli przechodnie. Twierdziła, że nic się nie stało, ale nadal leżała na chodniku, obejmując obiema dłońmi brzuch i próbując złapać oddech. Jeden ze sklepikarzy zadzwonił po karetkę. Kilka minut później noszowi z pogotowia zastali ją siedzącą z rozstawionymi nogami w sklepie u rzeźnika, którego żona każdemu, kto tylko był gotów słuchać, dokładnie tłumaczyła, co się stało. Sama Irène nic z tego nie zapamiętała oprócz niepokoju i bólu, który teraz czuła już w całym ciele. Rzeźnik na okrągło powtarzał:

– Przestań, Yvonne, zamęczasz nas tym gadaniem...

Zaproponowano jej szklankę soku pomarańczowego. Trzymała ją nietkniętą w dłoniach niczym książeczkę do nabożeństwa.

A potem ratownicy położyli ją na noszach i wynieśli, z trudem torując sobie drogę ze sklepu do karetki.

Zdyszany po biegu Camille zastał żonę w łóżku na drugim piętrze kliniki Montambert.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Upadłam – odpowiedziała krótko Irène, jakby wciąż nie mogąc oderwać myśli od tej niepojętej oczywistości.

– Boli cię? Co mówią lekarze?

– Upadłam...

I patrząc na niego, cicho się rozpłakała. Camille ścisnął jej dłonie. On również by się popłakał, gdyby nie to, że jej twarz tak bardzo przypominała mu twarz Irène z tego snu, w którym go pytała: „Nie widzisz, że mnie boli...?”.

– Boli cię? – powtarzał Camille. – Czy cię boli?

Ale ona, obejmując brzuch, wciąż płakała.

– Zrobili mi zastrzyk...

– Najpierw musi się uspokoić i powoli ochłonąć.

Camille się odwrócił. Lekarz wyglądał na studenta pierwszego roku medycyny. Małe okulary, przydługie włosy, młodzieńczy uśmiech. Podeszedł do łóżka i ujął dłoń Irène.

– Wszystko będzie dobrze, prawda?

– Tak – odpowiedziała Irène, uśmiechając się przez łzy. – Będzie dobrze.

– Po prostu pani upadła. I najadła się strachu.

Zepchnięty w nogi łóżka Camille poczuł się zbędny. Stłumił pytanie cisnące mu się na usta, z ulgą

jednak usłyszał dalsze słowa lekarza:

– Dziecku niezbyt się spodobało całe to zamieszanie. Uznało, że niewygodnie mu w tej pozycji, i myślę, że spieszno mu się dowiedzieć, co jest grane.

– Tak pan sądzi? – spytała Irène.

– Jestem pewny. Moim zdaniem nawet bardzo spieszno. Za kilka godzin będziemy wiedzieli więcej. Mam nadzieję, że jego pokój jest już gotowy – dodał z przyjaznym uśmiechem.

Irène spojrzała na niego przestraszona.

– I co to oznacza?

– Dzidziusia urodzonego trzy tygodnie przed terminem.

Louis zadzwonił do Élisabeth i poprosił, żeby przyjechała. Jak w synchronicznym balecie oboje zjawili się w mieszkaniu Camille'a jednocześnie.

– To co, niedługo będziemy tatusiem? – spytała Élisabeth z uśmiechem.

Camille jeszcze nie do końca ochłonął. Wędrował między sypialnią a salonem, próbując chaotycznie gromadzić różne rzeczy, które zaraz gubił.

– Pomogę panu – zaproponowała Élisabeth, którą Louis zachęcił spojrzeniem, zanim poszedł na dół po pocztę.

Systematyczna i zorganizowana, bez trudu znalazła małą walizkę, którą Irène musiała już dawno temu przygotować, zawierającą wszystko, co potrzebne na czas pobytu w klinice. Widok walizki zaskoczył Camille'a, choć przecież Irène pewnie mu o niej mówiła i na wszelki wypadek mu ją pokazała.

Élisabeth sprawdziła, co jest w środku, po czym zadawszy Camille'owi kilka pytań, by zorientować się w rozkładzie mieszkania, dołożyła jeszcze dwie czy trzy rzeczy.

– Myślę, że to chyba wszystko.

– Ufff... – westchnął Camille, siadając na kanapie.

Patrzył na Élisabeth z wdzięcznością i z nieporadnym uśmiechem.

– To miłe z pani strony... – powiedział w końcu. – Zaniosę jej to wszystko...

– Może mogłaby to zrobić Élisabeth...? – zaryzykował pytanie Louis, który w tym momencie wszedł do mieszkania z pocztą.

Wszyscy troje w milczeniu popatrzyli na kopertę w jego dłoni.

## 4

*Drogi Camille!*

*Jakże wielką przyjemność sprawił mi znów pański anons!*

*„Inne pana dzieła...”, pyta pan. Spodziewałbym się po panu większej finezji. Ale uwaga, nie mam tego panu za złe: robi pan, co może. Nikt nie zrobiłby tego lepiej.*

*Jednak pańskie ostatnie ogłoszenie jest dość grubymi nićmi szyte. Co za naiwność! Ale zamknijmy już tę dygresję. Opowiem o sprawach, które pan zna, dozując niespodzianki, w przeciwnym razie gdzie byłaby przyjemność? Albowiem czeka pana jeszcze wiele niespodzianek!*

*Więc Glasgow. Nie pytał pan o to jeszcze, choć wiem, że pytanie to ciśnie się panu na usta. Rzecz rozegrała się całkiem zwyczajnie. Genialna książka McIlvanneya opisuje szczegółowo tę sprawę, której elegancji nie omieszkał pan docenić. Inspiracją dla książki było zdarzenie z kroniki wydarzeń, a ja z powrotem zamieniam to zdarzenie w książkę. Uwielbiam te kłamry, tak bezbłędnie spinające literaturę z życiem.*

*Grace Hobson wypatrzyłem przed wejściem do dyskoteki, pod którą zaparkowałem wynajęty samochód. Od razu ją wybrałem. Z tą twarzą noszącą jeszcze ślady niedawnego dzieciństwa, z biodrami jeszcze szczupłymi, a już kryjącymi zapowiedź przyszłej ocieężałości, była żywym*



ucieleśnieniem tego niepokojącego, nostalgicznego miasta. Było już późno, ruch na ulicy dawno zamarł, kiedy nagle ujrzałem, jak niespokojna i zdenerwowana wychodzi z klubu. Trudno byłoby wymarzyć sobie lepszą gratkę. Zamierzałem ją śledzić, poznać jej trasy i zwyczaje, a potem uprowadzić... Nie przewidywałem zbyt długiego pobytu w Glasgow, nie spodziewałem się też, że tak dobrowolnie odda się w moje ręce. Natychmiast, z planem miasta w rękę, wysiadłem z samochodu i uśmiechając się z zakłopotaniem, nieporadną, rozbrajającą angielszczyzną zapytałem o drogę do jakiegoś wymyślanego miejsca. Staliśmy pod dyskoteką, a wołałem nie zostawać tu zbyt długo. Tak więc słuchając jej, z uwagą marszcząc brwi, jakbym z wysiłkiem starał się nadążyć za objaśnieniami w zbyt potocznym jak dla mnie angielskim, powoli kierowałem jej kroki w stronę samochodu. Rozłożyliśmy na masce plan miasta. Pod pretekstem, że chcę wyjąć ołówek ze skrytki, zostawiłem drzwi otwarte. Po czym nagle mocno ją schwyciłem, przytknąłem jej do twarzy szmatkę nasączoną chloroformem i kilka minut później jechaliśmy już razem przez opustoszałe miasto, ja ostrożnie prowadząc, ona ufnie i spokojnie śpiąc obok. Nie miałem tego w planach, ale to zrobiłem. Zgwałciłem ją na tylnym siedzeniu samochodu. Kiedy, zgodnie z tym, co stoi w książce, w nią wszedłem, nagle się ocknęła. Zmuszony byłem ją na nowo uśpić. I wtedy będąc w niej, ją udusiłem. Połączyliśmy się w rozkoszy i śmierci, które jak obaj wiemy, stanowią jedno.

Po drodze musiałem wstąpić do hotelu po potrzebne mi akcesoria. Pamiętałem, żeby zabrać z sobą jej majtki.

Pana szkoccy koledzy z pewnością pokazali panu zdjęcia sceny, którą zaaranżowałem w Kelvingrove Park. I bez fałszywej skromności, mogę się spodziewać, że mieszkający w Glasgow William McIlvanney poczuł się ze mnie dumny i że jego duma w niczym nie ustępuje podziwowi, którym ja go darzę.

Laidlaw jest pierwszym dziełem, które postanowiłem podpisać. Jak dotąd bowiem nikt z policji nie był w stanie zrozumieć nic a nic z moich poczynań i byłem tym już zmęczony. Wiedziałem, że powinienem podsunąć jakiś trop, jakiś konkretny symbol, który umożliwiłby powiązanie mojej adaptacji Laidlawa z innymi moimi pracami. Rozważałem rozmaite sposoby i w końcu zostawienie odcisku palca na zwłokach uznałem za rozwiązanie najbardziej zadowalające. Prawdę mówiąc, już wtedy chodziła mi po głowie – choć nie czułem się jeszcze gotowy do podjęcia takiego wyzwania – praca nad tekstem Ellisa, w której ślad palca odgrywa tak istotną rolę. Umieszczając tak wyraźny symbol, swoją sygnaturę, chciałem, by – skoro nie policjanci, z wyjątkiem pana, Camille, będący jak jeden mąż nieokrzesanymi prostytutkami – by esteci, prawdziwi miłośnicy, mogli poznać zrealizowane przeze mnie dzieło i właściwie je docenić. Poza tym ta sygnatura na palcu stopy małej Hobson w żaden sposób nie psuła wspaniałego obrazu, który udało mi się uzyskać w parku Kelvingrove. Obrazu, w którym wszystko było idealnie na swoim miejscu. Myślę, że nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Wiem, że odkrył pan również wspaniałą książkę naszych Szwedów. Roseanna była dla mnie prawdziwym wstrząsem. Zmusiłem się do przeczytania potem również innych dzieł tej pary, ale żadne nie dostarczyło mi tak iście magicznej rozkoszy jak ta pierwsza.

Na czym polega magia książki? Oto inna wielka tajemnica... Akcja jest statyczna, nieruchoma jak wody kanału Ourcq, niewiele się w niej dzieje. Cała jest długim cierpliwym trwaniem. Śledczy Martin Beck to człowiek mrukliwy i ujmujący, jakże różny od tych wszystkich żalonych prywatnych detektywów z książek autorów amerykańskich oraz bezbarwnych i przemądrzałych detektywów z tak wielu kryminałów francuskich.

Stworzenie przeze mnie francuskiej wersji Roseanny było rzecz jasna wyzwaniem. Sceneria i atmosfera musiały być wiarygodną transpozycją scenerii i atmosfery oryginału. W tej kwestii nie szczędziłem starań ani środków.

Więc niech pan sobie wyobrazi, Camille, moją radość, wręcz rozkosz, kiedy owego poranka dwudziestego piątego sierpnia, stojąc pośród innych gapiów na śluzie kanału, ujrzałem, jak czerpak, na podobieństwo kurtyny podnoszącej się w teatrze, obraca się w naszą stronę, kiedy jakiś stojący obok mnie, oparty o poręcz mężczyzna woła: „Popatrzcie, tam w środku jest jakaś kobieta...!”. Nowina rozeszła się wśród grupki na moście lotem błyskawicy. Wyobraża pan sobie moją radość.

Moja mała zdobycz... Z pewnością zauważył pan, jak wiernym odbiciem Roseanny jest jej powierzchowność, nawet jej ciężkie i niepowabne ciało, nawet jej delikatne przeguby.

Sjöwall & Wahlöö nie podają dokładnej przyczyny śmierci Roseanny. Co najwyżej dowiadujemy się, że „ofiara poniosła śmierć wskutek uduszenia połączonego z przemocą seksualną”. Morderca, jak nam mówią, „działał w sposób bestialski. Odnotowano również ślady zachowań perwersyjnych”. To zostawiało mi szeroki margines swobody. Jednakowoż autorzy wyraźnie stwierdzali: „Śladów krwi było niewiele”. Z tym właśnie musiałem się uporać. Najbardziej zbijający z tropu pozostawał oczywiście ten akapit, w którym wyraźnie stoi: „Niewykluczone, że została okaleczona po śmierci. A przynajmniej wtedy, gdy była już nieprzytomna. Pewne szczegóły zawarte w raporcie z sekcji zdają się na to wskazywać”.

Było, oczywiście, owo zadrapanie biegnące od talii po kość biodrową; zadrapanie, czyli konkretnie co? Jak pan, Camille, by to zinterpretował?

Postanowiłem zrobić je kawałkiem cementu, który sfabrykowałem u siebie w piwnicy. Naprawdę wierzę, że autorzy pochwaliliby prostotę tego rozwiązania. Co do reszty, to najpierw tę młodą osobkę analnie zgwałciłem za pomocą łyżki do butów, a następnie gołymi rękami udusiłem. A że wzmianka na temat okaleczeń ciała jest również dość nieprecyzyjna, postanowiłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, używając owej łyżki do butów, która, jak przypuszczam, w wystarczającym stopniu zniszczyła błonę śluzową, nie powodując przy tym dużego rozlewu krwi.

Rzeczą najdelikatniejszą było oczywiście podrobienie owego znamienia. Wasze analizy zapewne wykazały, że użyłem do tego celu zwykłego standardowego produktu. Sporo trudu kosztowało mnie też uzyskanie kształtu zwierzęcia odpowiadającego znamieniu Roseanny. Nie każdemu dane jest być tak doświadczonym rysownikiem jak pan.

Wynajętym samochodem przewiozłem ciało nad kanał Ourcq. Czy uwierzy pan, Camille, że musiałem czekać blisko rok, by władze budowlane zdecydowały się w końcu pogłębić odcinek kanału odpowiadający miejscu akcji? Niejedno można by zarzucić działaniu administracji! Oczywiście, żartuję, przecież mnie pan zna.

Domyślałem się, że chciałby pan jak najszybciej poznać odpowiedź na pytanie, które od początku pana nurtuje:

„Kim była Roseanna?”.

W rzeczywistości nazywała się Alice Hedges. Była kimś w rodzaju studentki (załączam jej papiery, by mógł pan przy odrobinie szczęścia odnaleźć jej rodzinę w Arkansas i podziękować im za współpracę ich córki). Ważnym, powiedziałbym wręcz zasadniczym, aspektem mojej pracy było to, by ofiary, podobnie jak w książce, w której sedno tajemnicy zasadza się na tajemnicy jej tożsamości, nie można było zbyt szybko zidentyfikować. Roseanna to przede wszystkim historia śledztwa mającego na celu to ustalić i byłoby śmieszne, wręcz nieprzyzwoite, gdyby pańscy ludzie w dwa dni odkryli, kim była. Spotkałem ją na granicy węgierskiej, sześć dni wcześniej. Podróżowała autostopem. Z pierwszych rozmów z Roseanną dowiedziałem się, że od blisku dwóch lat nie dawała znaku życia rodzicom, jak również że przed podjęciem tej podróży przez Europę, o której nikogo ze swojego otoczenia nie zawiadomiła, mieszkała sama. To właśnie umożliwiło mi realizację tego małego arcydzieła, którego uznanie napęla mnie takim szczęściem.

Pewnie uważa mnie pan za gadułę. Ale nie mam nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o mojej pracy. Odkąd zrozumiałem, czego ode mnie oczekuje świat, staram się w miarę możliwości spełnić jego oczekiwania, choć bez większej nadziei na jakikolwiek z nim dialog. Bóg mi świadkiem, jak ciemny jest świat, Camille. I jak ulotne jest wszystko. Jak niewiele rzeczy pozostawia po sobie trwały ślad. Nikt nie pojmował, co pragnę ofiarować światu, i to, nie ukrywam, budziło we mnie gniew. Tak, buntowałem się przeciwko temu, nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo. A gniew – wybaczy pan ten komunał – jest złym doradcą. Musiałem jeszcze raz spokojnie przeczytać wielkich klasyków, bo tylko częste obcowanie z nimi pozwala żywić nadzieję na uwznioślenie duszy i dopiero ta lektura uciszyła targającą mną wściekłość. Upłynęły długie miesiące, nim wreszcie pogodziłem się z tym, że jestem tylko tym, kim jestem. Walka o to była ciężka, ale w końcu mi się udało i proszę, jak wspaniała spotkała mnie nagroda. Gdyż po mrokach tego okresu dostąpiłem światłości objawienia. I nie jest to zbyt wielkie słowo, niech mi pan wierzy. Pamiętam tę chwilę, jakby to było wczoraj. Mój gniew na świat raptem opadł i nareszcie zrozumiałem, czego się ode mnie oczekuje, zrozumiałem, po co tu jestem, zrozumiałem, na czym polega moje zadanie. Niewiarygodny sukces literatury kryminalistycznej wyraźnie dowodzi, jak bardzo świat spragniony jest śmierci. I tajemnicy. Goni za tymi obrazami nie dlatego, że ich potrzebuje. Ale dlatego, że ma tylko to. Abstrahując od wojen i wielkich bezinteresownych rzezi, jakie polityka ofiarowuje ludziom, by zaspokoić ich nieopanowaną żądzę śmierci, cóż innego mają? Obrazy. Człowiek rzuca się na obrazy śmierci, bo pragnie śmierci. I tylko artyści są w stanie to pragnienie zaspokoić. Pisarze piszą o śmierci dla ludzi, którzy łakną tej śmierci, tworzą dramaty, by zaspokoić ich tęsknotę za dramatem. Ludzie chcą tego wciąż więcej i więcej. Nie chcą tylko papieru i opowieści, chcą krwi, prawdziwej krwi. Ludzkość uzurpuje sobie prawo do tej potrzeby, przekształcając rzeczywistość – czyż zresztą nie tej właśnie misji ukojenia ludzi poprzez dostarczanie im obrazów poświęciła swoją twórczość wielka artystka, pańska matka? – ale jest to pragnienie nienasycone, nieodparte. Chcą czegoś realnego, prawdziwego. Chcą krwi. Czyż między kreacją artystyczną a światem realnym nie biegnie wąska ścieżka, którą podążyć może ktoś mający wystarczająco wiele zrozumienia dla gatunku ludzkiego, by się dla niego choć trochę poświęcić? Niech pan nie sądzi, Camille, że uważam się za wyzwoliciela. Czy za świętego. Nie, mnie wystarczy skromne odgrywanie własnej partytury i gdyby wszyscy ludzie zdobyli się na podobny wysiłek co ja, świat byłby lepszy i łatwiej byłoby na nim żyć.

Pamięta pan, jak Gaboriau ustami swojego inspektora Lecoqa mówi: „Są ludzie żywiący wielką namiętność na punkcie teatru. Podobną namiętność żywię ja. Ale mnie, bardziej wymagającemu i zblazowanemu od widzów teatralnych, potrzebne są prawdziwe komedie lub prawdziwe dramaty. Moim teatrem jest społeczeństwo. Moi aktorzy, jeśli się śmieją, to z całego serca, jeśli płaczą, to prawdziwymi łzami”. To zdanie zawsze mnie głęboko wzruszało. Moi aktorzy także płakali prawdziwymi łzami. I dla Évelyne Breta Eastona Ellisa, i dla Roseanny żywię szczególną czułość, gdyż obie płakały wprost zachwycająco. Okazały się wielkimi aktorkami, w pełni godnymi tej tak trudnej roli, do której je zaangażowałem. Za tę ufność, jaką w nich pokładałem, spotkała mnie piękna nagroda. Być może pan to przewidział: będziemy musieli zaprzestać naszej korespondencji. Jestem pewny, że wcześniej czy później wrócimy do tego, pouczającego i dla pana, i dla mnie dialogu. Ale na to jeszcze nie czas. Muszę zakończyć moje dzieło, a to wymaga ode mnie wielkiego skupienia. Wiem, że tego dopnę. Może mi pan zaufać. Pozostało mi już tylko sfinalizowanie konstrukcji, którą z takim pietyzmem wznosiłem. Dopiero wtedy pan doceni, do jakiego stopnia mój zamysł, tak pieczołowicie dopracowany, tak starannie realizowany, zasługuje na miejsce w panteonie arcydzieł rozpoczynającego się stulecia.

Z wyrazami szacunku i przyjaźni.

– Był u mnie lekarz. Zdziwiło go, że nie mam skurczów.

– Ha! – odparł z uśmiechem Camille. – Małemu się nie spieszy. Dobrze mu tam, gdzie jest, i w pełni go rozumiem.

W telefonie usłyszał uśmiech Irène.

– A teraz co się dzieje?

– Zrobili mi USG. Masz pozdrowienia od małego. Jeśli w ciągu najbliższej godziny lub dwóch nie dostanę skurczów, wracam do domu i czekamy, aż sam się zdecyduje.

– Jak się czujesz?

– Ciężko mi. Przestraszyłam się. Myślę, że dlatego mnie tu zatrzymali.

Camille'owi również zrobiło się ciężko na sercu. W czułości, z jaką Irène to powiedziała, kryło się tyle prośby, taka intensywność, że poczuł się wewnętrznie rozdarty.

– Zaraz do ciebie przyjadę.

– Nie warto, najmilszy. Ta twoja Élisabeth była bardzo miła. Podziękujesz jej, dobrze? Przez chwilę ze mną posiedziała, pogadałyśmy trochę. Ale czułam, że wolałaby być gdzie indziej. Powiedziała, że dostałaś następną list. Tobie też musi być niełatwo.

– Faktycznie, łatwo nie jest... Ale wiesz, że jestem z tobą, wiesz o tym, prawda?

– Wiem, nie boję się.

– Jak na razie nie pęka. Mamy jednak sporo rzeczy niepokojących: jego grafik, ruchy na koncie...

– I myśli pan, że mógł wysłać ten list przed aresztowaniem?

– Technicznie to możliwe.

Tego popołudnia sędzia Deschamps miała na sobie nieopisane szkaradne spodnie, szarą kreację z szerokimi wyłogami, skrzyżowanie męskiego garnituru z ogrodniczkami i kamizelką. Ale jej spojrzenie tchnęło najżywszą inteligencją i Camille rozumiał, jak niepokojący, osobliwy urok może wywierać ta kobieta na niektórych mężczyznach.

Trzymając w ręku list od Literata, po raz kolejny przebiegła go wzrokiem, któremu, zda się, nic nie mogłoby umknąć.

– Jego siostrę wolał pan wypuścić?

– Obecnie najważniejsze jest to, by ich od siebie odseparować – powiedział Le Guen. – W swojej naiwnej wierze gotowa jest wszystko potwierdzić.

– Nie będzie to wcale takie proste – dodał Camille. – Nie wystarczy potwierdzenie, że z nim była tam, gdzie go nie było. Mamy wystarczająco wiele rzeczowych dowodów, które niełatwo jej będzie obejść.

– Z pańskich słów wynika, że Lesage zaczyna panikować...

– Jeśli to dewiant, wszystkiego można się po nim spodziewać. Jeśli przez wszystkie te lata grał przed siostrą podwójną rolę, nie pójdzie nam łatwo, bo ma w tym supertrening. Potrzebna mi będzie pomoc doktora Cresta. I druga sala, żeby podczas przesłuchania mógł go obserwować.

– Tak czy inaczej, ma pan rację. Gdy wyjdzie z aresztu, stracimy go z oczu. Może stać się nawet niebezpieczny. Czy jest pan w stanie, komisarzu, roztoczyć nad nim ścisły nadzór, na wypadek gdybyśmy musieli go wypuścić?

– Zważywszy na obrót wydarzeń – odrzekł powściągliwie Le Guen, unosząc zrolowaną gazetę, którą od początku tej rozmowy trzymał w ręku – nie sądzę, byśmy mieli większe trudności z uzyskaniem potrzebnych ludzi.

Sędzia Deschamps powstrzymała się od komentarza.

– Grozi nam – dodał Le Guen. – Możliwe, że tylko dla formy... Może sam nie wie, dokąd zmierza.

– Hmm... – mruknęła sędzia Deschamps, nie odrywając oczu od listu. – Trudno uwierzyć, by człowiek, który opracował taką strategię, nie zamierzał doprowadzić sprawy do końca – ciągnęła. – W każdym razie dowiedzieliśmy się od niego rzeczy zasadniczej: mówi o tym, co robi, i robi to, o czym mówi – zakończyła, patrząc twardo na swoich rozmówców. – Od samego początku. A najbardziej boję się tego – dodała, zwracając się już tylko do Camille'a – że realizuje tę swoją strategię od tak dawna. Od początku wie, dokąd zmierza...

– ...w przeciwieństwie do nas – zakończył za nią Camille.

## 6

Po Camille'u przesłuchanie Lesage'a podjął Louis, po nim Maleval, a na koniec Armand. Każdy z nich miał własną metodę; kontrast między nimi w wielu innych sprawach okazywał się skuteczny. Louis, sumienny i kulturalny, prowadził przesłuchanie z wielką finezją, z anielską cierpliwością, jakby miał przed sobą całą wieczność, zastanawiając się nad każdym pytaniem, wysłuchując każdej odpowiedzi z niepokojącą uwagą, która pozostawiała zawsze wątpliwość co do tego, jak ją sobie interpretuje. Maleval, wierny swojemu doświadczeniu judoki, działał na zasadzie nagłych przyspieszeń. Chętnie się z podejrzanymi bratał, usypiał ich czujność. Ich także czarował, a potem nagle, wychwytyjąc jakąś niespójność, z najwyższą brutalnością, z podobną siłą, z jaką musiał swego czasu zadawać decydujący cios, serwował konkluzję. Natomiast Armand był po prostu sobą. Pochylony nad swoimi zapiskami, prawie nigdy nie unosząc wzroku na rozmówcę, zadawał pytania bardzo drobiazgowo, skrupulatnie notował wszystkie odpowiedzi, roztrząsał każdy najmniejszy detal, przez godzinę potrafił analizować każde najmniejsze zdarzenie, wyłapywał każdą najmniejszą nieścisłość i niedokładność i wypuszczał kość dopiero wtedy, gdy była dokładnie ogryziona. Louis przesłuchiwał meandrami, Maleval po prostej, Armand zygzakiem.

Kiedy zjawił się Camille, Lesage miał już za sobą godzinne posiedzenie z Louisem i przed chwilą zakończony seans z Malevałem. Obaj siedzieli teraz przy stole, porównując swoje spostrzeżenia. Camille ruszył w ich stronę, ale po drodze przechwycił go Cob, dając mu znak zza monitorów, żeby podszedł.

Zwykle Cob nie był zbyt ekspresyjny. I to właśnie zaskoczyło Camille'a: siedział teraz wciśnięty w fotel i patrzył na zbliżającego się Verhoevena ze skupioną i lekko zmieszaną miną.

– Złe wieści? – spytał Camille.

Cob położył łokcie na blacie, oparł podbródek na splecionych dłoniach.

– Jak najgorsze, Camille.

Przez chwilę patrzyli na siebie niepewnie. A potem Cob sięgnął do drukarki i nie patrząc nawet na kartkę, którą podał Camille'owi, powiedział:

– Przykro mi.

Camille przeczytał wydruk. Długą kolumna cyfr, dat i godzin. Potem uniósł głowę i zapatrzył się w ekran Coba.

– Naprawdę mi przykro... – powtórzył Cob za odchodzącym Camille'em.

## 7

W drodze przez salę Camille, nie zatrzymując się, klepnął Louisa w ramię i powiedział:

– Chodź.

Zdezorientowany Louis spojrzał w prawo, w lewo, szybko wstał i ruszył za Verhoevenem zmierzającym ku schodom. Obaj nie zamienili z sobą słowa aż do momentu wejścia do lokalu po drugiej stronie ulicy, dokąd czasami, pod koniec pracy, wpadali na piwo. Camille wybrał miejsce na oszklonym tarasie, usiadł na moleskinowej kanapie, Louis zajął krzesło tyłem do ulicy. W milczeniu czekali, aż

podejdzie kelner i odbierze zamówienie.

– Dla mnie kawa – powiedział Camille.

Louis tylko gestem pokazał, że dla niego to samo. A potem, zanim kelner przyniósł zamówione kawy, popatrywał to na stolik, to dyskretnie na Verhoevena.

– Maleval musi ci wisieć sporo pieniędzy, tak?

I nim Louis zdążył w jakikolwiek sposób zaprzeczyć, Camille walnął pięścią w blat z taką siłą, że filiżanki z kawą podskoczyły, a kilka osób przy sąsiednich stolikach odwróciło głowy w ich stronę. Nic więcej nie dodał.

– Tak, sporo – potwierdził w końcu Louis. – Nie to, żeby mnóstwo...

– Ile?

– Dokładnie nie wiem...

Camille znów uniósł gniewną pięść nad stolikiem.

– Jakieś pięć tysięcy...

Camille, który nigdy nie był zbyt mocny w rachowaniu w euro, w myślach szybko to sobie przeliczył.

– O co chodzi?

– Hazard. Ostatnio dużo przegrał, był winny sporo pieniędzy.

– Od dawna bawisz się w bankiera, Louis?

– Prawdę mówiąc, nie. Pożyczał już ode mnie drobne sumy i zawsze dość szybko je zwracał. Fakt, że ostatnio nabrało to trochę tempa. Wtedy, w niedzielę, kiedy pan do mnie wpadł, wypisałem mu właśnie czek na pięć tysięcy euro. I uprzedziłem, że już ostatni raz.

Camille, jedną rękę trzymając w kieszeni, drugą nerwowo stukając w komórkę, nie patrzył na Louisa.

– To sprawy czysto prywatne... – podjął spokojnie Louis. – Niemające nic wspólnego z...

Nie dokończył zdania. Przeczytał kartkę, którą mu podał Camille, powoli odłożył ją na stolik. Camille miał łzy w oczach.

– Mam się podać do dymisji? – spytał wreszcie Louis.

– Nie zostawiaj mnie teraz. Nie ty, Louis...

## 8

– Będę musiał cię zwolnić, Jean-Claude...

Siedzący naprzeciwko Verhoevena Maleval zamrugął oczami, rozpaczliwie szukając wzrokiem jakiegoś punktu oparcia.

– To dla mnie wielka przykrość... Nie masz pojęcia, jak bardzo... Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Patrząc na Malevala, nagle ujrzał czekającą go przyszłość i sprawiło mu to dojmujący ból. Zwolniony ze służby, bez pracy, zadłużony po uszy Maleval będzie zmuszony „sobie radzić”, okrutne słowo zarezerwowane dla tych, którzy nie wiedzą, jak to zrobić.

Położył przed nim listę rozmów telefonicznych, które ten odbył ze swojej komórki z dziennikarzem z „Le Matin”.

Sporządzony przez Coba wykaz zaczynał się od daty piętnastego kwietnia, dnia, w którym odkryto zbrodnię w Courbevoie.

Rozmowa miała miejsce o dziesiątej trzydzieści cztery.

Trudno o dokładniejszą informację.

– Od jak dawna to trwa?

– Od końca ubiegłego roku. Sam się do mnie zgłosił. Z początku przekazywałem mu takie tam drobiazgi. To mu wystarczyło...

– A potem zaczęło ci być coraz trudniej związać koniec z końcem, tak?  
– Tak, sporo straciłem. Louis mi pomógł, ale to nie wystarczyło, więc...  
– Tego twojego Buissona może to drogo kosztować – warknął Camille, z trudem pohamowując wściekłość. – Za przekupstwo funkcjonariusza państwowego mogę go załatwić na cacy.  
– Wiem.  
– I wiesz też, że jeśli tego nie zrobię, to wyłącznie ze względu na ciebie.  
– Wiem – powtórzył Maleval z wdzięcznością.  
– Rozegramy to dyskretnie. Będę musiał zawiadomić Le Guena, postaram się, żeby wszystko odbyło się jak najprostszą drogą...  
– Zaraz wracam...  
– Zostaniesz tutaj! Wyjdiesz, kiedy ci pozwolę, dotarło?  
Maleval tylko kiwnął głową.  
– Ile potrzebujesz, Jean-Claude?  
– Nic nie potrzebuję.  
– Nie wkurzaj mnie! Ile?  
– Jedenaście tysięcy.  
– O kurwa...  
Minęło kilka sekund.  
– Wypiszę ci czek.  
I uprzedzając protest Malevala, łagodnym tonem powiedział:  
– Jean-Claude... Załatwimy to tak. Najpierw spłacisz swoje długi. Co z odprawą, zobaczymy później. Postaram się też, żeby formalności administracyjne zostały załatwione szybko i korzystnie. Gdybym mógł uzyskać, żeby pozwolili ci samemu złożyć wymówienie, wiesz, że bym to zrobił, ale to zależy nie tylko ode mnie.  
Maleval nie podziękował. Skinął tylko głową z nieobecny spojrzeniem, jakby dopiero teraz dotarł do niego ogrom katastrofy.

## 9

Armand zakończył przesłuchanie i wrócił do biura, w którym panowała grobowa atmosfera, co momentalnie wyczuł, ledwie przestąpił próg.

Cob w milczeniu pracował, Louis od powrotu do sali nie unosił wzroku zza barykady swojego biurka, a Mehdi i Élisabeth, wyczuwając, że atmosfera nagle zrobiła się ciężka, i nie bardzo wiedząc, czemu to przypisać, rozmawiali ściszymi głosami jak w kościele.

Louis wziął na siebie debriefing Armanda i podsumowanie wyników kolejnych przesłuchań. O szesnastej trzydzieści, kiedy do drzwi zapukał Louis, Camille nadal siedział w swoim gabinecie. Słyszając, że szef rozmawia przez telefon, dyskretnie wszedł do środka. Zajęty rozmową Camille nie zwracał na niego uwagi.

– To przysługa, o którą cię proszę, Jean. Pomyśl tylko, przy całym tym burdelu, jaki spowodowała już ta sprawa, będziemy musieli stawić czoło jeszcze czemuś takiemu. To jakby wetknąć palec w dźwignię zębatą. Wszystkie korki wysiądą jednocześnie. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czym się to skończy...

Louis, nerwowo odgarniając kosmyk z czoła, cierpliwie czekał przy drzwiach.  
– Otóż to – powiedział w końcu Camille – przemyśl to i zadzwoń. Ale i tak, nim cokolwiek zrobisz, zadzwonisz do mnie, zgoda? No to kończę...

Rozłączył się i natychmiast wybrał numer swojego mieszkania. Cierpliwie odczekał, po czym jeszcze zadzwonił, tym razem na komórkę Irène.

- Zadzwoń do kliniki. Irène musiała wyjść później, niż planowano.
  - Czy to może poczekać? – zapytał Louis.
  - Czemu pytasz? – odpowiedział Camille, sięgając znowu po słuchawkę.
  - Chodzi o Lesage’a. Jest coś nowego.
- Camille odłożył słuchawkę.
- Mów...

## 10

Fabienne Joly. Schludna i odszykowana jak na niedzielny spacer trzydziestolatka. Krótkie włosy. Blond. Okulary. Banalnej urody, mająca jednak w sobie coś, co Camille próbował ująć w słowa. Seksowna. Czy to ta skromna koszulowa bluzka, w której trzy górne guziki były rozpięte, ukazując rowek między piersiami? Może nogi, które zakładała z ostentacyjną skromnością? Postawiwszy torebkę obok krzesła, patrzyła Camille’owi prosto w oczy z miną osoby, która nie pozwoli się zastraszyć. Z dłońmi złożonymi płasko na kolanach wydawała się gotowa wytrzymać milczenie tak długo, jak będzie konieczne.

– Ma pani świadomość, że wszystko, co pani tu powie, znajdzie się w zeznaniu, które będzie pani musiała podpisać?

– Naturalnie. Nawet po to tu jestem.

Lekko ochrypli głos dodatkowo potęgował jej specyficzny powab. To ten typ kobiety, której się nie widzi, lecz kiedy się w końcu dostrzeże, nie można oderwać od niej wzroku. Bardzo ładne usta. Camille powstrzymał pokusę, by zachować coś z ich urody, szkicując jej portret na podkładce.

Louis stał obok jego biurka i notował coś w swoim zeszycie.

– Poproszę więc, by powtórzyła pani oświadczenie złożone przed moim współpracownikiem.

– Nazywam się Fabienne Joly. Mam trzydzieści cztery lata. Mieszkam w Malakoff na rue de la Fraternité dwanaście. Jestem dwujęzyczną sekretarką, obecnie na bezrobociu. I od jedenastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku jestem kochanką Jérôme Lesage’a.

Dotarła do końca przygotowanego wcześniej zdania i lekko się zacięła.

– I...?

– Jérôme’owi bardzo leży na sercu zdrowie jego siostry, Christine. Uważa, że gdyby dowiedziała się o naszym związku, wpadłaby znów w depresję, jak po śmierci męża. Zawsze starał się ją chronić. A ja się z tym pogodziłam.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczął Camille.

– Wszystko, czego nie jest w stanie wyjaśnić Jérôme, związane jest ze mną. Wiem z prasy, że od wczoraj trzymacie go w areszcie. Przypuszczam, że odmawia wyjaśnień... w jego przekonaniu kompromitujących. Wiem też, że wyszukuje różne preteksty zawodowe, żebyśmy się mogli spotkać. Z uwagi na siostrę, rozumie pan...

– Tak, zaczynam rozumieć. Nie jestem jednak pewny, czy to wystarczy, by wyjaśnić...

– Co wyjaśnić, panie komisarzu?

Camille jej nie poprawił.

– Pan Lesage odmawia wyjaśnień odnośnie do swojego grafiku i...

– O jaki dzień chodzi? – przerwała mu.

Camille spojrzał na Louisa.

– O, na przykład w lipcu dwa tysiące pierwszego pan Lesage wyjeżdża do Edynburga...

– Tak, zgadza się, dziesiątego lipca, dla ścisłości dziewiątego wieczorem. Pod koniec dnia przyleciałam do niego do Edynburga. Spędziliśmy razem cztery dni w Highlands. A potem Jérôme wrócił



do siostry do Londynu.

– Potwierdzenie tego to jednak nie wszystko, panno Joly. Obawiam się, że w obecnym położeniu pana Lesage’a zeznanie na słowo honoru nie wystarczy.

Młoda kobieta z trudem przełknęła ślinę, zarumieniła się.

– Wiem, że wyda się to panu trochę śmieszne... – zaczęła.

– Ależ proszę – zachęcił ją Camille.

– To ta niedojrzała pensjonarka we mnie... Prowadzę pamiętnik... – oznajmiła.

I sięgnąwszy do torebki, wyjęła gruby zeszyt w różowej okładce w niebieskie kwiaty, mające podkreślić jego romantyczny charakter.

– Tak, wiem, że to głupie – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Notuję w nim wszystko, co dla mnie ważne. Dni, kiedy spotykamy się z Jérôme’em, miejsca, do których chodzimy, wklejam bilety kolejowe, lotnicze, wizytówki hoteli, w których się zatrzymujemy, menu z restauracji, do których chodzimy na kolacje.

Wyciągnęła zeszyt do Camille’a, ale zorientowawszy się, że jest za niski, by odebrać go od niej nad biurkiem, odwróciła się i podała Louisowi.

– Na końcu zeszytu notuję również wydatki. Nie chcę mieć u niego długów. Czynsz, który płaci za moje mieszkanie w Malakoff, meble, które pomógł mi kupić, no, wszystko... Ten tutaj to zeszyt bieżący. Mam jeszcze trzy inne.

## 11

– Przed chwilą odwiedziła mnie panna Joly – oznajmił Camille.

Lesage uniósł głowę. Nie był już wrogi, tylko wściekły.

– Wtyka pan nos doprawdy we wszystko. Jest pan...

– Stop! – przerwał mu Camille.

I już spokojniej:

– Zamierzał pan powiedzieć coś głupiego, co podpada pod paragraf, więc wolałem panu tego oszczędzić. Sprawdźmy teraz elementy wniesione przez pannę Joly. Jeśli uznamy je za przekonujące, zostanie pan od razu zwolniony.

– Bo w przeciwnym razie...? – zaczępnym tonem zapytał Lesage.

– W przeciwnym razie aresztuję pana za morderstwa i przekażę prokuraturze. Będzie się pan tłumaczył przed sędzią śledczym.

Camille bardziej udawał gniew, niż go naprawdę czuł. Był przyzwyczajony do okazywania mu przez innych szacunku i postawa Lesage’a go irytowała. Mam już za sobą wiek zmian i starań, pomyślał.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu.

– Co do mojej siostry... – zaczął Lesage już bardziej ugodowym tonem.

– Bez obaw. Jeśli te informacje okażą się przekonujące i spójne, pozostaną częścią dochodzenia, co oznacza, że objęte będą tajemnicą śledztwa. Będzie pan mógł powiedzieć siostrze, co się panu spodoba.

We wzroku Lesage’a po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt wdzięczności. Camille wyszedł na korytarz i wydał polecenie, by przesłuchiwanego odprowadzić do celi i zanieść mu coś do jedzenia.

– Łączę z sekretariatem.

Postanowił zadzwonić z sali ogólnej.

Dotąd opierał się pokusie zatelefonowania do kliniki, zostawiając tylko kolejne wiadomości na sekretarce w mieszkaniu.

– Nie wie pani, czy zabrała z sobą komórkę? – zasłaniając dłonią słuchawkę, zapytał Élisabeth.

– Zniosłam jej komórkę razem z walizką, proszę się nie niepokoić.

Nie przyznał się, ale to właśnie go niepokoiło.

– Nie, potwierdzam, że pani Verhoeven opuściła klinikę o szesnastej – usłyszał wreszcie głos kobiety.

– Mam przed sobą wykaz przyjęć i wypisów pacjentów: dokładnie o szesnastej zero pięć. Czemu pan pyta, czy coś się stało?

– Nie, nic, dziękuję – powiedział Camille, nie odkładając słuchawki i patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Jeszcze raz dziękuję. Louis, sprowadź mi samochód, jadę do domu.

## 12

O osiemnastej osiemnaście Verhoeven wbiegł po schodach na górę. Wciąż z komórką przy uchu, licząc, że Irène odbierze, pchnął drzwi wejściowe, które były niedomknięte, i usłyszał niczym echo dzwonek telefonu. Może to niemądre, ale wchodząc do mieszkania, a potem do salonu, nadal trzymał komórkę przy uchu. Nie zawołał, jak czasami, kiedy wracał, a ona była w kuchni lub w łazience: „Irène! Kochanie?”. Nasłuchiwał. W tym momencie dzwonienie ustało i włączyła się funkcja odsłuchiwania nagranej wiadomości. Słuchając jej po raz kolejny, znając każdą intonację, każdą sylabę, wszedł do salonu. Walizka Irène, mała śliczna walizeczka, którą spakowała do kliniki, przewrócona i otwarta leżała na podłodze. Koszula nocna, kosmetyczka z przyborami toaletowymi, ubrania...

*Tu poczta głosowa...*

Stolik w salonie był przewrócony i wszystko, co się na nim znajdowało, książki, koszyczek, pisma, jak martwe leżały na wykładzinie, rozrzucone aż po zielone kotary, z których jedna była zerwana z karnisza.

*...Irène Verhoeven. Nie ma mnie teraz w domu i nie mogę odebrać twojego telefonu...*

Nie odejmując komórki od ucha, zmartwiały w tłumionym oszołomieniu, wszedł do sypialni; szafka przy łóżku była przewrócona, a długa smuga krwi na wykładzinie ciągnęła się aż do łazienki.

*...to po takich drobnych detalach widać, jaką bzdurą jest przeznaczenie...*

Tuż przy nóżce wanny widać było małą, maleńką plamkę krwi. Cała zawartość półki pod lustrem, jakby zmieciona jednym ruchem, wylądowała na podłodze i w wannie.

*Zostaw, proszę, wiadomość zaraz po powrocie...*

Camille rzucił się biegiem przez sypialnię, salon i zatrzymał dopiero w progu gabinetu, gdzie porzucona na ziemi komórka Irène zapewniała go: *zaraz po powrocie do ciebie zadzwonię.*

Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, stojąc na progu pokoju ze wzrokiem utkwionym w podłogę, zahipnotyzowany telefonem Irène, jej głosem, wybrał numer.

*Do usłyszenia.*

W duchu powtarzając: „Zadzwoń, ukochana... błagam cię, zadzwoń do mnie...”, usłyszał głos Louisa:

– Louis Mariani, słucham.

I wtedy Camille gwałtownie opadł na kolana.

– LOUIS! – zawołał, płacząc. – Louis, przyjedź tu szybko. Błagam...

## 13

Sześć minut później cała Brygada była już na miejscu. Pod dom z wyciem syren zajechały trzy radiowozy. Maleval, Mehdi i Louis, przytrzymując się poręczy, po cztery stopnie naraz wbiegli na górę, a za nimi, co sił starając się za nimi nadążyć, Armand i Élisabeth. Pochód zamykał zziębnięty Le Guen, dysząc z wysiłku na każdym podeście. Maleval kopniakiem otworzył drzwi i wpadli do mieszkania.

I w tym momencie, widząc otwartą, porzuconą walizkę Irène, zerwaną kotarę i Camille'a, który siedział na kanapie wciąż z komórką w ręku i rozglądał się wkoło, jakby był tu po raz pierwszy, zrozumieli, co się stało. Wszyscy natychmiast ruszyli do działania. Pierwszy Louis, który przyklęknąwszy

przy Camille'u, powoli i w skupieniu, jakby odbierał zabawkę dopiero co uśpionemu dziecku, wyjął mu z ręki telefon.

– Zniknęła – wykrztusił kompletnie załamany Camille.

I, z niedowierzaniem w oczach, pokazując łazienkę, dodał:

– Tam jest krew...

Na podłodze mieszkania zadudniły kroki. Maleval złapał w kuchni jakąś ścierkę i otwierał po kolei wszystkie drzwi. Élisabeth przez telefon wzywała techników.

– Niczego nie dotykać! – krzyknął Louis pod adresem Mehdiego, który gołą ręką zaczął otwierać szafy.

– Masz, weź to. – Maleval w przelocie podał mu inną ścierkę.

– Potrzebna jest pilnie ekipa... – powiedziała Élisabeth i podyktowała adres.

– Daj mi to. – Zdyszany, blady jak ściana Le Guen odebrał jej telefon. – Le Guen – rzucił. – Potrzebna mi ekipa za dziesięć minut, nie dłużej. Wykazy, zdjęcia, wszystko. Chcę też dostać Grupę trzecią. W komplecie. Proszę powiedzieć Morinowi, żeby do mnie natychmiast zadzwonił.

Po czym, z trudem dobywając z wewnętrznej kieszeni własną komórkę, z napięciem w oczach wybrał numer.

– Komisarz Le Guen. Proszę mnie połączyć z sędzią Deschamps. Absolutny priorytet.

– Pusto – rzucił Maleval, podchodząc do Louisa.

Usłyszeli wrzask Le Guena: „Powiedziałem *natychmiast*, do kurwy nędzy!”.

Armand usiadł na kanapie obok Camille'a, oparł łokcie na rozstawionych kolanach i utkwiał wzrok w podłodze. Camille, który zaczynał przytomnieć, powoli wstał. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na niego. To, co działo się w tym momencie w jego sercu, w jego głowie, pozostanie tajemnicą być może nawet dla niego. Przez chwilę rozglądał się po pokoju, popatrzył po kolei na każdego ze współpracowników i ruszyła w nim maszyna, połączenie doświadczenia i gniewu, technicznej wiedzy i rozpacz, dziwna mieszanka, która może nawet u najlepszych wywołać jak najgorsze odruchy, ale u innych uruchamia świadomość, wyostza postrzeżenie, wyzwala dziką niemal determinację. Być może to właśnie nazywa się strachem.

– Opuściła klinikę o szesnastej pięć – wykrztusił tak cicho, że tamci, nadstawiając ucha, podeszli bliżej. – Przyjechała do domu – dodał, wskazując na walizkę, którą każdy z nich starannie wymijał. – Élisabeth, sprawdź budynek – gwałtownie dorzucił, odbierając Malevalowi ścierkę, którą ten wciąż jeszcze trzymał w ręku.

Podszedł do sekretarzyka i pogrzebawszy przez chwilę w papierach, wyjął ostatnie zdjęcie żony zrobione podczas ich letnich wakacji w ubiegłym roku.

Podał je Malevalowi.

– Drukarka w moim gabinecie ma funkcję skanowania – powiedział. – Naciśniesz tylko zielony guzik...

Maleval natychmiast pojechał do biura.

– Mehdi, ty i Maleval sprawdźcie ulicę. Znają ją tutaj, ale na wszelki wypadek weź z sobą zdjęcie. Irène jest w ciąży, nie mógł jej wywieźć tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Zwłaszcza jeśli jest... nie wiem, jeśli jest ranna. Armand weź kopię zdjęcia i jedź do kliniki, sprawdź w sekretariacie, na wszystkich piętrach. Jak tylko zjawią się koledzy, przyślę wam wszystkim posiłki. Ty, Louis wracasz do biura, koordynujesz pracę ekip i informujesz na bieżąco Coba, niech jedną linię trzyma zawsze wolną. Będzie nam potrzebny.

Wrócił Maleval. Przywiózł dwie odbitki, a oryginał zwrócił Camille'owi, który wsunął go do kieszeni. W tym samym momencie wszyscy wyszli; rozległ się łomot kroków zbiegających po schodach.

– Wszystko dobrze? – zapytał Le Guen, podchodząc do Camille’a.

– Będzie dopiero, jak ją odnajdziemy, Jean.

Zadzwoiła komórka Le Guena.

– Ilu masz chłopaków? – zapytał Le Guen. – Chcę wszystkich. Tak, wszystkich. Natychmiast. Z tobą włącznie. U Camille’a... Tak, raczej tak... Czekam, pospiesz się.

Camille zrobił kilka kroków i przyklęknął przed otwartą walizką. Końcówką długopisu uniósł lekko kilka ubrań, potem wstał, podszedł do zerwanej kotary i wodząc wzrokiem w górę i w dół, długo jej się przyglądał.

– Camille – powiedział Le Guen, podchodząc do niego. – Muszę ci powiedzieć...

– Tak, tak – odparł Camille, szybko się odwracając. – Pozwolisz, że zgadnę...

– No, właśnie, wiesz, o co chodzi... Sędzia Deschamps jest stanowcza. Nie możesz zachować tej sprawy. Będę ją musiał przekazać Morinowi.

Le Guen pokiwał głową.

– Morin jest w porządku, sam wiesz... Znasz go... Jesteś zbyt w to osobiście zaangażowany, Camille, nie da rady.

W tym momencie na ulicy zawyły syreny policyjne.

Camille, intensywnie myśląc, nawet nie drgnął.

– Musi to być kto inny, tak? Koniecznie?

– Niestety tak, Camille, ktoś mniej zaangażowany.

– A więc ty, Jean.

– Słucham?

Na schodach załomotały szybkie kroki, otworzyły się drzwi i pierwszy do środka wszedł Bergeret. Uścisnął dłoń Camille’a, powiedział krótko:

– Głowa do góry, szybko się z tym uwiniemy. Zaprząłem do roboty wszystkich swoich ludzi.

Nim Camille zdążył otworzyć usta, żeby mu odpowiedzieć, Bergeret już się odwrócił i przechodząc z pokoju do pokoju, zaczął wydawać polecenia. Dwóch techników ustawiło reflektory, kierując ich światła na miejsca, które w pierwszej kolejności miały być zbadane. Mieszkanie natychmiast wypełniła oślepiająca jasność. Trzej inni, w milczeniu uściskawszy dłoń Camille’a, naciągali gumowe rękawiczki i otwierali swoje kufry ze sprzętem.

– Co ty wygadujesz? – wrócił do tematu Le Guen.

– Chcę, żebyś to ty poprowadził tę sprawę. I tylko mnie nie wkurzaj, wiesz, że jest to możliwe.

– Posłuchaj, Camille, dobrze wiesz, że od dawna nie pracuję w terenie. Straciłem już refleks. To kompletna bzdura prosić mnie o coś takiego!

– Ty albo nikt. Więc jak?

Le Guen podrapał się po karku, potarł podbródek. Ale jego spojrzenie zadawało kłam tym gestom, sugerującym namysł. Malował się w nim głęboki lęk.

– Nie, Camille, nie mogę...

– Ty albo nikt. Bierzesz to, tak czy nie?

Ton Camille’a nie dopuszczał odmowy.

– No cóż, tak... Ja... Przysięgam ci, że to...

– Że co?

– No... tak... ale...

– Ale co, do cholery jasnej?

– No tak, niech cię diabli! Tak!

– Okej – rzucił Camille, dłużej nie czekając. – Więc ty. A to znaczy, że brak ci doświadczenia

w terenie, intuicja już nie ta, co kiedyś, nie dasz sobie rady!

– Kiedy... to właśnie ci mówiłem! – ryknął Le Guen.

– W porządku – powiedział Camille, świdrując go wzrokiem. – Czyli będziesz musiał oddelegować do tego kogoś bardziej doświadczonego. Zgadzam się, Jean. I dziękuję.

Le Guen nawet nie zdążył zaprotestować, bo Camille już się odwrócił.

– Bergeret...! Pokażę ci, co będzie mi potrzebne.

Le Guen wyjął komórkę i wybrał numer.

– Komisarz Le Guen. Proszę mnie połączyć z sędzią Deschamps. Sprawa priorytetowa.

Czekając na połączenie, patrząc na Camille'a rozmawiającego z technikami, mruknął pod nosem:

– Wariat...

## 14

Kilka minut później zjawiła się ekipa Morina. Żeby nie przeszkadzać technikom, szybkie zebranie zrobiono na podeście, na którym zmieścili się tylko Le Guen, Camille i Morin; pięciu pozostałych funkcjonariuszy stanęło niżej na schodach.

– Dochodzenie w sprawie zniknięcia Irène Verhoeven prowadzę ja. W porozumieniu z sędzią Dechamps postanowiłem przekazać działania operacyjne inspektorowi Verhoevenowi. Jakież uwagi?

Ton, jakim Le Guen przekazał tę informację, nie zachęcał do krytyki. Zapadła cisza, której nie przerywał wystarczająco długo, by wszyscy zrozumieli, że jego decyzja jest nieodwołalna.

– Twoja kolej, Camille – odezwał się w końcu.

Verhoeven w dwóch słowach przeprosił Morina, który uniósł ręce na znak, że nie ma nic przeciwko. Następnie w porozumieniu z nim podzielił ludzi na ekipy i wszyscy zbiegli z powrotem na dół.

Technicy wiele razy kursowali w górę i na dół po schodach ze swoimi aluminiowymi walizkami, z pudełkami, ze skrzynką. Wewnątrz budynku trzymało straż dwóch funkcjonariuszy, pierwszy piętro niżej, drugi na piętrze nad mieszkaniem Camille'a, tak by uprzedzić wszelkie ruchy mieszkańców. Dwóch innych Le Guen postawił na chodniku pod wejściem do budynku.

– Nikogo – doniosła Élisabeth. – Między szesnastą i teraz tylko w czterech mieszkaniach ktoś był. Wszyscy inni byli w pracy.

Camille siedział na górnym stopniu schodów i obracając w rękach komórkę, co chwila odwracał się i patrzył w otwarte na oścież drzwi swojego mieszkania. Przez matową szybę na wieki zamkniętego okna, przez które miało na podest wpadać nieco światła, widział spazmatyczny balet błysków rzucanych przez koguty policyjnych wozów blokujących ulicę.

Kamienica, w której mieszkali Camille i Irène, stała w odległości dwudziestu metrów od skrzyżowania z rue des Martyrs. Roboty kanalizacyjne, rozpoczęte ponad dwa miesiące temu, zablokowały cały ruch po drugiej stronie jezdni. Robotnicy już dawno temu minęli budynek i pracowali teraz trzysta metrów dalej, u wylotu ulicy, w miejscu gdzie dochodziła do bulwaru. Ale bariery naprzeciwko budynku, uniemożliwiające parkowanie, wciąż stały. Choć prace na tym odcinku były już zakończone, na zablokowanych w ten sposób stanowiskach mogły parkować maszyny budowlane i koparki, dalej zaś, w trzech barakowozach, składowano narzędzia, a w godzinach posiłków pełniły one funkcję kantyny. Jezdnię z obu stron blokowały dwa radiowozy. Inne pojazdy, w tym dwie furgonetki ekipy technicznej, nawet nie próbowały znaleźć miejsca na zaparkowanie; stanęły jeden za drugim pośrodku jezdni, budząc żywe zainteresowanie pieszych oraz mieszkańców sąsiednich kamienic, wyglądających przez okna.

Camille nigdy dotąd nie zwracał uwagi na te detale, ale teraz, wyszedłszy na chodnik, przez dłuższą chwilę przyglądał się ulicy i barierkom z placu budowy. Przeszedł na drugą stronę. Popatrzył na ciąg

barier, następnie odwrócił się twarzą do bramy, spojrział na róg ulicy, potem w okna swojego mieszkania, potem znów na barierki.

– No jasne... – mruknął.

I nagle puścił się biegiem w stronę rue des Martyrs, a za nim, z trudem nadążając, Élisabeth, z przyciśniętą do piersi torebką.

Znał tę kobietę, ale zapomniał już, jak się nazywa.

– Pani Antonapoulos – przedstawił właścicielkę sklepu Maleval.

– Antanopoulos – poprawiła kobieta.

– Wydaje jej się, że ich widziała... – dodał Maleval. – Pod domem zaparkował samochód i Irène do niego wsiadła.

Serce Camille'a tak gwałtownie zabiło, że aż mu zadzwoniło w uszach. Mało brakowało, a przytrzymałby się Malevala, ale tylko zamknął oczy, by uwolnić umysł od wszelkich obrazów.

Kazał jej opisać tę scenę. Dwukrotnie. Cała relacja zamykała się zresztą w paru słowach i potwierdzała to, czego Camille na podstawie własnych obserwacji przed chwilą sam się już domyślił. Około szesnastej trzydzieści pięć pod domem zatrzymał się jakiś ciemny samochód. Wysiadł z niego dość wysoki mężczyzna, którego kupcowa widziała tylko od tyłu, odstawił nieco barierkę, tak żeby móc zaparkować i nie blokować ruchu. Kiedy znowu wyjrzała na ulicę, tylne drzwi samochodu były szeroko otwarte. Wsiadła do niego kobieta; widziała tylko jej nogi w chwili, gdy mężczyzna pomagał jej wsiąść. Potem zamknął drzwi. Kupcowa była przez chwilę zajęta, a kiedy znów spojrziała na ulicę, samochodu już nie było.

– Pani Antanopoulos, poproszę, żeby pani pojechała z moją koleżanką – powiedział Camille, wskazując na Élisabeth. – Będzie nam potrzebna pani pomoc. Oraz pani pamięć.

Kobieta, która myślała, że opowiedziała już wszystko, co zapamiętała, otworzyła szeroko oczy. Dzisiejszy wieczór dostarczy jej tematu do rozmów na całą resztę sezonu.

– Dalej sprawdzasz ulicę, zwłaszcza okoliczne partery. Znajdź mi też robotników u wylotu ulicy. Kończą pracę dość wcześnie. Trzeba będzie skontaktować się z ich firmą. Chcę wiedzieć wszystko na bieżąco.

## 15

Opustoszała sala robocza – wszyscy byli w terenie – sprawiała wrażenie zawieszonych w czasie. Cob kontynuował poszukiwania, przechodząc od mapy ulicznej Paryża do wykazu firm budowlanych i imiennej listy osób sprzątających w klinice Montambert, po czym przekazywał dane grupom dochodzeniowym.

Louis z pomocą młodego, nieznanego Camille'owi funkcjonariusza zdążył już przemeblować całą salę, przygotował korkowe tablice, papierowe plansze, teczki z aktami. Miał obecnie do dyspozycji wielki stół, na którym ułożył akta bieżących spraw; dużą część czasu spędzał przy telefonie, przekazując wszystkim informacje. Od razu po powrocie do firmy zadzwonił też do doktora Cresta, prosząc o jak najszybsze przybycie. Kierował się też zapewne ukrytą myślą o pomocy, jakiej w najbliższych godzinach będzie potrzebował jego szef.

Kiedy Camille wszedł do sali, doktor Crest wstał i łagodnym gestem uściśnął mu dłoń. W jego uważnej i opanowanej twarzy Camille jak w lustrzanym odbiciu ujrzał własną twarz, na której lęk zaczął żłobić już bruzdy i cienie pod oczami, nadając całej jego postaci sztywny i spięty wygląd.

– Przykro mi... – powiedział Crest, a w jego spokojnym głosie Camille usłyszał inne słowa, słowa, których nie było potrzeby wypowiadać.

Po czym z powrotem zajął swoje miejsce po drugiej stronie stołu, gdzie rozłożył trzy listy od Literata.

Na ich kopiach widać było sporządzone na marginesie ręką psychologa notatki, odsyłacze i strzałki.

Camille zauważył, że Cob wzbogacił swój sprzęt badawczy o słuchawki telefoniczne, dzięki czemu mógł rozmawiać z dzwoniącymi do niego policjantami, nie przerywając pisania. Louis podszedł do Camille'a, by mu zaproponować zagajenie zebrania. Ale ujrzawszy jego surową twarz, powiedział tylko, unosząc rękę, żeby odgarnąć kosmyk włosów, lecz urywając w pół gestu:

– Na razie nic... Élisabeth właśnie przesłuchuje właścicielkę sklepu. Ta nie pamięta nic ponadto, co panu już powiedziała, nic więcej sobie nie przypomina. Mężczyzna, około metra osiemdziesięciu wzrostu, ciemny garnitur. Nie pamięta marki samochodu. Od momentu, kiedy zobaczyła go parkującego, do chwili, kiedy odjechał, minął niecały kwadrans.

– Co z Lesage'em? – spytał Camille, mając na myśli pokój przesłuchań.

– Komisarz odbył rozmowę z sędzią Deschamps. Dostałem polecenie, żeby go wypuścić. Wyszedł jakieś dwadzieścia minut temu.

Camille sprawdził, która godzina. Dwudziesta dwadzieścia.

Cob sporządził krótkie podsumowanie wyników ekip działających w terenie.

W klinice Montambert Armand niczego się nie dowiedział. Najwyraźniej Irène opuściła ją sama i dobrowolnie. Dla spokoju sumienia wziął też dane dwóch mających o tej porze dyżur pielęgniarek i dwóch sprzątaczek, ale nie mógł ich przesłuchać, bo skończyły już pracę. Cztery ekipy pojechały odebrać od nich zeznania w domu. Dwie zadzwoniły już, potwierdzając, że na razie żadna z tych osób nie przypomina sobie nic szczególnego. Obchód ulicy też nic nie dał. Oprócz pani Antanopoulos nikt niczego nie zauważył. Mężczyzna działał spokojnie, z zimną krwią. Cob zidentyfikował kilku robotników zatrudnionych w firmie prowadzącej roboty budowlane. Trzy ekipy pojechały przesłuchać ich w domu. Wyniki jeszcze nie dotarły.

Tuż przed dwudziestą pierwszą zjawił się Bergeret, by osobiście przekazać wstępne ustalenia. Sprawca nie użył rękawiczek. Oprócz licznych odcisków palców Irène i Camille'a znaleźli wiele innych, należących do nieznanego mężczyzny.

– Nic, żadnych rękawiczek, żadnych środków ostrożności. Facet ma to w nosie. Nie jest to dobry znak...

I od razu zorientował się, jak niezręcznie to zabrzmiało.

– Przepraszam – bąknął zmieszany.

– Nic się nie stało. – Camille uspokajająco poklepał go po ramieniu.

– Natychmiast sprawdziliśmy je w kartotece – podjął z trudem Bergeret. – Facet jest nienotowany.

Dokładna rekonstrukcja całej sceny była niemożliwa, ale było już wiele rzeczy pewnych. Pamiętając o świeżo popełnionej gafie, Bergeret ważył teraz każde słowo, nieledwie każdą głoskę:

– Z pewnością zadzwonił do drzwi i twoja żo... Irène poszła mu otworzyć. Prawdopodobnie zostawiła walizkę w przedpokoju i przypuszczamy, że kop... kopniakiem...

– Słuchaj, stary – przerwał mu Camille – daleko tak nie zajdziemy. Ani ty, ani ja. Więc mówimy „Irène”, a resztę rzeczy nazywamy po imieniu. Kopniakiem... Gdzie?

Bergeret z ulgą wrócił do swoich zapisków i, skupiony, już do końca nie unosił znad nich wzroku.

– Musiał uderzyć Irène, jak tylko mu otworzyła.

Camille'owi żołądek podszedł do gardła; zamknął oczy i szybko zasłonił ręką usta.

– Myślę, że pan Bergeret – odezwał się w tym momencie doktor Crest – najpierw powinien przekazać te informacje panu Marianiemu. W pierwszym momencie...

Camille nie słuchał. Zamknął oczy, otworzył je, opuścił dłoń i wstał. Odprowadzany spojrzeniem reszty obecnych podszedł do zbiornika z wodą, wypił kolejno duszkiem dwie szklanki lodowatej wody i z powrotem usiadł obok Bergereta.

– Facet dzwoni, Irène otwiera. Ten z miejsca zadaje cios. Czy wiadomo, w jaki sposób?

Bergeret spojrział zagubionym wzrokiem na doktora Cresta, szukając jego aprobaty, i na zachęcający gest z jego strony podjął:

– Znaleźliśmy ślad wydzieliny żółciowej. Musiała dostać mdłości i zgiąć się wpół.

– Możliwe jest stwierdzenie, gdzie ją uderzył?

– Nie, to niemożliwe.

– A potem?

– Musiała wbiec do mieszkania, zapewne najpierw do okna. To ona uczepiła się zasłony i ją zerwała.

Biegając za nią, mężczyzna pewnie przewrócił walizkę, która się otworzyła. Nie wydaje się, żeby któreś z nich ją tknęło przed opuszczeniem mieszkania. Potem Irène pobiegła do łazienki i tam ją prawdopodobnie złapał.

– Krew na podłodze...

– Tak. Prawdopodobnie uderzenie w głowę. Niezbyt silne, tylko żeby ją ogłuszyć. Upadając, lekko krwawiła. To ona, bądź przed upadkiem, bądź podnosząc się, zmiotła całą zawartość półki pod lustrem. Musiała się przy tym lekko skaleczyć; na krawędzi znaleźliśmy trochę krwi. Od tego momentu nie wiemy, co dokładnie się działo. Pewne jest jedynie to, że powlókł ją do drzwi. Te smugi na parkiecie to prawdopodobnie ślady jej obcasów. Mężczyzna obejrzał mieszkanie. Można przypuszczać, że zrobił to pod koniec, przed wyjściem. Sypialnię, kuchnię, dotknął kilku przedmiotów...

– Których?

– W kuchni otworzył szufladę ze sztućcami. Jego odciski znaleźliśmy również na klamce okna i na uchwycie zamrażarki.

– Po co to robi?

– Czeka, aż Irène się ocknie. A czekając, przeszukuje mieszkanie. Jego odciski są też na szklance oraz na kranie w kuchni.

– W taki sposób ją cuci.

– Tak, myślę, że tak. Przynosi wodę, żeby się napiła.

– Albo żeby jej chlusnąć w twarz.

– Nie sądzę. W tym miejscu brak jest śladów wody. Nie, myślę, że chce, żeby się napiła. Znaleźliśmy natomiast kilka włosów Irène; musiał jej siłą unieść głowę. Co potem, nie wiadomo. Próbowaliśmy sprawdzić klatkę schodową. Bez powodzenia. Za dużo osób tamtędy przeszło, tam nic nie znajdziemy.

Przyłożywszy dłoń do czoła, Camille próbował wyobrazić sobie tę scenę.

– Coś jeszcze? – spytał w końcu, unosząc wzrok na Bergereta.

– Tak. Mamy też jego włosy. Niewiele. Krótkie, brązowe. Badają je teraz w laboratorium. I mamy jego grupę krwi.

– Jak to?

– Myślę, że Irène musiała go zadrapać, kiedy się szarpali. Znaleźliśmy małą próbkę w łazience i na ręczniku, w który się wytarł. Na wszelki wypadek porównaliśmy to z twoją. Facet ma zero plus. Jedną z najczęściej spotykanych.

– Szatyn, krótkie włosy, zero plus... Jeszcze coś?

– To wszystko, Camille. Nie mieliśmy...

– Wybacz. I dziękuję.

## 16

Po powrocie wszystkich ekip nastąpiło gruntowne podsumowanie. Wyniki były skromne. O dwudziestej pierwszej wiedzieli niewiele więcej niż o osiemnastej trzydzieści. Wcześniej doktor Crest



przestudiował ostatni list od Literata, w dużej mierze potwierdzając to, co Camille już wiedział oraz czego się domyślał. Le Guen, zajmwszy jedyny w pomieszczeniu fotel z prawdziwego zdarzenia, z głęboką powagą wysłuchał raportu psychiatry.

– Autor znajduje przyjemność w pogrywaniu z panem. W pierwszej części listu dozuje napięcie, tak jakby pan również uczestniczył w tej grze. Pospołu z nim. Co tylko potwierdza nasze wstępne przypuszczenia.

– Robi z tego rozgrywkę osobistą? – podsunął Le Guen.

– Tak – potwierdził Crest, odwracając się do niego. – Chyba domyślam się, do czego pan zmierza... Niech pana jednak nie zmyli moja odpowiedź. Wyjściowo nie jest to sprawa osobista. Krótko mówiąc, nie przypuszczam, żeby to był ktoś, kogo inspektor Verhoeven na przykład kiedyś już aresztował czy coś w tym rodzaju. Nie. To nie jest rozgrywka osobista. Ale się nią staje. Zwłaszcza od momentu, gdy czyta pierwsze ogłoszenie. Sam fakt użycia tak niekonwencjonalnej metody, podpisania się własnymi inicjałami, podania prywatnego adresu pod kątem spodziewanej odpowiedzi...

– Idiota ze mnie, co? – rzucił Camille do Le Guena.

– Trudno takie rzeczy przewidzieć, Camille – odpowiedział Le Guen, uprzedzając psychiatrę. – Zresztą takich ludzi jak ty czy ja nietrudno namierzyć.

Camille pomyślał o swojej arogancji. Jakąż bufonadą z jego strony był wybór tak osobistej drogi działania, jakby chodziło o ich prywatną rozgrywkę. Przypomniał sobie rozmowę z sędzią Deschamps u niej w gabinecie, kiedy zagroziła mu odebraniem sprawy. Dlaczego tak mu zależało, żeby dowieść swojej przewagi? To śmiechu warte zwycięstwo kosztowało go teraz dużo drożej od porażki.

– Wiedział, o co mu chodzi – ciągnął Le Guen – wie to od samego początku i inna droga działania nic by nie zmieniła. A wiemy o tym, ponieważ w liście jasno stawia sprawę: „Wyjdzie pan z tego dopiero wtedy, kiedy ja zadecyduję kiedy i jak”. Ale najważniejsze zawarte jest w ostatniej części listu, w jego długim wywodzie z odsyłaczem, gdzie cytuje całe fragmenty książki Gaboriau.

– Wiem, kieruje nim poczucie misji...

– No cóż, zaskoczę pana, ale coraz mniej w to wierzę.

Camille nastawił ucha, podobnie jak Louis, który w końcu zdecydował się i usiadł obok Le Guena.

– Bo widzi pan, jest w tym wszystkim zbyt dobitny. Przesadza. W teatrze powiedziano by, że szarżuje. Niektóre jego wypowiedzi brzmią wręcz pompatycznie.

– Co pan przez to rozumie?

– To nie oszołom, tylko zboczeniec. Odstawia przed panem wielkiego psychopata, kogoś, kto nie odróżnia już tego, co prawdziwe, od tego, co wirtualne, a w tym przypadku literatury od rzeczywistości, ale moim zdaniem to tylko jeszcze jedna zmyłka. Nie wiem, po co to robi. Nie jest taki, jakim przedstawia się w swoich listach. Chce, żeby pan uwierzył, że taki jest, a to coś zupełnie innego.

– W jakim celu to robi? – zapytał Louis.

– Nie mam pojęcia. Ten długi wywód o potrzebach ludzkości, transfiguracja rzeczywistości... to wszystko jest tak wystudiowane, że wręcz karykaturalne! Nie pisze, co naprawdę myśli. Udaje tylko, że tak myśli. Nie wiem dlaczego.

– Żeby zamydlić nam oczy? – podsunął Le Guen.

– Tak, to możliwe. A może z jakiegoś ważniejszego powodu...

– To znaczy? – zapytał Camille.

– Ponieważ stanowi to część jego planu.

Rozdzielono akta wszystkich bieżących spraw. Po dwóch ludzi na każdą. Cel: rozpoczęcie wszystkiego od początku, szukanie wszelkiego rodzaju wskazówek, wszelkich analogii. Od dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć służby techniczne zainstalowały cztery nowe linie telefoniczne oraz trzy

dodatkowe stanowiska informatyczne, które Cob natychmiast podłączył do sieci, tak by każdy z komputerów mógł czerpać z banku danych, w którym zebrał całość posiadanych informacji. W sali zapanował gwar, bo ilekroć pojawiło się coś nowego, każda z ekip zwracała się z pytaniami i wątpliwościami do współpracowników Camille'a.

On sam, stojąc wraz z Le Guenem i Louisem przed wielką tablicą ścienną, podjął omawianie kolejnych scenariuszy, nerwowo spoglądając na zegarek. Od zniknięcia Irène upłynęło już blisko pięć godzin, a dla nikogo nie było tajemnicą, że teraz każda minuta liczyć się będzie podwójnie, że odliczanie wstecz trwa nieubłagane i nikt nie wie, kiedy się skończy.

Na polecenie Camille'a Louis sporządził listę wszystkich miejsc zbrodni (Fontainebleau – Corbeil – Paryż – Glasgow – Tremblay – Courbevoie), potem listę wszystkich ofiar (Maryse Perrin – Alice Hedges – Grace Hobson – Manuela Constanza – Évelyne Rouvray – Josiane Debeuf) i na koniec wykaz wszystkich dat (7 lipca 2000 – 24 sierpnia 2000 – 10 lipca 2001 – 21 listopada 2001 – 11 kwietnia 2003). We trójkę, on, Le Guen i Louis, pochylali się nad każdym nowym zestawieniem, rozpaczliwie poszukując punktów stycznych, tworząc hipotezy nieprowadzące donikąd. Siedzący w milczeniu nieco z boku doktor Crest przypomniał, że poczynaniami Literata kierowała logika literacka i może słuszniej byłoby za punkt wyjścia przyjąć skopiowane przez niego dzieła, których listę (*Zbrodnia w Orcival* – *Roseanna* – *Laidlaw* – *Czarna Dalia* – *American Psycho*) natychmiast sporządził Louis, choć i to nic nie dało.

– Ta sprawa do nich nie należy – powiedział Le Guen. – To są dzieła, które już zrealizował. Jesteśmy już przy innym.

– Tak – zgodził się Camille. – Jesteśmy przy następnym, ale jakim?

Louis przyniósł listę Ballanger, powiększył na fotokopiarce jej strony do formatu A3 i rozwiesił na ścianie.

– Dużo tych książek – zauważył Crest.

– O wiele za dużo – potwierdził Camille. – A przecież wśród nich musi być jedna... albo i nie... która...

Przez chwilę rozważał tę myśl.

– W której z nich jest mowa o kobiecie w ciąży, Louis?

– W żadnej – odparł Louis, jeszcze raz przeglądając listę ze streszczeniami.

– Tak, Louis, w którejś jest!

– Nie widzę.

– Jest, do cholery! – Camille gniewnym ruchem odebrał mu listę. – W którejś jest.

Szybko ją przejrzał i oddał z powrotem Louisowi.

– Nie na tej, jest na innej.

Louis popatrzył na niego bacznie.

– Faktycznie, zapomniałem.

Podbiegł do stołu i wydobył pierwszą listę Coba. Swoim wytwornym pismem porobił na niej liczne notatki, które teraz szybko przebiegł spojrzeniem.

– Tutaj – powiedział, podając mu kartkę.

Czytając zapiski Louisa, Camille przypomniał sobie rozmowę z profesorem Ballangerem: „Jednemu z moich studentów... ta sprawa z marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, historia tej kobiety z rozprutym brzuchem, znalezionej w magazynie... nie znam tej książki... *Zabójca z cienia*... Nieznanego autora”.

Tymczasem Louis powiesił tablicę z listą podejrzanych spraw, wcześniej przekazawszy ich detale profesorowi Ballangerowi.

– Tak, panie Ballanger, wiem, że jest już późno...

Odwróciwszy się tyłem do sali, ściszone głosem przedstawił mu pokrótce, jak wygląda sytuacja.

– Tak, już go proszę... – powiedział, wyciągając słuchawkę do Camille'a.

Camille w kilku słowach przypomniał profesorowi ich wcześniejszą rozmowę.

– Tak, ale jak mówiłem, nie znam tej książki. On sam zresztą nie był pewny, to była tylko sugestia...

Nie ma żadnego dowodu...

– Panie Ballanger! Muszę mieć tę książkę. Gdzie mieszka ten pański student?

– Nie mam pojęcia... Musiałbym zajrzeć do kartoteki studentów w moim gabinecie.

– Maleval! – nie odpowiadając Ballangerowi, zawołał Camille. – Bierz samochód, jedź po pana Ballangera, zawieziesz go na uczelnię i tam do was dołączę.

Nim Camille zdążył wrócić do rozmowy z profesorem, Maleval już biegł do drzwi.

Cob wyszukał już około trzydziestu stosownych adresów, które Élisabeth i Armand nanosili na mapę regionu paryskiego. Każdy adres, każde miejsce włącznie z opisami każdego z magazynów, które Cobowi udało się zdobyć, były dokładnie badane. Sporządzono dwie listy. Na pierwszej, priorytetowej, znalazły się magazyny usytuowane na największym odludziu, sprawiające wrażenie od dawna nieużywanych; na drugiej te, które z pozoru przedstawiały się mniej obiecująco, ale nadal mogły być interesujące pod kątem ich poszukiwań.

– Armand, Mehdi, kontynuujcie pracę Coba – zarządził Camille. – Ty, Élisabeth, podziel ludzi na ekipy, natychmiast sprawdzamy wszystkie miejsca. Zaczynasz od najbliższych, koncentrycznie, najpierw Paryż, jeśli jakieś są, następnie przedmieścia. Cob, poszukaj mi tej książki. Huba czy Chuba, tak jakoś. *Zabójca z cienia*. Książka jest stara. Nic innego nie mam. Jadę na uniwersytet. Będę pod komórką. Chodź, Louis, jedziemy.

## 17

– Tu Cob. Nie znalazłem nic...

– To niemożliwe! – ryknął Camille.

– Camille! Wrzuciłem pytanie na dwieście jedenaście przeglądark! Jesteś pewny jej danych?

– Zaczekaj, daję ci Louisa, nie rozłączaj się.

Tylko dwie z pięciu latarni rzucały na fasadę uniwersytetu bladożółte światło, które spływało do stóp profesora Ballangera. On sam, wychynawszy z otchłani ciemności, podał Camille'owi akta studenta Sylvaina Guignarda, wskazując palcem rubrykę z jego prywatnym telefonem. Camille wziął komórkę Louisa i wybrał numer. Czyjś zaspany, niewyraźny głos wymamrotał: „Halo”.

– Sylvain Guignard?

– Nie, jego ojciec... Na Boga, wie pan, która godzina?

– Tu inspektor Verhoeven z policji. Proszę natychmiast poprosić do telefonu syna.

– Kto taki...?

Camille powtórzył już spokojniej, dodając:

– Proszę natychmiast poprosić do telefonu syna, panie Guignard. Natychmiast!

– No cóż, hmm...

Camille usłyszał jakieś kroki, szepty, i wreszcie młodszy, wyraźniejszy głos.

– Pan jest Sylvain?

– Tak.

– Mówi inspektor Verhoeven z Brygady Kryminalnej. Jest tu ze mną pański wykładowca, profesor Ballanger. Brał pan udział w pewnym badaniu dla nas, pamięta pan...

– Tak... chodziło o...

– Wspomniał mu pan o książce, której nie znał, a w której pan doszukał się związku ze sprawą...

Osobnik nazwiskiem Hub czy Chub, pamięta pan?

– Owszem, pamiętam.

Camille zajrzał do akt. Chłopak mieszkał w Villeparisis. Nawet jeśli się uwiną... Sprawdził, która godzina.

– Ma pan tę książkę? – zapytał. – Ma ją pan?

– Nie, to stara rzecz, wydawało mi się tylko, że przypominam sobie...

– Że co pan sobie przypomina?

– Sytuację... Sam nie wiem, coś mi to mówiło...

– Proszę posłuchać, Sylvain. Dziś po południu. W Paryżu. Uprawdzono kobietę w ciąży... Musimy ją koniecznie znaleźć, zanim... Istnieje możliwość, że ta kobieta... To znaczy... To moja żona.

Coś takiego powiedzieć... Camille z trudem przełknął ślinę.

– Muszę mieć tę książkę. Natychmiast.

W telefonie zapadło krótkie milczenie.

– Nie mam jej – odpowiedział w końcu spokojnym głosem młody człowiek. – Czytałem tę książkę dobre dziesięć lat temu. Tytułu jestem pewny: *Zabójca z cienia*, autora też. Philip Chub. Jaki wydawca, nie wiem. Próbuję... ale nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam jej okładkę, to wszystko.

– A co było na tej okładce?

– To była książka z ilustracjami... takimi przerysowanymi: przerażone kobiety, które krzyczą, nad nimi cień mężczyzny w kapeluszu, tego typu rzeczy...

– Akcja?

– Mężczyzna porywa kobietę w ciąży, tego jestem pewny. Uderzyło mnie to, bo odbiegało od tego, co w tym czasie czytałem. Dość straszna lektura, ale szczegółów nie pamiętam.

– Miejsce?

– Chyba magazyn czy coś w tym rodzaju.

– Jaki magazyn? Gdzie?

– Szczerze mówiąc, nic już nie pamiętam. Magazyn, tego jestem pewny...

– Co pan zrobił z tą książką?

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat trzy razy się przeprowadzaliśmy. Nie potrafię powiedzieć, co się z nią stało.

– A wydawca?

– Nie mam pojęcia.

– Zaraz kogoś do pana przyślę, powie mu pan wszystko, co pan zapamiętał, rozumie pan?

– Tak... Chyba.

– Możliwe, że mówiąc, coś pan sobie jeszcze przypomni, jakieś detale, które mogą nam pomóc. Wszystko może okazać się ważne. A na razie proszę zostać w domu pod telefonem. Niech pan spróbuje przypomnieć sobie tę książkę, kiedy i gdzie pan ją czytał, czym się pan w tym czasie zajmował. Czasami takie rzeczy pomagają pamięci. Niech pan wszystko notuje, mój współpracownik da panu kilka numerów telefonu. Jeśli tylko coś pan sobie przypomni, obojętnie co, niech pan natychmiast dzwoni, słyszy pan?

– Tak.

– W porządku – powiedział Camille i zanim odebrał od Louisa swoją komórkę, dodał jeszcze:

– Sylvain?

– Tak?

– Dziękuję... Niech pan spróbuje wyteżyc pamięć... To bardzo ważne.

Zadzwoił do Cresta i poprosił go, żeby pojechał do Villeparisis.

– Chłopak sprawia wrażenie inteligentnego. I chętnego do współpracy. Musi nabrać zaufania, żeby coś sobie przypomniał. Może ożyje w nim jakieś wspomnienie. Zależy mi, żeby to pan z nim porozmawiał.

– Już jadę – powiedział spokojnie Crest.

– Louis zadzwoni z drugiego telefonu, poda panu adres i dostarczy samochód z dobrym kierowcą.

I Camille natychmiast wybrał następny numer.

– Domyślam się, panie Lesage, że pewnie nie bardzo miałby pan ochotę nam pomóc...

– W rzeczy samej. Pomocy to będzie pan musiał szukać gdzie indziej.

Louis, przechyliwszy głowę, przyglądał się Camille'owi, jakby próbował wychwycić zmianę wyrazu jego twarzy.

– Proszę posłuchać – powiedział Camille. – Moja żona jest w ósmym miesiącu ciąży. – Głos mu się załamał, przełknął ślinę. – Dziś po południu została uprowadzona z naszego mieszkania. To ten człowiek, rozumie pan? To on... Muszę ją odnaleźć.

W telefonie przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– On ją zabije – powiedział Camille. – Zabije ją...

I ta oczywistość, choć przecież już od kilku godzin ją roztrząsał, w tym momencie, być może po raz pierwszy, jawiła mu się jako namacalna rzeczywistość, z tak niezbitą pewnością, że mało nie upuścił telefonu i musiał się oprzeć ręką o ścianę.

Louis nadal siedział zastygły, ze wzrokiem utkwionym w Camille'u, patrząc przez niego, jakby Camille był przezroczysty. Spojrzenie miał nieruchome, drżały mu usta.

– Panie Lesage... – wykrztusił wreszcie Camille.

– Co mógłbym zrobić? – trochę automatycznie spytał księgarz.

Camille z ulgą przymknął oczy.

– Książka. *Zabójca z cienia*. Philip Chub.

W tym momencie Louis odwrócił się do Ballangera i bezbarwnym głosem zapytał:

– Czy ma pan słownik angielski?

Ballanger podniósł się, wyminął go i stanął przed regałem.

– Tak, znam tę książkę – rzucił wreszcie Lesage. – To stara rzecz, chyba wyszła w latach siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych, pod koniec siedemdziesiątych. U Bilbana. To wydawca, który zniknął z rynku w osiemdziesiątym piątym roku. Nikt nie przejął jego katalogu.

Louis otworzył na biurku tom *Harrap'sa*, który mu podał Ballanger, i z pobladłą twarzą odwrócił się do Camille'a.

Camille bacznie na niego spojrzał i poczuł gwałtowne bicie serca.

– Nie ma pan przypadkiem tej książki? – zapytał odruchowo.

– Nie, właśnie sprawdzam... Nie, nie sędzę...

Louis spojrzał na słownik, a potem znów na Camille'a. Jego usta bezgłośnie wymówiły jakieś słowo, którego Camille nie zrozumiał.

– A gdzie można ją znaleźć?

– To największa trudność z tego rodzaju tytułami. To bezwartościowe kolekcje, i nawet książki są bezwartościowe. Niewiele osób chce je zachować. Najczęściej znajduje się je przypadkowo. Trzeba mieć szczęście.

Nie odrywając wzroku od Louisa, Camille spytał jeszcze:

– Mógłby mi pan ją znaleźć?

– Rozejrzę się za nią jutro... – odpowiedział Lesage i natychmiast zorientował się, jak nie na miejscu były jego słowa.

– Ja... zobaczę, co da się zrobić.

Camille podziękował i, wciąż z telefonem w rękę, zwrócił się do Louisa:

– Louis...?

– Chub... – wykrztusił Louis. – To po angielsku kleń.

Camille wciąż na niego patrzył.

– I...?

– A po francusku kleń to... *chevesne*.

Camille rozdziawił usta i wypuścił z rąk telefon, który z metalicznym stuknięciem spadł na podłogę.

– Philippe Buisson de Chevesne – powiedział Louis. – Dziennikarz z „Le Matin”.

Camille gwałtownym ruchem odwrócił się do Malevala.

– Coś ty najlepszego zrobił, Jean-Claude.

Maleval kręcąc głową, patrzył w sufit zamglonymi od łez oczami.

– Nie wiedziałem... nie wiedziałem... – powtarzał.

## 18

Pod kamienicę na bulwarze Richard-Lenoir zajechały radiowozy, trzech mężczyzn po cztery stopnie naraz pognało na górę; najwyższy z nich, Maleval, zostawił Louisa i Camille’a daleko w tyle.

Camille wychylił się przez poręcz, lecz zobaczył tylko podesty, od drugiego do piątego piętra biegnące spiralnie w górę, pod sam dach. Dotarłszy przed otwarte na oścież drzwi, których zamek Maleval rozwalił strzałem z pistoletu, ujrzał pograżony w półmroku przedpokój, rozjaśniony jedynie słabym światłem lampy palącej się w głębi po prawej stronie. Camille też wyciągnął broń i powoli wszedł do środka. W korytarzu z prawej strony dostrzegł przed sobą Louisa, który przywierając plecami do ściany, ostrożnie posuwał się naprzód od drzwi do drzwi. Po lewej Maleval, czujnie się rozglądając, zniknął na moment w jakimś pomieszczeniu, prawdopodobnie w kuchni, i zaraz wyszedł. Camille w milczeniu pokazał mu, żeby osłaniał Louisa, który gwałtownym pchnięciem otwierał kolejne drzwi i natychmiast wycofywał się pod ścianę. Camille stanął w progu salonu znajdującego się naprzeciwko drzwi wejściowych. Wszedł, rozejrzał się szybko w prawo, w lewo i nagle poczuł pewność, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

Odwrócił się i z powrotem stanął twarzą do salonu i dwóch okien wychodzących na bulwar.

Z miejsca, w którym stał, mógł objąć spojrzeniem całe pomieszczenie. Niemal puste. Nie odrywając wzroku od okien, wymacał ręką kontakt. Za plecami usłyszał zbliżające się kroki Louisa i Malevala i poczuł ich obecność. Nacisnął kontakt i z lewej strony zabłysło słabe światło. We trzech weszli do pokoju, który w tym świetle nagle wydał się większy. Na ścianach widać było ślady po zdjętych obrazach, pod oknami stało kilka kartonów, z czego jeden jeszcze otwarty, nieco dalej wyplatane krzesło. Na podłodze parkiet. Jediną rzeczą przyciągającą wzrok był samotny stół i stojące przed nim, również wyplatane, krzesło.

Opuścili broń. Camille powoli podszedł do stołu. Na schodach rozległy się inne kroki; Maleval szybko się odwrócił i podszedł do drzwi wejściowych. Camille niewyraźnie usłyszał, że coś mówi. Jedynym źródłem światła w pokoju była stojąca na stole lampka nocna, której sznur biegł pod ścianą do gniazdka umieszczonego obok narożnego kominka.

W rogu stołu teczka z aktami; jej czerwona kartonowa okładka wypuczyła się po ściągnięciu gumką.

I leżąca na widoku pośrodku stołu kartka, po którą sięgnął Camille.

*Drogi Camille!*

*Cieszę się, że pan tu jest. Mieszkanie jest wprawdzie trochę puste, niezbyt przytulne, przyznaję. Ale przecież pan wie, że w słusznej sprawie. Musi być pan zawiedziony, że nikogo nie ma. Zapewne*

spodziewał się pan spotkać tu swoją czarującą małżonkę. Ale na to trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Za kilka chwil będzie pan mógł ocenić zasięg mojego przedsięwzięcia. Nareszcie wszystko się wyjaśni. Chciałbym wtedy móc pana zobaczyć.

Zrozumiał pan już, a niebawem jeszcze lepiej pan zrozumie: moje „dzieło” było oszustwem. Od samego początku.

Chyba mogę powiedzieć, że sukces mamy zapewniony. Czuję, że ludzie będą się bić, żeby przeczytać „naszą” historię... Jest już napisana. Leży tu, na stole przed panem, w czerwonej teczce. Skończona, czy też prawie. Odtworzyłem w niej, ze znanym już panu pietyzmem, zbrodnie z pięciu powieści.

Mogłem zrobić więcej, ale demonstracja nic by na tym nie zyskała. Pięć to niewiele, ale w przypadku zbrodni to wystarczy. I to jakich zbrodni...! Ostatnia będzie majstersztykiem, może pan być pewny. W chwili gdy pan czyta te słowa, pańska uroczą Irène jest już w pełni gotowa odegrać w niej główną rolę. Irène jest bardzo dobra. Będzie doskonała.

Perfekcja mojego dzieła polega na tym, że napisałem książkę o najpiękniejszej zbrodni... wcześniej popełniwszy zbrodnie z najpiękniejszych książek. Czy to nie cudowne? Czyż ten doskonały, tak bezbłędnie zaplanowany finał nie jest bliski ideału?

Cóż za triumf, Camille! Tak prawdziwa, tak realistyczna historia, poprzedzona kryminalnym dochodzeniem, którego kronika zawarta jest w relacjonującej je książce... Jeszcze trochę, a ludzie będą sobie wrywać książkę, której nikt nie chciał. Będą się czołgać, Camille, sam pan zobaczy... A pan będzie ze mnie dumny, dumny z nas obu, jak również będzie pan mógł być dumny ze swojej cudownej Irène, która spisuje się doprawdy znakomicie.

Pozdrawiam. Pozwoli pan, że tym razem podpiszę się nazwiskiem, które przysporzy mi sławy... przysporzy sławy również panu.

Philip Chub

Camille powoli odkłada list na stół. Odsuwa krzesło i ciężko na nie opada. Boli go głowa. Masując skronie, przez długą minutę siedzi w milczeniu, wpatrując się w ściągniętą gumką teczkę, aż wreszcie podejmuje decyzję i ją do siebie przysuwa. Z trudem odciąga gumkę. Czyta:

– Alice... – mówi, patrząc na osobę, którą każdy oprócz niego nazwałby po prostu dziewczyną.

Zwrócił się do niej po imieniu, chcąc pokazać, że jest po jej stronie, ale nie wywołał tym najmniejszej reakcji. Spojrzał na notatki sporządzone naprędce przez Armanda podczas pierwszego przesłuchania: Alice Vandebosch, dwadzieścia cztery lata.

Przewraca kilka stron.

– Horror – rzucił Louis zmienionym głosem. – Jatka. Innego rodzaju niż zwykle, jeśli pan wie, co mam na myśli...

– Ach...

– Nie całkiem, Louis, nie całkiem...

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem...

Ujmuje w dwa palce plik kartek, przerzuca je i czyta:

Mama pracuje w palecie czerwieni. Nakłada jej niewyobrażalne ilości. Krwista czerwień, odcienie karminu, czerwień głęboka jak noc.

Przeskakuje dalej.

Młoda kobieta rasy białej, lat około dwudziestu pięciu, nosiła ślady bestialskiego pobicia, zwłaszcza wleczenia za włosy, czego potwierdzeniem była zdarta z czoła skóra oraz całe garście wyrwanych włosów. Morderca okładał ją młotkiem.

Nagle jednym ruchem odwraca całą teczkę i czyta ostatnią stronę, ostatnie słowa:

*Jedynym źródłem światła w pokoju była stojąca na stole lampka nocna, której sznur biegł pod ścianą do gniazdka umieszczonego obok narożnego kominka.*

*W rogu stołu teczka z aktami; jej czerwona kartonowa okładka wypuczyła się po ściągnięciu gumką.*

*I leżąca na widoku pośrodku stołu kartka, po którą sięgnął Camille.*

Oślupiały Camille odwraca się i patrzy w głąb pokoju, gdzie trzyma straż Maleval.

Stojący za Camille'em Louis kończy czytać nad jego ramieniem ostatnie strony. Szybko przerzuca plik kartek, pomija całe fragmenty, w niektórych miejscach przerywa lekturę, czasami z namysłem unosi głowę, po czym wraca do tekstu.

W głowie Camille'a kłębią się myśli, nie jest w stanie opanować gorączkowego ciągu obrazów tłoczących się w jego umyśle.

Buisson, jego „dzieło”, jego książka.

Jego książka, która opisuje historię i śledztwo Camille'a.

– Nic tylko się zabić.

Ile w tym wszystkim jest prawdy?

Jak oddzielić, po raz kolejny, prawdę od kłamstwa?

Ale to, co najważniejsze, Camille już wie: Buisson popełnił pięć zbrodni.

Pięć najprawdziwszych zbrodni, inspirowanych pięcioma książkami.

A wszystkie zmierzają do jednego finału.

Tym wielkim finałem jest szósta zbrodnia, inspirowana książką jego własnego autorstwa.

Zbrodnia, która dopiero zostanie popełniona.

Zbrodnia najpiękniejsza.

Której bohaterką ma być Irène.

Jak to ujął?

„...napisałem książkę o najpiękniejszej zbrodni... wcześniej popełniwszy zbrodnie z najpiękniejszych książek”.

Camille musi ją znaleźć.

Gdzie jest?

Irène...



# CZĘŚĆ DRUGA

# Brygada Kryminalna, godzina 22.45

Na stole czerwona kartonowa teczka. Otwarta. Pusta. Jej zawartość Armand zaniósł do fotokopiarki. Wszyscy stoją. Camille zza stołu przenosi kolejno wzrok na każdego z nich.

Siedzi tylko Le Guen. Wziął ołówek i nerwowo przygryza go w zębach. Za podpórkę służy mu własny brzuch.

Oparł na nim zeszyt, w którym od niechcienia, tu słowo, tam słowo, coś notuje. Przede wszystkim zastanawia się. Słucha. I z uwagą obserwuje Camille'a.

– Philippe Buisson... – zaczyna Camille.

Unosi rękę do ust, by odkaslnąć.

– Buisson – podejmuje – uciekł. W chwili obecnej więzi Irène, którą uprowadził dziś późnym popołudniem. Pytanie dokąd. I co zamierza zrobić... I kiedy... To oznacza wiele pytań. I niewiele czasu, by na nie odpowiedzieć.

Na twarzy przyjaciela Le Guen nie widzi już tej paniki, jaka się na niej malowała, kiedy wszedł do sali. Verhoeven nie jest już Camille'em. Jest znów inspektorem Verhoevenem, szefem grupy Brygady Kryminalnej. Uważnym i skupionym.

– Tekst, który znaleźliśmy w jego mieszkaniu – mówi dalej – to powieść napisana przez samego Buissona. Opowiada w niej historię naszego śledztwa tak, jak ją sobie wyobraża. To nasze pierwsze źródło. Ale w kwestii tego, co zamierza zrobić, istnieje drugie źródło, do którego nie mamy dostępu, pierwsza książka Buissona opublikowana pod nazwiskiem Chub, na której się będzie wzorował...

– To pewne? – nie unosząc głowy, pyta Le Guen.

– Jeśli nasze informacje o tej książce są prawdziwe, tak: morderstwo ciężarnej kobiety w magazynie, wydaje mi się to więcej niż prawdopodobne.

Spogląda na Coba, który odszedł od komputerów, żeby wziąć udział w debriefingu. Obok Coba doktor Viguiet wsparty siedzeniem o brzeg stołu, z wyciągniętymi nogami i założonymi rękami, z uwagą słucha. Nie patrzy na Verhoevena, tylko na jego współpracowników. Cob przecząco kręci głową.

– Nadal nic – mówi.

Wraca Armand z pięcioma odbitkami tekstu.

Maleval wciąż – już od blisko godziny – przestępuje z nogi na nogę, jakby miał parcie na pęcherz.

– Zatem trzy ekipy – podejmuje Camille. – Jean, Maleval i ja zajmujemy się pierwszym źródłem. Wspólnie z doktorem Viguietem. Druga ekipa, którą koordynuje Armand, nadal szuka magazynów w okolicach Paryża. Niewdzięczna robota, bo to ślepy trop. Ale na razie nic innego nie mamy. Z kolei ty, Louis, przetrzasz biografię Buissona: kontakty, miejsca, środki materialne, wszystko, co tylko uda ci się znaleźć... Cob, ty kontynuujesz poszukiwania książki autorstwa Philippa Chuba. Jakies pytania?

Żadnych pytań.

Od razu zabierają się do pracy.

Naprzeciwko siebie zostają ustawione dwa stoły, przy jednym siedzi Camille i Le Guen, przy drugim Maleval i psychiatra.

Armand przyniósł z drukarki Coba najświeższą listę magazynów i teraz z ołówkiem w ręku ją sprawdza, skreślając miejsca już odwiedzone przez dwie ekipy, które niezwłocznie ruszają pod nowo dostarczane im adresy.

Louis siedzi już przy telefonie, ramieniem przytrzymując przy uchu słuchawkę, z dłońmi na klawiaturze komputera.

Cob ma teraz nową wskazówkę: nazwisko wydawcy książki Coba. Éditions Bilban. Na ekranach

otworzyły się już przeglądarki. Sala rozbrzmiewa pulsującą, pełną napięcia ciszą, przerywaną stukotem klawiszy i głosami telefonujących.

Przed przystąpieniem do pracy Le Guen wyjmuje komórkę, każe postawić w stan gotowości dwóch zmotoryzowanych policjantów i zawiadamia oddziały interwencyjne RAID<sup>[7]</sup>. Verhoeven to słyszy. Le Guen fatalistycznym gestem wzrusza ramionami.

Verhoeven wie, że komisarz ma rację.

Jeśli natrafią na coś istotnego i konieczna będzie szybka interwencja, potrzebni im będą zawodowcy w tego typu operacjach.

Antyterrorystów.

Widział ich już w akcji. Wielcy milczący faceci, ubrani na czarno, uzbrojeni po zęby jak roboty, aż dziw bierze, jak z podobnym obciążeniem są w stanie tak szybko się przemieszczać. Ale również z naukowym podejściem. Z pomocą map przeprowadzają rozpoznanie terenu, z wojskową precyzją opracowują plan interwencji uwzględniający niemal wszystkie dane, atakują cel z szybkością błyskawicy i w kilka minut potrafią zrównać z ziemią cały kwartał domów. Buldożery.

Od momentu uzyskania adresu lub zlokalizowania miejsca RAID bierze na siebie wszystko. Na dobre i na złe. Camille ma pewne wątpliwości co do słuszności tego typu interwencji. Jego zdaniem jest nieadekwatna z punktu widzenia psychiki Buissona, której dał dowody, montując całą tę historię. Precyzja przeciwko precyzji. Buisson ma zbyt dużą przewagę. Od tygodni, być może od miesięcy, z dokładnością entomologa przygotowuje swój plan. Snajperzy z RAID-u, ze swoimi helikopterami, pociskami dymnymi, radarami, karabinami z lunetą, strzelać będą w ciemno.

Verhoeven już ma wytłumaczyć to Le Guenowi, ale rezygnuje. Cóż innego można zrobić?

Czy to on, Camille Verhoeven, uratuje Irène, używając swojej służbowej broni, po którą sięga tylko raz do roku na okoliczność obowiązkowej kontroli?

Le Guen, Viguiet, Maleval i Verhoeven otworzyli „powieść” Buissona na pierwszej stronie, ale każdy z nich czyta w innym tempie. I w inny sposób.

Wytrawny psychiatra Viguiet kołuje nad stronicami bacznie niczym jastrzęb, bardziej je obserwując, niż czytając. Przewraca kartki szybko, jakby w następstwie nieodwołalnej decyzji. Wypatruje czego innego niż pozostali, od razu zaczyna szukać Buissona takiego, jakim on sam się przedstawia. Zgłębia styl jego narracji, traktuje występujące w niej osoby jak postaci fikcyjne.

Gdyż w tym tekście wszystko jest fikcją, wszystko, z wyjątkiem młodych ofiar.

Cała reszta to dla niego Buisson, spojrzenie Buissona, jego sposób postrzegania ludzi, przekłamywania rzeczywistości; próbuje zgłębić, w jaki sposób skomponował poszczególne elementy na potrzeby własnej wizji świata.

Świata nie takiego, jaki jest, ale takiego, jakim chciałby go widzieć. Trzysta stron najczystszych rojeń...

Le Guen pracuje w pocie czoła. Szybko chwyta, ale czyta powoli. Przyjął metodę zgodną z jego sposobem rozumowania. Zaczyna od końca i rozdział za rozdziałem cofa się do początku. Robi niewiele notatek.

Nikt z obecnych zdaje się nie zauważać, że Maleval nie przewraca stron. Że od wielu minut wpatruje się w pierwszą. Doktor Viguiet zaczyna już półgłosem wygłaszać pierwsze komentarze, a on nadal siedzi zgarbiony nad pierwszą. Chciałby wstać. Podejść do Camille'a, powiedzieć mu... Ale nie ma siły; dopóki nie czyta, czuje się bezpieczny. Wie, że stoi nad brzegiem przepaści. Wie też, że za chwilę ktoś go szturchnie w plecy i wtedy nastąpi upadek. Zawrotny. Powinien to uprzedzić, zebrać się na odwagę, poszukać swojego nazwiska, sprawdzić, że spodziewana katastrofa jest nieunikniona. Że pułapka, w którą wpadł, na dobre się zamknie. Teraz. I podjąć decyzję. Ale nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Boi

się.

Verhoeven z kamienną twarzą przerzuca szybko strony, pomija całe fragmenty, tu i tam coś zanotuje, cofa się, żeby sprawdzić jakiś szczegół, unosi głowę, żeby się zastanowić. Pospiesznie przebiega wzrokiem wyobrażoną przez Buissona scenę, w której Camille poznaje Irène, choć oczywiście nieprawdziwą. Co Buisson może wiedzieć o jego spotkaniu z Irène? I niby skąd ten program w telewizji... *Historia była prosta. Pół roku później poślubił Irène.* Tak, prosta. Tyle że to czysty wymysł Buissona.

Jak do tonącego, który podobno w ułamku sekundy widzi całe swoje życie, tak teraz do niego powracają obrazy, które w jego pamięci przetrwały nietknięte. Księgarnia w muzeum w Luwrze. I ta młoda kobieta, która w niedzielny poranek szuka książki o Tycjanie „na prezent”, która waha się, ogląda jedną, drugą, w końcu obie odkłada i wybiera trzecią. Niedobłą. I on, mały Verhoeven, który bez żadnej ukrytej myśli mówi po prostu: „Nie, tę pani odradzam...”. Młoda kobieta się do niego uśmiecha. I to jest od razu Irène, cudowna i zwyczajna, i jej uśmiech. To jest już jego Irène, kiedy mówi: „Ach tak...” z pozornie uległą miną, która sprawia, że Camille czuje się w obowiązku usprawiedliwić. Usprawiedliwia się, tłumaczy, wygłasza na temat Tycjana kilka słów z założenia bezpretensjonalnych, ale to, co mówi, jest pretensjonalne, gdyż wyraża opinię osoby mającej się za znawcę. Jąka się, mówi za szybko. Od dawna się nie rumienił; teraz się rumieni. Młoda kobieta się uśmiecha. „Zatem lepsza jest ta?” Chciał powiedzieć zbyt dużo w zbyt krótkim czasie, próbuje rozpaczliwego skrótu, w którym zawiera się jego obawa, by nie wypaść na snoba, a zarazem zakłopotanie, że doradza książkę najdroższą, i w końcu to mówi: „Wiem, że jest najdroższa... ale jednak najlepsza”. Irène ma na sobie sukienkę zapinaną z przodu od góry do dołu na guziki. „To trochę tak, jak z pantoflami”, zauważa z uśmiechem i też się rumieni. „Tyle że to Tycjan”. Wstyd jej, że tak zaniżyła poziom rozmowy. Później przyzna się, że od ponad dziesięciu lat nie była w Luwrze. Camille, i to długo, nie ośmieli się przyznać, że przychodzi tu właściwie co tydzień. Nie powie, kiedy ona już się oddali, podejdzie do kasy, że absolutnie go nie interesuje, dla kogo jest ten prezent, że przychodzi tu zwłaszcza w niedzielę rano, i wie, że nie istnieje nawet jedna szansa na milion, by ją tu jeszcze kiedyś spotkał. Irène płaci, nachyla się nad ladą, z wyteżonym spojrzeniem krótkowidza wystukuje kod swojej karty kredytowej. I znika. Camille wraca do regałów z książkami, ale stracił już do tego serce. Kilka minut później, znużony, zdjęty niewytłumaczalnym smutkiem, postanawia wyjść. I wtedy ją widzi: stoi pod szklaną piramidą, w skupieniu czyta jakiś folder, odwraca się, szukając wśród niezliczonych kierunkowskazów drogi do wyjścia. Camille przechodzi obok niej, ona go widzi, uśmiecha się, on się zatrzymuje. „Czy zna się pan też trochę na nawigacji po muzeum?” – pyta go z uśmiechem.

Verhoeven przeszedł już do następnego akapitu.

Przed powrotem do swojego gabinetu unosi głowę i widzi, że Maleval siedzi z rękami złożonymi na papierach i ze wzrokiem skierowanym na Le Guena, który przygląda mu się, kręcąc głową.

– Camille – mówi Le Guen, nie spuszczać wzroku z Malevala. – Myślę, że czeka nas drobna pogawędka z naszym przyjacielem Malevałem...

Verhoeven kończy czytać:

– *Będę musiał cię zwolnić, Jean-Claude...*

*Siedzący naprzeciwko Verhoevena Maleval zamrugał oczami, rozpaczliwie szukając wzrokiem jakiegoś punktu oparcia.*

– *To dla mnie wielka przykrość... Nie masz pojęcia, jak bardzo... Czemu mi o tym nie powiedziałeś?*

(...)

– *Od jak dawna to trwa?*

– Od końca ubiegłego roku. Sam się do mnie zgłosił. Z początku przekazywałem mu takie tam drobiazgi. To mu wystarczyło...

Camille odkłada okulary na stół. Zaciska pięści. W jego wzroku utkwionym w Malevalu jest tyle zimnej furii, że ten nieznacznie się cofa i Le Guen czuje się w obowiązku zainterweniować.

– Słuchaj, Camille, trzeba będzie to zrobić zgodnie z procedurą. Maleval – zwraca się do młodego mężczyzny – czy to, co jest tu napisane, to prawda?

Maleval odpowiada, że nie wie, jeszcze wszystkiego nie przeczytał, trzeba by sprawdzić...

– Co sprawdzić? – pyta Le Guen. – Informowałeś go? Tak czy nie?

Maleval kiwa głową, że tak.

– A więc na razie jesteś aresztowany...

Maleval rozdziawia usta jak wyjęta z wody ryba.

– Wspólnictwo z siedmiokrotnym mordercą... A czego się spodziewałeś? – pyta Verhoeven.

– Nie wiedziałem... – jęka Maleval. – Przysięgam, że...

– Takie teksty zachowaj dla sędziego! Ale teraz rozmawiasz ze mną!

– Camille...! – próbuje Le Guen.

Ale Verhoeven go nie słucha.

– Facet, któremu od miesiący dostarczasz informacji, uprowadził moją żonę! Irène! Przecież znasz Irène, Maleval! Bardzo ją przecież lubisz, nie?

Milczenie. Nawet Le Guen nie wie, jak je przerwać.

– Irène jest miła. I w ósmym miesiącu ciąży. Planujesz jakiś prezent czy zdążyłeś już przepuścić kasę?

Le Guen zamyka oczy. Camille, jak już wystartuje...

– Camille...

Ale Verhoeven działa spiralnie, od słowa do słowa, od zdania do zdania nakręca się własnymi słowami, tym, co mówi, jeszcze bardziej podsyca swoją wściekłość.

– Szefowie zespołów, którzy ronią łzy, istnieją tylko w powieściach, Maleval. Ja miałbym raczej ochotę dać ci w mordę. Za chwilę ci przekazemy „służbom specjalnym”, jeśli wiesz, co to znaczy. A potem prokurator, sędzia śledczy, kryminal, proces i ja w roli głównej. Proś Boga, żebyśmy jak najszybciej znaleźli Irène, i to całą i zdrową. Bo w przeciwnym razie to ty zapłaczesz gorzkimi łzami, pieprzony debilu!

Le Guen wali pięścią w stół. I w tym samym momencie przychodzi mu do głowy pomysł, którego mu brakowało.

– Camille, tracimy tylko czas...

Verhoeven natychmiast milknie, patrzy na Le Guena.

– Zdążymy jeszcze przepytać Malevala. Ja się tym zajmę. Ty powinieneś wrócić do roboty. Zwróć się o pomoc do IGS<sup>[8]</sup>. Uwierz mi, tak będzie lepiej – kończy.

I podnosi się, próbując wymusić decyzję, która jednak jeszcze nie zapadła. Camille wciąż patrzy Malevalowi prosto w oczy.

W końcu wstaje i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Gdzie jest Maleval? – pyta Louis.

– Z Le Guenem – krótko odpowiada Camille. I dodaje: – To nie potrwa długo.

Nie wie, czemu to powiedział. Wypsnęło mu się. Godziny mijają, czas ucieka, oni kręcą się w kółko i wciąż nie mają nic konkretnego.

Po ogłoszeniu wiadomości o porwaniu Irène wszyscy oczekiwali, że Camille będzie zdruzgotany, a tymczasem inspektor Verhoeven przejął dowodzenie.

Wracając do lektury, znów napotyka imię Irène.

Skąd Buisson wiedział tak dokładnie o wyrzutach, jakie robiła mu żona, o tym, że czuje się tak samotna?

Że Camille okazuje jej nie dość uwagi?

Możliwe, że podobnie jest w rodzinach wszystkich policjantów. Oraz dziennikarzy.

Minęła dwudziesta trzecia. Louis zachowuje zimną krew. Jak zawsze elegancki. Na jego koszuli nie znać śladu zagniecenia. Jego buty mimo całodziennego chodzenia nadal nienagannie błyszczą. Tak jakby raz po raz chodził do toalety, żeby je podglansować.

– Philippe Buisson de Chevesne. Urodzony szesnastego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego w Périgueux. Leopold Buisson de Chevesne w wieku dwudziestu ośmiu lat zostaje generałem cesarstwa. Walczy pod Jeną. Dekret napoleoński przywraca rodzinie jej dobra. I to okazał się.

Camille tak naprawdę nie słucha. Gdyby w tym, co wypłynęło, było coś istotnego, od tego by zaczął.

– Wiedziałeś o Malevalu? – pyta nagle.

Louis patrzy na niego i już ma zadać pytanie, ale gryzie się w język. W końcu jednak pyta:

– Czy co wiedziałem?

– Że od miesiąca dostarcza Buissonowi informacji. Że to on na bieżąco i w szczegółach informował go o postępach śledztwa. Że to dzięki Malevalowi Buisson miał nad nami zawsze jedną długość przewagi.

Louis jest trupio blady. Aż przysiada, przytłoczony nowiną. I raptem do Verhoevena dociera, że Louis nie wiedział.

– To jest w książce – dodaje Verhoeven. – Le Guen dość szybko na to wpadł. Właśnie przesłuchuje Malevala.

Nie ma potrzeby mu tłumaczyć. W bystrym umyśle Louisa wszystko błyskawicznie układa się w jedną całość. Jego spojrzenie, jakby odzwierciedlając tok myśli, szybko przesuwa się od punktu do punktu; rozchyła usta.

– To prawda, że pożyczałeś mu pieniądze?

– Skąd pan...?

– To też jest w tej książce, Louis, wszystko jest w książce. Maleval musiał poczynić mu pewne zwierzenia na ten temat. Ty także jesteś jej bohaterem. Wszyscy jesteśmy bohaterami, Louis. Czyż to nie wspaniałe?

Louis odruchowo spogląda w stronę sali przesłuchań.

– Niewiele nam pomoże – mówi Camille, ubiegając jego myśl. – Moim zdaniem Maleval wie o Buissonie tylko tyle, ile sam Buisson zechciał mu ujawnić. Od początku był przez niego manipulowany. Na długo przed sprawą z Courbevoie. Buisson cierpliwie rozpoznawał teren. Wykołował Malevala po całości. A nas razem z nim.

Louis wciąż siedzi ze spuszczonego wzrokiem.

– No więc słucham, na czym to stanąłś? – pyta Camille.

– Ojciec Buissona...

– Głośniej! – woła Camille, oddalając się do pojemnika z zimną wodą.

Louis podnosi głos, jakby i on miał zaraz zacząć krzyczeć. Ale pohamowuje się, tylko jego głos lekko drży.

– Ojciec Buissona jest przemysłowcem. Matka, z domu Pradeau de Lanquais, wnosi do rodziny dobra głównie nieruchomości. Nieregularne studia w Périgueux. Jest też wzmianka o jego krótkim pobycie w sanatorium w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. Posłałem człowieka, żeby to sprawdził... Kryzys na początku lat osiemdziesiątych dotyka również Buissonów. On sam w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim zaczyna robić licencjat z literatury, ale rzuca studia i wybiera szkołę

dziennikarstwa, którą w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku z przeciętną oceną kończy. W następnym roku umiera jego ojciec. Od dziewięćdziesiątego pierwszego roku Buisson jest wolnym strzelcem. W dziewięćdziesiątym ósmym zaczyna pracę w redakcji „Le Matin”. Niczym się nie wyróżnia aż do sprawy w Tremblay-en-France. Wtedy jego artykuły zostają zauważone i awansuje na zastępcę szefa działu kroniki wydarzeń. Jego matka od dwóch lat już nie żyje. Buisson jest jedynakiem i kawalerem. Z fortuny rodzinnej niewiele zostało, oprócz rodzinnej posiadłości Buisson prawie wszystko sprzedał, lokując uzyskane środki w portfelu akcji zarządzanym przez Gamblin & Chaussard i w rentach gruntowych, co i tak daje mu sześciokrotność jego pensji w „Le Matin”. W ciągu ostatnich dwóch lat cały portfel akcji zlikwidował.

– I o czym to świadczy?

– Że planuje z dużym wyprzedzeniem. Nie licząc posiadłości rodzinnej, wszystko sprzedał. Cały jego majątek leży teraz na koncie w Szwajcarii.

Verhoeven zaciska szczęki.

– Coś jeszcze? – pyta.

– Cała reszta: kontakty, znajomi, życie codzienne, będzie wymagała poszukiwań w jego kręgu. Co chwilowo, mam wrażenie, nie byłoby słusznym posunięciem. Prasa natychmiast się na to rzuci, wszędzie będziemy mieli na karku dziennikarzy, stracimy mnóstwo czasu.

Verhoeven wie, że Louis ma rację.

Docierają do końca listy magazynów, z których mógł korzystać Buisson.

O dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć dzwoni Lesage.

– Udało mi się dotrzeć do wszystkich kolegów z branży, którzy przyszli mi na myśl – mówi. – W przypadku niektórych mam tylko namiary zawodowe i tym zostawiłem wiadomość. Ale na razie nie ma śladu tej książki. Przykro mi.

Camille dziękuje.

Zatrząskują się kolejne drzwi.

Le Guen nadal przesłuchuje Malevala. Wszyscy zaczynają odczuwać zmęczenie.

Najdłużej nad tekstem siedział Viguiet. Camille zauważył jego dyskretne ziewnięcie. Wydawałoby się, że ten mały korpulentny mężczyzna, którego już tylko kilka miesięcy dzieli od emerytury, po blisko piętnastogodzinnym dniu pracy, ślęcząc jak sumienny uczeń nad rękopisem Buissona, w końcu padnie jak długi, tymczasem nie, spojrzenie zachowuje trzeźwe, i nawet jeśli zmęczenie zaczyna mu żłobić cienie pod oczami, jego głos nie zdradza cienia słabości.

– Jest tu oczywiście wiele odstępstw od rzeczywistości – zaczyna. – Przypuszczam, że Buisson nazwałby to kreatywnym podejściem. Ja w jego książce nazywam się Crest i jestem o dwadzieścia lat młodszy. Występuje w niej również trójka funkcjonariuszy, nazwanych tylko z imienia: Fernand, Mehdi i Élisabeth, bez nazwisk, pierwszy jest alkoholikiem, drugi młodym imigrantem, trzeci – pięćdziesięcioletnią kobietą. Szeroki przekrój socjologiczny, coś, co spodoba się każdej grupie czytelników... A także niejaki Sylvain Quignard, student, który jakoby naprowadził pana na trop książki Chuba, zamiast profesora Didiera, który tutaj nazywa się Ballanger.

Tak więc Viguiet, pewnie tak jak Le Guen, i jak sam Camille, nie mógł się powstrzymać, by nie sprawdzić, w jakim świetle została przedstawiona jego postać. Oto wszyscy stanęli przez wielkim krzywym lustrem literatury. Jaką prawdę zdradza ono o każdym z nich?

– Dość uderzający jest tu portret pańskiej osoby – ciągnie Viguiet, jakby dosłyszał myśli Camille’a. –

Portret raczej pochlebny. Nie wiem, może chciałby pan być tym człowiekiem, którego opisuje. Przedstawia pana jako inteligentnego i dobrego. Czyż nie jest marzeniem każdego z nas być tak postrzeganym? Upatruję w tym wielką potrzebę podziwu, jak najbardziej zgodną z jego listami

i fascynacjami literackimi. Od dawna wiemy, że Buisson załatwia swoje krwawe porachunki z postacią Ojca. Z jednej strony deprecjonuje autorytet, z drugiej go podziwia. Ten człowiek jest jedną wielką sprzecznością. Wybrał pana; to pan ma uosabiać jego zmagania. I zapewne właśnie dlatego, poprzez osobę Irène, usiłuje pana skrzywdzić. To klasyczny przypadek psychologicznego odwrócenia. Buisson czyni pana przedmiotem swojego podziwu, ale potem próbuje pana zniszczyć. W ten sposób ma nadzieję odbudować się we własnych oczach.

– Dlaczego Irène? – pyta Camille.

– Bo Irène jest. Bo Irène to pan.

Verhoeven, wciąż bardzo blady, bez słowa spuszcza wzrok na rękopis.

– Listy przytoczone w książce to te same, które pan od niego otrzymał. Słowo w słowo. Jedynie pańska sylwetka w „Le Matin” jest w całości wymyślona. Co do reszty, tekst wymagałby, rzecz jasna, bardzo drobiazgowej analizy. Jakkolwiek... Już na pierwszy rzut oka rysuje się tu kilka głównych linii przewodnich.

Verhoeven odwraca się na krześle i omiata spojrzeniem zegar, udając, że go nie widzi.

– Popełni dokładnie taką samą zbrodnię jak w swojej książce, prawda?

Viguiet nie wydaje się speszony tą nagłą zmianą tematu, spokojnie odkłada notatki i patrzy na Camille’a. Waży słowa, mówi dobitnie. Chce, żeby Camille dobrze zrozumiał to, co ma mu do powiedzenia.

– Staraliśmy się rozgryźć jego logikę. Teraz już ją znamy. Zamierza odtworzyć w realu zbrodnię, którą swego czasu opisał w książce, i zakończyć pisanie książki opisem tej zbrodni. Należy go powstrzymać, ponieważ jest jak najbardziej skłonny to zrobić.

Powiedzieć prawdę. Od razu. Niczego przed Camille’em nie ukrywać. Potwierdzić to, co on sam już wie. Verhoeven zorientował się w taktyce Viguieta. Zgadza się z nim. Gdyż to jest dokładnie to, co należy zrobić.

– Niemniej pewne niewiadome są bardziej... uspokajające – dodaje Viguiet. – Dopóki nie znajdziemy tej książki, tej, którą będzie próbował powielić w realu, nie będziemy wiedzieli ani gdzie, ani o której godzinie morderstwo zostaje popełnione. Nie ma żadnego obiektywnego powodu, by zakładać, że nastąpi to teraz czy też w ciągu kilku najbliższych godzin. Być może jego scenariusz przewiduje więzienie zakładniczki przez jeden dzień, dwa, przez wiele dni, tego nie wiemy. Mamy wystarczająco wiele pewników, z którymi trudno się pogodzić, by dorzucać nowe, będące wyłącznie spekulacjami.

Przez chwilę milczy. Nie patrzy na Verhoevena, jakby czekając, aż dotrą do niego te słowa. Po czym nagle, zapewne uznawszy, że czas przyswajania minął, podejmuje dalszy wykład:

– Mamy tu dwa rodzaje faktów. Te, które przewidział, i te, które wymyślił.

– Jak mógł aż tyle rzeczy przewidzieć?

– A tego to się pan dowie, kiedy go pan aresztuje.

Nieznacznym ruchem podbródka pokazuje drzwi do sali przesłuchań.

– O ile zrozumiałem, miał dobre źródła informacji... – W zamyśleniu przesuwa palcem pod kołnierzykiem koszuli. – Najprawdopodobniej w miarę rozwoju wydarzeń Buisson modyfikował swój tekst. Taki rodzaj reportażu na żywo. Chciał, żeby jego historia jak najwierniej oddawała rzeczywistość. Tym bardziej że niejednokrotnie musiał go pan zaskoczyć. Ale nawet te niespodzianki były, że tak powiem, do przewidzenia. Z pewnością wiedział, że będzie musiał dostosowywać swoją opowieść do pańskich reakcji, pańskich inicjatyw, i tak właśnie zrobił.

– Co ma pan na myśli?

– To na przykład, że prawdopodobnie nie spodziewał się, że spróbuje pan kontaktować się z nim



drogą drobnych ogłoszeń. To było dobre posunięcie z pana strony. Dla niego musiało to być niezwykle ekscytujące. Zresztą uważa pana po części za współautora swojej opowieści. Napisał: „Będzie pan z nas dumny”, pamięta pan? Ale najbardziej uderzająca jest trafność jego przewidywań. Wiedział, że uda się panu powiązać jedną z jego zbrodni z książką, na której kanwie została popełniona. I że podąży pan tym tropem, nawet wbrew wszystkim. Nie jest pan człowiekiem upartym, inspektorze, ale Buisson na tyle dobrze pana zna, by wiedzieć, że bywa pan... nieustępliwy. Że ufa pan głęboko własnej intuicji. I wiedział, że to może mu się przydać. Wiedział również, że wcześniej czy później jeden z was skojarzy pseudonim Chub z jego nazwiskiem rodowym. Jego strategia opierała się na takich właśnie szczegółach. Zna pana lepiej, niż nam się wydaje, inspektorze.

Le Guen na kilka minut opuścił salę przesłuchań, zostawiając Malevala samego. Niech dojrzeje. To wypróbowana technika; zostawić podejrzanego samego, wrócić, przekazać koledze, z powrotem go przejąć, znów zostawić samego, sprawić, żeby nie wiedział, co dalej... Co z tego, że najbardziej otrząskani z tą techniką podejrzeni – włącznie z samymi śledczymi – o tym wiedzą; zawsze okazuje się skuteczna.

– Zaraz przejdziemy na wyższe obroty, ale...

– Co? – przerywa niecierpliwie Verhoeven.

– Wie mniej, niż mogliśmy się spodziewać. Buisson dzięki niemu wie więcej niż on o Buissonie. Dostarczał mu licznych informacji, początkowo w pomniejszych sprawach. To pomogło Buissonowi uspić jego czujność. Podchodził go szerokim kołem, stopniowo. Drobne informacje, drobne sumy. Taki rodzaj okolicznościowej renty. W momencie zbrodni w Courbevoie Maleval był już urobiony. W niczym się nie połapał. Ten twój Maleval to złotodiób.

– Nie mój – prostuje Verhoeven, wracając do swoich notatek.

– Niech ci będzie.

– Wydawnictwo Bilban powstało w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku – zabiera głos Cob – i zamknęło się w osiemdziesiątym piątym. W tamtych czasach tylko nieliczni wydawcy mieli własną stronę internetową. Ale udało mi się tu i tam znaleźć fragmenty jego katalogu. Złożyłem je razem, chcesz zobaczyć?

I nie czekając na odpowiedź, wydrukował listę.

Setka tytułów wydanych w latach 1982–1985. Literacki chłam. Verhoeven przebiega wzrokiem tytuły. Trochę literatury szpiegowskiej – *Brak wieści od agenta TX, Agent TH przeciwko Abwehrze, Atut Maladonne’a, Uśmiech szpiega, Kod „Ocean”*... – trochę kryminałów – *Draka w Malibu, Mów dalej, to interesujące, Kule za dnia dla piękności nocy, W cudzej skórze*... – trochę romansideł – *Ukochana Christelle, Tak czyste serce, Skończyć z miłością*...

– Specjalnością Bilbana było skupywanie spraw autorskich i sprzedawanie ich pod nowymi tytułami.

Swoim zwyczajem Cob mówił do Camille’a, nie patrząc na niego i nie przerywając stukania w klawisze.

– Masz jakieś nazwiska?

– Tylko dyrektora. Paul-Henry Vaysse. Miał udziały w wielu małych firmach, ale osobiście kierował tylko Bilbanem. W osiemdziesiątym piątym ogłosił upadłość i świat wydawniczy więcej o nim nie słyszał, aż do jego śmierci w dwa tysiące pierwszym. Nad resztą dalej siedzę.

– Mam!

Camille podbiega pierwszy.

– To znaczy, chyba... Zaczekaj...

Cob wciąż stuka w obie klawiatury, na ekranach wyświetlają się kolejne strony.

– Co to jest? – pyta niecierpliwie Camille.

Dołączyli do nich Le Guen i Louis; Verhoeven rozdrażniony gestem powstrzymuje pozostałych, którzy też chcą podejść.

– Zajmiemy się tym, wracajcie do pracy.

– Wykaz pracowników Bilbana. Nie wszystkich. Mam tylko sześciu.

Na ekranie pojawia się dokument. Sześciokolumnowa lista z nazwiskami, adresami, datami urodzenia, numerami ubezpieczenia, datami rozpoczęcia i zakończenia pracy. Sześć linijek.

– Nie wiem, co zamierzasz teraz z tym zrobić – mówi Cob, odchylając się na krzesło i masując dół pleców.

– Wydrukuj to.

Cob tylko pokazuje, że drukują się już cztery kopie.

– Jak to znalazłeś? – pyta Louis.

– Za długo by ci wyjaśniać. Nie miałem wszystkich pozwoleń. Musiałem się mocno nagimnastykować, jeśli wiesz, co mam na myśli – mówi.

I zerka z rezygnacją na Le Guena, który udając, że nie słyszy, sięga tylko po jeden z wydruków.

Stoją i z uwagą studiują listę.

– Zaraz będzie ciąg dalszy – oznajmia Cob, wpatrując się w ekrany i ponownie klikając.

– Jaki ciąg dalszy?

– Ich życiorysy.

Drukarka znowu ruszyła. Uzupełnienie listy. Jedna z pracownic na początku tego roku zmarła. Po innym słuch zaginał.

– To ten? – pyta Louis.

– Nie mogę go nigdzie znaleźć – mówi Cob. – Rozpłynął się w powietrzu. Nie da rady dowiedzieć się, co się z nim stało. Isabelle Roussel, urodzona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. Przychodzi do Bilbana w osiemdziesiątym drugim, ale zostaje tylko pięć miesięcy. – Camille stawia krzyżyk przy jej nazwisku. – Jacinthe Lefebvre, urodzona w trzydziestym dziewiątym, pracuje od osiemdziesiątego drugiego do samego końca. Nicolas Briec, urodzony w pięćdziesiątym trzecim. Pracuje od początku, odchodzi w osiemdziesiątym czwartym. Théodore Sabin, urodzony w dwudziestym czwartym. Zaczyna pracę w osiemdziesiątym drugim i zostaje w firmie do końca. Obecnie na emeryturze. – Camille w myślach szybko rachuje: siedemdziesiąt dziewięć lat. Miejsce pobytu: dom starców w Jouyen-Josas. Stawia krzyżyk.

– Tych dwoje – mówi Camille, wskazując dwa nazwiska, które obrysował kółkiem: Lefebvre i Briec.

– Robi się – mówi Cob.

– Da radę dowiedzieć się, czym się zajmowali w firmie? – pyta Louis.

– Nie, tego nie mam. Jest. Jacinthe Lefebvre, na emeryturze, aleja Bel-Air 124 w Vincennes.

Mija chwila.

– I Nicolas Briec, ulica Louis-Blanc 36, Paryż X, nigdzie niezatrudniony.

– Bierz pierwszą, ja wezmę drugiego – rzuca do Louisa Verhoeven, spiesząc do telefonu.

– Przepraszam, że niepokoję o tak późnej godzinie... Tak, rozumiem... Proszę jednak nie odkładać słuchawki. Louis Mariani, Brygada Kryminalna...

U Briecua telefon dzwoni i dzwoni.

– Z kim rozmawiam...? Czy jest może pana matka?

Verhoeven odruchowo liczy: siedem, osiem, dziewięć...

– Przepraszam, w jakim szpitalu?... Tak, rozumiem...

Jedenaście, dwanaście. Verhoeven już ma się rozłączyć, kiedy nagle w słuchawce słyszy stuknięcie.

Po drugiej stronie ktoś ją podniósł, ale się nie odzywa.

– Halo! Pan Brieur? Halo! – krzyczy Camille. – Słyszysz mnie pan?

Louis rozłączył się i podsuwa Camille’owi na biurku kartkę: Szpital Saint-Louis. Oddział opieki paliatywnej.

– Do cholery...! Jest tam ktoś? Słyszysz mnie pan?

Znowu stuknięcie i sygnał, że połączenie zostało przerwane.

– Jedź ze mną – mówi Camille i wstaje.

Le Guen daje znak dwóm funkcjonariuszom, żeby z nimi pojechali. Natychmiast się podrywają, po drodze chwytając kurtki. Verhoeven już ruszył do wyjścia, ale nagle zawraca, podbiega do biurka, wyjmując z szuflady służbową broń i znów biegnie do drzwi.

Jest wpół do pierwszej w nocy.

Dwóch zmotoryzowanych policjantów jedzie znacznie szybciej od Camille’a, choć on sam stara się jak może za nimi nadążyć. Obok niego milczący Louis wciąż odgarnia kosmyk włosów z czoła. Dwaj funkcjonariusze na tylnym siedzeniu zachowują pełne skupienia milczenie. Wycie syren przecinają władcze gwizdki motocyklistów. O tej porze ruch na drodze jest nareszcie mniejszy. Z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę pędzą aleją Flandres, z szybkością stu piętnastu ulicą Faubourg-Saint-Martin. Niecałe siedem minut później oba radiowozy zatrzymują się na ulicy Louis-Blanc, z obu stron zablokowanej już przez motocyklistów. Czterech mężczyzn wyskakuje z samochodu i wpada do kamienicy pod trzydziestym szóstym. Opuszczając w pośpiechu firmę, Camille nawet nie zauważył, kim są funkcjonariusze, których wysłał z nimi Le Guen. Szybko stwierdza, że to ludzie młodzi. Młodszy od niego. Pierwszy przystanął na moment przy skrzynkach pocztowych, krótko mruknął: trzecie drzwi z lewej. Kiedy Camille dociera na podest, ci dwaj już w nie walą, krzyżąc: policja, otwierać! I rzeczywiście, drzwi się otwierają. Ale nie te, co trzeba. Drzwi z prawej. Na moment pojawia się w nich głowa starszej kobiety i natychmiast znika. Piętro wyżej słychać szcęk innych drzwi, ale w budynku nadal panuje spokój. Jeden z policjantów wyjął broń, spogląda na Camille’a, potem na zamek, potem jeszcze raz na Camille’a. Drugi znów zaczyna pukać. Verhoeven w skupieniu patrzy na drzwi, odsuwa na bok młodego policjanta i staje obok na podeście, oceniając kąt, pod jakim paść może kula wystrzelona z przyłożenia w zamek drzwi mieszkania, którego rozkładu nie znają.

– Jak się nazywasz? – pyta młodego człowieka.

– Fabrice Pou...

– A ty? – przerywa mu Camille, patrząc na drugiego.

– Bernard.

Pierwszy może mieć ze dwadzieścia pięć lat, drugi trochę więcej. Verhoeven znowu spogląda na drzwi, lekko się pochyła, potem staje na palcach, wyciąga wyprostowaną lewą rękę w górę, palcem kreśląc kąt wlotu. Patrzy na nich, sprawdzając, czy został dobrze zrozumiany, po czym usuwa się na bok, wskazując na wyższego z nich, Bernarda.

Młody funkcjonariusz zajmuje pozycję, w wyciągniętych ramionach mocno trzyma oburącz broń, kiedy nagle dobiega ich szcęk klucza, potem zasuwy i wreszcie drzwi powoli się uchylają. Camille otwiera je pchnięciem. W przedpokoju stoi pięćdziesięcioletni mężczyzna w kalesonach i sfatygowanym, niegdyś białym podkoszulku. Sprawia wrażenie kompletnie ogłupiałego.

– Co się dzieje...? – mamrocze, wybałuszając oczy na wycelowany w niego rewolwer.

Camille odwraca się, pokazuje młodemu funkcjonariuszowi, żeby schował broń.

– Pan Brieur? Nicolas Brieur? – upewnia się z nagłą ostrożnością.

Stojący przed nim mężczyzna zatacza się. Zionący od niego alkohol mało nie zwala go z nóg.

– Tylko tego brakowało... – mówi Camille, lekko popychając go do środka.

Louis zapalił wszystkie lampy w salonie i otworzył na oścież okno.

– Zrób kawę, Fabrice – zarządza Camille i popycha mężczyznę w kierunku wyboistej kanapy. – A ty go tu połóż – mówi do drugiego.

Louis już biegnie do kuchni. Odkręca kran i trzyma dłoń pod strumieniem wody, która wciąż jest nie dość zimna. W tym czasie Camille otwiera szafki, szukając jakiegoś naczynia, znajduje szklaną salaterkę, wręcza ją Louisowi i wraca do salonu. Mieszkanie nie jest zniszczone. Jest tylko zaniedbane. Sprawia wrażenie, jakby wszystkiego już w nim zaniechano. Gołe ściany, na zielonym linoleum podłogi rozrzucone ubrania. Krzesło, stół nakryty ceratą, jakieś resztki posiłku i telewizor zapalony, lecz z wyłączonym dźwiękiem, który Fabrice zdecydowanym ruchem gasi.

Mężczyzna na kanapie zamknął oczy. Ma ziemistą cerę, kilkudniowy, przetykany siwizną zarost, wydatne kości policzkowe, chude nogi i kościste kolana.

Dzwoni komórka Camille'a.

– I co...? – pyta Le Guen.

– Facet jest zalany w trupa – mówi Verhoeven, patrząc na Brieuca, który bezwładnie kiwa głową.

– Potrzebujesz ludzi?

– Nie ma czasu. Zadzwoń...

– Zaczekaj...

– Co?

– Dostałem telefon z komisariatu w Perigueux. Dom rodzinny Buissona jest pusty, wręcz ogołocoony. Śladu mebli, nic.

– Ciała? – pyta Camille.

– Dwa. Sprzed dwóch lat, ale nie zadał sobie zbyt wielkiego trudu. Zakopał je pod murem tuż za domem. Ekipa zaraz przeprowadzi ekshumację. Będę cię na bieżąco informował.

Louis podaje salaterkę z wodą i spraną kuchenną ścierkę. Verhoeven zanurza ścierkę w wodzie i kładzie ją na twarzy mężczyzny, który prawie nie reaguje.

– Panie Briec... Słyszysz mnie pan?

Briec nierówno oddycha. Camille powtarza całą operację, znów moczy ścierkę i przykłada mu na twarz. Potem pochyła głowę. W rogu kanapy widzi puszki po piwie. Liczy: dwanaście.

Ujmuję go za ramię, sprawdza puls.

– Okej – mówi w końcu. – Jest tu jakiś prysznic?

Facet nawet nie krzyknął. Dwóch policjantów trzyma go w wannie, a Verhoeven kręci kurkiem, próbując nastawić odpowiednią temperaturę, żeby woda nie była ani za zimna, ani za gorąca.

– Teraz – mówi, wręczając wyższemu rączkę prysznica.

– O kurwa! – zawodzi Briec, kiedy woda ściekająca mu z czaszki oblepia ubranie na jego chudym ciele.

– Pan Briec? – pyta Camille. – Teraz mnie pan słyszy.

– Tak, do cholery, słyszę, odwal się pan...

Na znak Verhoevena funkcjonariusz odkłada rączkę prysznica, lecz nie zakręca wody, która rozpryskuje się teraz na stopach Brieuca. Ten, do cna przemoczony, przestępuje z nogi na nogę jak człowiek wchodzący do morza. Louis bierze ręcznik i podaje go Briecowi, który przysiadła ciężko na brzegu wanny, na podłogę skapuje woda z jego pleców. Facet sika przez kalesony do wanny.

– Przeprowadźcie go tu – mówi Verhoeven, wracając do salonu.

Louis zdążył już sprawdzić całe mieszkanie, kuchnię, sypialnię, szafę ścienną. Teraz otwiera drzwi i szuflady kredensu w stylu Henryka II.

Briec usiadł na kanapie. Szczęka zębami. Fabrice okrywa mu ramiona kocem z łóżka, który przyniósł

z sypialni. Camille przysuwa krzesło i siada naprzeciwko Brieuca. Dopiero teraz na siebie patrzą. Brieuca powoli przytomnieje. Nareszcie do niego dociera, że otacza go czterech mężczyzn, dwóch stoi i patrzy na niego z niewróżącą nic dobrego miną, trzeci przetrząsa szuflady, a siedzący naprzeciw jego twarzy świdruje go zimnym wzrokiem. Brieuca przeciera oczy. I nagle ogarnia go strach, wstaje. Nim Camille zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Brieuca odpycha go i Camille ciężko upada na podłogę. Ale ledwie zrobił krok, obaj policjanci chwytają go wpół, przewracają na ziemię i wykręcają mu ręce do tyłu. Fabrice stawia mu stopę na karku, a Bernard z całej siły przytrzymuje ramiona za plecami.

Louis podbiegł do Camille'a.

– Spadaj! – rzuca Camille z wściekłym machnięciem ręki, jakby odpędzał osę.

Trzymając się za głowę, wstaje i przykłęka koło Brieuca, który z twarzą przygniecioną do ziemi ledwie może oddychać.

– A teraz – mówi Camille głosem ledwie skrywającym furję – ci wszystko wyjaśnię...

– Nic... złego... nie zrobiłem! – z trudem bełkocze Brieuca.

Camille kładzie mu dłoń na policzku, unosi wzrok na Fabrice'a i krótko kiwa głową. Młody człowiek naciska stopą mocniej, wrywając z ust Brieuca krzyk.

– Posłuchaj uważnie. Mam bardzo mało czasu...

– Camille... – zaczyna Louis.

– Zaraz ci wyjaśnię – ciągnie Camille... – Jestem inspektor Verhoeven. Teraz, w tym momencie umiera kobieta.

Cofa dłoń, powoli się nad nim nachyla.

– Jeśli mi nie pomożesz – szepcze mu do ucha – zabiję cię...

– Camille... – powtarza Louis, już głośniejszym głosem.

– Będziesz mógł do woli zalewać pałę – ciągnie Verhoeven łagodnym głosem, lecz z intensywnością tak wielką, że jej wibracje czuje się w całym pokoju. – Ale potem... Jak już wyjdę. A teraz mnie wysłuchasz, a przede wszystkim mi odpowiesz. Czy wyrażam się jasno?

Camille nawet nie zauważył, że na znak Louisa Fabrice powoli zdjął stopę z karku Brieuca. Ten jednak się nie porusza; leży jak długi na ziemi z policzkiem przyciśniętym do podłogi. Patrzy Verhoevenowi w oczy i widzi w nich determinację, która budzi w nim lęk. Kiwa głową, że tak.

– Wszystko poszło na przemiał...

Brieuca został z powrotem posadzony na kanapie. Verhoeven zezwolił mu na jedno piwo, którego połowę wypił jednym haustem. Tak pokrzepiony, wysłuchał krótkiego wyjaśnienia Camille'a. Nie wszystko zrozumiał, ale kiwał głową, jakby rozumiał, co Verhoevenowi w zupełności wystarczyło. Szukają jakiejś książki, stwierdził w duchu. Tylko tyle zrozumiał. Bilban. Jak długo był tam magazynierem? W gruncie rzeczy stracił już poczucie czasu. To było tak dawno temu. Kiedy zamknięto firmę? Co się stało z zapasami? Po twarzy Brieuca wyraźnie widać, że nie ma pojęcia, jakie znaczenie mogą mieć teraz zapasy tego chłamu. A zwłaszcza czemu to takie pilne. I co on, Brieuca, ma z tym wspólnego... Daremnie próbuje się skupić, nie jest w stanie poskładać tego w sensowną całość.

Verhoeven niczego nie tłumaczy. Poprzestaje na faktach. Byłe nie dopuścić, żeby umysł Brieuca odpłynął ku nowym mglistym horyzontom. Jeśli będzie próbował zrozumieć, stracimy tylko czas, mówi sobie. Fakty. Gdzie są teraz te książki?

– Wszystko poszło na przemiał, przysięgam. A niby co mieliśmy z tym zrobić? To było badziewie.

Brieuca unosi już rękę, żeby dopić piwo, ale Verhoeven szybkim ruchem go powstrzymuje.

– Za chwilę!

Brieuca rozgląda się, szukając wsparcia, lecz widzi tylko stanowcze twarze pozostałej trójki. Znowu ogarnia go strach i zaczyna się trząść.

– Uspokój się – mówi nieporuszony Verhoeven – nie każ mi tracić czasu...

– Kiedy już mówiłem...

– Tak, zrozumiałem. Ale nigdy wszystkiego się nie niszczy. Nigdy. Zawsze trochę zapasów zostaje, magazynuje się nakłady, które potem wracają... Przypomnij sobie...

– Wszystko poszło na przemiał... – powtarza głupekowato Briec, wpatrując się w puszkę piwa w swojej trzęsącej się dłoni.

– Cóż – mówi znużony Camille.

Patrzy na zegarek. Pierwsza dwadzieścia. Nagle robi mu się zimno, spogląda na wciąż szeroko otwarte okna. Opiera dłonie na kolanach i wstaje.

– Nic więcej się z niego nie wyciągnie. Idziemy.

Louis pochyla głowę gestem mówiącym, że faktycznie, to najlepsze, co można zrobić. Wychodzą z mieszkania. Fabrice i Bernard schodzą pierwsi, spokojnie odsuwając z drogi kilku sąsiadów spragnionych nowin. Verhoeven znów pociera głowę. W ciągu tych kilku minut krwiak zdążył już nieźle spuchnąć. Zawraca do mieszkania, do którego drzwi są nadal otwarte. Briec wciąż siedzi w tej samej pozycji z puszką w dłoni, z łokciami na kolanach i z ogłupiałą miną. Camille idzie do łazienki, wchodzi na kosz na śmieci, żeby móc przejrzeć się w lustrze. Solidne uderzenie z boku czaszki, okrągły krwiak, który zaczyna już sinieć. Puszczą zimną wodę i mokrymi palcami pociera miejsce uderzenia.

– Nie jestem pewny...

Verhoeven gwałtownie się odwraca. W drzwiach stoi Briec, żaloszny w tych swoich mokrych kałesonach, okryty kocem w szkocką kratę jak jakiś uchodźca.

– Chyba zabrałem kilka kartonów dla syna. Dotąd ich nie odebrał. Powinny być w piwnicy, gdyby pan chciał rzucić okiem...

Samochód jedzie zdecydowanie za szybko. Tym razem za kierownicą siedzi Louis. Pośród ciągłych raptownych skrętów, nagłego przyspieszania, hamowania, nie mówiąc już o ogłuszającym wyciu syreny Verhoeven nie jest w stanie czytać. Prawą ręką trzyma się uchwyty przy drzwiach, co chwila próbuje go wypuścić, chcąc odwrócić stronę, ale wtedy natychmiast zarzuca nim w bok albo do przodu. Wyłapuje pojedyncze słowa, tekst tańczy mu przed oczami. Nie zdążył włożyć okularów, wszystko widzi jak przez mgłę. Musiałby na całą długość wyciągnąć rękę, żeby cokolwiek odczytać. Po kilku minutach tej beznadziejnej walki rezygnuje. Na okładce książki, którą trzyma na kolanach, widać młodą jasnowłosą kobietę. Kobieta leży na jakimś posłaniu przypominającym łóżko. Przez rozchyłony gorset widać zarys jej obfitych piersi i górny fragment krągłego brzucha. Ramiona ma wyprężone wzdłuż głowy, jakby była związana. Jest przerażona, usta ma szeroko otwarte, krzyczy, przewraca oczami jak szalona. Verhoeven na moment puszcza uchwyt i odwraca książkę. Czwartą stronę okładki pokrywa czarno-biały druk.

Nie jest w stanie rozróżnić czcionek, są za małe. W tym momencie samochód wykonuje nagły skręt w prawo i wjeżdża na dziedziniec Brygady. Louis gwałtownym ruchem zaciąga hamulec ręczny, wyrывa książkę z rąk Verhoevena i biegnie w stronę schodów.

Zanim fotokopiarka wypluła setki stron i Louis wrócił wreszcie do sali z czterema kopiami w identycznych zielonych teczkach, upłynęły długie minuty: Camille przez ten czas wędrował nerwowo tam i z powrotem.

– Jest tego... – Verhoeven odwraca plik kartek – łącznie dwieście pięćdziesiąt stron. Jeśli można coś tu znaleźć, to na końcu. Powiedzmy, od sto trzydziestej strony. Armand, od tego zaczynasz. Louis, Jean i ja bierzemy zakończenie. Pan, doktorze, zechce rzucić okiem na początek, bo a nuż. Nie wiemy, czego szukamy. Wszystko może być ważne. Cob! Zostaw wszystko. Jeśli znajdziecie jakieś istotne detale, przekazujecie je Cobowi, ale głośno, tak żeby wszyscy to słyszeli, zrozumiano? Do dzieła!

Verhoeven otwiera swoją kopię. Przerzuca strony, chcąc jak najszybciej dotrzeć do ostatnich, po

drodze jego uwagę przykuwają niektóre akapity, połyka szybko kilka linijek tekstu, opiera się pokusie, by przeczytać, zrozumieć; ma przede wszystkim szukać. Poprawia zsuwające mu się okulary.

*Pochylając się niemal do ziemi, Mattheo zdołał w końcu wypatrzeć leżące na podłodze ciało Coreya. Dym drażnił mu gardło, gwałtownie się rozkaszał. Ale położył się i zaczął czołgać. Przeszkadzała mu broń, po omacku zabezpieczył pistolet i po krótkiej gimnastyce udało mu się w końcu wsunąć go do kabury.*

Przerzuca dwie strony.

*Mattheo nie mógł dojrzeć, czy Corey jeszcze żyje. Miał wrażenie, że się nie porusza, ale wszystko widział jak przez mgłę. Okropnie piekły go oczy...*

Verhoeven sprawdza numer strony i gwałtownie wraca do strony 181.

– Mam niejakiego Coreya – nie unosząc głowy, rzuca Louis pod adresem Coba.

Literuje nazwisko.

– Ale nie mam jeszcze imienia.

– Dziewczyna nazywa się Nadine Lefranc – informuje Le Guen.

– Będzie ich ze trzy tysiące – mruczy Cob.

*Strona 71. Nadine opuściła klinikę około szesnastej i wsiadła do samochodu, który zostawiła na parkingu supermarketu. Po ostatnim USG była wciąż jeszcze roztrzęsiona. W tym momencie wszystko wydawało jej się piękne. Pogoda, mimo że pochmurna, powietrze, mimo że chłodne, miasto, mimo że...*

Dalej, mówi sobie Verhoeven i szybko wertuje następne strony, po drodze wyłapując pojedyncze słowa, ale żadne nie przykuwa jego uwagi.

– Mam komisarza Matthéo. Francisa Matthéo – mówi Armand.

– Zakład pogrzebowy w Lens w departamencie Pas-de-Calais – dodaje Le Guen. – Dubois i syn.

– Spokojnie, koledzy – mruczy Cob, szybko stukając w klawisze. – Mam osiemdziesięciu siedmiu Coreyów. Gdyby ktoś miał imię...

*Strona 211. Corey stanął za oknem. Z ostrożności, nie chcąc ryzykować, że zauważy go jakiś przechodzień, nawet w tych okolicach, gdzie było ich jak na lekarstwo, wolał nie myć okien poszarzałych od kurzu, pewnie pamiętającego jeszcze ostatni obrót klucza w zamku przed dziesięciu laty. W świetle dwóch działających jeszcze latarni widział...*

Verhoeven znów się cofa.

*Strona 207. Przez dłuższą chwilę Corey siedział w samochodzie, uważnie obserwując opustoszałe budynki. Sprawdził godzinę: dwudziesta druga. Po raz kolejny zaczął obliczać i znów wyszło mu na to samo. Zanim w nieuniknionej panice ubierze się, zejdzie na dół, dotrze tutaj, doliczając do tego jeszcze kilka minut na znalezienie drogi, Nadine będzie tu za niecałe dwadzieścia minut. Opuścił nieco szybę i zapalił papierosa. Wszystko było gotowe. Jeśli wszystko...*

Wcześniej. Jeszcze wcześniej.

*Strona 205. Był to długi budynek na końcu uliczki, która dwa kilometry dalej dochodziła do Parency. Corey miał...*

– Miejsce nazywa się Parency – informuje Camille. – To wioska.

– W Lens nie ma zakładu pogrzebowego Dubois – mówi Cob. – Mam cztery inne firmy Dubois: zakład ślusarski, biuro rachunkowe, tartak i ogrodnictwo. Drukuję listę.

*Strona 221. – Mimo to niech pan powie – powtarza komisarz Matthéo.*

*Zdawało się, że Christian go nie usłyszał.*

– Gdybym wiedział... – szepnął. – Za...

– Dziewczyna pracuje u adwokata o nazwisku Pernaud – mówi Armand. – W Lille, na ulicy Saint-Christophe.

Verhoeven przerywa lekturę. Nadine Lefranc, Corey, Matthéo, Christian, zakład pogrzebowy, Dubois... powtarza w duchu, ale słowa te z niczym mu się nie kojarzą.

Strona 227. *W końcu młoda kobieta się ocknęła. Odwróciła głowę w jedną stronę, w drugą i ujrzała stojącego obok niej Coreya z dziwnym uśmiechem na twarzy.*

Verhoeven raptem oblewa się potem, zaczynają mu się trząść ręce.

– *Więc to pan?* – zapytała.

*Ogarnięta nagłą paniką spróbowała wstać, ale ręce i nogi miała skrępowane. Sznury były zaciśnięte tak mocno, że aż zgrabiały jej palce.*

– *Od jak dawna tu jestem?* – spytała.

– *Dobrze spałaś?* – odpowiedział jej pytaniem Corey, zapalając papierosa.

*Nadine w histerii, rzucając głową na wszystkie strony, zaczęła krzyczeć. Krzyczała tak długo, aż w końcu zabrakło jej powietrza, a wtedy umilkła, niema i bez tchu. Corey nawet nie drgnął.*

– *Jesteś piękna, Nadine. Naprawdę... Bardzo piękna, kiedy płaczesz.*

*Nie przestając palić, położył wolną dłoń na wielkim brzuchu młodej kobiety. Na ten dotyk odruchowo zadrżała.*

– *I jestem pewny, że równie piękna będziesz w chwili śmierci* – dodał z uśmiechem.

– *W Lille nie ma ulicy Saint-Christophe* – powiedział Cob. – *I mecenasa Pernaud też nie.*

– *Niech to szlag...* – mówi Le Guen.

Camille patrzy na niego, a potem na leżący przed nim wydruk. Le Guen też czyta już ostatnie strony. Potem wraca do swojego dokumentu.

Strona 237. – *Ładne, prawda?* – zapytał Corey.

*Nadine z wysiłkiem odwróciła głowę. Twarz miała spuchniętą, przez obrzmiałe powieki docierało do niej tylko trochę światła, krwawe wybroczyny na łukach brwiowych nabierały coraz brzydszej barwy. Rana na policzku już nieco zaschła, ale z dolnej wargi wciąż sączyła się strużka gęstej, ciemnoczerwonej krwi, spływająca aż po szyję. Z trudem oddychała, jej klatka piersiowa unosiła się ciężko, nierówno.*

Corey, zakasawszy po łokcie rękawy koszuli, podszedł bliżej.

– *Jak to, Nadine? Nie podoba ci się?* – spytał, wskazując jakiś przedmiot w nogach łóżka.

*Przez łzy wypełniające jej oczy zdołała dostrzec rodzaj drewnianego krzyża umieszczonego na sztalugach. Mógł mieć około pół metra szerokości. Wyglądał jak krzyż kościelny, tyle że w miniaturze.*

– *To dla dzidziusia, Nadine* – powiedział łagodnie.

*Wbił paznokiec kciuka pod piersi Nadine tak głęboko, że wrzasnęła z bólu. I powoli wiodąc tym paznokciem w dół, aż po wzgórek łonowy, drążąc bruzdę w napiętej skórze jej brzucha, wyrывая z jej ust chrapliwy posepny krzyk, ciągnął pieszczotliwie:*

– *Tędy go wyjmemy. Taki rodzaj cesarskiego cięcia. Potem nie będziesz już na tyle żywa, żeby go zobaczyć, ale twój ukrzyżowany dzidzius będzie piękny, możesz mi wierzyć. Christian się ucieszy. Jego mały Jezusek...*

Verhoeven gwałtownie się podrywa, łapie książkę Buissona, z wściekłością wertuje strony. Krzyż... – *mruczy...* – *na sztalugach...* I wreszcie znajduje. Strona 205, nie, następna. Nie tu, następna, 207. Nagle zastyga, jest. To tutaj, ma to przed oczami:

*Corey starannie wybrał miejsce. Budynek, przez dziesięć lat służący jako magazyn fabryki butów, był idealny. Dawna pracownia ceramika, który po plajcie ją zostawił...*

Gwałtownie się odwraca. I staje twarzą w twarz z Louisem.

Wraca do książki Buissona, gorączkowo kartkuje ją do tyłu.

– *Czego szukasz?* – pyta Le Guen.



Nawet na niego nie spojrzawszy, Camille odpowiada:

– Jeśli mówi...

Przerzuca kolejne strony, czuje nagle zatrważającą jasność umysłu.

– Jego magazyn – mówi, potrząsając plikiem kartek – to... dawna pracownia artysty. Pracownia artysty... Zawiózł ją do Montfort. Do pracowni mojej matki.

Le Guen chwyta telefon, żeby połączyć się z RAID-em, ale Camille zdążył już dopaść swojej kurtki, złapał klucze i pędzi do schodów. Louis wydaje wszystkim polecenia. Tylko Armand siedzi jeszcze przy stole nad otwartym tekstem. Tworzą się ekipy, Le Guen rozmawia z funkcjonariuszem z grupy interwencyjnej, wyjaśniając, jak wygląda sytuacja.

Louis już ma pobiec w ślad za Camille'em, ale nagle coś przykuwa jego uwagę. Coś, co pośród całego tego zamieszania się nie porusza. To Armand, który w osłupieniu wpatruje się w swój dokument. Louis marszczy brwi, patrzy na niego pytająco.

Wskazując palcem na linijkę tekstu, Armand mówi:

– Morduje ją punktualnie o drugiej nad ranem.

Spojrzenia wszystkich wędrują ku zegarowi na ścianie. Jest za kwadrans druga.

Verhoeven szybko wycofał wóz, Louis wskakuje do środka i natychmiast ruszają.

Samochód pędzi bulwarem Saint-Germain, oni w głowie mają tylko jedno: obraz młodej kobiety związanej, skatowanej, krzyczącej, i tego palca sunącego po jej brzuchu.

Camille przyspiesza, a w tym czasie Louis, przypięty pasami, kątem oka go obserwuje. Co w tym momencie dzieje się w duszy inspektora Verhoevena? Może teraz, kiedy odbija samochodem gwałtownie w bok, by uniknąć zderzenia z innym, który się zatrzymał na czerwonym świetle w alei Denfert-Rochereau, słyszy głos Irène, słyszy, jak Irène woła „Camille, jak najszybciej przyjeżdż, przyjeżdż po mnie”, tak, na pewno to słyszy i jego palce kurczowo zaciskają się na kierownicy.

Nagle Louis w wyobraźni widzi Irène, która krzyczy w przerażeniu, kiedy do niej dociera, że umrze tak, związana, bezsilna, wydana na pastwę śmierci.

Całe życie Camille'a musi się koncentrować na tym obrazie Irène, z której twarzy krew spływa aż po szyję, rozmyśla Louis, kiedy samochód przecina skrzyżowanie i gna dalej aleją Général-Leclerc, szybko, bardzo szybko, obejmując w posiadanie całą jezdnię. Obyśmy się tylko nie zabili, dodaje w myślach. Ale to nie o swoje życie się boi.

*Tylko się nie zabij, Camille – mówi głos Irène – dotrzyj żywy, zostań mnie żywą, uratuj mnie, bo bez was tu umrę, a nie chcę umierać, bo od godzin długich jak lata na was czekam.*

Przemykają kolejne ulice, również w zapamiętaniu, puste, szybkie, pośród tej nocy, która mogłaby być tak piękna, gdyby stało się inaczej. Wyjący samochód dociera do wylotu z Paryża, niczym włócznia wbija się w uśpione przedmieście, lawiruje między pojazdami, nie zmniejszając szybkości, objeżdża rondo niemal na dwóch kołach, niemal trąc karoserią o jezdnię, niemal uderzając o chodnik. To tylko wstrząs, uspokaja się Louis. Ale samochód zdaje się odrywać od ziemi, wzbijać się w powietrze. Czy już po nas? Czy nas też diabli wezmą? Camille gorączkowo naciska hamulec, samochód z piskiem opon ociera się o inny z prawej strony, jeden, potem drugi taranuje, w błyskach koguta oszalały pojazd krzesze iskry z blachy, opony piszczą, samochód staje dęba, rzuca nim to w jedną, to w drugą stronę w poprzek jezdnii.

Zaczyna sunąć niebezpiecznie blisko wzdłuż pojazdów zaparkowanych przy chodniku, uderza w jeden, potem w drugi, nie przestając balansować od krawężnika do krawężnika, miażdży ich drzwi, wyrывa lusterka boczne, Verhoeven zaś, z całej siły hamując, próbuje opanować jego rozszalały bieg. Który kończy się na rogu skrzyżowania przy wjeździe do Plessis-Robinson, kiedy wpada dwoma kołami na chodnik.

Zapada ogłuszająca cisza. Syrena zamilkła. Kogut policyjny w trakcie jazdy spadł z dachu i zwisa

z boku karoserii. Verhoeven, którego odrzuciło na drzwi, uderzył się w głowę i obficie krwawi. Obok nich powoli przejeżdża samochód, pojawiają się czyjeś wpatrzone w nich oczy i znikają. Camille prostuje się, przesuwa dłonią po twarzy: jest cała zakrwawiona.

Czuje ból w plecach, ból w nogach, jest oszołomiony, mozolnie próbuje się podnieść, ale rezygnuje i z powrotem ciężko opada na siedzenie. Trwa w tej pozycji kilka sekund, po czym na nowo podejmuje rozpaczliwy wysiłek, żeby wstać. Na sąsiednim siedzeniu zamroczony Louis kołysze głową to w jedną, to w drugą stronę.

Verhoeven się otrząsa. Kładzie dłoń na ramieniu Louisa i lekko nim potrząsa.

– Jest dobrze... – mówi Louis, przytomniejąc. – Będzie dobrze.

Verhoeven szuka swojej komórki. Musiała mu wypaść podczas kraksy. Maca ręką, zagląda nawet pod siedzenia, ale jest zbyt ciemno. Nie ma. W końcu jego palce trafiają na jakiś przedmiot, to jego broń, którą po krótkiej gimnastyce udaje mu się wetknąć do kabury. Wie, że szcęk blachy rozlegający się w środku nocy na podmiejskiej ulicy ściągnie ludzi, że mężczyźni wywabi na ulicę, że kobiety staną w oknach. Pochyla się ku drzwiom i gwałtownym pchnięciem, ze szczękiem ustępującej blachy, je otwiera. Wysuwa nogi na zewnątrz i w końcu wysiada. Stoi, obficie krwawi, chociaż nie wie, skąd to krwawienie.

Utykając, obchodzi samochód, otwiera drzwi od strony pasażera i chwyta Louisa za ramiona. Ten unosi rękę na znak, że w porządku, więc zostawia go, żeby oprzytomniał, otwiera bagażnik, spośród panującego w nim bałaganu wyławia kawałek brudnej szmaty i przykłada ją sobie do czoła. Potem patrzy na szmatę, opuszką palca próbuje wymacać miejsce zranienia i znajduje je na czole u nasady włosów. Wszystkie drzwi oraz oba tylne błotniki są pocięte. I w tym momencie dociera do niego, że silnik nadal pracuje. Stawia na dachu wciąż pulsującego niebieskim światłem koguta, przy okazji stwierdzając, że jeden z reflektorów jest rozbity. Po czym siada za kierownicą, patrzy na Louisa, który kiwa głową, że „okej”, wrzuca tylny bieg. Samochód się cofa. Stwierdzając, że nadal jest na chodzie, obaj doznają nagłej ulgi, jakby udało im się uniknąć wypadku, a nie jakby go dopiero co przeżyli. Camille wrzuca pierwszy bieg, drugi, i samochód błyskawicznie nabierając szybkości, rusza w dalszą drogę przez przedmieście.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje kwadrans po drugiej, kiedy Verhoeven, nareszcie zwalniając, dociera do uśpionych ulic prowadzących na skraj lasu. Ulica w prawo, ulica w lewo, i znów ostro przyspiesza na prostej, wbijającej się niczym strzała w ścianę wysokich drzew w oddali. Odrzuca w tył szmatę, którą do tej pory udawało mu się przytrzymywać na czole, wyjmuje broń i wtyka ją między uda; wychylony naprzód, trzymający się teraz oburącz deski rozdzielczej, Louis robi to samo. Wskazówka szybkościomierza wskazuje sto dwadzieścia, kiedy w odległości stu metrów od drogi prowadzącej do pracowni zaczyna hamować. To droga zaniedbana, wyboista, zwykle pokonywana w ślimaczym tempie. Samochód jedzie zygzakiem, omijając najgłębsze dziury, ale gwałtownie nim zarzuca na tych, których nie udało mu się uniknąć. Kiedy tylko pojawia się zarys pogrążonego w półmroku budynku, Camille natychmiast wyłącza koguta i gwałtownie hamuje.

Pod domem nie widać żadnego samochodu. Możliwe, że Buisson wolał zaparkować na tyłach pracowni, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku. Verhoeven zgasił reflektory i potrzebuje kilku sekund, by jego wzrok oswoił się z ciemnościami. Budynek ma tylko jedno piętro; prawa część fasady jest wielkim balkonowym oknem. Całość wydaje się równie opustoszała jak zwykle. Nagle opada go zwątpienie. A jeśli przyjazd tutaj był pomyłką? Czy Buisson rzeczywiście przywiózł tu Irène? Może to wina nocy, posępnej ciszy lasu za domem, ale miejsce wygląda niesamowicie złowrogo. Czemu nigdzie nie pali się światło?, zadają sobie w duchu pytanie obaj mężczyźni. Już tylko trzydzieści metrów dzieli ich do wejścia. Verhoeven zgasił silnik, pozwalając, by samochód przez chwilę toczył się na wolnym biegu, po czym delikatnie, jakby w obawie, że narobi hałasu, hamuje, ze wzrokiem wciąż utkwionym

przed siebie po omacku chwyta broń, ostrożnie otwiera drzwi i wysiada. Louis chciał zrobić to samo, ale uszkodzone drzwi z jego strony stawiały opór. Kiedy w końcu silnym pchnięciem barku udaje mu się je otworzyć, ustępują z posępnym szczękiem. Obaj spoglądają na siebie i już mają się odezwać, kiedy raptem dobiega ich jakiś słumiony, regularny, urywany odgłos. Właściwie dwa odgłosy. Camille z wyciągniętą bronią powoli zbliża się do budynku. Louis w tej samej pozycji rusza kilka kroków za nim. Drzwi pracowni są zamknięte, nic nie wskazuje na czyjąkolwiek obecność. Camille unosi głowę, a potem ją opuszcza, skoncentrowany na tych hałasach, które narastają i które teraz słyszy wyraźniej. Spogląda pytająco na Louisa, ten jednak ze spuszczonym wzrokiem nadal wsłuchuje się w hałas, który również słyszy, choć nie potrafi go umiejscowić.

I w momencie gdy nareszcie pojmują, o co chodzi, mogą określić słowem to, co słyszą, nad wierzchołkami drzew pojawia się helikopter. Wykonuje gwałtowny zwrot, zawisa nad budynkiem, a jego potężne reflektory, zalewając białym światłem podwórko, ukazują jak w świetle dziennym dach pracowni. W takt ogłuszającego łoskotu wzbija się gwałtowny podmuch wiatru, podrywając niczym huragan tumany wirującego kurzu. Wielkie okoliczne drzewa przebiega drżenie. Helikopter wykonuje serię krótkich, szybkich obrotów. Obaj odruchowo się pochylają, dosłownie przygina ich do ziemi.

Urywany łoskot maszyny, której płozy przesuwają się w odległości ledwie kilku metrów nad dachem pracowni, uniemożliwia im nawet myślenie.

Rotacja powietrza jest tak silna, że nie mogą spojrzeć w górę, więc odwracają się, szukając miejsca, gdzie mogliby się schronić. I wtedy widzą to, co dotąd ledwie słyszeli. Drogą na pełnym gazie nadjeżdżają w ich stronę trzy wielkie czarne furgonetki z przyciemnionymi szybami. Jadą gęsiego, w idealnie prostej linii, obojętne na zamęt, podskakując na wybojach, ale nawet na cał nie zbaczając z trasy. Pierwsza jest wyposażona w potężny reflektor, który momentalnie ich oślepia.

W tym momencie helikopter zmienia kurs i kieruje światła reflektorów na tyły domu i pobliski las.

Zelektryzowany desantem grupy interwencyjnej, oszołomiony hałasem, wiatrem, kurzem i światłem, Camille nagle odwraca się i zaczyna co sił w nogach biec w stronę pracowni. Jego cień w świetle reflektora czołowego pojazdu znajdującego się dziesięć metrów za nim szybko maleje, mobilizując resztkę sił, jaka mu jeszcze została. Louis, który przez pierwszych kilka metrów biegł za nim, nagle zniknął. W kilka sekund Camille dopada do wejścia, jednym susem pokonuje cztery zmurszałe schodki i staje pod drzwiami. Bez sekundy wahania pakuje dwie kule w zamek, roztrzaskując całe ich skrzydło i futrynę. Gwałtownym pchnięciem otwiera drzwi i wpada do środka.

Ledwie zrobił dwa kroki, jego stopy ślizgają się na jakiejś lepkiej cieczy i upada ciężko na plecy, nie zdążywszy się nawet niczego przytrzymać. Upadek był tak silny, że drzwi odskoczyły i zamknęły się. W pracowni na moment zapanowały ciemności, ale gwałtownie uderzywszy w futrynę, drzwi znowu, tym razem wolniej, otwierają się. Światło reflektora pierwszego wozu, który podjechał pod wejście, pada nagle na szeroką, wspartą na dwóch koźlach deskę, na której ze związanymi rękami spoczywa ciało Irène. Głowę ma odwróconą w jego stronę, oczy otwarte, zastygłe rysy twarzy, rozchylone usta. Jej płaski brzuch pokrywają wyraźne wypukłości, jakby przejechał po nim pojazd gaśnicowy.

W chwili gdy dobiega go głośny łomot wojskowych butów na schodach, w chwili gdy w drzwiach pojawia się cień funkcjonariuszy z grupy interwencyjnej, Camille odwraca głowę w prawo, gdzie w półmroku spazmatycznie rozświetlanym niebieskimi błyskami policyjnego koguta widzi krzyż jakby zawieszony nad ziemią, a na nim maleńką ciemną, niemal bezkształtną postać z szeroko rozłożonymi ramionami.

# Epilog

# Poniedziałek, 26 kwietnia 2004

*Drogi Camille!*

*Rok. To już rok. Tutaj, jak się pan domyśla, czas nie dłuży się ani nie biegnie zbyt szybko. Ten pozbawiony konsystencji czas dociera do nas tak wytłumiony, że zdarza nam się wątpić, czy upływa nam równie szybko jak innym. Tym bardziej że długo znajdowałem się w niekomfortowej sytuacji.*

*Od kiedy pański zastępca ścigając mnie aż do lasu w Clamart, strzelił mi tchórzliwie w plecy, wyrządzając nieodwracalne szkody w moim kręgosłupie, jestem przykuty do wózka inwalidzkiego, z którego teraz do pana piszę.*

*Oswoiłem się z tą sytuacją. Niekiedy zdarza mi się wręcz ją błogosławić, gdyż zawdzięczam jej komfort niedostępny dla większości moich współtowarzyszy. Cieszę się większymi względami niż inni. Nie narzuca mi się tych samych ograniczeń. Niewielka to korzyść, ale jak pan wie, tutaj wszystko się liczy.*

*Zresztą czuję się już lepiej niż na początku. Zaaklimatyzowałem się. Nogi zdecydowanie odmawiają mi posłuszeństwa, ale cała reszta działa bezbłędnie. Czytam, piszę. Jednym słowem, żyję.*

*I pomału wyrobiłem sobie pozycję. Wyznam nawet, że wbrew pozorom wielu mi zazdrości. Po długich miesiącach spędzonych w szpitalu wylądowałem w tym zakładzie poprzedzony reputacją, która zapewniła mi niejaki poważanie. A to jeszcze nie koniec.*

*Długo nie stanę przed sądem. Zresztą nie przejmuję się tym, bo werdykt już zapadł. Choć właściwie nie, to nieprawda. Wiążę duże nadzieje z tym procesem. Mimo nieustannych szykan ze strony administracji liczę, że moim adwokatom – te hieny mnie finansowo wykończą! – uda się w końcu doprowadzić do publikacji mojej książki, która poprzedzona tym wszystkim, co o mnie do tej pory napisano, narobi rzecz jasna wiele szumu. I tak czeka ją międzynarodowa sława, którą mój proces tylko zwiększy. Jak mówi mój wydawca – ta gnida – przysłuży się to interesom. Już kontaktowali się z nami ludzie filmu, tyle panu powiem.*

*A skoro o tym mowa, pomyślałem, że nim zacznie się ten wysyp rozmaitych artykułów, omówień i reportaży, winny jestem panu kilka słów.*

*Mimo wszelkich podjętych przeze mnie środków ostrożności nie wszystko potoczyło się równie gładko, jak się spodziewałem. Jest to o tyle bardziej ubolewania godne, że tak niewiele brakowało. Gdybym trzymał się ram czasowych (które, co przyznaję, sam ustaliłem), gdybym nie był tak pewny niezawodności mojego planu, natychmiast po śmierci pańskiej małżonki bym się ulotnił i pisałbym teraz do pana z jakiegoś małego rajku, który bym sobie zorganizował, i mógłbym się poruszać o własnych nogach. Koniec końców, sprawiedliwość istnieje. Dla pana to pewnie jakaś pociecha.*

*Zauważył pan, że piszę tu o „mojej sprawie”, a nie o „moim dziele”.*

*A to dlatego, że mogę nareszcie zarzucić ten pretensjonalny żargon, który był przydatny jedynie w trakcie realizacji mojego projektu i w który nigdy nawet przez chwilę nie wierzyłem. Uchodzenie w pańskich oczach za człowieka „z poczuciem misji”, „zafascynowanego dziełem, które go przerastało”, było niczym więcej jak romantyczną formułą. I to nie najwyższych lotów. Na szczęście nie jestem taki. Byłem wręcz zaskoczony, że przychylił się pan do tej hipotezy. Wasi psychologowie po raz kolejny dowiedli, co potrafią, i są to dowody jak zwykle obciążające... Nie, ja jestem człowiekiem do gruntu praktycznym. I skromnym. Choć marzyłem o pisaniu, nigdy nie robiłem sobie złudzeń co do mojego talentu. Ale moja książka, napędzana skandalem, na fali grozy, jaką wzbudza w każdym człowieku tragiczne wydarzenie, będzie się sprzedawać w milionach egzemplarzy, będzie tłumaczona, adaptowana, na trwałe przejdzie do historii literatury. Jej udziałem stanie się to wszystko, czego nie*

mógłbym zdobyć tylko własnym talentem. Wyminąłem przeszkodę, ot i wszystko. Nie ukradłem nikomu sławy.

Co do pana, wybaczy pan, że to powiem, nie byłbym tego taki pewny. Osoby znające pana bliżej wiedzą, jakim pan jest człowiekiem. Dalekim od tego Verhoevena, którego opisałem. Szanując reguły gatunku, zmuszony byłem przedstawić pański portret nieco hagiograficzny, lekko złagodzony. Trzeba się liczyć z czytelnikiem. Ale w głębi duszy sam pan wie, że bliżej panu do portretu, który swego czasu przedstawiłem w „Le Matin”.

Obaj nie jesteśmy tymi ludźmi, za których uchodzimy w oczach innych. Możliwe, że koniec końców jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż nam się wydaje. Bo czyż w pewnym sensie nie my obaj doprowadziliśmy do śmierci pańskiej żony? Ja, ale i pan?

Przedstawiam panu pod rozwagę to pytanie.

Serdecznie pozdrawiam,

Philippe Buisson

Saint-Ouen, wrzesień 2005

W hołdzie dla literatury, bez której nie byłoby tej książki.

Możliwe, że w trakcie jej lektury czytelnik rozpozna niektóre cytaty, czasami lekko zmienione.

W kolejności, w jakiej się pojawiają:

Louis Althusser – Georges Perec – Choderlos de Laclos – Maurice Pons – Jacques Lacan – Alexandre Dumas – Honoré de Balzac – Paul Valéry – Homer – Pierre Bost – Paul Claudel – Victor Hugo – Marcel Proust – Danton – Michel Audiard – Louis Guilloux – George Sand – Javier Marías – William Gaddis – William Szekspir.

[1] Wyd. pol. 1992.

[2] Wyd. pol. James Ellroy, *Czarna Dalia*, 2007.

[3] Wyd. pol. Bret Easton Ellis, *American Psycho*, przeł. Jędrzej Polak, Etiuda 2005.

[4] Tamże.

[5] Chodzi o Davida Peace'a (przyp. tłum.).

[6] Wyd. pol. M. Sjöwall, P. Wahlöö, *Roseanna*, 2009.

[7] RAID – Recherche, Assistance, Intervention, Dissuasion, czyli: Rozpoznanie, Pomoc, Interwencja, Odstraszenie – elitarne jednostki specjalne francuskiej policji działające wyłącznie w określonych sytuacjach i na określonym obszarze, głównie w Paryżu i na przedmieściach (przyp. tłum.).

[8] IGS – Inspection Générale des Services (Komisja Nadzoru Służb Policyjnych) kontroluje, czy służby policyjne działają zgodnie z prawem, podlega bezpośrednio Prefekturze Policji (przyp. tłum.).